

## Rozdział I

Ana drogę niech jej gwiazdka świeci! - zawołała Killashandra Ree do siebie, gdyż jej słowa poprzez ryk rozbijających się o dziób „Aniola” fal i dudnienie wiatru o wydęte żagle i naprężone sztagi nie miały najmniejszych szans dotrzeć do Larsa Dahla.

Wycelowała palec w horyzont, na którym wschodziła pierwsza wieczorna gwiazda. Obejrzała się, czy Lars patrzy w jej stronę. Skinął głową z uśmiechem, a w jego ogorzałej twarzy błysnęły śnieżnobiałe zęby. Po opłynięciu głównego kontynentu Ballybranu była niewiele mniej opalona od niego, jednak to Lars z nich dwojga zawsze wyglądał na prawdziwego wilka morskiego, zwłaszcza kiedy stał, tak jak teraz, z kołem sterowym w mocnych dłoniach i balansował wysokim, smukłym ciałem na szeroko rozstawionych, bosych stopach. Łódź halsowała prawą burtą przy pełnych żaglach. Włosy Larsa, splowiały od słońca i nasączone solą, rozwiewały się jak rytualny pióropusz.

Od postrzępionej, kamiennej linii brzegu dzieliła ich jeszcze chwila żeglugi, jednak lada moment - o wiele za wcześnie, zdaniem Killashandry - mieli dobić do lądu i zarzucić kotwicę w porcie obsługującym bazę Cechu Heptyckiego.

Killashandra westchnęła. Gdyby to od niej zależało, rejs nigdy by się nie skończył, choć końące działanie morskich fal nie wystarczało, żeby oczyścić jej krew z kryształu. Lars, który śpiewał krócej od niej, był w lepszej formie. Wiedzieli jednak, że podczas następnego wypadu w Pasma muszą wydobyć wystarczającą ilość kryształu, żeby wyrwać się z planety na czas zbliżającego się znów nieuchronnie Przejścia. Modliła się w duchu, żeby ich sanie były już po remoncie, gotowe do odlotu w Pasma.

Na wspomnienie kamiennej lawiny, która pogrzebała ich pojazd, zgrzytnęła zębami z upokorzenia. Trzeba było wysłać po nich ekspedycję ratunkową! Sprowadzenie zdruzgotanych sań do bazy nieźle nadwerżyło ich kredyty. Przed wypadkiem zdążyli naciąć dosyć kryształu, który, dzięki odpornym pojemnikom, wyszedł z katastrofy cało. Stać ich było więc na pokrycie wysokich kosztów napraw, nie starczyło jednak na wypad poza planetę na czas remontu sań. Kolejny raz pozwolili, by „Anioł” i zew ballybrańskich wód zagłuszyły wezwanie kryształu i uwolniły ich od nudy pobytu w bazie.

Killashandra przysięgła sobie jednak na wszystkie świętości, że teraz wyśpiewają kryształ w najlepszym gatunku o ile uda im się ponownie trafić na tamtą, pechową, żylę. Kryształ komunikacyjny zawsze był w cenie. Oby tylko udało im się za jednym zamachem wyciąć cały zestaw nie brzmiący żadnym fałszywym tonem. Była zdecydowana wyjechać z planety; tym razem nie da się Larsowi namówić na poznawanie kolejnych mórz. Istnieją planety równie interesujące jak wody Ballybranu. Gdyby Lars nie zostawiał jej od czasu do czasu prawa do decyzji – poważnie zastanawiałaby się nad zmianą partnera. Na przykład na tego młodego, barczystego rudzielca o niepokojących oczach i łobuzerskim uśmiechu, który tak bardzo kogoś przypominał. Wiatr wiał jej teraz w twarz. Skrzywiła się. Coraz częściej musiała zasięgać porad „programu osobistego”. Śpiewała kryształ od wielu lat i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że ma coraz poważniejsze luki w pamięci, choć nie wiedziała ani czego nie pamięta, ani jak wiele zapomniała. Wzruszyła ramionami. Cóż, dopóki jeszcze nie zapomniała o Larsie Dahlu, a on o niej...

„Anioł” opływał teraz masyw przyłądka, zza którego wyłaniała się wschodnia elewacja sześciennej bryły Cechu Heptyckiego. Budynek stał kilka kilometrów w głąb lądu, lecz nawet z takiej odległości prezentował się groźnie. Dobry humor Killashandry gwałtownie prysnął.

- Koniec laby - mruknęła niechętnie, z góry wiedząc, co powie Lars.

- Koniec laby! - wrzasnął, przekrzykując wiatr.

Zatrzęsło nią z irytacji.

Tylko nie to - pomyślała wznosząc oczy do nieba. Byli ze sobą tak długo, że mogła z góry przewidzieć każde jego słowo. A może po prostu trzeba im jakiejś odmiany? Larsowi ich morskie wypadki najzupełniej wystarczały do szczęścia, ale ona odkryła nagle, że potrzebuje czegoś więcej. Skrzywiła się. Więcej, to znaczy ile? Lars krzyczał i machał do niej, wzywając, by zeszła do niego do kokpitu. Uchylając twarz przed spienionym rozbryzgiem przelatujących przez burtę fal, ostrożnie, niemniej z wprawą, ruszyła w stronę rufy, walcząc z wiatrem i przechyłami pokładu „Aniola”.

Kiedy podeszła do Larsa na wyciągnięcie dłoni, przygarnął ją do siebie, a uśmiech, którym ją obdarzył, wyrażał najwyższe zadowolenie z wiatru, fali, jachtu, mimo że zbliżali się do kresu podróży. Oparła się o wysokie, muskularne ciało Larsa. Znała go tak dobrze. Cóż, wśród śpiewaków kryształu coś takiego może być nawet pewnym plusem, zwłaszcza kiedy pamięć zaczyna szwankować. Podniosła wzrok na twarz partnera. Nawet łuszczący się nos nie był w stanie zachwiać wytworności jego profilu. Lars Dani, stały czynnik w jej życiu!

- Lars, Killa! Lanzecki kazał się wam stawić, jak tylko zawiniecie do doku! - zawołał kapitan portu, chwytając cumę, wprawnie rzuconą przez Killashandrę, i metodycznie okręcając ją wokół kołpaka. Śpiewaczka, z cumą rufową w rękę, zeskoczyła lekko na pochylinię basenu jachtowego.

- Słyszysz, co do ciebie mówię?! - ryknął.

- Jasne, że słyszę.

- Oboje słyszymy! - wtrącił Lars, puszczać oko do Killashandry.

Posłuszna starym nawykom, zbiegła pod pokład sprawdzić, czy w kabinie zostawili wszystko jak trzeba. Ostatni rzut oka zawsze należał do jej obowiązków. Lars natomiast wprowadzał jacht do portu. Zadowolona z wyników inspekcji, wyrzuciła na pokład żeglarskie worki z odzieżą, a sama wspięła się po schodkach, niosąc ostrożnie torbę odpadów nieorganicznych.

Lars wyłączył silniki jachtu i zajął się zabezpieczaniem pięty bomu.

- Zaopiekuję się jachtem - ponaglał ich kapitan.

Kiedy Cechmistrz wzywał śpiewaka, ten powinien stawić się niezwłocznie. Ta para najwyraźniej rządziła się własnymi prawami, jednak nie uśmiechało mu się wcale obrywać za ich niesubordynację.

- Wiem, że się nim zaopiekujesz, Pat - zapewnił Lars, sprawdzając wanty. - Ale trudno mi na zawołanie wyzbyć się starych nawyków. Schowasz łódź, gdyby zaczęło bardziej dmuchać? - Skinieniem głowy wskazał pojemny basen krytych doków.

- A co, może kiedyś nie schowałem? - odburknął Pat z urazą, wciskając głębiej dłonie w kieszenie kapitańskiej kurtki.

Lars porwał z pokładu swój worek i zgrabnie zeskoczył na nabrzeże, po czym z uśmiechem wymierzył Patowi kuksańca, który go miał udobruchać. Killashandra, skinąwszy kapitanowi z wdzięcznością głową, ruszyła za Larsem. Dogoniła go na rampie doku. Wsiedli w pierwszy z brzegu ślizgacz i obrali kurs na kompleks zabudowań Cechu.

Zaparkowali i weszli do mieszkalnej części kompleksu. Wjechali windą na poziom zarządu. W tym czasie dziewiętnaście osób tonem oscylującym między złośliwą satysfakcją a nie ukrywaną zazdrością zdążyło ich poinformować, że mają stawić się u Lanzeckiego.

- Psiakość! - wycedziła Killashandra przez zaciśnięte zęby. - Co tu jest grane?

- No cóż, chyba nie cieszymy się specjalną sympatią naszych kolegów - stwierdził Lars, siląc się na obojętność.

- Mam złe przeczucia - mruknęła. Ta uwaga była przeznaczona wyłącznie dla jego uszu.

- Myślisz, że Lanzecki mógł wymyślić dla nas któreś z tych swoich zadań specjalnych?

- Aha.

Ramię w ramię skřęcili do biura Lanzeckiego. Już w progu Killashandrę uderzyła nieobecność Traga. Z jego miejsca podniósł się szczupły mężczyzna; na twarzy, karku i na dłoniach goiły mu się blizny zadane przez kryształ, Killashandra nie przypominała sobie jednak, żeby go kiedykolwiek widziała.

- Killashandra Ree? - upewnił się mężczyzna. Przeniósł wzrok na jej towarzysza. - Lars Dahl? Czy nigdy nie włączacie komunikatora na waszym jachcie?

- Włączamy, kiedy siedzimy w kabinie - odpowiedział beztrąsko Lars.

- A nie siedzi się tam zbyt długo, jeśli w dwie osoby zmagą się ze sztormem - pokajała się kpiąco Killashandra. - Gdzie jest Trag?

- Nazywam się Bollam. - Mężczyzna pokręcił szyć, jakby go uwierał kołnierzyk, i wzruszył ramieniem. Było jasne, że Trag nie żyje. - Wiecie, które drzwi?

- Aż za dobrze - rzuciła niechętnie Killashandra, gniewnym krokiem okrążając jego stanowisko i kierując się do drzwi sanktuarium Lanzeckiego.

Nie podobało jej się wcale, że Trag nie żyje. To on nauczył ją stroić kryształy, pod jego okiem odbywała staż czeladniczy; reszta niejasnych wspomnień też była raczej miła. Nie wyglądało na to, żeby Bollam był w stanie sprostać obowiązkowi, które Trag wykonywał z najwyższą łatwością i... bez cienia emocji. Gdyby była Lanzeckim, za nic w świecie nikomu nie przydzieliłaby do towarzystwa w Paśmie równie cherlawego wymoczka. Do diabła, nie miała nawet połowy jego blizn na rękach, chociaż śpiewała już kryształ od... od dawna!

Ze złością wałnęła dłonią w płytkę identyfikacyjną na drzwiach i ledwie zamek puścił, wpadła do gabinetu, zamasyżując się do konsoli, nad którą nachylał się Lanzecki.

- Macie chyba komunikator na pokładzie tej waszej łajby? - zaczął, uprzedzając jej atak.

- Jachtu - odruchowo poprawił go Lars.

- Nie pracuje bez przerwy - dorzuciła jednocześnie Killashandra. - Cóż to za sprawa nie cierpiąca zwłoki?

Lanzecki odłożył świetlne pióro, którym wodził po konsoli i, prostując się, obrzucił parę przybyłych przeciągłym spojrzeniem. Killashandrze ścisnęło się serce. Na twarzy Ochmistrza malowało się znużenie... i wiek. Czyżby Trag zginął tak niedawno?

- W układzie 478-S-2937 sektora Libry natrafiono na opalizujący minerał, który może okazać się nieznanym gatunkiem kryształu, w dodatku daleko bardziej złożonym od terrańskich opali czy wegańskich

krzemieni, przezrzystych i matowych.

Włączył monitor. W przyspieszonym tempie zaczęły przesuwac się kolejne obrazy. Na orbicie mignął statek badawczy, gwałtownie przybliżył się, wreszcie wylądował. Przed oczami Larsa i Killashandry jak w kalejdoskopie przelatywały zapisy wczesnych prac badawczych.

- O, tutaj! - Lanzecki przełączył urządzenie na normalną prędkość. - Skorupa planety zawiera niewiarygodnie rozległe systemy jaskiń. Geolodzy sugerują, że planeta ostygła zbyt szybko.

- Żadnych oceanów? - upewnił się Lars.

Lanzecki potrząsnął przecząco głową, a Killashandra uśmiechnęła się z lekkim przekąsem. Pierwsze pytanie Larsa na temat nieznannej planety brzmiało nieodmiennie: „Czy istnieją wody nadające się do żeglugi?”

- Podziemne złogi lodu nie nadają się ani do picia, ani -dodał Lanzecki z niespotykanym u niego humorem - do pływania.

- Psiakość!

- O! - wyrwało się Killashandrze, kiedy kamera skierowała się do góry, ukazując migotliwą powierzchnię czegoś, co sprawiało wrażenie cieczy.

Kamera zmieniła kąt i oboje z Larsem zorientowali się, że to, co brali za ciecz, w rzeczywistości jest niebieskim, opalizującym refleksem pasma kamienia, o którym mówił Lanzecki.

Cechmistrz szybko przewinął materiał i zwolnił obraz następnej ekstruzji, nieco szerszej, o ciemniejszym odcieniu błękitu. Na podobieństwo wręgi opasywała sklepienie jaskini, sprawiając przy tym wrażenie, jakby wyciekała z „sadzawki” błękitu na środku. Co więcej, błękit zdawał się spływać na dno jaskini, jakby chciał osiągnąć podłogi.

- Zdjęcia robione były w świetle naturalnym - oświadczył Lanzecki z uznaniem. - Obroty planety są niezwykle powolne, obrót dzienny trwa prawie czterdzieści stadar-dowych godzin. Te zdjęcia kręcono o świcie. W południe światło oślepia.

- To pojedynczy kamień czy cała żyła? - spytał Lars, wyraźnie poruszony i pełen podziwu.

- Cóż, to właśnie jest kolejna sprawa, której nie miał kto ustalić - stwierdził sucho Lanzecki.

- Ach, tak? -Killashandra przeczuwała, że zaraz usłyszy coś niezbyt radosnego.

- Zgadza się, taśmy mają już parę lat. Wszyscy członkowie ekipy badawczej zmarli najpóźniej w cztery miesiące od lądowania na Opalu.

- Na Opalu? - powtórzyła, starając się odwlec moment, kiedy Lanzecki wyjawy im kolejne, bez wątpienia mrozące krew w żyłach, szczegóły.

Wzruszył ramionami i nieznacznie się skrzywił.

- Taką nazwę nadała ekspedycja.

- Nie wiedząc, że wybiera nazwę swojego grobowca -cierpko zauważył Lars.

- Zdarza się.

- Jaką śmiercią zmarli? - spytał, przysiadając na narożniku konsoli Lanzeckiego.

- Niezbyt miłą. Kiedy włączył się alarm, sygnalizując śmiertelną dawkę promieniowania, ekipa badawcza z Trun-domoux nie zniebdała żadnych środków ostrożności. Umieścili taśmę w hermetycznym pojemniku wraz z dziennikiem pokładowym ich statku i bryłką czegoś twardego, co okazało się odłamkiem połyskliwej substancji, którą widzieliśmy na filmie. Dziennik pokładowy nieszczęsnego statku zawierał zapiski geologa i lekarza. Byli zgodni co do tego, że ekipa musiała wchłonać na Opalu śmiertelną dawkę jakiejś substancji promieniotwórczej, najprawdopodobniej podczas kontaktu z nieznanym minerałem. Dziennik informuje, że załączonej próbki nie dało się wydobyć inaczej, jak przez wycięcie laserem z kawałkiem otaczającej skały. - Lanzecki dla uzyskania większego efektu zawiesił głos. - Ludzie z ekipy badawczej wyodrębnili cez, gal, rubid, a także śladowe ilości żelaza i krzemu. Wykryto również kilka izotopów radioaktywnych, wskazujących na to, że w przeszłości próbka posiadała właściwości promieniotwórcze, jednak obecnie nie wykazuje żadnych śladów radioaktywności. Co ciekawsze, nie ma w ogóle połysku macierzystej żyły. Trag uważał, że po odjęciu go od złoża minerał obumarł.

- Trag był z nimi?

Lanzecki długo patrzył w przestrzeń, zanim udzielił odpowiedzi. Wreszcie po kolei spojrział obojgu w oczy.

- Symbiont ballybrański posiada właściwości lecznicze, opóźnia też poważnie procesy starzenia, jednak jego żywotność ma swoje granice. Trag figurował w Rejestrze Cechu od niepamiętnych lat. Orientował się, że bariera ochronna symbionta z czasem słabnie. Trundomoux zwrócili się do Cechu Heptyckiego z prośbą o wydelegowanie przedstawiciela, sądząc, że symbiont ballybrański będzie w stanie ochronić naszych ludzi. Trag zgłosił się na ochotnika. Presnol poddał go precyzyjnym testom, które wykazały, że symbiont jest nadal aktywny. Trag twierdził, że ma wystarczającą odporność.

W cechu powszechnie przezywano Lanzeckiego „Kamienną Twarzą”. Nawet Killashandrze zdarzyło się raz posadzić go o brak emocji, jednak późniejsze wydarzenia dowiodły, jak bardzo się myliła. Teraz też Cechmistrz obojętnością pokrywał smutek, o ile nie głębsze uczucia. Trag był dla niego kimś więcej niż tylko partnerem w wyprawach po kryształ.

- Obcował z nie osłoniętym minerałem i nic mu się nie stało.  
- To od czego wobec tego umarł? - chciała wiedzieć Killashandra.  
- Od głupiej infekcji dróg oddechowych, którą złapał w drodze powrotnej. - Lanzecki pogardliwie wzruszeniem ramion skwitował tak haniebną śmierć. - Presnol nie wyklucza możliwości, że kontakt z minerałem osłabił ochronną barierę symbionta, lecz badanie tkanki wykazało niezbicie, że Trag nie zapadł ani na tę samą, ani nawet na podobną chorobę co obecna na statku grupa geologów. - Lanzecki urwał znowu. - Trag w swoim raporcie wyrażał najgłębsze przekonanie, że symbiont ballybrański w tamtych warunkach zdoła ochronić śpiewaków kryształ, w związku z czym Cech powinien prowadzić dalsze badania. Donosił, że udało mu się wzbudzić w mineralu rezonans odmienny od wszystkiego, z czym spotykał się w Paśmie. Odmienność... niemniej podobny.

Killashandra splótła ręce na piersi.

- A ty chciałbyś, żebyśmy właśnie my z Larsem zbadali, ile w tym prawdy? - spytała w końcu, udając, że nie dostrzega sceptycznej miny Larsa.

- Tak.

Lars pochwycił wreszcie jej wzrok, mrużąc lewe oko w ich prywatnym szyfrze finansowym. Pozwoliła Lanzeckiemu poczekać trochę na odpowiedź.

- Ile?

Lanzecki uśmiechnął się chytrze.

- Zażądaliśmy... sowitej opłaty za usługi tandemu pracowników Cechu Heptyckiego.

- Aha, to by znaczyło, że Czynniki Wyższe są naprawdę zainteresowane kamieniem - zaryzykowała. A kiedy skinął głową, pytała dalej. - Zastanawiałeś się już nad wynagrodzeniem dla nas i dla Cechu?

- Jestem w stanie zaoferować wam pięćdziesiąt tysięcy kredytów. Bylibyście poza planetą podczas Przejścia... Czasu powinniście mieć aż nadto, żeby wykonać badania, zanim dopadnie was szaleństwo.

Killashandra puściła rozważania Lanzeckiego mimo uszu i zatopiła się w kalkulacjach finansowych. Cech musiał zażądać dwa albo trzy razy tyle.

- Nie podejmujemy się równie niebezpiecznej pracy za mniej niż dziewięćdziesiąt tysięcy.

Posłała Larsowi szybkie spojrzenie. Nawet za pięćdziesiąt mogliby dolecieć do dowolnego miejsca w znanym wszechświecie i zostać tam tak długo, jak długo byliby w stanie przebywać poza Ballybranem.

Lanzecki skinął głową z leciutkim uśmiechem. Najwyraźniej przewidział, że Killashandra będzie się targować.

- Sześćdziesiąt. Cech poniesie spore wydatki...

- Powinieneś wobec tego poszukać sobie takich, którzy nie biorą dodatku za niebezpieczną pracę - parsknęła Killashandra. - Osiemdziesiąt pięć.

- Niewykluczone, że po powrocie z Opalu będziemy zmuszeni zorganizować dla was kwarantannę...

- Nie bez powodu płaciłam podatki przez te wszystkie lata. Poza tym... czyżbyś nie ufał ocenie Traga?

- Zawsze ufałem jego sądom. Ale Trag przebywał w jednym pomieszczeniu z kamieniem stosunkowo niedługo.

- „Niedługo” to znaczy ile? - próbował uściślić Lars.

- Trzy tygodnie.

- Chcesz nam mówić, że symbiont na tym w żaden sposób nie ucierpiał?

- Presnol twierdzi, że nie. Trag zmarł wskutek pospolitej infekcji oskrzeli. Natomiast wykonane przez zdalnie sterowaną sondę badania załogi statku wykazały, że jej członkowie zmarli wskutek niezwykle złośliwej białaczki gruczolów chłonnych, odpornej na wszelkie środki z arsenału, jakim dysponuje nie zmutowana ludzkość. U Traga nie zanotowano żadnych objawów niewydolności czy zmian w gruczolach limfatycznych.

- W ciągu trzech tygodni objawy nie musiały rozwinąć się w pełni. - Lanzecki potrząsnął głową. - Według zapisków lekarza pokładowego na statku pierwsze objawy w postaci zmęczenia, bólu głowy i tak dalej występowały już w drugim tygodniu po kontakcie z minerałem.

Killashandra nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Po traumatycznej instalacji czarnych kryształów u Trundomoux, misji, której nic nie było w stanie wywabić z jej pamięci, oraz paru drobniejszych zadaniach specjalnych, na wspomnienie których jeszcze po latach ogarniało ją rozdrażnienie, propozycje Lanzeckiego budziły instynktowną nieufność.

- Za osiemdziesiąt możesz nas mieć do dyspozycji - oświadczyła nie podlegającym dyskusji tonem.

- Oraz... - Lars uniósł dłoń, sygnalizując, że wkracza do przetargu - pół procent zysków Cechu z ewentualnej sprzedaży kamienia.

- Co? - wybuchnął Lanzecki z taką mocą, że Lars aż zjechał z narożnika konsoli.

Killashandra odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, widząc, jak jej towarzysz winduje się z powrotem do pozycji siedzącej.

- Widzę, chłopcze, że szybko się uczysz!

- Czemu nie? - odparł Lars, nie spuszczaając przy tym oczu z twarzy Lanzeckiego. - Nadstawiamy karku dla Cechu i coś nam się chyba za to należy.

- Może się okazać, że kamień jest wyłącznie piękny - zauważył ostrożnie Lanzecki.

- To nici z udziałów.
- Może się okazać istotą rozumną - wtrąciła Killashandra.
- Zdecyduj się, po czyjej jesteś stronie - rozeźlił się Lars. Ale Lanzecki się uśmiechnął.
- Zgoda!

Zanim którekolwiek ze śpiewaków zdążyło zaprotestować, chwycił dłoń Killashandry i na zgodę uderzył nią o rejestrator papilarny. Następnie podsunął poduszkę rejestratora uśmiechającemu się głupawo Larsowi, który odegrał palcami cały spektakl, zanim zgodził się przyłożyć dłoń.

- Można było więcej wytargować - stwierdziła z niezadowoleniem Killashandra.

Wargi Larsa rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Targowanie się było zwykle domeną Killashandry, która całkiem nieźle sobie z tym radziła. On sam był dosyć zadowolony ze swojego wystąpienia z żądaniem odsetek; nie postawił zbyt wysokich wymagań, żeby Lanzecki z miejsca nie odrzucił jego propozycji, jeśli jednak minerał okaże się użyteczny, może się zdarzyć, że już nigdy nie będą musieli śpiewać kryształu. Najwyżej po to, żeby zregenerować sytnbionta. Cokolwiek by mówić, osiemdziesiąt tysięcy i udział w dochodach zaspokajały jego ambicję i zachłanność.

- W jaki sposób dostaniemy się na planetę, skoro nie mogą na niej przebywać nie zmutowani? - spytała Killa-shandra.

- Wyznaczono do tego zadania statek rozumny.
- Czy może naszych starych przyjaciół, Samela i Chadrię? - zaciekał się Lars.

Imiona z czymś się Killashandrze kojarzyły, nic więcej nie mogła sobie jednak przypomnieć. Wzrok Lanzeckiego wyrażał bezbrzeżną cierpliwość.

- Nie, nie ich - odpowiedział Larsowi.

Skrzywiła się. Zachowanie Lanzeckiego wyraźnie wskazywało, że tamtych dwojga nie było już pośród żywych. Przez mgnienie oka zastanawiała się, kiedy mogli odejść. Średnia życia statków rozumnych wynosiła kilkaset lat. Czy to możliwe, żeby śpiewała kryształ od tak dawna?

- Mieli dosyć niecodzienny wypadek - dorzucił Lanzecki i Killashandra rozluźniła się. - Zawiadomię agencję, że przyjęliście kontrakt.

- Mam rozumieć, że kamień nie został poddany żadnym testom ani próbom oceniającym jego oddziaływanie na człowieka? Nawet przez Traga? - upewniał się Lars.

- Trag sądził, że kamień jest obdarzony inteligencją.
- Naprawdę? - zdumiała się Killashandra. - To znaczy, że jest.

- Radziłbym ci traktować to wyłącznie jako hipotezę, Killashandro Ree - ostrzegł Lanzecki, surowo grożąc jej palcem.

- To się jeszcze okaże! - Zadanie zaczynało jej się podobać. Jeśli gruboskórny, konserwatywny Trag coś poczuł, to ona z Larsem mogli liczyć na pewny sukces. - Wysuwano już hipotezy na temat inteligencji krzemu.

- Może uda się nam go nakłonić do skrucy za zabicie załogi? - zasugerował Lars z sarkazmem, splatając ręce na piersi.

- Kryształ jakoś nikogo jeszcze nie przeprosił - prychnęła Killashandra.

- Kryształ przynajmniej śpiewa - zripostował pogodnie Lars. Lanzecki podał Larsowi czek i niewielką kasętę z taśmą. - To jest wszystko, co mamy na temat podobnych spostrzeżeń badaczy pod adresem krzemu.

- Kiedy ruszamy?

- Wasz pojazd, BB-1066... - Uniósł dłoń, nie dając Killashandrze dojść do słowa. - Brendan i Boira. Brendan zdecydował się na tę podróż, bo Boira jest na urlopie zdrowotnym.

- Faktycznie, statek B&B - stwierdził Lars bez entuzjazmu.

- Domyślam się, że spodziewacie się, iż polecimy natychmiast? - gniewnie zauważyła Killashandra. Lanzecki skinął głową.

- Brendan czeka na was z utęsknieniem.
- Dopiero przyjechaliśmy - zaprotestowała Killashandra.
- Z wakacji - zwrócił jej uwagę Lanzecki.

- Z wakacji? - powtórzyła, a widząc kątem oka, że Lars sztywnieje na rogu konsoli, dodała z hardym uśmiechem - Cóż, można to tak nazwać, niemniej chciałabym mieć trochę czasu, żeby splukać ze skóry sól i usunąć resztki kryształu z krwi.

- Wanna... dwuosobowa - uzupełnił Lanzecki z łobuzerskim uśmiechem - po brzegi wypełniona płynem opalizującym, czeka na was na pokładzie 1066. Osiemdziesiąt dodatkowych tysięcy to chyba wystarczający powód do natychmiastowego odlotu. Wszyscy wasi znajomi, z wyjątkiem Presnola, znajdują się w tej chwili w Paśmie.

Killashandra zmarszczyła nos na znak dezaprobaty wobec tak jawnej manipulacji.

- Gdybyście byli na tyle uprzejmi, żeby utrzymywać z nami łączność, mielibyście więcej czasu - mruknął z sarkazmem Lanzecki.

- Idziemy, Killa. - Lars zeskoczył z konsoli i objął Killashandrę ramieniem.

- Domyślałam się, że nasze sanie jeszcze nie zostały wyremontowane? - spytała kwaśno.

- Zostały. - Lanzecki chłodno odnosił się do wszelkich uwag sugerujących niekompetencję Cechu. - Dzięki temu zarobicie więcej...

- Cech też na nas zarobi, specjalnie się nie wysilając -zauważyła Killa.

- Nie mówiąc o tym, że nikt nie spisze się od nas lepiej na tej majówce - dorzucił Lars.

- To prawda - nieoczekiwanie ustąpił Cechmistrz. - Ale tym razem -jego palec celował teraz w Larsa - żądam pełnej rejestracji z wprowadzeniem danych do obwodów pamięciowych Brendana od momentu, gdy postawicie nogę na Opalu.

- Tym razem - oświadczyła Killashandra, uśmiechając się słodko - żądaniom twoim stanie się zadość. Pozwolisz tylko, że pozbedziemy się tych kłopotów i weźmiemy parę osobistych rzeczy z naszych kwater.

- Brendan zaopatrzył się w wasze ulubione produkty, a statki B&B są aż nadto dobrze wyposażone we wszystkie artykuły niezbędne w podróży. Macie udać się do Shan-ganagh. I to już. Wahadłowiec czeka.

Killashandra bez słowa rozsypała swój worek żeglarski i cisnęła w stronę Lanzeckiego, który zgrabnie chwycił go w locie. Lars po prostu zsunął swój z ramienia.

- Same brudy - poinformował. Lanzecki skinął głową.

- Jazda! - pożegnał ich szorstko. Był to tyleż rozkaz, co burkliwie wypowiedziane pożegnanie.

Wyszli z gabinetu Lanzeckiego. Lars, bardziej skłonny do dyplomacji od swojej towarzyszki, skinął powściągliwie głową Bollamowi, ale ten tylko obrzucił go obojętnym spojrzeniem.

- Trag z pewnością by się uśmiechnął -mruknął Lars do ucha Killashandry, kiedy drzwi zasuwwały się za nimi.

- Wcale mi się nie podoba, że ten cherlak jeździ w Pasma z Lanzeckim - burknęła, krzywiąc się.

Lars mruknął coś pocieszająco. Sytuacja Cechmistrza była nie do pozazdroszczenia - żeby utrzymać się na swym stanowisku, musiał minimalizować ubytki pamięci, z drugiej strony jednak odnawiać co pewien czas kontakt z kryształem, by wygenerować symbionta. Praktycznie był więc więźniem Ballybranu.

Kiedy wsiedli do windy i wcisnęli przycisk poziomu płyty startowej, mars na czołe Killashandry pogłębił się. Lanzecki nie był idiotą, więc ten cały Bollam musiał być albo przyzwoitszym, inteligentniejszym gościem, albo lepszym fachowcem, niż na to wyglądał. A jednak nie mogła pozbyć się niepokoju. Lanzecki miał nieszczęście należeć do kategorii śpiewaków, którzy dawali się do tego stopnia oczarować pieśnią kryształu, iż mogli stać się jego niewolnikami. Dla takich jak on posiadanie partnera było kwestią życia i śmierci; nie mogli śpiewać kryształu samotnie, bo ryzykowali, że nie powrócą z Pasma. Antona mówiła kiedyś Killashandrze, że nieczęsta skłonność do popadania w taką zależność dotyka przede wszystkim osoby, które przeszły Przeskok Milekeya, najłagodniejszą postać adaptacji do ballybrańskiego symbionta.

Lanzecki wypadł po kryształ opóźniał zawsze jak mógł, nawet gdy towarzyszył mu Trag, który był gwarantem, że dotrą bezpiecznie do bazy. Bywało, że - jak przed laty z Killashandrą - wiązał się na jakiś czas z kimś, czyje ciało pulsowało muzyką kryształu. Tego rodzaju kontakt był dla niego odżywczym substytutem osłabiającym łaknienie prawdziwego kryształu. Killashandrą miała jeszcze w pamięci rozmowę z Tragem, w której bez ogródek dał jej do zrozumienia, że ma zniknąć z planety, bo Lanzecki musi udać się wreszcie w Pasma i porządnie zregenerować symbionta. Czy Bollam będzie równie lojalny wobec Cechmistrza?

Drzwi windy rozsunęły się. Wyszli na korytarz, na którego ścianach umieszczono jaskrawe paski świetlne. Mrugające pomarańczowe światło wskazało im drogę na oczekujący prom.

Pilot ponaglił ich gestem, kiedy jednak wymijali go przy włączu, zatkał nos i popatrzył na nich wrogo.

- Cuchniecie jak diabli. Gdzieście się podziewali? - spytał.

- Było się tu i ówdzie - uśmiechnął się Lars.

- Gdyby nie to, że otrzymałem rozkaz...

- Cóż, wszyscy otrzymaliśmy rozkazy - oznajmiła Killashandrą, zajmując miejsce na tylnym siedzeniu dość przestronnego wahadłowca. - Im szybciej dowieziesz nas na Shanganagh, tym szybciej pozbedziesz się naszego smrodu.

- Nie mogę się doczekać tej chwili - oświadczył pilot zgryźliwie, zerknął, czy pozapinali pasy, i zatrzaskał drzwi do swojej kabiny.

- Upchniemy mu tu gdzieś nasze stare skarpety? - zaproponował Lars, robiąc oko do Killashandry.

Od słów zapewne przesłizby do czynów, gdyby nie to, że pilot wziął sobie do serca ich sugestię i poderwał prom do lotu niemal pionowo. Killashandrą nie przeżyła dotąd czegoś podobnego. Straszliwa siła wcisnęła ich oboje w miękkie siedzenia. Killashandrą gotowa byłaby przysiąc, że giętkie tworzywo pod nimi jest twarde jak kamień. Nie przypominała sobie, żeby któraś jej podróż trwała równie krótko.

Zaledwie wahadłowiec dotknął księżycowego lądowiska Shanganagh, drzwi otworzyły się z impetem, który można było odczytać wyłącznie jako zaproszenie do natychmiastowego opuszczenia kabiny.

- B&B znajduje się o poziom wyżej, dok osiemdziesiąt siedem - rozległ się z interkomu głos pilota.

- Widzę, że jesteś bardzo uprzejmą osobą, nauczoną, aby obowiązki zawsze stawiać na pierwszym miejscu -zakpił Lars.

- Że co? - dogonił ich zdumiony głos pilota, kiedy ruszyli w dół tunelem służby.

- Musieli obniżyć poprzeczkę w rekrutami - stwierdziła Killashandra. - Ja pierwsza biorę kąpiel.
- Lanzecki twierdzi, że wanna jest dwuosobowa - przypomniał jej Lars.

Przy końcu tunelu po kolei przyłożyli dłonie do płytki identyfikacyjnej. Brzegi wlotu zaczęły się rozsuwać. Wyszli na korytarz.

Po drodze nie spotkali nikogo, co było dosyć zaskakujące na Shanganagh, pełniącym rolę ważnego węzła przesiadkowego oraz centrum, w którym Cech testował nowych kandydatów. Shanganagh zaopatrywał również statki wszelkiego kalibru i zapewniał im obsługę techniczną.

- Może ten zrzedliwy pilot ostrzegł ich przed nami i okadzono korytarze? - zasugerował Lars.

Killashandra prychnęła niechętnie i wydłużyła krok.

- Wiem tylko tyle, że z rozkoszą zanurzę się w kąpeli.

- Ja wchodzę po tobie... - zaczął Lars, w tym momencie jednak nad dokiem osiemdziesiątym siódmym zamrugało pomarańczowe światło.

- Uprzedził B&B o naszym przylocie!

- Wchodzę po tobie...

- Dobrze, ale najpierw musimy przywitać się z Brendanem - zmitygowała go Killa.

Spśród niezliczonych odmian gatunku ludzkiego, zmodyfikowanych i nie zmodyfikowanych, największym, graniczącym z czcią szacunkiem darzyła pancernych. Było coś porażającego w świadomości, że ludzka istota, zapieczętowana w tytanowym rdzeniu, zawiadywała wszystkimi jego czynnościami, zjednoczona ze statkiem w stopniu niedostępnym dla zwyczajnego pilota. Kombinacja pancernych z poruszającymi się swobodnie partnerami, do których przylgnęła nazwa „fizycznych”, sprawiała, że statki B&B należały do elity kosmicznych krążowników. Lot z Brendanem to był prawdziwy zaszczyt.

- Naturalnie - mruknął Lars.

Kiedy weszli do śluzy, za ich plecami opadła przegroda.

- Proszę o zezwolenie wejścia na pokład...

- Moi drodzy, dajmy spokój wstępnym formalnościom. Jestem przecież sam - oświadczył przyjaźnie dźwięczny baryton. - Czy nigdy nie włączacie komunikatora? Siedzę na tym księżycu tyle czasu, że zdążyłem porosnąć pajęczyną.

- Wybacz, Brendan - zwrócił się Lars, składając z szacunkiem ukłon w stronę tytanowego stosu, który krył w sobie opancerzone ciało Brendana. Killashandra skłoniła się również.

- Cudownie! Tenor! - uradował się Brendan.

- W dodatku potrafi śpiewać! - dodała Killashandra.

Śpiewanie kryształu wymagało słuchu absolutnego, któremu nie zawsze towarzyszył dobry głos i prawdziwa muzykalność.

- Kto wobec tego wchodzi drugi do wanny? - zainteresował się Brendan.

- Gdzie łazienka? - spytali chórem.

- Kiedy ruszamy w drogę? - dodał Lars, zdzierając sztywną od soli garderobę. O mały włos nie upadł, wyskakując pośpiesznie ze ślipek, żeby dogonić Killashandrę, której strój był jeszcze bardziej skąpy niż jego.

- Jesteśmy w drodze! - Brendan zatrzęsł się ze śmiechu. - Nie lubię marnować czasu.

Roześmiał się ponownie, kiedy Killashandra łokciem strąciła Larsa z drabinki, ten jednak podciągnął się na rękach i wskoczył do wanny, nurkując jednocześnie z nią w lepkiej substancji. Jednocześnie wydał pełne ulgi westchnienie. W chwilę później wsunęli ręce w uchwyty zabezpieczające przed przeciążeniem startu.

- Jesteś pewien, że wystartowaliśmy? - spytała Killashandra po skomplikowanym dopinaniu uchwytów chroniących przed wstrząsem, który wciąż nie nadchodził.

- Absolutnie. - Nagle ekran w narożniku małej kabiny rozświetlił się, ukazując Shanganagh i Ballybran, które oddalały się w zawrotnym tempie. - Za moment przechodzę na inny napęd. Myślę, że zanurzenie w płynie opalizującym powinno zredukować przykre doznania, jakie wam, mięczakom, często zdarzają się przy okazji skoku.

- Nigdy o tym nie pomyślałem - przyznał Lars.

- No to już - zakomenderował Brendan i nagle świat zawirował przed oczami obojga śpiewaków.

Killashandra zacisnęła powieki, starając się nie oglądać rozpadu i ponownego zestalania się przestrzeni, kiedy spienioną falą - Lars lubił morskie porównania - przelatowali przez długi lej „miedzyprzestrzeni”, łączący ze sobą punkty w przestrzeni względnej. Płyn opalizujący faktycznie osłabiał nudności wywołane uczuciem zderzania z samym sobą i wirowania przy jednoczesnym braku punktu odniesienia, który pozwalałby określić własną pozycję w przestrzeni. W końcu było po wszystkim.

- Płyn troszkę pomógł? - dopytywał się Brendan troskliwie.

- Chyba tak - ze zdziwieniem skonstatował Lars. - A tobie, Killa?

- Hmmmm! Ile jeszcze czeka nas skoków przed lądowaniem na Opalu?

- Jeszcze tylko dwa. Jęknęła.

- Może będzie coś przekąsili? - zaproponował Brendan. - Wziąłem pełen zestaw waszych ulubionych produktów.

- A piwo yarrańskie? - spytała z niecierpliwą nadzieją.  
- Jakże bym mógł o nim zapomnieć! - zarechotał Brendan.  
- Nie mógłbyś, jeżeli jesteś takim supermózgiem, za jaki uchodzisz - stwierdził Lars. Wyswobodził ręce z uchwytów i po drabince zaczął wspinać się na brzeg zbiornika. - Masz na coś jeszcze ochotę, Killa? - spytał schodząc.

To, na co miała jeszcze ochotę, wymagało z jego strony dwóch kursów, w końcu jednak Killashandra poczuła się usatysfakcjonowana. Brendan zaopatrzył ich nawet w pływające tace, które pozwalały biesiadować w kąpielni.

- Ta podróż będzie naprawdę luksusowa - mruknęła do Larsa półgłosem, mimo to Brendan podchwycił jej słowa.

- Robię, co do mnie należy - oświadczył.

- Jak by to powiedzieć, Brendan... - zaczęła, ale przerwał jej znaczący śmieszek.

- Powiedźcie mi po prostu, kiedy będziecie mieli mnie dość, to wyłączę system audio - obiecał.

- Naprawdę? - spytała Killashandra, starając się zatuszować nutę sceptycyzmu.

- Cóż, jeśli sam się nie wyłączę, Boira rzuci się do pulpitu sterowniczego i wyłączy mnie. Ta dziewczyna wysoko ceni swoją prywatność...

- Jak się miewa? - zagadnął Lars.

- W porządku. Wraca do zdrowia. Kąpiący się wymienili niepewne spojrzenia.

- Powiesz coś więcej, czy wolałbyś o tym nie rozmawiać? Zapadło długie milczenie.

- Nie chciałbym jej oskarżać o głupotę czy nieostrożność... po prostu miała strasznego pecha - oświadczył Brendan głosem tak bezbarwnym, że tylko głuchy by nie odgadł, jak bardzo niepokoi go stan partnerki. - Udało mi się ją dowieźć na czas w miejsce, gdzie otrzymała właściwą opiekę medyczną. Nic poza tym nie mogłem dla niej zrobić.

- Była dobrą partnerką? - dopytywała się delikatnie Killashandra.

- Jedną z najlepszych, jakie miałem w życiu. - Powiedział to głosem znacznie bardziej piskliwym, ale nie na tyle, by nabrał brzmienia fałsetu. - O te najlepsze człowiek dba jak może.

- Nawet jeżeli nie może nic więcej? - ni to spytała, ni to stwierdziła Killashandra.

- Nawet. Czy teraz was zostawić, żebyście mogli oddawać się rozkoszom kąpielni?

Lars z Killashandra ponownie wymienili spojrzenia. Ziewnięcie Larsa bynajmniej nie było sfingowane.

- Chyba prześpię się trochę w kąpielni - oświadczył. - Czy byłbyś łaskaw obserwować zbiornik, na wypadek, gdybyśmy poszli na dno.

- Naturalnie - odparł Brendan głosem, który wskazywał, że śpiewacy utrafili we właściwy ton.

- Mogłabym chyba przespać parę tygodni... - oświadczyła Killashandra.

- I obudzić się pomarszczona jak suszona śliwka - uzupełnił kąśliwie Lars.

- Nie dopuszczę do podobnej profanacji twojej nieskazitelnej powłoki cielesnej, Killashandro Ree - zapowiedział Brendan uwodzicielskim tonem.

- Chwileczkę, Bren... - Lars ziewnął - ...dan. Ona należy do mnie, lubieżny barytonie.

Chichot Brendana rezonował dziwnie, odbity od sztucznej przepony.

- Wyśpij się dobrze, Larsie Dahl W półśnie nie jesteś dla mnie godnym przeciwnikiem.

Killashandra ziewnęła również, mocniej wciskając ramiona w uchwyty i opierając głowę o miękki brzeg zbiornika. Nie zdążyła się zorientować, kto zasnął pierwszy.

## Rozdział II

- Dziurawa jak ser - oświadczył zde gustowany Lars. Killashandra milczała. Wołała nie wyrażać swojej opinii ani o planecie Opal, ani o Lanzeckim, który sprytnie wyzyskał ich chciwość i potrzebę opuszczenia Ballybranu. Przed wybuchem powstrzymywała ją jedynie myśl o osiemdziesięciu tysiącach.

No, może nie tylko. Nie chciała również stracić szacunku w oczach Brendana, który okazał się prawdziwie nieocenionym towarzyszem. Nie dość, że śpiewał miłym barytonem, to jeszcze miał zawrotny repertuar, obejmujący w równym stopniu sprośne przyspiewki co nabożne hymny i liryczne ballady. Nie był aż tak wielkim miłośnikiem opery jak Killashandra, znał jednak liczne operetki komiczne, musicale, chwytliwe melodyjki, popularne rytmy i piosenki sentymentalne, wreszcie przeboje każdej dekady od czasów, gdy zaczęto nagrywać muzykę na taśmę. Do tego miał imponujący zbiór utworów muzyki katolickiej.

- Rozumiecie, Boira jest mezzosopranem, a ponieważ ja dysponuję tylko jednym głosem...

- A śpiewający statek, ta... jak jej tam...

- Helva? Dalej gdzieś lata, nikt jednak nie wie gdzie. Wyznaczono nagrodę za wskazanie jej namiarów, ale wyłącznie błagierzy potrafią o niej coś opowiedzieć - zaśmiał się.

- Czy to prawda, że potrafiła śpiewać każdym głosem?

- Tak chce legenda - odparł Brendan z rozbawieniem. - To zresztą możliwe. Ja też mógłbym wprowadzić podobne modyfikacje do mojej przepony i aparatu głosowego, daleko mi jednak do 834. Poza tym Boirze odpowiada, że jestem barytonem.

- Argument nie do zbitcia - podsumowała Killashandra, uśmiechając się do Larsa. Teraz jednak orbitowali wokół Opalu i kwestie muzyczne zeszły na dalszy plan.

Ospowate ciało niebieskie właściwie nie było planetą, tylko jednym z tuzina księżyców, oplatających słońce układu siecią ekscentrycznych orbit. Opal nie posiadał atmosfery, a jego grawitacja równała się zaledwie siedmiu dziesiątym standardowego ciężenia. Główna planeta nadal zaskakiwała nieoczekiwanymi zmianami widma, wybuchami w koronie i gwałtownymi wiatrami słonecznymi, które ogromnie niepokoiły jej satelitów. Dowództwo wyprawy doszło do wniosku, że w tej sytuacji można liczyć na występowanie rzadkich, poszukiwanych metali odkrytych w artefaktach zamierzchłych obcych cywilizacji. Metale, z których część nie była przyjazna ludzkiej skórze i nadawała się wyłącznie do zdalnej obróbki, oddały wspaniałe usługi w nowoczesnej metalurgii, inżynierii i elektronice. Od chwili ich odkrycia nie ustawano w gorliwych poszukiwaniach, stąd obecność ekip badawczych w układzie Opala.

Dziennik pokładowy informował, że nieżyjąca ekspedycja na jednym z zewnętrznych satelitów 2937 w gwiazdozbiornie Libry natknęła się na interesujący gatunek żużlu, którego próbki w dalszym ciągu były obiektem analiz, na podstawie skąpego materiału badawczego dążących do ustalenia jego ewentualnej wartości użytkowej.

- Gdzie lądowała ekspedycja geologiczna? - zwrócił się do Brendana Lars.

- Zgodnie z dokumentacją... dokładnie pod nami.

Przybliżył obraz na głównym ekranie i zgnęła, fosforyzująca zieleń, którą ekspedycje badawcze znaczyły miejsca kolejnych lądowań, wystąpiła z całą wyrazistością.

Śpiewacy spojrzeli teraz na jeden z bocznych ekranów, na których Brendan wyświetlił zbliżenie miejsca lądowania ekspedycji.

- To co, lądujemy? - spytał statek bez entuzjazmu.

- Raz kozie śmierć - zdecydował Lars.

- Zdążymy jeszcze coś przekąsić - ożywiła się Killashandra. Właśnie skończyła jeść, ale już dokuczał jej wściekły głód.

- Znowu? - osłupiał Lars. - Od wejścia na pokład jemy bez przerwy.

- To się nazywa: śpiewać za łyżkę stawy - pocieszył ich Brendan. - Domyślam się, że wasza planeta weszła w kolejne Przejście?

- Chyba tak - przyznała Killashandra. - Przestajemy wtedy panować nad apetytem.

- Cóż, mamy wszystkiego w bród - uspokoił ją Brendan.

- Taaaak, ale będziemy musieli stąd wyjść. Pokarm w skafandrach jest dosyć beznadziejny - stwierdziła kwaśno.

- Moglibyśmy pracować na zmianę - zaproponował Lars, wyrwawszy się z zadumy nad nieokiełznanym apetytem jaki zdradzał symbiont podczas Przejścia. Maniakalna żarłoczność nie słabła w miarę oddalania się od Ballybranu, gdyż cykl symbionta zawsze pozostawał wierny macierzystej planecie. - Jedno z nas by jadło, a drugie prowadziło rekonesans.

- Nic z tych rzeczy! - stanowczo zaproponował Brendan. - Nie wolno się wam rozłączać. Jak długo jesteście w stanie wytrzymać między kolejnymi przekąskami?

- Przekąskami? - zaśmiała się Killashandra. - Ty chyba nigdy nie widziałeś, jak śpiewacy jedzą.

- Dostarczę wam posiłki do śluzu, żebyście nie musieli wyskakiwać ze skafandrów. Powiedzcie tylko ile.

- To jest myśl! - rozpromieniła się Killashandra.

- Możemy spróbować - oświadczył Lars. - A teraz zsynchronizujmy harmonogram prac badawczych z

harmonogramem posiłków.

- Co wy na to, żebyśmy wysadził was przy największym z tych łuków? O, tu - zaproponował Brendan, wyświetlając najbardziej wyraźną z płynnych wręg. - Co prawda lądowali gdzieś indziej, ale tu jest ten najciekawszy okaz. Jestem bardziej zwinny niż „Toronto”, więc możemy skakać od dziury do dziury... a wy w tym czasie będziecie jeść.

- Tak, ale jest jeszcze kwestia snu - spochmurniała Killashandra.

- To znaczy? - zaniepokoił się Brendan.

- Napychamy się jak niedźwiedzie i na czas Przejścia zapadamy w sen.

- Symbiont zmusza nas do snu podczas koniunkcji trzech ballybrańskich księżyców - wyjaśnił Lars.

- Jak długo musicie spać?

- Jakiś tydzień. Dlatego trzeba się solidnie najeść.

- Po to, żeby przez tydzień spać?

- Nie ja to wymyśliłem - wzruszył ramionami Lars, posyłając łobuzerski uśmiech w stronę tytanowego rdzenia.

- Po wstaniu znów ruszacie do stołu? - dopytywał się Brendan troskliwie.

- Tuż przed zaśnięciem mdli nas na widok jedzenia. Po tym poznajemy, że powinniśmy się już gdzieś wyciągnąć.

- Coś takiego. - Brendan nie wydawał się zbyt poruszony. - No cóż, nie takie rzeczy się widziało.

- Szalenie pocieszające - stwierdziła kwaśno Killashandra.

- Pocieszam tak, jak umiem. A teraz lepiej zapnijcie pasy.

Na głównym ekranie pojawił się obraz zbliżającej się gwałtownie ospowatej powierzchni księżyca. Czym prędzej zastosowali się do poleceń. Brendan, nierozzerwalnie związany, tożsamy ze statkiem, był wyśmienitym pilotem. Za lądowanie na sicie, eufemistycznie zwanym powierzchnią Opalu, zebrał oklaski śpiewaków, którzy następnie rzucili się na gigantyczny posiłek, złożony z ich ulubionych potraw, podanych w ilościach, od których pod normalnym człowiekiem ugięłyby się nogi.

- Wsuwacie, że aż miło...

- Mmmmmmm...

Byli zbyt zajęci jedzeniem, by udzielić bardziej skomplikowanej odpowiedzi.

Najedli się wreszcie i pojękując z cicha zaczęli wkładać na siebie skafandry próżniowe. Killashandra przez chwilę marzyła o tym, by skafandrów nie dopasowywano tak dokładnie. A jednak - idealnie sprawdzały się w warunkach pozaatmosferycznych. Obcisła powłoka była jak druga, praktycznie niezniszczalna skóra. Ubiór, wyposażony w miniaturowe, cyfrowe pulpity sterownicze, miał maksymalnie niekrępujące urządzenia sanitarne. Kask gwarantował pełną widoczność i całkowitą ruchomość głowy; przewody doprowadzające pokarm i napoje dogodnie umieszczono pod brodą. Zbiornik z tlenem zgrabnie przylegał do pleców, pełniąc zarazem funkcję pancerza ochronnego. Reflektory na kasku, przy pulpicie i na rękach miały całkiem okazały zasięg. Skafander wyposażony był poza tym w liczne narzędzia przytroczone do pasa i wetknięte w kieszenie na biodrach i na nogawkach.

- Napeliłem pakiety żywnościowe dosyć smaczną proteiną i dodałem trochę słodczy, które pomogą uciszyć głód - podjął Brendan.

- Niezależnie od tego, co nam dasz, i tak wrócimy po dokładkę - oświadczył Lars, wkraczając z Killashandrą do służby powietrznej. - Możesz nas już wypuścić, Bren.

Oboje studiowali dziennik pokładowy „Toronto”, orientowali się więc, że po wyjściu ze służby powinni od razu skrócić w lewo.

- Hmm - pochwaliła Killashandrą, oświetlając fosforyzującą linię prowadzącą przez podziurawiony teren. - Ładnie, że o nas pomyśleli.

- Miel nadzieję sami wrócić - sprostował cicho Lars.

- Widzę oznakowania - podsunął Brendan, delikatnie sugerując, że pora rozpocząć bardziej dokładną relację.

- W imię przyszłych pokoleń - zaczęła Killashandrą.

Śladem linii zaczęli schodzić po stopniach wyrąbanych w skałę przez poprzedników, którzy pamiętali nawet o tym, żeby kolorowymi sprayem natrysnąć ostrzegawczo niski wlot do jaskini. Zgarbieni, wąskim przesmykiem ruszyli w stronę większej komory.

- Tam coś błyszczy. - Lars zgasił swoje reflektory. -Widzę błękitną poświatę. - Gestem polecił Killashandrze, żeby zgasiła też swoje latarki.

Poświata z groty nie była dostatecznie jasna, żeby oświetlić przesmyk, wystarczająca natomiast, by wskazywać drogę. Weszli do groty i oniemieli. Z sufitu lała się skrząca kaskada, ale żadna iskra nie odrywała się od podłoża. Substancja opasująca wstęgą sklepienie jaskini zdawała się płynąć, mieniąc odcieniami srebra, granatu i ciemnej zieleni.

- Mnie tam nie ma - upomniał ich uprzejmie Brendan.

Lars włączył reflektor przy kasku. Poświata zanikła. Wszędzie tam, gdzie padł choćby promień, twór

matowiał, pokrywając się pasemkami czerni, granatu i ciemnej zieleni. Jak skrzepy tamujące upływ krwi - przemknęło przez myśl Killashandrze. Czyżby światło na mrocznej planecie było szkodliwe? Była ciekawa, czy światło słoneczne, z braku atmosfery nie okrojone z podczerwieni i nadfioletu, dotarło kiedykolwiek do klejnotu w jaskini? W oczach Killashandry twór niewątpliwie okazał się klejnotem, smugą drogocennych kamieni, jak naszyjnik przerzuconą w poprzek sklepienia groty. Naszyjnik, a może... diadem?

- Dawno nie oglądałam czegoś równie pięknego, a widywałam w życiu nie byle jakie kryształy - mruknęła pod nosem. Na chwilę pogrążyła się w chmurnej zadumie. - Mam dziwne przeczucie, że Trag się nie mylił - zwróciła się do Brendana. - To coś żyje. Trudno orzec, czy zalicza się do istot rozumnych... w każdym razie zdecydowanie jest organizmem żywym.

- Zgadza się - cicho poparł ją Lars, ruszając na rekonesans komory.

Killashandra w dalszym ciągu studiowała skrzącą się kaskadę.

- Przez te cztery czy pięć lat to coś urosło. W tej chwili obręcz po obu stronach sięga podstawy - relacjonowała.

- Wygląda nawet, że schodzi do następnej jaskini, o ile coś takiego jest pod nami - dorzucił Lars przyklękając i wążutkim jak ołówek strumieniem światła z reflektora na wskazującym palcu wskazywał miejsce, w którym opalizująca substancja zdawała się wsączać w podłoże.

Minerał pociemniał i skurczył się nieznacznie, jakby cofał się przed blaskiem.

- Na poziom kuchenno-techniczny - wyrecytowała Killashandra matowym głosem, jakim przemawiały automatyczne windy. Próbowała rozproszyć podniosły nastrój, w jaki wprawiała ją grot. - Zostaw! - krzyknęła w nagłej trwodze, widząc, że Lars wyciąga rękę w stronę wąskiej, opalizującej macki? jęzora? członka? fasety? Skalnego Klejnotu.

Odwrócił kask w jej stronę.

- Nie przesadzajmy. Jeżeli mój symbiont jest czynny, to mnie ochroni. Zresztą, mam skafander... - Błysnął białymi zębami w uśmiechu.

- Użyj ekstendera - polecił Brendan zdecydowanie rozkazującym tonem. - Tworzywo skafandra gwarantuje ochronę jedynie przed znanymi zagrożeniami.

- Dobrze mówi - poparła go Killashandra.

Wzruszając ramionami, Lars odczepił od pasa ekstender. Delikatnie musnął opalizującą powierzchnię. Nic. Dźgnął nieznacznie.

- Rany! - Cofnął błyskawicznie rękę.

- Relacjonuj - upomniała go Killashandra.

- No cóż, cieszę się, Bren, że mnie w porę powstrzymałeś - oświadczył, przyglądając się urządzeniu.

Wyciągnął instrument w stronę Killashandry, która językiem przestawiła wizjer w hełmie na powiększenie. Zniekształcony koniec ekstendera był wyraźnie stopiony.

- Substancja, oprócz tego, że jest rozgrzana, ustępuje pod wpływem dotyku - informował Lars.

- Czy jest sprężysta? - zaciekawił się Brendan.

- Czy tylko plastyczna, pochłaniająca obce ciała? - dopytywała Killashandra. — A może to jest półpłynne jak rękę albo to dziwne coś, co odkryto na Tetydzie Pięć?

- Jak dotąd, poza stwierdzeniem, że ta, ehmm... - Brendan zawahał się - półpłynna substancja rozpięła w grocie pełen łuk, nie postąpiliśmy ani kroku dalej niż geolodzy- Oni również stopili parę instrumentów, usiłując zbadać jej konsystencję.

- Wiem - przyznał Lars - ale lubię osobiście wyciągać wnioski. - Przejechał kilkakrotnie rękawicą nad naciekiem, uważając, żeby nie zawadzić o powierzchnię. - Odnotowałeś skok temperatury, Bren?

- Żadnego. Również twoje czujniki osobiste nic nie wykazują - odpowiedział statek lekko urażonym tonem.

- Jakies przemieszczenia?

- Też żadnych.

- Czy mógłbyś nas poinformować, czy stoimy na litym podłożu? - włączyła się Killashandra.

- Stoicie w tej chwili nad skrzyżowaniem wlotów do trzech jaskiń znajdujących się jakieś dwa metry pod wami. Dwie są spore, trzecia niewielka, niecałe pół metra szerokości i wysokości. Moje odczyty potwierdzają opinię ekspedycji, że satelita, najprawdopodobniej po samo płynne jądro, podziurawiony jest nieregularnymi jaskiniami, ciągnącymi się w równie nieregularnych pokładach.

- Czy mógłbyś wyskanować wszystkie miejsca, które nie uniosą człowieka? - Killashandrze nie uśmiechała się myśl, że leci w otchłań stygnącego popiołu.

- Robi się - brzmiała odpowiedź statku.

Dopiero teraz zauważyła, że cały czas wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze z płuc. Pusty żołądek natychmiast skorzystał z okazji, żeby dać znać o sobie, więc stąpając pewnym krokiem po grocie, zaczęła wysysać pokarm ze zbiorniczka w skafandrze. W paru miejscach, najostrożniej, jak się tylko dało, przytknęła rękawicę do ściany. Czujniki przy nadgarstkach zaledwie drgnęły. Temperatura wnętrza jaskini nie różniła się od temperatury na powierzchni satelity. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało, ale Killashandra nie umiała

powiedzieć co. Wzruszyła ramionami i z powrotem zajęła się ustnikiem zbiornika z żywnością.

- Całkiem niezły ten glop - pochwaliła Brendana.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że znowu jesz?

- Regularnie co godzinę - wyjaśnił Lars. Przykucnął nad miejscem, gdzie substancja zanurzała się w podłożu, i ostrożnie, żeby nie dotknąć stalaktytu, dłutem wystukał w skałę półokrąg. Odchrząknął. - Wyraźnie schodzi w głąb. Ciekawe, co tam jest. Czy da się zejść na niższy poziom, Bren?

- Chyba tak - padło ze statku. - Wygląda jak niezły labirynt, ale macie znaczniki w skafandrach, więc będę was widział i pomogę wam jakoś przebrnąć. Wyjdźcie tą samą drogą, którą weszliście...

Posłuszni wskazówkom Brendana, ruszyli w drogę, niezmiernie uciążliwą nawet dla osób, które niejednokrotnie doświadczyły perfidii ballybrańskich kryształów w Paśmie Milekeya.

- Cieszę się, że nie będziemy tutaj długo siedzieć - mruknęła Killashandra, zapalając wszystkie reflektorki. Teraz, po subtelnej poświacie jaskini, przesmyk robił wrażenie jeszcze ciemniejszego. W mrocznych pieczarach każda ilość światła wydawała się niewystarczająca, jakby skalne ściany połykały promienie reflektorów. - Masz, najedz się - burknęła niechętnie.

- Kto? Ja? A, mówisz o skałę - połapał się wreszcie Lars. - Faktycznie, sprawia wrażenie, jakby pochłaniała światło. A skoro już mowa o pochłanianiu...

- O, nie! Ty też? - obruszył się Brendan. - Raptem dwie godziny temu raczyłem was królewskim posiłkiem.

- Fakt.

- Nno.

- Myślę, że wytrzymamy jeszcze z godzinkę. - Lars mrugnął znacząco do Killashandry, ciekaw, czy Brendan pozna się na żarcie.

- Przy takim tempie będziemy tutaj tkwić miesiącami! - zezłościł się statek. - Idźcie teraz na ukos, na ukos mówię, tam jest dziura.

- Uff, rzeczywiście - sapnęła Killashandra, balansując na krawędzi. Światła reflektorów przy kasku i rękawicach ginęły w ciemnościach głębszych niż dotychczas. Przechyliła się w prawo i zobaczyła bezpieczny wlot do jaskini. - Dzięki, żeś się zdecydował nas uratować, Bren. Patrzcie tylko, coż my tutaj mamy? Kolejną jaskinię! - dowcipkowała. - Widzę, że nasz cudaczek-pelzaczek nie omieszkiał tu wetknąć swoich paluszków - ciągnęła, pstrykając na przemian kolejnymi reflektorami.

Lars obszedł ją dookoła i zbliżył się do połyskliwego stalaktytu, który zaczynał się właśnie wylaniać ze sklepienia jaskini. Lars skierował światło na podłogę, gdzie piętrzyła się sarta skalnych okruszków. Przykucnął i koniuszkiem młotka ostrożnie obstukał gruz. Kiedy skończył, obejrzał główkę młotka.

- Nic się nie stopiło. To wygląda na najzwyczajniejszy pył.

- Pobierz próbkę - przypomniała Killashandra.

- I próbkę skały - dorzucił Brendan.

- Zobaczcie - zwróciła ich uwagę Killashandra, świecąc na przeciwległą ścianę, na której również pojawił się naciek płynnego opalu. - Ile poziomów tego kompleksu jaskiń geolodzy zdążyli przebadać?

- W miejscu lądowania udało im się zejść kilkanaście kilometrów pod powierzchnię, tu nie dotarli tak głęboko, niemniej z dokumentacji wynika, że łuk minerału nie sięgał do podstawy. Nie ma też żadnych wzmianek o tym, że natknęli się na cokolwiek na niższych poziomach.

- Fantastyczne! - podnieciła się Killashandra. - Bren, w ilu miejscach zanotowano występowanie tego rodzaju zjawisk?

Psiakość, przeglądała raporty poprzedniego wieczoru, a już nie mogła sobie przypomnieć szczegółów.

- Podobną opalizację zanotowano w dziewięciu z dwudziestu trzech przebadanych stanowisk. Ponieważ poza tym nie napotkano nic godnego uwagi, ekspedycja zdecydowała się przerzucić do kolejnego układu na trasie, a wtedy właśnie...

- Tak, rzeczywiście, wtedy właśnie!

- Uważasz, że to może wyrastać z jądra planety, a nie wrastać w nią? - rozmyślał głośno Lars.

- O ile to pochodzi z Opalu - zauważył Brendan. Lars i Killashandra zamilkli na chwilę, rozważając znaczenie jego słów.

- Rzeczywiście, jeśli nie pochodzi z tego systemu, to by wyjaśniało, dlaczego stalaktyt rozrasta się od góry w dół - przyznał Lars.

- Można jakoś sprawdzić, czy to coś przybyło z zewnątrz? - zaciekawiała się Killashandra.

- O ile uda ci się skombinować próbkę, która pozwoli się zbadać - odpowiedział ironicznie statek.

- Może powinniśmy go przekonać, że nie mamy wrogich zamiarów - zaproponowała Killashandra słabym głosem. Słabym z głodu - uznała. Pociągnęła solidnie z rurki. Papka była o wiele za słodka, niemniej głód odrobinę zelżał. - Przybysz z kosmosu? Hmm, ciekawe, skąd się mógł wziąć.

- „Więcej jest rzeczy na ziemi i niebie, Horacio...” - zacytował Brendan komicznie grobowym głosem.

- Bzdury, Bren. Naukowo da się wyjaśnić wszystko - ostro zaoponowała Killashandra.

Na myśl, że coś takiego jak ten opal mogło ot tak sobie spaść z nieba, robiło jej się zimno. Nic jeszcze o

nim nie wiedzieli, tymczasem on zdążył posłać całą ekspedycję do grobu.

- A może udałoby nam się zdobyć próbkę metodą szybkiego schłodzenia? - zaproponował z namysłem Lars.

- Jak to? - spytała, wytrącona z rozważań o stanie żołądka i nerwów.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób osiąga temperatury zdolne stopić coś równie twardego jak moje dłuto, myślę jednak, że ciekły azot...

- Spróbować nie zaszkodzi - stwierdził Brendan. - Ciecz kontra ciecz.

- Masz u siebie azot? - spytała, kolejny raz zaskoczona Killashandra.

- Droga Killashandro Ree, nie ma takiej rzeczy, której nie byłoby na tym statku - oświadczył chętnie Brendan. - W skład mojego wyposażenia wchodzi dwa zbiorniki ciekłego azotu oraz standardowe nakładki do rozpylania i natryskiwania strumieniem ciągłym.

- No, no...

- Przygotuję wam jeden zbiornik. Zabierzecie go, jak wpadniecie coś zjeść - oświadczył Brendan cierpkim tonem.

- Przygotuj też farbę fosforyzującą - poprosił Lars, który wycisnął już do ostatniej kropli tubę do znakowania.

Ostrożnie zawrócili po własnych śladach, czując, jak żużel chrzęści pod ich butami. Killashandrę znów coś tknęło, nie umiała jednak określić co.

W służbie powietrznej czekał już obiecany posiłek. Z trudem dotrwali do chwili, kiedy zawór zacisnął się wokół wejścia i poziom tlenu podniósł na tyle, że mogli zerwać hełmy z głów i rzucić się na jedzenie.

- Pyszne, Bren - pochwaliła Killashandra, łapczywie pochłaniając gorące kotlety sojowe. Sięgnęła po ulubione pędy pomarańczowo-zielonego milsi.

Lars, jak zwykle, zjadał proteiny z grilla.

- Zgadza się - poparł towarzyszkę.

- Zauważyliście zbiornik z azotem? - zapytał z naciskiem Brendan.

- Emmm... - Killashandra machnęła w stronę zbiornika nadzianym na widelec kotлетem. - Jesteśmy niezmiernie wdzięczni.

- A tuby z farbą?

Lars uznał, że kolej na niego.

- Wielkie dzięki.

- Do usług. - W tonie Brendana zabrzmiała nuta pretensji.

- Nic nie możemy na to poradzić - rzucił Lars przeprasząco, unosząc twarz w stronę kamery w służbie.

- Obawiam się, że to prawda - westchnął Brendan znacząco. - W życiu nie widziałem, żeby ktoś w tak krótkim czasie był w stanie tyle zjeść. Przy tym wszystkim wyglądacie oboje jak skóra i kości.

- Symbiont - wymamrotała z wysiłkiem Killashandra, napychając do ust pełną garść jaskrawych, zielonych kulek warzywnych. Drugą ręką zagarniała pędy milsi. - Nie spotkasz tłustego śpiewaka - dodała, przelknąwszy.

O dziwo, maniackalne obżarstwo opuściło ich mniej więcej w chwili, kiedy wycierali do czysta talerze bułką drożdżową, specjalnością kuchni Brendana. Mimo że sam, jako pancerny, odżywiał się wyłącznie płynami pompowanymi do tytanowej kapsuły, chroniącej jego sztucznie skarłate ciało, kuchnia była jego pasją i, nawet kiedy Boira była na pokładzie, sam zajmował się karmieniem pasażerów.

Najadłszy się do syta śpiewacy wymienili opróżnione pakiety żywnościowe skafandrów, założyli hełmy, wzięli dodatkowe wyposażenie, po czym opuścili B&B, udając się na dalszy rekonesans.

- Właściwie dlaczego mamy wykrawać z niego kawałek? - zaniepokoiła się Killashandra w drodze do dolnej jaskini.

- Nasza misja polega na zbadaniu substanci, a także zaopiniowaniu jej ewentualnej wartości użytkowej - wyjaśnił Lars. - Mamy też dociec, co wywołuje luminescencję. Czy były jakieś doniesienia o rozrastaniu się tamtej próbki, Brendan?

- Nie stwierdzono niczego podobnego, natomiast napotkałem wzmiankę, że materiał natychmiast po pobraniu całkowicie utracił świetlistość.

- One nie lubią światła - stwierdziła Killashandra w zadumie. - Niewykluczone, że świecą tylko w ciemnościach. Chyba że ta planeta zawiera jakiś składnik sprawiający, że ten klejnot opalizuje.

- I składnik, pod wpływem którego rozwijają się, rozrastają, płyną, czy co tam jeszcze robią - dorzucił Lars, również zamyślony. - W ciągu czterech lat raptem sięgnął do podłoża i piętro niżej!

- W życiu nie słyszałam, żeby coś rosło w równie jałowym środowisku - stwierdziła Killashandra tonem nagany.

- Cóż, zdarzają się niespodzianki - rzucił pojednawczo Charlie.

Po dziesięciu minutach spryskiwania ciekłym azotem stalaktyt stracił całkowicie barwę, a kiedy Lars stuknął go mocno młotkiem geologicznym - na ziemię upadł odłamek rozmiarów rękawicy. Przez podeszwy butów Killashandra poczuła nagle drżenie podłoża, tak silne, że straciła równowagę.

- Czujesz, Lars?

- Jak myślisz? - Zamachał rękami, żeby nie upaść.

- Co czujecie? - gniewnie ponaglił ich Brendan.

- Drżenie, trzęsienie, wstrząs. Odnotowałeś coś? -zaciekawiał się Lars.

- Hmm. Małutki wyskok na mierniku stabilności, za mały na alarm.

- Popatrz! - Killashandra oświetliła przeciwną ścianę. Klejnot przestał wciekać między skały. - Nasza akcja wywołała zdecydowaną reakcję. Czyżby miał dosyć rozumu, żeby zmykać przed niebezpieczeństwem?

- Na dodatek ma refleks - zadumał się Lars, wkładając bezbarwny stalaktyt do wyjętego z kieszeni na biodrze plastszklanego worka na okazy. - Sprawdźmy, dokąd się cofnął.

Prowadzeni przez Brendana, poruszając się najszybciej, jak pozwalało bezpieczeństwo, mrocznym labiryntem wrócili do pierwszej jaskini. Opalizacja lekko przygasała, musieli więc włączyć reflektory w skafandrach. Na miejscu przekonali się, że Skalny Klejnot skurczył się wyraźnie po obu stronach komory, chociaż „żebro” na przeciwną ścianę było dłuższe niż to, z którego pobrali próbkę. W centralnej partii nacieku nie było widać najmniejszych zmian.

- Popatrz, kanał! - Killashandra wskazała w stronę ciemnego zarysu na ścianie w miejscu, z którego Klejnot właśnie się wycofał. - Drażą kanały. Ciekawe, czy pochłania przy tym skałę?

- A może to właśnie one drażą jaskinie? - odezwał się Lars. Wszyscy zamilkli zaskoczeni.

- Pełna absorpcja? - zasugerował Brendan. - Większość znanych form wydała jakieś produkty uboczne.

- Nasz stalaktyt wydała wolną przestrzeń - stwierdziła Killashandra z przekornym uśmiechem. - W tej chwili już się chyba nie rusza, ale przez te dwadzieścia minut, kiedy szliśmy na górę, musiał nieźle zasuwąć. Nagrywasz mnie, Bren?

- Jak najbardziej.

- Powinniśmy zebrać trochę materiału porównawczego - oświadczył Lars. Gestem polecił Killashandrze iść za sobą. - Mówisz, że pierwsza ekspedycja trafiła na dziewięć podobnych tworów? Chodźmy wobec tego zobaczyć, co się dzieje z następnym.

- Znowu jestem głodna - bąknęła Killashandra pokornie.

Brendan chrząknął karcąco, ale kiedy dotarli do służby powietrznej, czekało już na nich jedzenie. W czasie posiłku statek przeniósł się w kolejne miejsce.

Tak wyglądało dziesięć najbliższych godzin. Jedzenie i rekonesans. Jedzenie podczas rekonesansu. Początkowo Brendan nie szczędził celnych, nierzadko dowcipnych uwag na temat ich „głodowej diety”, w końcu jednak, podobnie jak śpiewacy, uległ fascynacji „zachowaniem” Skalnego Klejnotu.

W każdym z pięciu zbadanych miejsc przekonali się, że opalizująca substancja skurczyła się w porównaniu ze stanem odnotowanym przez geologów.

- Hej, wy tam, dwoje. Wzywam na odpoczynek. Wasze funkcje biologiczne zaczynają słabnąć.

- Przy takim jedzeniu? - zdumiała się na wpół serio Killashandra. - Teraz, kiedy mi o tym powiedziałaś, ojej! -potknęła się i padła w objęcia Larsa.

- Teraz, kiedy mi o tym powiedziałaś - podjął za nią Lars, łapiąc Killashandrę w locie - czuję, że najchętniej zwinąłbym się w kłębek i spał przez najbliższe sto godzin.

- Po trzech godzinach głód by cię odwinął z kłębka -zapewnił go Brendan. - Podano do stołu! Przetrzył ich o pustym żołądku, żeby oddali skafandry do czyszczenia i wzięli prysznic. Po posiłku nie dał im zasnąć, dopóki nie dotarli do swoich koi.

Jednak następnego ranka, kiedy zaserwował im olbrzymie śniadanie, byli najzupełniej przytomni i rwali się do dalszych badań. Porównując notatki ekspedycji o rozmiarach nacieków z aktualnym stanem stalaktytów, dostrzegli poważne różnice, przy czym im bardziej zbliżali się do miejsca pobrania próbki, tym zmiany były wyraźniejsze.

- Zbiorowy odwrót, ucieczka, ewakuacja? - zachodził w głowę Lars.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego -zasugerowała Killashandra.

- W jaki sposób jeden Klejnot potrafił skomunikować się z całą resztą? - nie mógł nadziwić się Brendan.

- Bardzo prosto - skrzywiła się Killashandra. - Poprzez skałę. Oboje czuliśmy wstrząs. Mógł to być jakiś rodzaj komunikacji.

- Całkiem niewykluczone - zgodził się Lars. - Sęk w tym, dokąd on się cofa. Masz coś na radarach, Bren?

- Spróbujcie sobie wyobrazić, że wzruszam ramionami -odparł figlarnie statek. - Sprawdziłem wszystkie obwody na okoliczność awarii. Klejnot nie pozwala się rejestrować. Na ścianach jaskiń, w których byliście, widzę tylko czarne plamy. Chociaż on nadal tam jest.

- Drużyno, stój! - zakomenderowała Killashandra, coraz bardziej się krzywiąc. -Już wiem, czego mi brakowało... chrząszczenia pod stopami. W jaskiniach nie ma żadnego gruzu, żadnych okruszków skalnych, kamyków, nic!

- Lars zamrugał i pochylił głowę, z zadumą rozważając jej słowa.

- Masz rację, nie ma nic, poza kupką pyłu.  
 - W miejscu, gdzie jedna maczka spuszczała się na dolny poziom. Może on wyźarł swoją drogę?  
 - Dostrzegam pewną analogię między waszymi apetytami, a jego... ej! -zaprotestował Brendan, kiedy Killashandra cisnęła notatnikiem w tytanową obudowę.  
 - Ciekawe, czym się żywi? Jakby tak wziąć ze sobą resztki naszej uczyty i poczęstować przyjaciela? - zaproponował Lars.  
 - Czy ekspedycja próbowała czegoś w tym stylu, Bren? -zaciekała się Killashandra.  
 - Nie - odparł rozbawiony Brendan. - Zdążył im przedtem stopić wszystkie narzędzia.  
 - Nie przypominam sobie podobnej wzmianki - stwierdziła Killashandra, marszcząc z wysiłkiem czoło.  
 Przeglądała doniesienia ekspedycji nie dalej, jak przy śniadaniu.  
 - Doszedłem do tego drogą dedukcji - wyjaśnił Brendan. - Przejrzałem spis inwentarza.  
 - Jaką wobec tego powinniśmy złożyć ofiarę Bogu Kryształu w jego skalnej kaplicy?  
 - Trochę tego, trochę owego - oświadczył Lars. -Czy mogę przejść się z tobą po magazynie części zapasowych, Bren?  
 - I czy moglibyśmy wrócić do pierwszej jaskini? - poprosiła Killashandra, tknięta nie wyjaśnionym impulsem.  
 - Mam wyrzuty sumienia z tego powodu, że go uszkodziliśmy. Myślę, że naprawę wzajemnych stosunków moglibyśmy zacząć od złożenia mu ofiarnej daniny.  
 Brendan zgodził się i doradził, co mogą wziąć, a następnie łaskawie zezwolił na zabranie skąpych resztek poprzednich posiłków oraz próbki protein i węglowodanów. Włożyli odczyszczzone skafandry, napełnili na nowo tuby żywnościowe, sprawdzili zbiorniki z tlenem, zatrzasnęli przyłbice hełmów i odczekali, aż otworzy się śluza powietrzna.  
 - Masz rację. Tutaj chrzęści gruz, a w jaskiniach go nie ma - odezwał się Lars.  
 Na widok niebieskiej poświaty przygasili reflektory przy kombinezonach.  
 - Nic nie chrzęści - stwierdził Lars wkraczając na gładki kamień jaskini. - Chyba się dalej nie cofnął.  
 Jak ci się wydaje?  
 - Hmm. Powinniśmy byli zaznaczyć na ścianach. W każdym razie osiągniemy tamtego końca... - Idąc przez jaskinię rozpakowywała pierwszą próbkę. - Podaję mu miedź -poinformowała statek. Stając na palcach, umieściła szczypcami na powierzchni Klejnotu miedziany element. - Uff! Ciekawe, kto tu jest głodny. Zobacz, Lars, w stronę centrum leci teraz wyraźna żyłka koloru miedzianego. Fascynujące...  
 Skalny Klejnot nie pogardził żadną propozycją z ich worków, szczególnie ochoczo pochłaniając metale.  
 - Wszystkożerny.  
 - Co gorsza: niewdzięczny - dodała Killashandra. - Nie przybył mu ani centymetr. Uff.  
 - Nie, ale chyba trochę pojaśniał - zauważył Lars, patrząc na centralną partię nacieku. - Chcesz sprawdzić, czy jego pobratymcy są równie zachłanni?  
 - Myślę - oświadczyła, stojąc w pełnej zadumy pozie. Jedną ręką podtrzymywała łokieć drugiej, wspierając na rękawicy podbródek kasku.  
 - Doprawdy?  
 - Nad czym tak myślisz? - ponaglił ją Brendan.  
 - Myślę, że powinniśmy oddać tamten kawałek - powiedziała powoli, starannie dobierając słów. - Chyba nie powinniśmy uszkadzać Klejnotu.  
 Lars spojrzał na nią z namysłem.  
 - Chyba masz rację. Tym samym nasze stosunki przeniosłyby się na przyjaźniejszy... żużel? Pył?  
 - Popiół? - dyskretnie podsunęła Killashandra.  
 - Cóż, postąpimy jak skończone mięczaki. Ale z próbki chyba będzie niewiele pożytku.  
 - A propos: kiedy pobieraliśmy kawałek Skalnego Klejnotu, nastąpił tamten wstrząs. To mogło być zwykłe drżenie albo niezwykle szybkie, rytmiczne uderzenia.  
 - Sygnał nadany metodą perkusyjną? - podsunął Lars.  
 - Jak prymitywne plemiona, które porozumiewają się na odległość - doprecyzował statek. - Przeanalizuję charakterystykę drżenia. Coś takiego nie przyszło mi do głowy. -Zamilkł, a na głównym ekranie kontrolnym zamigotały świetlne zygzaki. - Rzeczywiście! Punkt dla ciebie, Killashandro. Na drżenie faktycznie składają się niezliczone rytmiczne drgania, o rozmaitej długości fal.  
 - Będziemy potrzebować pałeczek perkusyjnych, Bren -zapowiedziała Killashandra, znacząco patrząc na Larsa.  
 - Przecież wiesz, że żadne z nas nie potrafi bębnić tak szybko! - z komiczną desperacją wziął się pod boki.  
 - No to będziemy bębnić largo, ale będziemy. Przynajmniej sprawdzimy, czy reaguje na rytm. - Być może uda nam się nawiązać jakiś kontakt z tą formą inteligencji.  
 - Inteligencji? Ta rejterada Klejnotu mogła być bardzo prymitywnym odruchem samozachowawczym.  
 - Właśnie, odruchem - poparł go Brendan. - Nie mam nic drewnianego na pokładzie, ale może plastik

by się nadał?

- Cokolwiek, czym można wystukać takt... Może uda nam się do niego przemówić

Lars jękiem skwitował jej pobożne życzenia, jednak ochoczo podjął się wrócić na statek po dwie pary zwężonych na końcach plastikowych prętów. Wręczył jedną parę Killashandrze, następnie przećwiczył werbel na grodzi słuzy.

- Tak sobie - zawyrokowała.

- W ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat niewiele czasu poświęcałem praktyce.

Killashandra ściągnęła brwi. Siedemdziesiąt lat, powiedział? Większość śpiewaków unikała rozmów na temat upływu czasu. Śpiewali w duecie od tak dawna? A może siedemdziesiąt lat minęło, od kiedy praktykował grę na instrumentach? Wołała nie wiedzieć, co miał na myśli. W przeciwieństwie do niej, często faszerował danymi swój program osobisty. Po każdym pobycie w Paśmie przeglądał program. Ona sama, jak sięgnąć pamięcią, nie dorzucała nic do swojego programu. Wzdrygnęła się. Wołała nie myśleć na ten temat. Miała ważniejsze rzeczy na głowie niż rozmyślanie o subiektywnej percepcji czasu - teraz ważne były jego rytmiczne podziały.

- Do boju naprzód marsz - oświadczyła rażno, unosząc pałki, jak dawni dobosze podczas uroczystych defilaż, które oglądała na starych wideoklipach. - Formuj szyk, przed siebie patrz!

- Marsz, marsz, marsz! - zaśpiewał w odpowiedzi Lars. Zaiskrzyły zardzewiałe neurony i Killashandra podjęła ton, zmieniając nieco słowa ze względu na okoliczności.

- „Kroczy naprzód bez wytchnienia, czyn nasz wstawia pokolenia”...

- Wszystko dobrze, ale stoicie w miejscu - zwrócił uwagę Brendan, podłączając swój baryton do chóru.

- Marsz, marsz, marsz! - Lars włączył otwieranie drzwi słuzy. Nie wypuszczając palców z rąk, założył hełm. Killashandra również zakryła głowę.

- „Choć wicher miecie w twarz” - niósł się melodyjny głos Brendaina.

- Marsz, marsz, marsz!

Wreszcie wydostali się ze słuzy w mroki Opalu. Marszowym krokiem ruszyli w stronę najbliższej jaskini, w której rezydował stalaktyt. Zatrzymali się jak na komendę.

- Ustalmy, gdzie i co będziemy - zaproponował Lars.

- Sprawdźmy najpierw, czy w ogóle zwróci na nas uwagę. Czyżbyśmy szczęśliwym trafem znali oboje paradną melodię na werble?

- Ja tak. - Zademontrował prawdziwość swoich słów.

- Nieźle. Teraz spróbujmy razem. - Zagrali, unosząc głowy, żeby sprawdzić, czy ich gra wywołuje jakąkolwiek reakcję.

- Chyba się wam udało - odezwał się Brendan. - Mam tutaj mini, mikro, tyciuteńką reakcję, zdecydowanie jednak na wasz werbel.

- Jaki komunikat byłby najodpowiedniejszy po takim wstępie? - spytał Lars żartem.

- Może: co słychać? - zaproponowała Killashandra.

W końcu głód zmusił ich do opuszczenia jaskini, a kiedy wrócili na pokład B&B, dopadło ich zmęczenie. Co sił w rękach bębnił we wszystkich znanych rytmach, dopóki mięśnie nie odmówiły im posłuszeństwa. Brendan nieustannie donosił, że obserwuje reakcję, a raz czy dwa razy stwierdził powtórzenie - ze znacznym przyśpieszeniem -rytmu, który śpiewacy skończyli właśnie wybijać. Pozostałych reakcji nie udało mu się rozszyfrować, kiedy jednak Killashandra z Larsem wrócili na pokład, poinformował ich, że pracuje nad złamaniem kodu reakcji. Poprosili o odroczenie badań.

- Przełożmy to na kiedy indziej - nerwowo zasugerował Lars.

- Strasznie mi przykro. Myślałem, że jesteście niezniszczalni. Jak kryształ. W końcu dziś byliście na nogach raptem przez dwadzieścia siedem godzin. Podejmę badania, kiedy się wyśpicie. Naprawdę wyśpicie.

- Podły karzeł - poskarżyła się Killashandra, resztką sił zdejmując skafander i wrzucając do oczyszczarki.

Lars, ściągając swój kombinezon, musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść.

Człapiąc i poziewając Killashandra weszła do mesy. Każdym ściągnięciem czuła ostatnie dwadzieścia siedem godzin bez snu - szczególnie doskwierały jej ręce.

- Nie mam już nawet siły, żeby jeść - wyznała, jednak ożywiła się, kiedy owionął ją aromat uczyty, którą wydał Brendan.

- Ja nigdy nie jestem aż tak zmęczony, żeby tracić apetyt podczas Przejścia - oznajmił Lars, sięgając po największy talerz. Runął na krzesło, trzymając talerz przy piersi, żeby zminimalizować jego odległość od ust. - Czy udało ci się wyłowić jakąś charakterystyczną reakcję?

- We wszystkich jaskiniach proces wycofywania się ustał - oświadczył Brendan. - Rytm jego drgań wykazuje również zdecydowaną prawidłowość, rzecz jednak w tym, że wy nie jesteście w stanie bębnić dostatecznie szybko, żeby was „zrozumiał”, podczas gdy on nie potrafi zwolnić wystarczająco, żeby do was przemówić...

- A może powinniśmy coś nagrać, a ty byś im to puścił w przyśpieszonym tempie, Bren? -

zapropowała Killa-shandra. - Użyłbyś jednego ze swoich ekstenderów, żeby wystukać wiadomość od siebie z domu.

Lars zasalutował leciutko w jej kierunku, dając do zrozumienia, że docenia jej ostatnie określenie.

- Dobrze, ale co my właściwie usiłujemy powiedzieć? Pełne usta pozwoliły Killashandrze wyłącznie na wzruszenie ramion.

- Jesteśmy śpiewakami, a nie semantykami - oświadczyła, przełknąwszy. - Myślę, że jak dotąd, osiągnęliśmy niemało.

- Zgadza się - potwierdził Brendan z przekonaniem. - Istnieją specjaliści, którzy będą mogli się tym zająć dokładniej, dzięki temu, że przetarliście szlak.

- No tak, ale co z przyczyną zgonu załogi?

- Nie ma żadnych podstaw do niepokoju. Przeanalizowałem skład pyłu, który wasze skafandry zostawiły w oczyszczarce i nie znalazłem żadnych składników szkodliwych dla człowieka. Najwyraźniej planeta jest dosyć bezpieczna. Nie trzeba zapominać, że geolodzy mieli na pokładzie próbkę naszej substancji i zapewne nie przyszło im do głowy, żeby ją w jakikolwiek sposób zekranizować.

- Aha, właśnie... - zaczęła Killashandra ziewając na oścież. - Zapomnieliśmy odłożyć próbkę na miejsce. - Głowa opadła jej na plecy.

Zasnęli, jak siedzieli, z nie dojezdzonymi porcjami na piersi. Brendan stwierdził, że, pochłonięty próbami nawiązania kontaktów ze Skalnym Klejnotem, nie dosyć skrupulatnie monitorował ich procesy. Na przyszłość warto zapamiętać, że śpiewacy obdarzeni są nadzwyczajną koncentracją, której dorównuje chyba tylko ich apetyt.

Zauważył, że ze zmęczenia porobili plamy na fotelach i dywanie. Postanowił wysłać robota do odczyszczenia dywanu, natomiast skazami na fotelach zająć się, kiedy dotrze do portu. Boira też nie była wiele porządniejsza. Przygasił światła i podniósł temperaturę pomieszczenia, nie miał bowiem żadnego sposobu, żeby okryć swoich gości. Fakt, że był statkiem, ograniczał jego możliwości obsługi pasażerów, którzy uparli się, żeby spać poza kaję.

Odczuwał niejasne zadowolenie na myśl, że zdecydowali się oddać odrąbany fragment stalaktytowi. Co innego pobierać próbki przedmiotów nieożywionych, ale okaleczać istotę żywą, czującą i komunikującą - to było sprzeczne z jego zasadami. Śpiewacy okazali się wcale nie tak wyzuci z emocji, jak się o nich mówiło. Cokolwiek by mówić, ich profesja zdecydowanie urosła w jego oczach.

Musi pamiętać, żeby im o tym wspomnieć - naturalnie, w zawołany sposób, gdyż jakiegokolwiek przyznawanie ó?, że kiedykolwiek żywił najmniejsze wątpliwości na temat ich osób i misji, byłoby krępujące dla obu stron. Kiedy Boira wreszcie do niego wróci, będzie jej miał niejedno do opowiedzenia.

### Rozdział III

Kiedy z amputowaną „macką” Klejnotu dotarli na miejsce, natychmiast zauważyli wzrost luminescencji.

- Chyba go trochę upaśliśmy - stwierdziła Killashandra. - Chyba urósł. Lars wzruszył ramionami.

- Brendan?

- W jaskini pojaśniało, ale jak wam wiadomo, nie mam dostępu do danych o samym Klejnocie.

- Powinien troszkę przytyć po wczorajszej uczcie - powtórzyła Killashandra, bardziej do siebie niż do towarzyszy.

- Prawdę mówiąc, nie widzę specjalnego przyrostu na żebrze, które wczoraj cięliśmy - stwierdził Lars, podnosząc głowę. Wylew skały nie powiększył się ani o milimetr.

- Mam nadzieję, że nie uszkodziliśmy go bezpowrotnie. - Killashandra poczuła wyrzuty sumienia.

- Drugi koniec nie ma najmniejszych problemów z przełknięciem naszego poczęstunku. Może dałby się namówić...

- Podejrzewasz go o kanibalizm?

- Cóż, bez wątpienia jest wszystkożerny - stwierdził Lars cierpko.

- On niezupełnie jadł, raczej wchłaniał - zauważyła Killashandra.

Lars plastszklanymi kleszczami wyjął „macki” z plast-szklanego worka i wyciągnął rękę do góry.

- Do diabła! Weź Killę na barana, to dosięgniesz - poradził Brendan.

Lars obrzucił baczny spojrzeniem szczupłą, długonogą towarzyszkę.

- Dowiedziesz nam swoich talentów akrobatycznych. Przy grawitacji zero siedem to żadna sztuka.

- Tylko mi się nie wierć na plecach. Uważaj też na mój zbiornik z tlenem.

- Hmm... słusza uwaga. Hej - hop!

Lars wręczył Killashandrze kleszcze i „mackę”, następnie zanurkował między jej nogi i w atletycznym zrywie uniósł dziewczynę nad ziemię.

- Nie zasłaniaj mi oczu! - zdenerwował się, kiedy mimowolnie chwyciła go za hełm, zanim usadził ją bezpiecznie, złapawszy za pas.

- Dwa kroki do przodu, jeden mały w... - Odzyskała równowagę. - ...lewo i już. Jesteśmy na miejscu! - Mimo że Lars miał niemal dwa metry, musiała mocno się wyciągnąć, ifcby dosięgnąć końca opalizującej wręgi.

- Kiwasz się!

-Nieprawda! Ja tylko sięgam. To ty się kiwasz. Idź teraz fółkroku w prawo. O! - Gwizdnęła z niedowierzaniem. Na JSJ oczach Skalny Klejnot zaczął jeszcze wyraźniej płynąć. Wlewając i wchłaniając swój amputowany fragment. Lars zachwiał się. - Ej! - upuściła kleszcze i przywarła do niego - Stój spokojnie!

- Stoję spokojnie. - Nagle runął na kolano. Zjechała z ramion.

- Ojej! - stęknęła, padając jak długa na ziemię.

Automatycznie sprawdziła światełka kontrolne przy dolnej krawędzi hełmu. Żadne nie migotało pomarańczowo.

- Wszystko w porządku, Killa? - spytał Brendan z niepokojem. - Tym razem to był prawdziwy wstrząs!

- I to nieżył! - Killashandra podniosła się z ziemi.

- Zawsze jakaś reakcja - zauważył Brendan. - Lars?

- Nic mi nie jest - odpowiedział śpiewak, obmacując kolana. - Patrzcie! - zawołał, wskazując na sufit. - Wracaj do domu, wybaczymy ci wszystko! Na końcu zebra nie było nawet najmniejszej rysy.

- Absorpcja? Reakcja była o wiele silniejsza niż przy metalu - stwierdziła Killashandra. - Czy nie powinniśmy zasugerować, żeby zwrócić mu tamten pierwszy kawałek?

- Po ponad czterech latach?

- Warto spróbować... byłby to pyszny kawał. - Roześmiała się, ubawiona grą słów. Lars sieknął ciężko.

- Wyraz dobrej woli człowieka, który zorientował się, że jego ingerencja jest równoznaczna z okaleczeniem - zasugerował Brendan.

- Dokonaliśmy amputacji w imię rozwoju nauki - dorzuciła kpiąco Killashandra.

- Co teraz? - zniecierpliwił się Lars.

- Byliśmy już we wszystkich jaskiniach zamieszkanym przez Skalny Klejnot. - Killashandra wzruszyła ramionami.

- We wszystkich odkrytych jaskiniach - poprawił ją Brendan.

- I ciągle nie udało nam się odnaleźć pierwotnej bryły.

- Nie mieliśmy tego w rozkładzie jazdy, o ile dobrze pamiętam - zauważył Lars, zacierając osłonięte rękawicami dłonie. - Naszym zadaniem było stwierdzenie, czy to może mieć jakąś wartość użytkową dla Cechu Heptyckiego.

- Nie podlega Cechowi. Jest inteligentną istotą - oświadczyła Killashandra z gwałtownością, która zaskoczyła ją samą

- Nie możemy tego stwierdzić z całkowitą pewnością - powiedział Brendan - ale jeśli nawet nie jest zwierzęciem z pewnością nie jest też minerałem w ścisłym tego słowa znaczeniu.

- Zgadzam się najzupełniej - zwrócił się Lars do swojej towarzyszki.  
- „Żyjatko pośród innych stworzeń”... - mruknęła Killashandra. - Jest coś takiego... - Próbowwała znaleźć stosowne określenie, w końcu, ze wzruszeniem ramion dała za wygraną. - Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale wydaje mi się, że nie powinno się tego wydobywać jak kryształu, rud czy kamieni szlachetnych. Co o tym sądzisz, Brendan?

- Nie wiem. Jestem urzędnikiem, a nie górnikiem.  
- Dobra, dobra, wiesz dobrze, ile dla nas znaczysz.  
- Jako urzędnik do spraw żywności.  
- Błee... - czknęła z obrzydzeniem Killashandra. Na samą myśl o jedzeniu zrobiło jej się niedobrze. - O, cholera! - Wymienili porozumiewawcze spojrzenia z Larsem.

- Zdążyliśmy na ostatnią chwilę - stwierdził.  
- Gotowi do fazy sennej? - spytał Brendan.  
- Bez wątplenia - odparła Killashandra, kierując się wstronę wylotu jaskini. - Zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Reszta w rękach ksenobiologów... W tym miejscu kończą się uprawnienia Cechu Heptyckiego, a więc... - Spojrzała wyczekująco na towarzysza. - Gdzie będziemy wydawać nasze kredyty, zarobione w tak uroczy sposób, Lars? Porachuję ci macki, jeżeli powiesz, że na bezkresnych morskich wodach...

- Twoja kolej na wybór. - Lars przyspieszając kroku popukał ją w kask.

- Wybiorę, jak się prześpię.

- Za tydzień opuszczę układ Opalu. Dokąd mam lecieć dalej? - spytał Brendan.

- W lewo, a potem prosto, do białego rana — z błyskiem w oku rzuciła Killashandra.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, o pani - oznajmił statek.

Na pokładzie woń potraw, od których jeszcze niedawno ślina napływała im do ust, wywołała u obojga falę nudności.

- Więc to nie były żarty? - zaniepokoił się Brendan. - Mam nadzieję, że nad tym odruchem potrafię zapanować? - przeraził się.

- Spokojnie. W tej kwestii cechują nas nieskazitelne maniery - oświadczył Lars. Z zaciśniętymi ustami zdjął skafander i wrzucił go do oczyszczarki. Bał się, że zaraz zwymiotuje.

Killashandra z trudem panując nad wyrazem twarzy, przełykając nieustannie ślinę, błyskawicznie zdarła kombinezon i bieliznę ze specjalnych włókien.

- Ej! - spróbował ją powstrzymać Lars. Sam był jeszcze w slipach. Patrzył, jak jego towarzyszka z królewskim dostojeństwem kroczy przez salon statku.

- Brendanowi to na pewno nie przeszkadza - bąknęła półprzymkniętymi oczami.

- Absolutnie, swoją drogą jednak nie mogę się nadziwić, gdzie się podziało to całe jedzenie...

- Milcz! - krzyknęła Killashandra, wznosząc ręce w stronę tytanowego rdzenia. - Nie wolno ci nawet myśleć tego słowa. - Trzymając się za usta pobiegła do kabiny i zatrasnęła drzwi w toalecie.

- Czy mogę wam jakoś pomóc? - spytał statek troskliwie, kiedy Lars pędem rzucił się w ślady swojej towarzyszki.

- Nie da się - westchnął żałośnie Lars.

Killashandra była już pod prysznicem. Nawet pod słabym strumieniem wody zataczała się, tracąc równowagę. Lars również wszedł do kabiny. Wsparci o siebie czekali, aż zostaną namydleni i spłukani do czysta.

Owinęci wielkimi ręcznikami, pocłapali do szerokiej koi i z jękiem ulgi upadli w poprzek. Brendan zaobserwował, że mimo niezbyt wygodnej pozycji ich kończyny się rozluźniają. Świat zewnętrzny przestał ich już dotyczyć.

- Ci śpiewacy kryształu nie potrafią nic robić na pół gwizdka. Całkiem jak Boira - poniósł się echem głos Bren-dana w ciszy mieszkalnej części statku.

Delikatnie, jak matka, która niesie śpiące niemowlę do kołyski, Brendan/Boira-1066 wystartował z Opalu, chociaż snu jego pasażerów nie zakłóciłoby nawet największe przeciążenie startowe. Tygodniowy sen? Cóż, jeśli skręci „w lewo” - polecenie wydawało mu się dziwnie znajome - wykona jeden skok w podprzestrzeń, i ruszy przed siebie, dotrze do gwiazdozbioru Zająca, do którego należy układ Nihala. Główną planetę układu stanowiła G2, natomiast trzecia planeta była zamieszkała. Jeśli polecą tamtędy, będzie mógł przyjrzeć się z bliska samej czerwonej (Mira variable R. Leporis). Boira na pewno chętnie obejrzałaby tę anomalię.

Nagle uświadomił sobie, że wcale nie musi wracać niezwłocznie do bazy na Regulusie. Z ostatnich doniesień wynikało, że Boira będzie regenerowana jeszcze przez sześć czy siedem tygodni, po których przejdzie program rehabilitacji i reedukacji. W tej sytuacji on wcale nie musi brać kolejnego zlecenia ani dołączać do poczty kurierów. Zadłużenie 1066 zostało spłacone z premii i odszkodowania za wypadek, przez który Boira wylądowała w szpitalu.

Czy jednak Killashandra rzeczywiście zamierzała udać się do układu Nihala? Larsowi powiedziała, że podejmie decyzję, gdy się odeśpi. Brendan zwrócił się do encyklopedii galaktycznej. Trzecia planeta Nihala posiadała znakomite warunki rekreacyjne i cieszyła się opinią wymarzonej przystani na miesiąc poślubny.

Killashandra z Larsem dawno Wieli ten etap za sobą, jednak z pewnością doceniliby uroki m planety jako miejsca, w którym mieli spędzić długi urlop, który zamierzali wziąć od Ballybranu i śpiewania kryształu. Jeżeli mylnie zinterpretował słowa Killashandry — a jej nieskładne polecenia podejrzenie pachniały mu jakimiś cytatem - zawsze będą mogli po przebudzeniu zmienić dleczyżę. Przypomniawszy sobie, że powinien wykonać zaprogramowane analizy medyczne, sprawdzić, czy symbiont nadal chroni śpiewaków. Jak postąpiłby Cech Heptycki, gdyby zostali czymś zarażeni? Czyby ich eksmitował? Dokąd? Czy w Pasma, gdzie kolejna burza rozwiązałaby sprawę? Cech słyszał z bezwzględności, buty i siły. Ta para była najlepszym towarzystwem, jakie mu się trafiło, od kiedy zostali sam -nie mógł znieść myśli, że mogłoby im się stać coś niedobrego... o ile nie jeszcze gorszego. Jednak ich ciała, jpodob-nie jak pył na skafandrach, nie wykazywały żadnych; śladów skażenia. Uspokojony, wpisał ostatnie dane o stanie: fizycznym śpiewaków do swojego programu osobistego.

- Nihal? Nigdy o takim miejscu nie słyszałam - oświadczyła Killashandra, między kolejnymi łykami napoju (owocowego, o który poprosiła Brendana. Lars nadal drzemał obok.

- Tam właśnie kierujemy się zgodnie z wytycznymi, które mi dałaś.

- Jakimi znów wytycznymi? - Killashandra przekręciła się na szerokiej koi, tak, żeby przez otwarte drzwi kabiny mieć widok na tytanowy rdzeń.

- „W lewo, a potem prosto do białego rana”. — Choć przewertował całą bibliotekę, nie był ani odrobinę mądrzejszy.

- Ale nie! Bren, to nie były żadne wskazówki.

- Więc to jednak był cytat? Potaknęła, chichocząc.

- A ty nie wiedziałeś, skąd? Jak głęboko w przeszłość sięgają twoje archiwa? Zresztą, głupstwo. Nie muszę wiedzieć. To cytat z bajeczki dziecinnej. Zapomniałam, że ją znałam. I właśnie te szczegółowe wskazówki mają nas doprowadzić do Nihala? Gdzie to jest?

- Klimat raczej przyjazny, chłodny bądź umiarkowany, liczne ośrodki rekreacyjne, a do tego wysmienite... Czy wolno już używać słowa na „j”?

- Jedzenie? Tak, naturalnie, ale przez dzień czy dwa będziemy najwyżej pić.

- Czy to twoja podświadomość podyktowała nam drogę?

- Przekonam się na miejscu. Jak długo spałam?

- Pięć dni.

- Zbudź mnie za następne dwa, dobrze?

Zasnęła, zanim Brendan zdążył ją poinformować, że zamierza dotrzymywać im towarzystwa jeszcze przez jakiś czas.

- Mózgolat prywatnym jachtem?! - wykrzyknął Lars, rozlewając bulion.

- Cóż, muszę was prosić o zakup paliwa, żywności i pokrycie opłat na kosmodromie - odparł ostrożnie Brendan. - Rozumiecie, udało nam się wykupić z Boirą...

Lars przypomniał sobie, że mózgotom, po spłaceniu olbrzymiego zadłużenia wobec Centralnych Galaktyk za opiekę w dzieciństwie i koszt kadłuba, rzeczywiście przysługiwało takie prawo. Niektórym parom nigdy nie udawało się spłacić długu, ale dobrym współnikom zdarzało się to, głównie dzięki premiom.

- Moje gratulacje, Brendanie!

- Nie chciałyby naruszać naszych oszczędności.

- Wysokie koszty leczenia? - domyślił się współczująco Lars.

Większość ludzkości narzekała na usługi, z których śpie> prawie nigdy nie korzystali.

- Co? Nie. Naprawy uszkodzeń są częścią naszego kontraktu. Nasz kontrahent musi pokryć w pełni koszty regeneracji Boiry, ponieważ nie powiadomił nas o niebezpieczeństwach związanych z realizacją zamówienia. -W głosie Bren-dana irytacja mieszała się z zadowoleniem. - Zwrócą nam wszystko. Po prostu... zarabiam na drobne wydatki.

- Na jak długo opiewa twój kontrakt z Cechem Hep-tyckim?

- Do końca waszych badań, plus odwiezienie was do bazy księżycowej Shankill i mój powrót do bazy na Regulusie.

- I nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby nas troszkę powozić?

- Gdybyście byli skłonni pokryć koszty...

- Naturalnie. Czy tam można zeglować? Killashandra przełknęła ostatni łyk napoju, a potem ziewnęła.

- Niah! słynie raczej ze sportów zimowych.

- Aha. - Lars wypił bulion do dna, po czym nakrył się kocem elektrycznym i wyciągnął obok Killashandry. - Pozwól, że pomyślę o tym przez sen. To zna-ko-mii-ty poo-myyy.. .mmm.

Z drugiego snu Killashandra zbudziła się już całkiem wyspana. Spała głęboko i smacznie, a teraz dokuczał jej lekki głód. Żeby nie zbudzić Larsa, ostrożnie zsunęła się z koi i pomknęła do toalety; bała się, że pęcherz jej pęknie. Wzięła prysznic i przebrała się w lekką, kolorową tunikę w pasy, którą lubiła nosić w czasie tranzytu.

Przystanąła przy dwuosobowej koi, by popatrzeć na Larsa - jego rysy nie były już ściągnięte, z czego wniosła, że wkrótce się przebudzi. Ledwie zamknęła drzwi i wyszła do krótkiego korytarzyka, Brendan

pośpieszył powiedzieć dzień dobry.

- Naprawdę dobry?

- W każdym razie dzień. Mamy wczesny poranek czasu nihalańskiego.

- No tak, nihalańskiego, byłabym zapomniała. To całe G2... prosto, aż do rana. Daleko jeszcze? - pytała, przygotowując sobie w kuchni napój wysokokofeinowy.

- Przy mojej obecnej prędkości względnie blisko.

- I nie jest to świat pełen wody?

- Woda oczywiście też jest, ale przede wszystkim są warunki do uprawiania sportów górskich.

- Hmm, w tej sytuacji nie mam żadnych zastrzeżeń. Nie włączyłam się po górach, nie wspinałam się i nie jeździłam na nartach od... nie pamiętam od kiedy.

- Są jeziora...

- Jeziora nie pociągają Larsa tak bardzo jak morza... -stwierdziła z politowaniem.

- Morza też są, ale mało kto po nich pływa. Rybołówstwo ogranicza się do wód przybrzeżnych, choć ostrygi mają podobno niezwykle smaczne.

- Hmm. Prawdę mówiąc, mam lekki apetyt, choć nie jestem naprawdę głodna. Nie wiem, czy orientujesz się w takich niuansach.

- Orientuję się w takich niuansach, Ki - roześmiała się. -Na co też mogłabyś mieć apetyt?

- Żeby nie przeciążać żołądka, na początek poprosiła o coś lekkiego - sok i płatki zbożowe. Wzięła śniadanie i zaniósła do salonu.

- Fe, ale z nas niechluje! - zawstydzila się, widząc ślady potraw na oparciu fotela, w którym zwykle przesiadywała. - Czy mogłabym to jakoś wyczyścić? Nie wypada mi zwracać cię Boirze w gorszym stanie, niż cię wzięłam.

- Myślisz, że jej się nie spodoba? Roześmiała się.

- A to co?! - wykrzyknęła, patrząc na główny monitor.

To bardzo czerwona Mira zmienna R. Leporis. Jej cykl nosi czterysta trzydzieści dwa dni. Należy do typu N. Przy robinie szczęścia zobaczymy ją w najgorętszej fazie. Kiedy zachodzi kontrakcja, obserwuje się fantastyczną pulsację.

- Rzeczywiście jest bardzo jasna. - Killashandra zmru-a oczy.

- Jeśli cię razi, mogę przyciemnić ekran.

- Mogłbyś? Rzeczywiście, nigdy chyba nie widziałam czegoś równie czerwonego. A ty co oglądasz?

- Widma wybuchów. Zdumiewające!

Dboje, każde po swojemu, podziwiali widowisko, które nawet z odległości wielu lat świetlnych oślepiło niezwykle blaskiem.

- Naturalnie, jeśli na Nihalu Trzy nie znajdziecie nic kawego, chętnie zabiorę was gdzie indziej.

- Ot, tak, na zawołanie? - Killashandra pstryknęła palni.

- Ot, tak, na zawołanie. - Powtórzył to, co już powiedział Larsowi.

Rozweselona śpiewaczka kryształu opadła na oparcie kszesła, zaśmiewając się do łez.

- Własny mózgot? W charakterze wypoczynkowego jachtu? To byś dopiero zrobił interes, chłopie! - wydusiła z trudem, między kolejnymi wybuchami śmiechu. - Mówisz poważnie? - spytała, ocierając łzy i odwracając się w stronę pojemnika z Brendanem.

- Dlaczego bym wam miał zawracać głowę?

- Już dobrze, po co się zaraz tak unosić, Bren. Nie miałam nic złego na myśli. Czy twoje usługi są bardzo drogie?

- Potrzeba mi tylko paliwa, opłat przy lądowaniu i żywności dla ciebie i Larsa. Tak naprawdę to spiżarnia świeci pustkami...

- Mogę to sobie wyobrazić. Jesteś mistrzem żywienia. Nie pamiętam, żebyś sobie kiedykolwiek tak dogadzała podczas Przejścia. Musisz mi podać w przybliżeniu koszty paliwa i opłat w kosmoporcie - oświadczyła, wracając do realiów. - Zapłacono nam nieźle za to, że ryzykujemy życiem własnym i symbionta, jednak...

Brendan podał jej liczby, które przekonały Killashandrę, że propozycja jest realna. Więcej - niezwykle atrakcyjna.

- Naturalnie, będziemy musieli zdać raport Lanzeckiemu. Czy na Nihalu Trzy są czarne kryształy?

- Owszem.

Zadrzała. Nie lubiła porozumiewać się za pośrednictwem czarnego kryształu. Jako jedna z nielicznych śpiewaków umiejących zlokalizować i śpiewać czarny kryształ była niezwykle wrażliwa na jego obecność w postaci surowej, oszlifowanej. Wrażliwość ta wzrosła od czasu nieszczęsnej instalacji kryształów komunikacyjnych dla Trundomoux: nigdy nie zapomniała wstrząsu, jakiego zaznała podczas podłączania głównego kryształu. Pytała Lanzeckiego, czym było tamto ciągle szarpanie, nie umiał jej jednak tego wyjaśnić. W każdym razie na zawsze pozostawiło w niej uraz do wszelkiego obcowania z czarnym kryształem -zwłaszcza w okresach, kiedy o kryształach chciała w ogóle zapomnieć.

- Widzę całkiem spore zbiorniki wodne — zauważyła Killashandra, kiedy Brendan zaczął się zbliżać do celu podróży.

- Możemy udać się w jakieś inne miejsce - uspokoił ją Lars. - To przecież nie ja wybrałem Nihala Trzy, tylko ty z tym twoim białym ranem.

Spojrzała na niego spode łba.

- Główną rozrywką na Szerpie są wspinaczki wysoko-górskie - oznajmił Brendan, podnosząc głos, żeby zwrócili na niego uwagę. - Narciarstwo biegowe i zjazdowe, surfing śnieżny i inne sporty zimowe, wioślarstwo i kajakarstwo na specjalnie wyznaczonych rzekach, wędrówki piesze i konne, polowanie i rybołówstwo. Miejscowe usługi gastronomiczne: stoją na najwyższym poziomie i zasłużenie zostały uhonorowane czterema Złotymi Kometami. Killashandra sieknęła.

- Trochę ćwiczeń poprawiłoby ci apetyt - zwrócił jej uwagę Brendan, - Komu jak komu, ale wam nie spodziewałem się robić takich uwag,

Lars zachichotał. Nawet Killashandra zdobyła się na uśmiech. Lars spojrzał na nią pytająco, a w jego spojrzeniu pojawiło się przyzwolenie.

- Niech będzie. Ma początek sporty górskie. Mogę pływać na kajakach pod warunkiem, że ty - wskazała palcem Larsa - będziesz siedział z tyłu.

- Opłaty przy lądowaniu są bardzo niskie - zachęcał ich radośnie Brendan. - Nie będzie was to wiele kosztować - dodał. - Wyślecie swój raport, a ja do was się czegoś o stanie zdrowia Boiry. Mam już sygnał. Co, niemożliwe! - wykrzyknij zaskoczony. - Penwyn, cieszę się, że cię słyszysz?! Administrator planety był ze mną w jednej klasie! - wyjaśnił zdumionym śpiewakom. - Jak to świetnie, żeśmy tu przylecieli.

Choć nad oficjalnym sprawozdaniem pracowali we dwójkę, do Centrum Komunikacyjnego zabrał je sam Lars. W drodze do osady, kiedy mijali centrum naziemnym pojazdem, Killashandra poczuła dziwny ucisk w żołądku, wskazujący nieomylnie, że to ona właśnie śpiewała kryształ-matkę układu. Bezzwłocznie wróciła na pokład B&B i zabrała się do szorowania płam na fotelach, usiłując zabić czas do powrotu Larsa. Jego nieobecność trwała znacznie dłużej niż wymagało tego przekazanie wiadomości. Killashandra najpierw poczuła się zlekceważona, potem zirytowana, wreszcie - niespokojna.

- Tu nie ma jakiegos strasznej dyktatury, która zabrania wstępu śpiewakom? - spytała Brenda.

- Nic z tych rzeczy. Ludności jest niewiele, jakkolwiek konkurencja między ośrodkami rekreacyjnymi bywa dość silna. Penwyn kieruje wszelkimi sprawami administracyjnymi, jest też lokalnym sędzią, chociaż nie ma tu specjalnego bezprawia.

Wreszcie wrócił Lars z kieszeniami pełnymi reklamowych hologramów. Z najwyższym zaczerwieniem wywał je na blat odtwarzacza i niecierpliwym gestem wezwał Killashandrę.

- Masz tu wszystko, czego dusza zapagnie! Nadałem sprawozdanie... mają tutaj znakomitą wieżę. Twój przyjaciel, Penwyn, osobiście dokonał transmisji, Bren. Mam nadzieję, że nie ma dla ciebie znaczenia, jak długo nas nie będzie?

- No... oczywiście, że nie - odparł statek nieprzytomnie, bo był pochłonięty konwersacją z Penwynem.

W ciągu dnia, kiedy decydowali, dokąd zechcą się najpierw udać - stanęło w końcu na narciarstwie biegowym, żeby nabrać trochę kondycji przed zjazdami — Brendan prawie wcale się nie wtrącał.

- Odrabia chyba ostatnie pięćdziesiąt lat - zawyrokował Lars.

- Czy wiecznie musisz głądzić o czasie? - zdenerwowała się Killashandra.

Jakie czas miał znaczenie? Liczyła się chwila obecna i to, ile człowiek potrafi z niej wyciągnąć przyjemności, a w Paśmie - ile potrafi wyśpiewać kryształ!

Lars spojrzał ze zdumieniem, po czym zaczął ją przeproszać tak lekceważąco, że pogłębił tylko jej wściekłość. Podróż do zimowego kurortu, na który padł wybór Killashandry, przebiegała w lekko minorowych nastrojach. Kiedy jednak znaleźli się na lądowisku obsługującym okolicę - długą, wąską dolinę, położoną pośród majestatycznych łańcuchów górskich - Killashandrze wrócił dobry humor.

Lądowisko mieściło się ponad linią wiecznego śniegu, na górzystym krańcu Nepalu, głównego kontynentu Szerpy. Przy wyjściu czekał na nich powściągliwie uprzejmy wysłannik schroniska, które było celem ich podróży.

- Mashid - przedstawił się z pełnym szacunku ukłonem. W trakcie całego powitania ani razu nie mrugnął wąskimi, ciemnymi oczami. - Moim zadaniem jest dbać o to, żeby życzeniom państwa stało się zadość.

Killashandra wymieniła szybkie spojrzenia z Larsem.

- Naszym życzeniom niezwykle łatwo sprostać pod warunkiem, że nie będziemy musieli oglądać żadnych zbiorników wodnych - oświadczyła, szturchnąwszy Larsa pod żebro.

- Na tych wysokościach woda jest zamrożona - odparł Mashid z flegmą.

- To czym nas będziecie poić? - spytał Lars z nieznacznym drgnieniem ust. - Topionym śniegiem?

- Wodę pitną - oświadczył Mashid, wymawiając te słowa z bezgraniczną pogardą - naturalnie sprowadza się na zamówienie, ze strzeżonych zbiorników.

- Żartowałem - zaczął tłumaczyć się Lars.

- Jak pan sobie życzy.

Mashid skłonił się ponownie, przy czym pot wystąpił mu na czoło. Cały był okutany w futra, buty miał również futrzane.

- Prowadź - polecił Lars, wskazując wyjście.

Oboje z Killashandrą w sklepie kosmoportu zakupili stosowne do górskiego klimatu stroje, ale choć słono zapłacili za swoje kurtki, nie mogły równać się z futrem Mashida. Mieli się później dowiedzieć, że - podobnie, jak większość mieszkańców gór - sam łowił zwierzęta, własnoręcznie wyprawiał ich skóry, a następnie szyl odzież.

Skłoniwszy się kolejny raz, Mashid zawrócił do wyjścia. Na zewnątrz czekały czarne sanie, malowane w krzykliwe pomarańczowe pasy. Na bokach, wypisana wielkimi ozdobnymi literami, widniała nazwa schroniska. Sanie zaprzęgnięte były w parę rogatych, szorstkowłosych zwierząt. Zwierzęta, wielkie jak sanie, dreptały w miejscu podkutymi kopytami.

Larsowi i Killashandrze wskazano tylne siedzenie. Zostali starannie okryci wielkim futrem. Mashid zwinnie wskoczył na przednie siedzenie i smagnął batem zady stworzeń. Zerwały się do biegu tak gwałtownie, że koniec bata przeleciał o cal zaledwie od twarzy Larsa i Killashandry.

Szybka jazda, w połączeniu z rześkim powietrzem i niecodziennym środkiem komunikacji, podziały rozweselające na Killashandrę, Wybuchnęła radosnym śmiechem. Nie przypomniała sobie, żeby kiedykolwiek widziała tyle śniegu. Już miała spytać Larsa, czy było tak rzeczywiście, jednak rozmyśliła się; nie zależało jej na odpowiedzi do tego stopnia, żeby narażać się na wiadomość, że Lars też nic nie pamięta. Zresztą, zwrócił się do niej z uszczęśliwionym uśmiechem i cała reszta przestała się liczyć. Grunt, że była tutaj z Larsem i miało minąć wiele miesięcy, zanim choćby pomyśli o Ballybranie i kryształach. W dodatku mróz zaczął szczypać ją w uszy, więc przysłoniła je rękawicami, zapominając o wszystkim.

W czwartym miesiącu pobytu w schronisku zdążyli już zakosztować wszelkich dostępnych rozrywek, nie wyłączając zjazdów po karkołomnych stokach na pojedynczej nartce i na rowerze śnieżnym, baletu śnieżnego, surfingu, szybownictwa, wreszcie wypraw do baśniowych lodowych jaskiń. Skwapliwie chłonęli wskazówki Mashida, trenując zajadle, dopóki nie znaleźli uznania w oczach krępkiego Nepalczyka. Nie szczędził im komplementów, zaskoczony ich niezniszczalnością. Wyglądało na to, że nigdy dotąd nie spotkał śpiewaków kryształu, nie orientował się więc, że ich siniaki, skaleczenia i drobniejsze kontuzje goiły się przez noc, dzięki czemu rano, jakby nigdy nic, mogli trenować na stoku. Opuszczając schronisko, żegnali Mashida niemal z żalem.

Jednak w kwestii sportów zimowych powiedzieli już swoje ostatnie słowo, w związku z czym z gór zeszli do rozległej, równinnej kotliny centralnego Nepalu, gdzie oddali się sportom wodnym. Z nowym przewodnikiem, daleko mniej powściągliwym niż Mashid, zrobili spływ po krętych strumieniach mknących jeźdźcami się od niebezpieczeństw wąwozami.

Co jakiś czas kontaktowali się z Brendanem, który nieodmiennie donosił, że jest zadowolony i nie widzi najmniejszych powodów do pośpiechu. Przez dwa miesiące w towarzystwie tubylców płci obojga, polowali w rejonie jezior, z inną grupą przez miesiąc włóczyli się, koczując wzdłuż wybrzeża. Przez cały czas Lars nawet nie wspominał o żaglach. Killashandra czuła, że partner dusi się od nie wypowiedzianych słów.

- Spróbowałeś wszystkiego, czego się dało - oświadczyła ostatniego wieczoru przed powrotem w głąb lądu, w okolice kosmoportu. - Chyba nie odlecimy z Szerpy, nie zakosztowawszy tutejszych zagali?

- Czyżby? - spytał z kamiennym spokojem.

- To znaczy, jak uważasz.

- Przeciwnie - oświadczył, wskazującym palcem przyciskając koniec jej nosa. - Jak ty uważasz.

Zrobiła unik, zsuwając się z łóżka. Jego gotowość do poświęceń nie wiedzieć dlaczego drażniła ją okropnie.

- Tym razem ja miałam wybierać - oświadczyła wojowniczo.

- Kochanie... - zaniepokojony Lars wyskoczył z łóżka i objął Killashandrę. - Nie wygłupiaj się. Jasne, że ty miałaś wybierać, co i gdzie robimy. A mnie podoba się wszystko, co robimy razem.

Szamotała się, rozwścieczona jego ugodowością, a nawet troskliwością.

- No, no... - usiłował ją udobruchać, przytulając do nagiego ciała. - Potrzebujesz kąpieli opalizującej? - Poglądził ją, sprawdzając nasilenie rezonansu kryształu.

- Nie potrzebuję. Jeszcze nie potrzebuję kryształu. Zaczekaj! - Nagle opuścił ją gniew. Miętko poddała się Larsowi. - Kryształ! Nie spróbowałeś kryształu.

- Spróbowali kryształu? Gdzie? O czym mówisz?

- Nigdy nie daliśmy Klejnotowi skosztować kryształu.

- Wchłonąłby go... aa, rozumiem, o co ci chodzi! - Zamrugał oczami w nagłym olśnieniu.

- Poważnie myślisz, że ballybrański kryształ nie uległby absorpcji? - Mimo całego sceptycyzmu zaczął zarażać się jej entuzjazmem. - Jaki mielibyśmy z tego pożytek?

- Komunikację. To o wiele prostsze niż bębnienie. Przynajmniej mielibyśmy z nim jakiś kontakt. - Jej rozdrażnienie ustąpiło miejsca równie gwałtownej niecierpliwości.

- Odwaliliśmy naszą robotę - zaprotestował Lars. - Wywiązaliśmy się z kontraktu...

- Owszem, ale nie dowiedzieliśmy się niczego.

- Dowiedzieliśmy się, że Skalny Klejnot nie jest w gestii Cechu Heptyckiego.

- Tak, ale nie spróbowaliśmy kryształu - powtórzyła, znów usiłując się wyrwać z jego objęć.

- Cóż, skoro to takie ważne dla ciebie, sprawdźmy, co Brendan sądzi o powrocie na Opal z kryształem. No, już dobrze, dobrze, kochanie. - Gładził ją, przemawiając pieszczotliwie, dopóki znów do niego nie przylgnęła. - Tylko skąd wziąć kryształ ballybrański?

- Mają tu czarne kryształy...

- Hmm. Myślisz, że zechcą nam go wypożyczyć na tę eskapadę?

- To nie jest żadna eskapada, tylko fragment badań. o którym zapomnieliśmy - oświadczyła.

- Cóż, skoro mają czarny kryształ, to pewnie mają też inne kolory - stwierdził, wypuszczając ją z objęć i podchodząc do konsoli komunikatora. - Prędzej czy później zawsze dochodzi do fałszu, w związku z czym muszą mieć na planecie jakiś uszkodzony kawałek. Zaproponujemy nasze usługi przy nastrojeniu, a część zapłaty odbierzemy w odłamkach.

- Nie możemy dać Skalnemu Klejnotowi rozstrojonego kryształu.

- Nie sądzę, żeby cokolwiek było w stanie przyprawić go o niestrawność - oświadczył Lars. Przez chwilę w milczeniu wystukiwał kod Brendana. - Większe odłamki zawsze dają się jakoś przestroić. Wiesz, to może być całkiem zabawne, stroić kryształ wtedy, kiedy wcale nie musimy tego robić.

Brendan bez większego wysiłku dał się namówić do powrotu na Opal, choć Killashandra wyczuła rezerwę w jego głosie.

- Jeżeli zasiedzimy się zbyt długo, nie zdążę dolecieć na Ballybran na czas, żeby odebrać Boirę, Podobno znakomicie się spisuje podczas rehabilitacji i reedukacji.

Pękał z dumy.

- Bardzo się cieszę - przyznała szczerze Killashandra. - Chcieliśmy tylko sprawdzić, jak podziela nasz kryształ na Skalny Klejnot.

- Połknie go pewnie jak całą resztę i tylko się obliże ze smakiem.

- Ballybrański kryształ można skruszyć wyłącznie dźwiękiem - oznajmiła Killashandra z godnością. - Na planecie pozbawionej atmosfery dźwięk się nie przenosi.

- Możliwe - przyznał Brendan - ale diamentu też nie próbowaliśmy.

- Ballybrańskie kryształy są twardsze od każdego diamentu, jaki kiedykolwiek wydał z siebie węgiel pod ciśnieniem.

- Nie można odmówić nam lojalności wobec planety - stwierdził Lars z rozbawieniem.

- W całym wszechświecie nie ma substancji, która mogłaby się mierzyć z ballybrańskim kryształem - oznajmiła Killashandra wyniośle.

- Chyba żeby... - w oczach Larsa zamigotał ogień przekory - miał się nim okazać nasz Skalny Klejnot!

Krystaliczny rezonans dopadł ją na pokładzie Brendana, który jednym skokiem przerzucił ich z powrotem do układu Opala, Pierwsze objawy wystąpiły, kiedy Lars przestrajał z dominanty w zmniejszoną kwintę szaro niebieski kryształ, który dostarczył im Penwyn. Zgodnie z przewidywaniami Larsa na planecie nie brakowało rozstrojonych .odłamków. Nie czekając na zachętę ze strony Penwyny, nastroili je po kolei - dla doświadczonej dwójki były to raptem trzy dni roboty - za co on, z kolei, zwolnił ich z opłat za lądowanie w kosmoporcie. Jednak sesja odbiła się na zdrowiu Killashandry. Cały dzień przeleżała w kąpieli opalizującej.

- Nic mi nie jest - mitygowała nadgorliwość Brendana i Larsa. - Bliskość czarnego zawsze tak na mnie działa.

Lars zaniechał dalszych pytań i zapewne namówił na to samo Brendana., ponieważ przestali interesować się jej stanem do chwili, gdy BB-1066 wylądował obok Nienazartego Klejnotu - jak przezwiała stalaktyt Killashandra -z wdzięcznie zestrojonymi okrucami kryształu, które udato im się odratować.

- Znów na starych śmieciach - oświadczyła z niekłamaną radością, kiedy wkładali skafandry.

- Czy my wiemy, co robimy? - spytał Lars, nasuwając kask.

- Nie.

- A wiesz chociaż, po co to robisz?

- Też nie.

- Może Skalny Klejnot ma jednak rozum.

- Masz na myśli jakieś zdolności psioniczne? - spytała Killashandra sceptycznie.

- Skąd by ci w takim razie strzeliło do głowy, żeby paść opalizującą wręgę ballybrańskim kryształem?

- Wpadłam na ten pomysł na Sierpie, a nie w jaskini. Gdyby mi to przyszło do głowy w grocie, na pewno zaczęłabym coś podejrzewać.

- Możliwe, że tak było, tylko po prostu o tym zapomniałaś. I nie złość się na mnie o swoje własne lapsus memoriael Darujmy sobie lepiej cały ten eksperyment.

Chociaż to powiedział, nie przestawał naciskać wyłącznika zaworu śluzy. Tlen zaczął się ulatniać z głośnym sykiem. Wyszli ze statku na żwir Opalu. Trzymając się fosforyzującej linii, ruszyli w stronę rewiru, w którym urzędował Nienazarty.

- Nieźle się poprawił - zauważył Lars, kiedy zeszli do grot. Błękitna, miejscami granicząca z bielą, poświata pozwalała wyłączyć reflektory kombinezonów. - To dopiero!

- Co dopiero? - zniecierpliwiał się Brendan, kiedy cisza zaczęła się przedłużać.

- Jesteś pewien, że twoje czujniki nie wykazują żadnego odczytu? - upewnił się Lars.

- Absolutnie. Mogę wiedzieć, jaki był powód twojego nieokiełzanego entuzjazmu? - spytał uszczypliwie.

- Przekarmiliśmy go - odparła spokojnie Killashandra.

- Smacznie sobie pojadł - dorzucił Lars.

- Błagam, zdradźcie mi nieco więcej szczegółów - zażądał ironicznie Brendan.

- Cholerna szkoda, że nie możesz tego zobaczyć - entuzjazmowała się Killashandra. - Klejnot pokrył całą jaskinię. Ma teraz długie macki, które zapewne przedostały się już poziom niżej. Jest piękniejszy niż kiedykolwiek, cały w czerwieniach, żółciach i oranżach, nie mówiąc o dawnych błękitach, zieleniach i fioletach. Kolory wyraźnie układają się w zmienne wzory...

- Jak fraktale - dorzucił Lars dziwnie rozmarzonym głosem. - Mógłbym na nie patrzeć... Ej, co robisz? - ofuknął Killashandrę, która pchnęła go tak, że niemal stracił równowagę.

- Zacząłeś popadać w niewolę. On ma własności hipnotyczne - stwierdziła ostro. - Kto wie, czy nie działa również uzależniające.

- Czy wobec tego powinniśmy mu dawać kryształ? - spytał ostrożnie Lars, któremu wracała dawna trzeźwość.

- Po to tutaj jesteśmy.

- Damy Nienazartemu wszystkie kryształy?

- Wystarczy jeden. Zobaczymy, co będzie - zdecydowała Killashandra.

Wskazała na ogromny naciek, spływający w kierunku podłogi. Lars wziął największy kryształ, nastrojony w As i trzymając go szczypcami, przytknął do Klejnotu. Błękit skwapliwie zamknął się nad poczęstunkiem.

Śpiewacy śledzili całą scenę z zapartym tchem.

- Oho! - zapięła triumfalnie Killashandra. - Nie potrafi zjeść kryształu.

- Co wobec tego z nim robi? - dopytywał się Brendan.

- Trzyma w ustach i smakuje — odparł Lars, puszcżając oko do Killashandry.

Skalny Klejnot przepływał, marszcząc się nad kryształową inkrustacją, próbując bezskutecznie wszystkich kolorów tęczy. Kryształ nie zmieniał postaci. W końcu pryzmat zaczął płynąć w górę, w kierunku zwieńczenia Klejnotu. Kryształ, jakkolwiek zalany ze wszystkich stron opalizującą substancją, nie poddawał się, zachowując cierpliwie nie naruszoną formę.

- Co dalej? - ponaglił ich Brendan, kiedy zamilkli.

- Popatrz! - Killashandra ze zdumieniem wskazała na torbę kryształów u swoich stóp. Odłamki pulsowały poświata przechodzącą od błękitnej szarości do granatu. -Do diabła! Skąd mam wiedzieć, czy one śpiewają? - Runęła na kolana przy torbie. - Nic nie słyszę!

Lars ostrożnie przytknął czubek rękawicy do ścianki najbliższego kryształu.

- Wibracja jest prawidłowa! - uśmiechnął się triumfalnie. - Kontakt został nawiązany!

- Możliwe, ale dopóki nie rozszyfrujemy ich kodu czy nawet... języka, pulsacje i zmiany koloru nie mówią nam więcej niż rytmny drgań. A nie jesteśmy przecież semantykami - zauważyła Killashandra z nutą żalu w głosie.

- W tej sytuacji zostawmy tę kwestię ekspertom - zaproponował Brendan. - Prawdę mówiąc, w obliczu tajemniczej substancji zaczynam niepokoić się o was jak o Boiré.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Bren - odparła Killashandra, wzruszona troską statku. -Nie wydaje mi się jednak, żebyśmy byli w niebezpieczeństwie.

- Jesteście jadalni - zauważył obcesowo. Killashandra roześmiała się. Lars puścił do niej oko.

- Zastanawiam się, czy reszta Klejnotu też urosła.

- Chodźmy zobaczyć - zaproponowała Killashandra. -Karmiliśmy wyłącznie Nienazartego.

Lars zabrał resztę kryształów. Świeciły, dopóki nie znaleźli się w śluzie powietrznej Brendana, który wycofał ich z bezpośredniego sąsiedztwa Nienazartego. Sprawdzili pozostałe stanowiska Klejnotów, ale nigdzie przyrost nie był tak znaczny jak w pierwszej jaskini, chociaż wszędzie substancja z powrotem zaczęła spływać w dół.

- Masz na pokładzie coś dla Nienazartych? - spytał Lars.

- Akurat mam - oświadczył Brendan. - Penwyn poprosił mnie o wywiezienie pewnej ilości odpadów, których nie chce gromadzić na planecie.

- Odpady radioaktywne?

- Może jestem uczynny, ale na pewno nie jestem głupi! Większość to czyste odpady z kosmodromu. Pomyślałem, że moglibyśmy ich użyć dla wzmocnienia efektu.

- Dobry pomysł - przytaknęła skwapliwie Killashandra. - Dawno nic nie jadł.

- Możemy sobie narobić kłopotów - zawahał się Lars.

- Niewykluczone. - Wzruszyła ramionami. - Ale coś mi każe to zrobić.
- Rejestruję, jakie komponenty metaliczne i organiczne mu serwujemy - oznajmił Brendan.
- Wobec tego zrobmy standardowy eksperyment porównawczy - zaproponował Lars, starając się zapomnieć o dotychczasowych wątpliwościach. - Czerem podamy metal, a czerem resztki organiczne.

Dostarczenie pokarmu i nakarmienie wygłodniałych Klejnotów było wyczerpującym zajęciem nawet przy grawitacji równej 0,7. Wlokąc się na pokład 1066, czuli jednak oboje dziwną satysfakcję na wspomnienie wzmożonego blasku i przyspieszonego przepływu substancji w nakarmionych okazach.

Po wszystkim udali się jeszcze do Nienazartego Klejnotu, by sprawdzić, co się z nim dzieje.

- Nawet on nie daje rady ballybrańskim kryształom -z dumą stwierdziła Killashandra.
- Kryształy, które zostawiliście w służbie, się nie uaktywniły - zwrócił jej uwagę Brendan.
- Szkoda, że nie mamy odpadów radioaktywnych, sprawdzilibyśmy, jak sobie radzi z okresem połowicznego rozpadu pierwiastków - zauważył Lars.

Obrzuciła go baczным spojrzeniem.

- Znów cię korci?
- Cóż, nie sądzę, żebyśmy narobili jakichś trwałych szkód. Na ile może mu wystarczyć jeden suty posiłek?

Będziemy musieli to chyba zostawić ekspertom. Naszą domeną jest śpiew, a nie nauka.

- Okazaliśmy się o wiele bystrzejsi od ekspedycji, która go znalazła - stwierdziła.
- Skąd ta pewność?
- Za wcześniej na jakiegokolwiek wnioski - zauważył pojednawczo Brendan. - Zrobiliście więcej, niż było waszym obowiązkiem. Nie chciałbym was poganiać, ale...
- Naturalnie, naturalnie - zgodziła się Killashandra, gryząc się w język, żeby nie powiedzieć, że właśnie ich pogania. - Chciałbyś jak najprędzej mieć już Boirę na pokładzie.
- Chyba dostatecznie wykazaliśmy Lanzeckiemu, że zasługujemy na nasze pieniądze - dorzucił Lars, skinąwszy z godnością głową.

Zatrzepotała rękami, jakby chciała coś powiedzieć. Ale -jej towarzysze mieli rację: zrobili więcej, niż planowano -wykazali, że Klejnot może być interesujący dla Cechu Heptyckiego. Odtąd inni będą decydować o jego losach.

Lars ruszył w stronę wyjścia z jaskini; rzuciwszy po raz ostatni okiem na pulsującą, pełznącą uparcie „mackę”, Killashandra poszła w ślady Larsa. Wciąż nie opuszczało jej uczucie, że o czymś zapomnieli.

#### Rozdział IV

BB-1066 odtransportował ich do bazy na Shankill. Na odjeźdźnym podziękował za mile spędzony czas i wyraził nadzieję, że wkrótce dojdzie do ponownego spotkania. Killashandra wyczuła jednak w jego tonie uprzejme zniecierpliwienie. Poganiała Larsa, żeby szybciej schodził z pokładu. Brendan rwał się do lotu na Regulusa, gdzie miał wyznaczone spotkanie z Boirą.

Szkice raportu dla Lanzeckiego spoczywały w torbach podróżnych, pękających od pamiątek z miesięcy spędzonych na Szerpie.

Co pewien czas Killashandra usuwała z pola widzenia wszystkie rzeczy, których okoliczności zakupu nie mogła sobie przypomnieć. Teraz z kolei nie mogła sobie przypomnieć, czy ma jeszcze dokąd usuwać nie chciane przedmioty. Czystki odbywały się zwykle pod nieobecność Larsa. Miał o wiele lepszą pamięć od niej i nie zapominał tak łatwo, gdzie i kiedy kupowali ubrania i inne pamiątki. A także: po co.

Złapali pierwszy prom na Ballybran, był w połowie Wypełniony śpiewakami. Skłoniła się ogłędnie trójce, którą udało jej się rozpoznać. Lars uśmiechał się do prawie wszystkich, choć nie wszyscy odwzajemniali jego uśmiech.

- Miny mają takie, jakby szli pod nóż - zauważył.

- Czasami idą - odburknęła automatycznie, najwyraźniej nie po raz pierwszy słysząc podobną uwagę z ust Larsa.

Było w tym dosyć prawdy, żeby natychmiast ją otrzeźwić. Na promie, odwożącym śpiewaków na planetę, na której zarabiali dosyć, żeby spełnić najwymyślniejsze zachcianki, nie było gwaru rozmów, żarcików, śmiechów. Nawet wewnątrz pojazdu mogło przyprawić o depresję każdego z wyjątkiem Larsa, który z tkliwym uśmiechem wpatrywał się w imponującą panoramę wielkich wód na dziennej stronie Ballybranu. Jest chyba jedynym śpiewakiem, który dostrzega inne zalety Cechu - skonstatowała Killashandra. - Uśmiecha się, bo w myślach żegluguje już po morzach Ballybranu.

- Dotrzymałeś umowy, więc teraz twoja kolej wybierać - mruknęła.

- Mam nadzieję, że Pat wodował go już po Przejściu - odpowiedział z nieobecnym uśmiechem.

- Nie będziemy mieli teraz czasu na rejs.

Przykrył dłonią jej dłoń spoczywającą na oparciu fotela.

- Słoneczko, zachwyca mnie to „my”! - Ścisnął jej palce z czułym, pełnym miłości napięciem. Ją również zalała fala ciepła. Naprawdę, są parą jakich mało! - Lanzecki pewnie nie czekając świtu, wypchnie nas w Pasma - westchnął.

Prom przekroczył właśnie granicę cienia, kołując w stronę powierzchni Ballybranu.

- Więcej niż prawdopodobne.

Perspektywa nie wzbudzała w Killashandrze oporów. Podczas ostatniego etapu podróży potrzeba śpiewania kryształu doskwierała jej już dotkliwie.

Uspokoiła ją ocena stanu ich kredytów. Byli zabezpieczeni przed wszelką ewentualnością, w rodzaju niemożności trafienia na eksploatowane uprzednio pokłady przyzwoitego kryształu, nagłej burzy, która zmusi ich do przedwczesnego powrotu z Pasma, czy nawet na wypadek uszkodzenia sań, choć do tego zdecydowana była nie dopuścić. Ostatnia kraksa wprowadziła ją w wielkie przygnębienie. Trzeba być skończonym osłem, żeby dać się porwać lawinie! Lars wprawdzie twierdził, że wypadek nie zdarzył się z ich winy, ona jednak uważała, że powinni byli zbadać wytrzymałość występu, na którym osadzili sanie.

Pamiętała baczne, niemal współczujące spojrzenie, jakim ją obrzucił.

„Kochanie, nie możesz żądać od siebie zbyt wiele. Masz wycucie pogody, dzięki któremu mnóstwo razy uszliśmy z życiem, znakomicie śpiewasz kryształ i nigdy ci się nie zdarzyło, żeby przy strojeniu powstała najmniejsza rysa. Żadne z nas nie zna się dostatecznie na geologii, żeby oszacować stabilność występu skalnego. Nieważne!”

Przypomniała sobie teraz spokój Larsa w obliczu tamtej katastrofy. Niestety, o wiele żywsze było wspomnienie upokorzenia, jakie stanowił powrót z Pasma w objęciach ekipy ratunkowej. Wiele by dała za to, żeby następny wypadek w Pasma zatarł ten epizod w jej pamięci, a ślad po nim przetrwał jedynie w programie osobistym Larsa, który regularnie odnotowywał wszystko. Z pewnością nie będzie jej drażnił wspomnieniami tamtej lawiny - wolałaby jednak, żeby nie umieszczał w elektronicznej pamięci niektórych detali.

Prom wylądował; z jego wnętrza wysypała się posępna gromada. Tylko Lars wydawał się w dobrym nastroju. Oficer dyżurny kosmoportu skinął na niego i na Killashandrę.

- Lanzecki mówił, że natychmiast macie złożyć mu raport. Natychmiast!

- Skąd ja to znam? - zakpił Lars, chwytając Killashandrę pod łokieć i prowadząc w stronę windy, która miała ich zawieźć na poziom administracyjny.

W biurze Bollam na ich widok skinął nieznacznie głową.

- Nie podoba mi się ten człowiek - mruknęła Killashandra do Larsa, przykładając dłoń do płytki identyfikacyjnej na drzwiach. - Obłeśny wymoczek! Chociaż nie mam takich problemów jak Lanzecki, nie zaufałam mu w Paśmie.

Drzwi się rozsunęły. Lars pchnął ją leciutko do przodu. Cechmistrza zastali dokładnie w tej samej

pozycji, w jakiej go zostawili. Kiedy jednak uniósł głowę na przywitanie Killashandry, wydał jej się bardziej znużony i, jakby trochę... niematerialny. Czym prędzej strząsnęła z siebie niepokojące wrażenie.

- Dobra robota - skinął głową w stronę obojga.

- Dobra robota? - powtórzyła zaskoczona. - Przecież Klejnot okazał się zupełnie bezużyteczny dla Cechu.

- Cóż, jeden problem mniej. - Lanzecki wzruszył ramionami. - I mówicie, że ten wasz cały Klejnot nie dał rady ballybrańskiemu kryształowi? - spytał, choć zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie. W kącikach wąskich ust Lanzeckiego zamigotał uśmiech.

Starzeje się - stwierdziła Killashandra, dostrzegając cieniutkie, pionowe zmarszczki nad górną wargą, pogłębione bruzdy na policzkach, cienie pod oczami.

- Za ciężko pracujesz - mruknęła. Lanzecki uniósł pytająco brwi. - Ten wymoczek za drzwiami nie nadaje się do tej roboty. Trzeba ci kogoś takiego jak Trag. Trag był nie tylko sprawnym...

Umilkła, widząc, jak twarz Lanzeckiego przyobleka się w maskę kurtuazji, ucinającą dalsze zuchwałstwo z jej strony.

- W czym moglibyśmy pomóc? - spytał Lars, patrząc wyczekująco na Killashandrę. Spodziewał się nie tyle aprobaty, ile wręcz poparcia z jej strony.

Nigdy nie przyjął do wiadomości lekcji, którą ona pobrała od Moksoona - w Paśmie nikt nie prosi o pomoc ani też jej nie oczekuje. Ale... baza to nie Pasma.

- Jeszcze nie musimy lecieć w Pasma - odezwała się, choć zdawała sobie sprawę, że niedługo w jej krwi zacznie pulsować nieodparty zew kryształu.

Współpraca i pomoc nigdy nie leżały w naturze śpiewaków, niemniej Lanzecki co pewien czas występował z żadaniami pod adresem jej i Larsa, doprowadzając ją tym niejednokrotnie do szału. Jednak wdzięczność za pasjonującą misję skłoniła ją do tego, by okazać pewną wielkoduszność.

- Doceniam waszą ofertę.

- Czy nie ma nikogo na miejsce Bollama? - nie chciała ustąpić.

- Potrafi być pożyteczny - wzruszył ramionami Lanzecki. - A teraz... - spuścił wzrok na najpilniejsze, czerwone notatki. -- Lars, mam do ciebie parę spraw nie cierpiących zwłoki. Ciebie, Killashandro, prosiłbym o nadzór nad następczynią Enthora. Masz niezawodne wyczucie w strojeniu kryształu. Czy byłabyś w stanie asystować jej w sortowni, dopóki nie zyska pewności siebie? Trzeba, żeby nabrała zaufania do własnego sądu. Nie chcę, żeby mi zwracano głowę pretensjami śpiewaków pod jej adresem.

- Uważasz więc, że potrafię zastąpić Traga? - spytała żartobliwie.

- W tej akurat dziedzinie zawsze go przewyższałaś - odpowiedział, nie podejmując gry.

- No, no - skwitowała. Miała ochotę pożartować, ale wstrzymał ją błysk w oczach Lanzeckiego. - Wracają jeszcze jacyś śpiewacy?

- Wieża kontrolna donosi, że pięciu jest w drodze do bazy. Nad południowo-wschodnim krańcem Pasma gromadzą się chmury burzowe. Meteorolodzy uspokajają, że zanoszą się po prostu na szkwał.

Skrzywiła się niechętnie. „Po prostu szkwał” na Ballybranie oznaczał śmiertelne niebezpieczeństwo dla śpiewaków, którzy znajdą się w jego zasięgu. Szalejące nad wąwozami gigawichry wzbudzały w kryształowych złożach rezonans, od którego niejeden stracił rozum.

- Kto został nową sortowaczką?

- Niejaka Clodine. Miej dla niej względy, Killashandro. Jej główną winą jest brak jakiegokolwiek doświadczenia.

Lars dyskretnie uniósł brew, sugerując, że powinna zaopatrzyć się w cierpliwość. Odrzuciła włosy do tyłu i na przekór jego radzie zamasyżowała wymaszerowała z gabinetu.

Clodine powitała Killashandrę z nerwową wdzięcznością, ale też z odrobiną nieufności. Sortowacze, u których adaptacja do ballybrańskiego symbionta wywoływała nadwzroczność, pozwalającą na wykrywanie rys i intruzji kryształu, byli z kolei wolni od nękającego śpiewaków zaniku pamięci. Kiedy Killashandra zbliżała się do stanowiska Clodine, stanowiska, które należało do Enthora, zanim jeszcze Killashandra wstąpiła w szeregi Cechu Heptyckiego, każdy z czwórki pełniących aktualnie służbę sortowaczy uprzejmie skinął głową albo pomachał ręką. Enthora będzie jej brakowało, chociaż kłócili się zażarcie przy okazji wyceny ton kryształu, które dawała mu do obejrzenia. Ale wiedziała, że jest uczciwy i doskonale zna swój zawód. Nawet w najgłębszej, kryształowej malignie zawsze pamiętała dwie twarze - Enthora i Lanzeckiego.

W odczuciu Killashandry Clodine nadawała się na następczynię Enthora, choć na ironię zakrawał fakt, że ona, która sama nauczyła się wszystkiego od starego sortowacza, miała teraz szkolić osobę, która go zastąpi. Cóż - nie da się ukryć, że czuła kryształ, jak mało kto.

Wysoka, szczupła dziewczyna - Killashandra oszacowała ją na niezbyt wiele chronologicznych lat - mrugała niepewnie rozbieranymi oczami, wzdrygając się mimo woli co chwila, gdyż nadwzroczność sprawiała, że najzwyklejsze widoki chwilami stawały się nie do zniesienia. Clodine była bardzo atrakcyjna, co mogło stanowić jeden z powodów, dla których Lanzecki wyznaczył Killashandrę do tego zadania. Kiedyś Killashandra byłaby wściekle zazdrosna o każdą kobietę, która zwróciłaby na siebie uwagę Lanzeckiego, to były jednak

dawne czasy, od których dzieliły ją dziesięciolecia spędzone z Larsem Dhalem. Clodine miała śliczne, gęste, jasne włosy schludnie schowane pod gęstą siateczką, do tego jasną cerę : naturalnej blondynki i piwne oczy, w których migotały świetliste cętki. Atrakcyjna, nie ma dwóch zdań. Killashandra poczuła, że jej niepokój o Lanzeckiego słabnie. Posunął się, ale jeszcze nie na tyle, żeby stał się nieczuły na wdzięki pięknych dziewcząt.

- Killashandra Ree - przedstawiła się, podając rękę Clodine, zgodnie ze zwyczajem większości zamieszkanych przez ludzkie istoty planet. Nabrała nawyku na Szarpie, i ciągle jeszcze wydawał jej się czymś najzupełniej naturalnym. Świeżo po powrocie z Pasma śpiewacy na tyle, na ile się dało, unikali dotykania kogokolwiek. Wstrząs krystaliczny bywał niekiedy szkodliwy dla mało odpornych. Ale Clodine przebywała na Ballybranie od tak niedawna, że w goście Killashandry nie dopatrzyła się niestosowności. -Lanzecki przysłał mnie, żebym pomogła ci stawić czoło bandzie ponuraków, która tu zaraz ściągnie. Nie chciał, żebyś się przeraziła na samym wstępie.

Zauważyła, że miejsce wysłużonej wagi i urzędzeń, które służyły Enthorowi przez całe dziesięciolecia, zajął nowy sprzęt. Nawet metalowy blat, porysowany i pocięty setkami tysięcy brył kryształu, lśnił nowością. Clodine uśmiechnęła się nieśmiało, a jej źrenice przeszły w nadzwyczajność, po czym wróciły do normalnego widzenia.

- Boże, chyba się nigdy do tego nie przyzwyczaję.

- Otwórz bardzo szeroko oczy, kiedy chcesz widzieć normalnie - poradziła półgłosem Killashandra, zdając sobie sprawę, że są obiektem zainteresowania pozostałych sortowaczy.

Nie przestając się uśmiechać, Clodine szeroko otworzyła oczy, zaraz jednak poddała się z jękiem.

- To niesamowite, jak szybko człowiek oswaja się ze zmianami ostrości - zauważyła Killashandra pokrzepiająco. - O, już idą.

- Idą?

Clodine powiodła wzrokiem po licznych monitorach sortowni, pokazujących pusty hangar, w którym lada chwila miały lądować sanie. Najświeższy narybek terminatorów Cechu czekał już, żeby pomóc w rozładunku drogocennych kryształów. Monitory meteorologiczne wskazywały, że szkwał, który tym razem krótko siał spustoszenie w Paśmie, pół kontynentu dalej nieszkodliwie wraca do morza. Obsługa hangaru snuła się leniwie. Kiedy wichry szalały w pobliżu masywnego sześcianu bazy, jej personel musiał spełniać swe obowiązki znacznie szybciej, a przy tym również narażać się na niebezpieczeństwo. Czasem zatrząskiwano powracającym śpiewakom drzwi hangaru przed nosem, żeby nie narażać życia tych, którzy już byli w środku. Wiek razy - o wiele więcej niż by chciała, a na pewno niż by potrafiła spać - Killashandra wpadała między zaciskające się szczęki wielkich wrót hangaru jako ostatnia.

- Widzisz? - spytała, kierując uwagę Clodine na panoramiczny ekran, na którym pierwsze sanie były już widoczne w postaci rozpędzonego, świetlistego punktu.

- Aha! - zamrużyła nerwowo Clodine, potrząsając z udręką głową. Wszystko wskazywało na to, że za chwilę się rozplacze.

- Nie denerwuj się - rzuciła przez zęby Killashandra, przysiadając na brzegu nowiutkiego blatu. -Mamy jeszcze z pół godziny, chyba że im strach doda skrzydeł - stwierdziła z rozbawieniem. Clodine rozluźniła się nieznacznie. -Skąd jesteś?

- Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek słyszała o układzie, z którego pochodzę - broniła się sortowaczka.

- No to zobaczymy - zażądała żartobliwie śpiewaczka.

- Pochodzę z planety Scarteen...

- W układzie Łowcy - dokończyła Killashandra, polechtana podziwem malującym się na twarzy dziewczyny. -Bardzo przyjemne miejsce. Ma sprzyjające żegludze prądy na Wielkich Oceanach.

- Pływałaś po Scarteen?

- Pływałam... -Killashandra urwała, powściągając zdumienie w głosie - ...po większości planet nadających się dla człowieka - dokończyła, uśmiechając się uprzejmie do nowicjuszeki.

- Pod żaglami? Nie łodzią motorową? - upewniała się dodine.

- Naturalnie, że pod żaglami. - Wzruszeniem ramion posłała w diabły wszystkie łodzie motorowe świata. - Tu też są bardzo dobre warunki do pływania, przekonasz się. Zresztą, jeżeli tylko zdążymy przed kolejnym odlotem W Pasma, ja i mój partner chętnie zaprosimy cię na jacht i ujawnimy ci tajniki żeglugi po wodach Ballybranu.

- Naprawdę?!

Kolejny raz życiowa pasja Larsa pozyskiwała jej przyjaciół. Killashandra z westchnieniem wzięła się za urozmaicanie oczekiwania na przybycie sań żeglarskimi anegdotami. Nie koloryzowała. Sortowacze nie musieli opuszczać Ballybranu tak często jak śpiewacy, jednak oni również brali od czasu do czasu urlop - zwłaszcza w okresie gigawichrów Przejęcia. Co szkodziło uprzytomnić biednej dziewczynie, że członkostwo Cechu Heptyckiego to nie tylko wytrzeszczanie oczu, żeby uwolnić się od krystalicznej nadzwyczajności, ale również pewne przywileje.

Zgodnie z przewidywaniami Lanzeckiego Clodine brakowało jedynie umiejętności postępowania ze śpiewakami rozstrojonymi po powrocie z Pasma. Obecność Killashandry zlagodziła protesty jednego ze

śpiewaków, który nie zgadzał się z werdyktem Clodine wyceniającym jego kryształ - niezły egzemplarz rzadkiej, poszukiwanej zieleni - na sumę, która i tak przechodziła jego najśmielsze oczekiwania. Wyjawszy niewielkie doświadczenie Clodine, nie miał najmniejszych podstaw, żeby podważać jej osąd, jednak targowanie się należało wśród śpiewaków do odwiecznej tradycji. Niektórzy sycili się wręcz swoistą farsą tych konfliktów, bądź pragnęli udowodnić sortowaczom swoją wyższość.

Niewątpliwie aktualny popyt miał decydujący wpływ na wycenę urobku. Jeżeli rynek był nasycony, cena ze zrozumiałych powodów nie była zbyt wysoka. Niektóre kolory zawsze pozostawały w cenie - na przykład czarny kryształ, niezbędny dla łączy komunikacyjnych. Z kolei błady róż był dosyć tani, ale nawet w tym kolorze precyzyjnie wycięty siedmiościan mógł się okazać przydatny w urządzeniach przemysłowych. Kiedy śpiewak ulotnił się wreszcie, mamrocząc z urazą, Killashandra dotknęła ramienia Clodine. Uśmiechnęła się do strapionej sortowaczki.

- Nadęty bubek... podobnie jak większość z nas. Potrafisz oszacować kryształ, a ostatnie notowania rynkowe znajdziesz w komputerze. Nie daj się zastraszyć. Są tacy po trosze dlatego, że wracają z Pasma wioząc mniej, niż się spodziewali. Ja zawsze jestem przekonana, że będę śpiewać dłużej i wyśpiewam więcej. To po prostu typowe dla śpiewaków, pamiętaj o tym i nie przejmuj się. Enthor cię szkolił? - spytała, gdyż coś w sposobie obchodzenia się Clodine z kryształem przypominało jej starego.

- Owszem. - Clodine szerzej otwarła oczy ze zdumienia. - Po czym poznałaś?

- Enthor kochał kryształ - oświadczyła wyniośle Killashandra. - Czuje się, że przekazał ci tę miłość. Pamiętaj o tym następnym razem, kiedy śpiewacy dadzą ci popalić. Ty - Killashandra dźgnęła Clodine leciutko w pierś - kochasz kryształ. Widzę to po sposobie, w jaki się z nim obchodzisz. Śpiewacy - wycelowała kciuk we własny mostek - głęboko go nienawidzą.

- Ty też?

- Tak, za to, co z nami robi.

Tym zgrabnym akcentem Killashandra zakończyła wizytę w sortowni.

Lars nie wrócił do domu. Poleżała w wannie, następnie, odziewszy się w długi szlafrok, wzięła za rozpakowywanie bagaży przyniesionych w czasie, kiedy uczyła Clodine.

Zgłodniała, a Lars nadal nie nadchodził, więc wystukała na komputerze kod poszukiwawczy.

- Jestem - oświadczył, a jego twarz konkretyzowała się właśnie na ekranie.

- Gdzie jesteś?

- U Lanzeckiego - odparł, jakby to było oczywiste. - Przyjdź do nas.

Zaskoczona, przebrała się i wróciła do kwatery Cechmistrza.

Obaj mężczyźni siedzieli razem przy stole, przy którym zwykła była biesiadować z Lanzeckim we dwoje. Na stole znajdowało się trzecie nakrycie. Lanzecki gestem poprosił, żeby usiadła. Lars wstał, przytulił ją i leciutko pocałował.

Bezszelestnie zajęła swoje miejsce, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Czekaliśmy na ciebie - oznajmił Lars, skinąwszy głową w stronę suto zastawionego stołu.

- Jak sobie daje radę Clodine? - spytał Lanzecki, uprzedzając wszelkie pytania z jej strony.

- Dobrze. Powiedziała jej, żeby nie pozwałała śpiewakom wskoczyć sobie na głowę. Jest uczennicą Enthora. Kocha kryształ. Wyjaśniłam, że śpiewacy go nienawidzą. Otworzyła jej oczy - dorzuciła z uśmiechem.

- Na wszystkie możliwe sprawy, domyślam się - zakpił Lanzecki, unosząc brew.

Znów, jak za czasów ich romansu, był Lanzeckim - mężczyzną. Nigdy dotąd nie ujawnił tej twarzy w obecności Larsa. Zaniepokoilo ją to, nie wiedzieć czemu.

- Trik stary jak świat - wyjaśniła, skrzętnie ukrywając zaskoczenie. - Szersze otwarcie oczu chroni przed zmianami ostrości. Clodine po prostu była zdenerwowana.

- Przyszło coś ciekawego? - zagadnął Lanzecki.

Obrzuciła go baczny spojrzeniem. Kto jak kto, ale Cechmistrz zawsze pierwszy znał odpowiedź na to pytanie.

- Rozmowy o Skalnym Klejnocie pochłonęły nas z Larsem bez reszty. - Lanzecki uniósł kieliszek wina najpierw w jej stronę, potem w stronę Larsa. - Bardzo ciekawy, ten wasz... Klejnot. Właściwie żałuję, że muszę całą sprawę przekazać stosownym czynnikom.

- Jest istotą rozumną - oznajmiła rzeczowo Killashandra, nakładając sobie porcję.

- Szkoda, że rozumność nie jest towarem rynkowym - stwierdził Lanzecki. - Spróbuj tych pędów milsi - zmienił temat, pdsuwając Killashandrze półmisek.

- O czym, na Boga, gadaliście z Lanzeckim przez pół dnia? - spytała Larsa, wkraczając na sypialne podium w ich pokoju.

Ziwnąwszy szeroko, powędrował na sam koniec podium, gdzie zaczął się mościć w poszukiwaniu dogodnej pozycji.

- Głównie o Klejnocie... zastanawialiśmy się, czy można się z nim porozumiewać za pomocą kryształu. Osobiście w to wątpię. I tak dalej, na podobne tematy... - Wyklepał starannie poduszkę i włożył pod głowę.

Patrzył, jak Killashandra toczy się po materacach w jego stronę. Podniósł rękę zapraszająco. Skorzystała z niemej propozycji, wtulając się pod pachę Larsa. - Brak mu Traga.

- Czy powiedział ci, na skutek jakiego kryształowego zaćmienia przyjął tego wymoczek na miejsce Traga?

Przyłożyła policzek do gładkiej piersi Larsa. Musiał wziąć kąpiel u Lanzeckiego, bo jego skóra wydzielala subtelny, wytrawny aromat. Lanzecki lubił kosmetyki o cierpkim zapachu. Nad czym ci dwaj mogli się naradzać? - zastanawiała się. Dotąd Lars z powodu zazdrości o nią nie tolerował Lanzeckiego.

Leniwie zaczął przebierać palcami po jej plecach. Zapominając o gnębiących ją wątpliwościach, pogładził go po ulubionym miejscu. Chociaż nigdy nie wątpili w nienaganne maniery Brendana, na pokładzie 1066 nie potrafili zatracić się w miłości. Teraz mogli z całkowitym bezwstydem rozkoszować się sobą.

Wolna miłość jest najpiękniejsza!

Interkom brzęczał, dopóki się nie zbudzili, a ściślej mówiąc, dopóki Lars machnięciem dłoni przed płytką kontrolną nie zgłosił swojej obecności.

- Lars? Czy mógłbyś mi poświęcić poranek? – spytał Lanzecki.

Killashandra stęknęła na dźwięk głosu Cechmistrza, ale znaczenie jego słów nie w pełni dotarło do jej świadomości. Wyciągnęła się na posłaniu, zdecydowana podjąć przerwana drzemkę. Kiedy zbudziła się wreszcie - nie do końca wiedziała, gdzie jest Lars. Jego miejsce na łóżku zdążyło wystygnać.

Wstała, umyła się i zamówiła śniadanie. Jak zwykle, nie dane jej było zjeść w spokoju.

- Killa? Jestem w gabinecie Lanzeckiego.

- Aha. Do czego udało mu się ciebie namówić?

- Aktualnie - w głosie Larsa słychać było rozbawienie - udało mu się wbrew mojej woli wzbudzić moje zainteresowanie, a jak wiesz, nie jestem typem biurokraty.

- Zgadza się.

- Nie chmurz się, Słonko. Mamy pogodny ranek i nie musimy lecieć po kryształ... jak na razie.

- Nie powiem, żeby mnie to zbyt martwiło... - oświadczyła Killashandra, ponieważ tego się po niej spodziewał. - Lars - zaciekała się nagle - co ty tam...

Ale połączenie zostało przerwane.

Bardziej zaciekawiona niż zaniepokojona, skończyła śniadanie, ubrała się i poszła do biura Lanzeckiego. Rozdrażnił ją widok pochylonego nad komputerem Bollama. Nieobecne spojrzenie i nagle zainteresowanie zawartością ekranu pogłębiło tylko jej niechęć.

- Czegoś nie możesz znaleźć, Bollam? - nie oparła się kpinie.

- Tak, tak, to znaczy... nie. Po prostu nie jestem pewien, pod jakim hasłem w katalogu Trag przechowywał raporty wstępne.

- Spróbuj napisać cztery pierwsze litery poszukiwanego pliku i rok, o ile go znasz, potem wciśnij szukanie.

Miała zamiar się z niego ponabijać, więc zirytował ją fakt, że mimo woli mu pomogła. Idąc w stronę drzwi gabinetu przechwyciła pełen ulgi uśmiech Bollama.

- Czy wyście się w ogóle nie ruszali? - spytała, zastając Larsa i Lanzeckiego w identycznych pozycjach jak poprzedniego dnia.

- Nigdy po prostu nie zdawałem sobie sprawy, jak dalekosiężne są wpływy Cechu w Galaktyce - wyjaśnił Lars, nieznaczny gestem zapraszając ją, żeby usiadła.

- A powinieneś - odparła, patrząc niechętnie na Lanzeckiego. - Wystarczy wylecieć poza Ballybran, żeby zobaczyć, jak nas wszędzie traktują.

- Miałem na myśli nie tyle śpiewaków, ile Cech jako siłę w polityce międzyplanetarnej.

-Tak?

- Wcale nie musimy się ruszać z Ballybranu! Każdy, kto chce rozmawiać z Cechem Heptyckim musi przyjechać tutaj! - zaśmiał się Lars z chłopięcym zachwytem.

Lanzecki też patrzył na nią z lekkim uśmieszkiem. Jego cyniczne rozbawienie wskazywało jednoznacznie, że Lanzecki coś knuje. Spojrzała pytająco. Ledwie dostrzegalnie pokręcił przecząco głową.

- Mam dzisiaj pewne spotkanie. Byłbym wdzięczny, gdybyście zechcieli z Larsem być obecni.

- Masz przecież asystenta! - Wskazała za siebie, w kierunku Bollama.

Mrugnięcie ciemnych oczu Lanzeckiego przekonało ją, że nie spodziewał się zbyt wiele po następcy Traga. To tylko pogłębiło jej niepokój.

- Wczoraj Enthor, dziś Trag? - zadrwiła.

- Cenie sobie twoje zdanie - oświadczył, wykonując nagły ukłon w jej stronę.

Zastanawiała się, czy liczył na to, że szacunkiem zyska jej poparcie. Bardzo możliwe. Lanzecki potrafił ją nieraz lepiej przejrzeć niż Lars. Nagle dotarło do niej, że łatwiej jej zawsze dojść do porozumienia z Larsem niż z Lanzeckim. No tak, ale Larsowi zawsze chciała iść na rękę. Ufała mu bardziej niż Lanzeckiemu w okresie, kiedy byli z Cechmistrzem namiętnymi kochankami. Kto wie, może zresztą dlatego podświadomie buntowała się przeciwko niemu?

- Bollam! Masz już te dane?! - zawołał Lanzecki.

- Jeszcze nie - zabrzmiała nerwowa odpowiedź. Przez twarz Cechmistrza przeleciał wyraz bolesnej cierpliwości.

- Pamiętam system Traga - oświadczyła Killashandra, zawracając do konsoli Bollama, który ewidentnie nie był w stanie dobrać się do katalogu. - Posuń się - poleciła roztrzęsionemu urzędnikowi. - Czego szukasz?

- Satelitarnej Ligi Górniczej Afarii Cztery - odparł, rozdarty między oburzeniem na jej zuchwalstwo a ulgą, że uwolniła go z trudnego obowiązku.

Killashandra wystukała „Afar4SLG.doc” i niedostępna jakoby informacja wyświetliła się na całą szerokość ekranu.

- Naprawdę, próbowałem - jęczał Bollam.

- Cóż, czasem trzeba wiedzieć, który klawisz nacisnąć, żeby wymusić posłuszeństwo - odpowiedziała, wzruszając ramionami. Przegrała informacje na dyskietkę.

- Prosi też o Międzyplanetarną Ligę Górniczą.

- Który rocznik?

- Dwa tysiące siedemset siedemdziesiąty szósty.

Ściągnęła brwi w skupieniu. Dwa tysiące siedemset siedemdziesiąty szósty? Zaraz, w którym to roku uciekła ze swojej planety z tym jak mu tam było - śpiewakiem? Czy to był dwa tysiące sześćset dziewięćdziesiąty dziewiąty? Czy może dwa tysiące pięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty? Pokręciła głową z irytacją, po czym skoncentrowała się na wystukiwaniu odpowiedniego kodu. Z otworu wyskoczyła kolejna zapisana dyskietka. Killashandra o wiele lepiej dawała sobie z tym radę niż Bollam. Zebrała zapisane dokumenty i, nie zaszczyciwszy Bollama jednym spojrzeniem, zaniósła je do Lanzeckiego i Larsa.

Cechmistrz uśmiechnął się z wdzięcznością i zabrał się za odczytywanie dyskietek. Z rękami założonymi na piersiach obserwował, jak pierwszy dokument wyświetla się na monitorze.

Czując się zobowiązana dotrzymać towarzystwa Lanzeckiemu, nie wychodziła z gabinetu. Lars również. Wyszukiwała kolejne dane, o jakie ją prosił, ignorując Bollama, który usiłował podpatrzeć przez ramię, dlaczego przychodzi jej to z taką łatwością. Z przyjemnością obserwowała, jak gładko układa się współpraca pomiędzy Larsem a Lanzeckim. Miała wrażenie, że Cechmistrz bardzo uważnie przysłuchuje się opiniom Larsa. Co pewien czas wstukiwał je do osobistych notatek.

Zjawili się uczestnicy zjazdu w strojach chroniących przed ballybrańskim powietrzem. Lanzecki wkroczył na salę obrad wsparty na ramionach Larsa i Killashandry. Afariańska Liga Górnicza planowała rozciągnąć swoją sieć komunikacyjną na pas asteroid, na których aktualnie prowadzono wydobywanie. Na czarny kryształ nie było Afarian stać.

- Czarny nie jest niezbędny w komunikacji z asteroidami. Równie dobrze można posłużyć się błękitnym, który kosztuje o połowę mniej - wyjaśnił Lanzecki. - Zaraz przedstawię kosztorys.

Wcisnął dyskietkę do czytnika i na największym monitorze pojawił się stosowny wykaz.

- Nawet to nie mieści się w naszym budżecie - oznajmił przewodniczący delegacji, potrząsając przysłoniętą kaskiem głową.

- Nie sądzę - palnął Lanzecki.

Uderzył w klawisz i miejsce kosztorysu zajął wykaz obrotów Ligi.

- W jaki sposób uzyskał pan dostęp do zastrzeżonych informacji? - zaatakowała go delegatka o ostrych rysach i wąsko osadzonych oczach.

- Mam słabość do kolekcjonowania „zastrzeżonych” informacji - wyjaśnił.

- Stać was na łącze z zielonego kryształu - poinformował Lars. - Naturalnie komunikat idzie dłużej, zwłaszcza między odległymi stacjami. Łącze błękitne jest niewątpliwie szybsze. Generalnie rzecz biorąc, każdy kolor jest wart swojej ceny. Wybór należy do was.

Killashandrze udało się zachować kamienny wyraz twarzy, chociaż mocno rozbawiła ją nieugiętość Larsa. Ten rys jego osobowości rzadko dawał o sobie znać. Był chłodny i bezkompromisowy - jak Lanzecki. Cóż za niezwykle rozwój wypadków.

- Jesteśmy w posiadaniu błękitnego zestawu stosownego do tego typu instalacji - przemówiła gładko, - Trudno powiedzieć, kiedy będziemy mieli dostateczną ilość zielonego kryształu. - Wzruszyła ramionami. - Zielonego nie tnie się łatwo. Wymyka się strojeniu, podobnie jak czerń, której zresztą też nie mamy na składzie. Na czarny kryształ wysokiej jakości musielibyście długo poczekać.

- Nie stać nas na kryształ tej jakości - oświadczyła kobieta, gniewnie miotając słowa do mikrofonu w swoim hełmie. - Sądziłyśmy jednak, że skoro już zadamy sobie trud, by do was dotrzeć, zechcecie nam pójść na rękę.

Lanzecki chrząknął nieprzychylnie.

- Liga nie dysponuje niczym, co mogłoby zainteresować Cech. Cech natomiast posiada coś, co interesuje was. Znacnie nasze ceny. - Podniósł się z miejsca. - Możecie to wziąć albo nie. Decyzja należy do was. Lars i Killashandra wstali razem z Lanzeckim.

- Czekajcie! -przeraził się szef delegacji. - Chyba się nie zrozumieliśmy. Stałe mamy wypadki, również wypadki śmiertelne, i inne problemy związane z brakiem przyzwoitej łączności. Potrzebny nam jest system komunikacji, na którym można w pełni polegać.

- Błękit jest do waszej dyspozycji. Możecie zdecydować się na zieleń, jeżeli nie stać was na nic lepszego -oświadczył obojętnie Lanzecki. Nie przejmował się wynikiem rokowań.

Killashandra spostrzegła w oczach kobiety błysk nienawiści,

- Mój mąż wraz z dwoma synami zginął w katastrofie górniczej...

- Jeden śpiewak zginął, a dwóch odniosło ciężkie obrażenia podczas wydobywania błękitnego kryształu - oświadczył Lanzecki, ograniczając się do zwrócenia głowy w jej Stronę. - Wszyscy coś straciliśmy, a jednocześnie mamy coś zyskać.

- Pan jest bez serca... - Rozjuszona jego stoicyzmem kobieta rzuciła się na Lanzeckiego.

Killashandra skoczyła, by osłaniać tyły Cechmistrza, ale Lars unieruchomił napastniczkę bez trudu.

- Lideen, zostaw go! - powiedział przewodniczący delegacji, podchodząc do kobiety. Złapał ją za rękę i przekazał swojej ekipie. Zanim przemówił, musiał wziąć głęboki oddech. - Jeżeli dobrze rozumiem, Cechmistrzu, w interesach nie ma miejsca na sentymenty.

- Tak samo w naszych jak w waszych - odparł Lanzecki z chłodną uprzejmością.

- W waszych żyłach płynie kryształ, a nie krew! Macie serca z kryształu! - krzyczała Lideen, kiedy dwaj delegaci górników ciągnęli ją przez salę.

- Nasze ceny nie podlegają negocjacji - dorzucił Lars. -Macie dwie drogi do wyboru. Albo zaczekacie na nasycenie rynku błękitnym kryształem, bo wtedy cena zestawu spadnie, choć w tej chwili nic nie wskazuje na to, by to miało nastąpić, albo zaczekacie na zestaw zielonych. Stan waszych kredytów świadczy o tym, że Ligę stać na jedno i drugie. Wybór należy do was.

Idąc z Lanzeckim i Larsem w stronę drzwi, Killashandra obejrzała się przez ramię. Na twarzy szefa delegacji malowało się wahanie. Bardzo potrzebował kryształu; wiedział, że stać go na zakup, wołał jednak odwołać się do wypróbowanego chwytu. Ewidentnie jednak nie miał nigdy przedtem do czynienia z Cechem. Bardzo prawdopodobne, że Liga Afariańska złoży zamówienie, zanim Afarianie wystartują z bazy na Shankill. Ktoś powinien był ich uprzedzić, że wszelkie targi z Lanzeckim i z Cechem Heptyckim nie mają najmniejszych szans powodzenia. Wiedziała o tym większość mieszkańców zamieszkanego świata. Ale od czasu do czasu ktoś porywał się na podobne ryzyko, licząc na zaoszczędzenie paru kredytów. Niestety prawda była taka, że wydobywanie kryształu miało z górnictwem na asteroidach jedną cechę wspólną i tu, i tam cena niepowodzenia okazywała się bardzo wysoka, Wzruszyła ramionami.

- Przekłęci durnie - dobiegł ją głos Lanzeckiego, kiedy zamykała drzwi do sali konferencyjnej.

Szttywno podszedł do stołu, przy którym przepracowali wiele godzin z Larsem, wcisnął w dysk kolejną dyskietkę i spojrzął na ekran.

Zupełnie jak nie on - Killashandra patrzyła na niego z osłupieniem. Lars też pokręcił lekko głową. Po chwili zbyła całą sprawę wzruszeniem ramion.

Kiedy minął tydzień, a Lars w dalszym ciągu nie wspominał o wyprawie w Pasma, zdecydowała poruszyć tę sprawę.

- Czy Afarianie złożyli zamówienie? Może powinniśmy się skupić na znalezieniu zielonego kryształu? - spytała, gdy wreszcie późnym wieczorem zawitał do ich mieszkania.

-He?

Najwyraźniej myślami był zupełnie gdzie indziej. Czula się pominięta, co przyprawiało ją o rozdrażnienie. W końcu byli partnerami, w dodatku bardzo bliskimi; nigdy dotąd nie mieli przed sobą tajemnic.

- Myślałam, że wróciliśmy ciąc kryształ, a nie wysiadywać na stołkach, grzebiąc w plikach.

- Możemy ruszać za dzień czy dwa - rzucił jej przepraszający uśmiech.

Uniosła brwi, próbując delikatnie go wybadać. - Zamierzasz przejść stanowisko Bollama?

- Bollama? - Popatrzył na nią zdumiony, po czym ze atuechem chwycił ją w objęcia. - Mając najlepszą partnerkę w całym Cechu? Ja, no... po prostu schlebia mi, kiedy Lanzecki zasięga moich porad, to chyba naturalne.

- Z całym szacunkiem dla twoich porad, ale to zupełnie do Lanzeckiego niepodobne.

- Niestety, masz świętą rację, kochanie - westchnął ze smutkiem. - Podejrzewam, że Traga brakuje mu bardziej, niż by się chciał do tego przyznać.

- To po co brał sobie takie bezmózgowie jak Bollam? Nie ma w Cechu nikogo lepiej przygotowanego?

- Czy przez tych parę dni udało ci się znaleźć kogoś na jego miejsce? - Rozbawiony jej wybuchem przyciągnął ją do siebie i zaczął kołysać.

Odepchnęła go, wściekła i urażona. Sądziła, że jej poszukiwania są tajemnicą.

- Cóż, prędzej czy później każda rzecz tutaj dociera do uszu Lanzeckiego. Prosił, żeby ci przekazać, że docenia twoje starania, jednak Bollam najzupełniej mu odpowiada.

Killashandra zaklęła.

- Wiesz co, mam ochotę na jakąś późną przekąskę -wyznał Lars, zaciągając ją do jadalni. - Byłbym

całkiem zapomniał. Afarianie zamówili zestaw błękitny, w dalszym ciągu jednak narzekają na koszty i gładzą o pogwałceniu tajności danych oraz o naruszeniu norm etycznych.

Dwa dni później wyprowadzili sanie z hangaru i skierowali się na wschód, w stronę Pasma Milekeya. Tuż za nimi wystartowały drugie sanie, ale natychmiast skierowały się na północny wschód.

- To Lanzecki - skonstatowała ze zdumieniem Killashandra.

- Właśnie dlatego pracował ostatnio bez wytchnienia. Chciał pozatwierać wszystkie sprawy przed wyjazdem. Dobrze mu zrobi taka odmiana. Prawdę mówiąc, bardzo jej potrzebuje.

- Tak, ale z Bollamem?

- Zapewniam cię, że też mam wątpliwości, ale kto wie, może ten Bollam znakomicie tnie kryształ. Inaczej Lanzecki nie zechciałby go w to wprowadzać.

- Wprowadzać? - Killashandra zamrugła powiekami. - Bollam nie przeszedł w Paśmie jeszcze chrztu bojowego? - Przypomniała sobie cieniutkie blizny na szyi i rękach Bollama. - Naciął już chyba dosyć.

- Krążą pogłoski, że był najbardziej niezdarnym uczniem, jaki kiedykolwiek przestąpił próg hangaru. Ma szczęście, że w ogóle znalazł się ktoś, kto go zechce wprowadzić, zważywszy na to, że iloma śpiewakami ma na pieńku za upuszczenie kryształów przy rozładunku sań.

Rzuciła niecenzuralny epitet pod adresem Bollama.

- Domyślam się, że wprowadzanie osób, z którymi nikt nie chce mieć nic do czynienia, należy do obowiązków Lanzeckiego - ciągnął Lars z westchnieniem.

- Nie zazdroszczę mu.

- Ja też nie. - Odwrócił się do niej z czułym uśmiechem. - Ale też mam najlepszą partnerkę w całym kosmosie.

-Hu!

Żartobliwie machnęła pięścią w stronę jego szczęki. Szczerze zazdrościła Bollamowi tego, że Lanzecki prowadzi go na pierwszą wyprawę; ten dureń z pewnością nie zasługiwał na taki zaszczyt. Dziwiło ją jednak, że Cechmistrz nie wyznaczył tej misji komuś innemu, własne talenty zachowując na czas, kiedy Bollam zapozna się już jako tako z górami.

- Dokąd się wybieramy? - spytał Lars, kiedy dotarli do Pasma Milekeya.

Skrzywiła się. W jej umyśle i we krwi odezwała się stara Wątpliwość. Każdy śpiewak chciał po to, żeby jak najprędzej opuścić Pasma. Z drugiej strony jednak, bliskość kryształu działała regenerująco. Im częściej śpiewało się z konkretnej żyły, tym łatwiej było ją później odnaleźć. Ilekroć przez jakiś czas przebywała poza planetą, przyciąganie złoża słabło. Niemniej, jako śpiewaczka, od czasu do czasu musiała wypłukać z krwi rezonans kryształu. Zbyt częste śpiewanie było niemal równie niebezpieczne jak zbyt rzadkie. Z Larsem wielokrotnie zdarzało im się wyśpiewać dokładnie tyle, ile trzeba - to było główną zaletą pracy w duecie.

- Przypominasz sobie, gdzie cieliśmy zielony parę wypraw temu?

Obrzucił ją przeciągłym, baczny spojrzeniem.

- Coś nie tak? - zdziwiła się. - Cieliśmy już przedtem zielony, a że nie ma go teraz na rynku, możemy dostać niezłą cenę.

- Dlaczego nie poszukać czarnych?

- Wiesz, jak trudno trafić na czarny, przyzwoity czarny - odparła płaczliwie. Za nic w świecie nie chciała śpiewać czarnych kryształów.

- Widzę zielone złoże - oświadczył, obniżając nieznacznie lot sań. - Nasza farba solidnie wyblakła — ciągnął. - Wiele burz przeszło, od kiedy śpiewaliśmy ostatnio zielony.

- Nie tak znów wiele!

Nie podejmując tematu, przyspieszył lot.

- Czekaj nas dłuższa jazda. Rozsiądź się wygodnie.

Przyglądała się postrzępionym grzbietom Pasma. Starsze i nowsze barwne plamy znaczyły terytoria poszczególnych śpiewaków. Dawniej rozpoznawała właścicieli po kolorze i znaku. Teraz było to ponad jej siły. Ich symbolem była czarno-żółta jodełka, którą Lars przezornie wymalował na pulpicie sterowniczym sań. Przeklinała go często za ten wybór, gdyż malowanie rybiego kręgosłupa na nierównych powierzchniach skał było diabelnie trudne, musiała jednak przyznać, że czarno-żółte paski z daleka rzucały się w oczy. Sanie prężyły po niebie tak szybko, że szczyty i grzbiety górskie zlewały się niemal w jedną, przyprawiającą o zawrót głowy smugę. Pod dosyć świeżym znakiem zauważyła metaliczny połysk sań skrytych częściowo pod skalnym nawisem.

- Niech lepiej uważają - mruknęła pod nosem. - Półki skalne potrafią czasami spaść człowiekowi na głowę.

- Co mówisz, skarbie? - spytał Lars, ale machnęła tylko ręką z uśmiechem.

Był już późny ranek, kiedy zaczęli krążyć.

- Zdaje się, że coś znalazłem - oświadczył Lars i sanie zawisły nieruchomo.

- Jesteś pewien? - Killa, mrużąc oczy, daremnie wypatrywała śladu farby na skałach; nigdzie nie mogła dojrzeć kolorowej jodełki.

- Jak najbardziej. Chcesz, żebyśmy wysiedli i przypomnieli sobie okolicę?

- Z całą pewnością powinniśmy odświeżyć farbę - zauważyła, zdenerwowana faktem, że barwnik, reklamowany jako odporny na promienie słońca, spłowiał aż tak bardzo. To właśnie znaki ostrzegały śpiewaków przed wzajemnym naruszaniem swoich terytoriów. Obszary te miały kształt koła o wyprowadzonym ze znaku promieniu pół kilometra. Nikomu nie wolno było przekraczać ich granic. Kolejny środek ostrożności polegał na tym, że symbol niekoniecznie musiał znajdować się na samym złożu - czy nawet w jego najbliższym sąsiedztwie. Żyła równie dobrze mogła biec na samej krawędzi terytorium, a mimo to właściciel zachowywał do niej prawo.

- Najpierw malowanie, potem rekonesans - przypomniawszy Lars starą zasadę.

Namalowali znak, po czym zrobili przerwę na posiłek, nie przestając rozglądać się dookoła w nadziei, że jakieś punkty charakterystyczne przywołają wspomnienia.

- Musimy zlecieć niżej - oświadczyła Killashandra po przełknięciu ostatniego kęsa. - Z góry wszystko wygląda obco.

- Ene, due, like, fake - odliczał Lars, okrążając w powietrzu szczyt.

Przy „fake” przestał krążyć i skierował sanie do niewielkiego wąwozu. Puścił oko do Killashandry: przypadkowy wybór często okazywał się trafny. Precyzyjnie zaparkował pojazd w cieniu rzucanym przez przeciwległe zbocze żlebu. Powitała jego przezorność skinieniem głowy; teraz aż do rana byli niewidoczni z powietrza.

Wysiadła pierwsza. Z nadzieją, że poczuje we krwi bodaj najlżejszy rezonans, czy znajdzie ślady poprzednich cięć, przejechała palcami po nierównych ścianach skalnych.

Lars ruszył w przeciwną stronę. Spotkali się na drugim końcu wąwozu. Nie zauważyli niczego, za czym się rozglądali.

- W lewo czy w prawo? - spytał Lars po powrocie do san.

- Pierwsze, co przyszło mi do głowy. W prawo! - oświadczyła Killashandra po chwili namysłu. - Zobaczmy, czy można temu wierzyć.

Okazało się, że dobrze trafiła - w wąskim parowie, na prawo od miejsca pierwszego lądowania, wypatrzyli ślady cięcia.

- Poznałbym nasz styl na końcu świata - oświadczył Lars.

- Chciałeś powiedzieć twój styl - odparowała, wdając się w kolejną nie kończącą się dyskusję, podczas której zawrócili do san po piły dźwiękowe.

- Może lepiej zaczekajmy, aż słońce je oświeśli - zaproponował Lars.

- Wszystko jedno. Podaj mi C.

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, zaśpiewał klarowne, donośne środkowe C, kolejny raz z błyskiem w oku rzucając jej wyzwanie. Cięła z równym impetem, o tercję wyżej niż Lars. Dźwięk wrócił do nich rykoszetem. Zadrżeli od alikwotów.

- Niektóre są pęknięte - stwierdziła Killashandra, mimo to zgodnie ruszyli w stronę, skąd dobieg ich rezonans. - Chyba zielony, sądząc po sile echa.

- A nie mówiłem, że tu gdzieś śpiewaliśmy już zieleń?

Wspięli się na zbocze, ponownie odśpiewali nutę zestrojoną z częstotliwością złoża i nastroili odpowiednio piły. Killashandra zaznaczyła linię cięcia, w duchu przygotowując się na przeraźliwy skowyt zaatakowanego kryształu. Przyłożyła pilę do zbocza. Lars przytknął swoją o dłoń dalej.

W pierwszym podejściu odcięli pęknięty fragment, od-janiając szeroką żyłę subtelnej zieleni.

- Afarian szlag trafi, kiedy się o tym dowiedzą - zauważyła, odcinając jeszcze jedną bryłę kwarcu ze skałą.

W co celujemy?

- Jasne, że w zestaw komunikacyjny.

Po odgarnięciu gruzu zaśpiewali jeszcze raz, sprawdzając, Czy nie trzeba dostroić pil. Ale C Larsa i E Killashandry powracało czystym echem. Jednocześnie przytknęli ostrza ipił do ściany i, jednocześnie zaczerpnąwszy powietrza, Zaśpiewali pełną piersią.

## Rozdział V

Ciemności zmusiły ich, żeby zatrzymać się po wycięciu dwunastu pięknych kryształów spoczywających teraz na miękkiej wyściółce przenośnych pojemników, starannie unieruchomionych rzemieniami w schowku sań. Zgodnie z wieloletnim przyzwyczajeniem spokojnie przygotowali posiłek. Zjedli, a następnie, w dalszym ciągu posłuszni rytuałom, umyli się. Dni, kiedy pieśń kryształu zagłuszy cywilizowane nawyki, miały nadejść później. Lars zajął się wpisami do dziennika pokładowego sań. Killashandra opuściła podwójną koję i wydobyla pościel. Zasnęli jednocześnie.

Poranne słońce muśnięciem promieni ogłosiło w Paśmie pobudkę, która żadnego śpiewaka nie mogła pozostawić obojętnym - pierwsze promienie, rozpraszając chłód nocy, zaczęły wydobywać z kryształu uwodzicielskie kuranty. Dźwięki, choć chaotyczne, były niezwykle czyste, gdyż w blasku porannego słońca odzywał się tylko kryształ bez skaży. Brzęczenie drażniło zmysły, podniecało, stawiało się coraz głośniejsze i bardziej natarczywe. Lars i Killashandra zwrócili się twarzami do siebie. Odpowiedziała na uśmiech, widoczny w półmroku kabiny, wyciągnęła rękę w stronę jego ramienia, tęskniąc za chwilą, kiedy spotkają się ich nagie ciała. Gdy ich wargi zetknęły się, powietrzem targnęło zmysłowe arpeggio zachwycające i pieszczotliwe, zwieńczone czystym górnym C, którego wybrzmiewająca fala spowiła ich jednoczące się ciała.

To był prawdziwy powód, dla którego mężczyźni i kobiety śpiewali kryształ wspólnie - słuchanie muzyki, przeżywanie cudownych doznań, ekstaza, jaką jedynie kryształ potrafił wzbudzić w jasne, rześkie poranki. Cudowne zjednoczenie, jakie stawało się ich udziałem, było rekompensatą za wszystkie przyziemne niesnaski i wymówki, a tych sobie nie szczędzili, kiedy kryształ pękł czy rozłupał się i u stóp ścieliły się okruchy całodziennego wysiłku. Ich związek był w stanie przetrwać każde nieszczęście, gdyż scalała go perspektywa niebiańskich sekwencji dźwięków, jakie emitował kryształ w promieniach słońca, i towarzyszących im równie niebiańskich doznań,

- Musimy się ruszyć, kochanie - wymruczał Lars, nawet nie drgnąwszy. Killashandra, rozleniwiona wspomnieniem namiętności, mruknęła odmownie schrypniętym głosem, osłaniając oczy przed słońcem, które strugami wlewało się przez okna kabiny. - No, chodź! Wspaniała pogoda. - Pchnął ją w stronę krawędzi łóżka. - Odwalimy kawał roboty. Robię śniadanie. Dzisiaj masz pierwsza prawo do wizyty na dziobie.

Wiedział, że tylko lekkim, żartobliwym tonem ma szansę ją dobudzić. Wstała i przeciągnęła się zmysłowo, posyłając mu uwodzicielskie spojrzenie.

- Nie próbuj na mnie nawet tych sztuczek, złotko - powiedział surowo, klepnąwszy ją w pośladek.

Bywało, że sam widok jej szerokich ziewnięć potrafił go podniecić, choć oboje wiedzieli, że stosunek na bis, już po Wschodzie słońca, nie będzie się umywał do poprzedniego.

Próbując swoich wdzięków, ruszyła na dziób, ale zbył ją śmiechem, wciągając drugą nogawkę kombinezonu i zapinając strój nad całkowicie nieczułą męskością. Porwała porozrzucane ubrania i rozsunęła drzwi kabiny sanitarnej. Kiedy Lars się mył, kończyła przygotować śniadanie, posiłek, który miał dać im siłę na cały dzień pracy. W pogodne dni śpiewacy zwykle nie robili przerw na jedzenie, tnąc, póki starczyło światła.

Killashandra pamiętała jak przez mgłę, że w czasach, kiedy walczyła o każdą bryłę kryształu, żeby wydostać się na czas Przejścia z planety i choć trochę odpocząć od pieśni kryształu, zdarzało jej się w świetle dwóch księżyców ciąć przez całą noc.

Pracowali owocnie przez pięć dni. Wtedy w głowie Killashandry zadźwięczał ostrzegawczo alarm meteorologiczny.

- Burza? - Lars znał ją na wylot.

- Tak, ale jeszcze daleko. - Przytknęła piłę do kolejnej warstwy kryształu.

- Do licha, mamy osiem skrzyń tego złomu. Nie ma sensu ryzykować. Farba jest na tyle świeża, że bez trudu znajdziemy złoże po burzy.

- Mamy czas. Śpiewaj - zażądała na wpół błagalnie. - Zielone trudno znaleźć i nie chcę odlatywać, jeśli jeszcze jest czas. Burza może obrócić złoże w jedno wielkie rumowisko.

- Wobec tego przynajmniej nie tnijmy zbyt precyzyjnie - powiedział, obrzuciwszy ją baczny spojrzeniem.

- Chyba nie sądzisz, kochanie, że będę czekać, aż dostaniesz od wiatru kryształowej gorączki?

- Taką też mam nadzieję. Ta warstwa wygląda mi na molową - dodał, nucąc b-moll i nasłuchując, jak echo odpowiada w tej samej tonacji.

- Zaśpiewam E, czy może wolałbyś A?

Energicznie potwierdził drugą możliwość, po czym zaśpiewali, tnąc natychmiast, gdy kryształ odpowiedział żalosnym lamentem, oplakującym własną zagładę.

Przecucie burzy ogarnęło Killashandrę ponownie w chwili po tym, jak zapakowali do pojemników dziewięć kryształów z ostatniego urobku.

- Chyba polecimy - stwierdziła, dzwignąwszy piłę.

Przykucnęła, łapiąc uchwyt skrzyni z kryształami. Lars uniósł pojemnik z drugiej strony; szybkim krokiem ruszyli w kierunku sań. Na miejscu przypiął skrzynię pasami, a Killashandra odwiesiła piły i usiadła na

fotelu pilota, Zamknęła śluzy i włączyła silniki.

Lars wyrzwał przez okno po prawej i zaklął.

- Ściana nachyla się pod nieprawidłowym kątem. Nic nie widzę. Skąd nadchodzi burza?

- Z południa.

W tym samym momencie włączył się alarm meteorologiczny. Zdążył zawyć zaledwie raz; dłoń Killashandry nieomylnie trafiła w ukryty wyłącznik.

- Przyznaj się, że wyprzedzasz wszelkie nowinki technologiczne, jakie Cechowi udaje się wyżebrać, wypożyczyć, bądź ukraść - uśmiechnął się Lars, dumny z jej talentów.

-Aha.

- Tylko nie wbij się w pychę.

- Zapowiada się niezła wichura. - Poprawiła się na fotelu. Czula już w kościach rezonans odległych uderzeń Gigawichru o kryształ. - Im dłużej śpiewam kryształ, tym bardziej czuje w kościach pogodę.

- Nieraz nam to pomogło ocalić kryształ i skórę.

Pionowo oderwała sanie od ziemi, a kiedy wychynęli nad krawędź wąwozu, zobaczyli ciemny pas burzowych chmur wabiących się na poszarzałym horyzoncie. Skierowała pojazd w stronę bazy i wzniosła go nad wyższe skały, ustawiając dokładnie nad świeżo wymalowanym znakiem. Z satysfakcją pomyślała o tym, że emblemat przetrwa tę burzę i jeszcze parę następnych, zanim miecione wichrem odłamki skał znów zdrapią farbę do gołej skały. Wylatywali z Pasma, kiedy zapaliła się lampka interkomu.

- Wzywam pomocy, wzywam pomocy! - wołał oszalały ze strachu głos.

- Pomocy? Kto, u diabła... - zaczęła niechętnie, nachylając się do głośnika. Lars przysłonił dłonią mikrofon.

- To głos Bollama.

- Bollama? -Spojrzała pytająco. Imię nic jej nie mówiło.

- Nowego partnera Lanzeckiego - wyjaśnił Lars półgłosem. - Co się dzieje, Bollam? - rzucił do mikrofonu.

- Lanzecki. Nie mogę go zatrzymać.

- Wyjmij mu z rąk kryształ - poradziła Killashandra niecierpliwie.

Złościło ją, że w dalszym ciągu nie może skojarzyć tego jakiegoś Bollama.

- On nie trzyma kryształu, tylko tnie i nie zamierza przestać. Ne chce mnie słuchać. Kryształ... go zniewolił.

- Jasne, że tak, wymoczku, dlatego właśnie rzadko lata w Pasma. Do ciebie należy wyrwanie go z transu. Właśnie po to zabiera w Pasma partnera - wyjaśnił Lars, wciąż jeszcze nie tracąc cierpliwości.

- Próbowałem wszystkiego, daję słowo! Ale on jest większy ode mnie! - Głos przeszedł w żalosne skomlenie.

- Zwał go z nóg - zasugerował Lars, na którego twarzy coraz wyraźniej malował się niepokój.

- Tego też próbowałem.

- Tnij w poprzek jego piły. Rozstrój mu piłę, rozwał dźwięk - ryczała Killashandra, rozwścieczona jego debilną tępotą.

Skąd Lanzecki wytrzymał takiego niedołęgę?

- Nie mogę! Nie umiem ciąć w poprzek! To moja pierwsza wyprawa w Pasma! To on miał być moim przewodnikiem!

Głos Bollama był nabrzmiały pretensją i litością dla siebie. Coś zaskoczyło wreszcie w pamięci Killashandry. Z identycznym rozżaleniem Bollam informował ją, że nie może znaleźć plików afariańskich.

- Teraz rozumiem, dlaczego Bollam mu odpowiadał -oświadczyła Killashandra z goryczą. Wreszcie pojęła, do czego zmierzał Lanzecki.

- Zawracaj sanie. Musimy przynajmniej spróbować. -Szarpnięciem za rękę Lars zmusił ją, żeby spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie. - Z powrotem oparła dłonie na sterach, zaciskając zęby z nieoczekiwanego bólu. Była oślepiona przez łzy. -Nie możemy! To wbrew przepisom i regulaminom. SOS na Ballybranie znaczy tyle co nic,

- Nic?! - wrzasnął z furią Lars. - Jest naszym przyjacielem, był twoim kochankiem! Jak możesz go tak porzucić?

- To nie ja go porzucam! - odwrzasnęła, a w jej dzikim spojrzeniu można było wyczytać całą wściekłość, urazę, ból, jaki sprawiała jej świadomość, co Lanzecki chce zrobić.

- Zmywaj się stamtąd, Bollam! - ryknęła w interkom. -Ratuj własną skórę. Jemu i tak nie pomożesz.

- Mam go zostawić? - spytał Bollam ze zgrozą. Był wstrząśnięty jej bezduszną radą. - To przecież Cechmistrz. Moim obowiązkiem jest...

- Nie ma, nie było i nie będzie takiego obowiązku w naszych regulaminach, Bollam. Zjeżdżaj stamtąd, pókiś cały. Zostaw Lanzeckiego,

- Ty mu to radzisz?! - wykrzyknął z oburzeniem Lars.

Odwrociła do niego zalaną łzami twarz. Ucisk w gardle nie pozwalał jej mówić.

- To jego wybór - udało jej się wykrztusić z trudem. Przelknęła łzy i spojrzała Larsowi prosto w oczy. - Pomyśl czy istnieje jakikolwiek logiczny powód, dla którego zadawałby się z takim wymoczkim jak Bollam? Zupelnym żółtodziobem w Paśmie? Zbyt słabym fizycznie, żeby wytrącić go z uzależnienia? Nie mamy prawa się do tego wtrącać. Musimy uszanować jego wybór.

Oplotła łokciami stery tak, że musiałby jej wykręcić ręce, żeby przejąć kontrolę nad saniami. Ale nie próbował z nią walczyć. Siedział przyglądając się biernie, jak co sił w nowych silnikach wyprowadza ryczącą maszynę z Pasma.

- Lanzecki celowo to wszystko zaaranżował?

- Śpiewacy niekiedy dokonują takiego wyboru, Lars - odpowiedziała równie cicho. Znow poczuła ucisk w gardle, a w oczach pieczenie łez. Chociaż nie było jej się łatwo z tym pogodzić, jednak nie miała cienia wątpliwości, o co Lanzeckiemu chodziło. W uszach brzmiał jej jeszcze jego głęboki głos, jakim zapewniał ją, że Bollam potrafi być użyteczny. Powinna była się domyślić, do czego zmierza, i próbować... czego właściwie? Perswadować znużonemu człowiekowi, żeby jeszcze nie kończył życia, które stało się zbyt monotonne z powodu licznych obowiązków, przytłoczone ciężarem trosk, samotne po śmierci wieloletniego partnera? - Był Cechmistrem od stuleci.

Lars milczał, dopóki nie usłyszeli za sobą skowytu doganiającej ich burzy.

- To dlatego tak bardzo zależało mu na tym, żeby zrozumiał politykę Cechu? - spytał Lars słabym, drżącym głosem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie jestem pewien... - Uniósł ręce w geście zwątpienia. - po prostu... no cóż, znaliście się dobrze i... ile razy wracaliśmy Pasma, zapraszał nas do siebie, ale ja zawsze myślałem, że chodzi mu o ciebie, tymczasem... - Nie dokończył zdania.

- Nie rób sobie nadziei, Larsie Dahl - oznajmiła szorstkim, chłodnym głosem. - Mogłeś sobie mieć Przeskok Milekeya..

- Też go miałaś.

- Tak, ale za żadne skarby nie zostanę Cechmistrem. -Spojrzała na niego, oczekując podobnej deklaracji. - Do diabła. Lars, jesteś przecież moim partnerem. A do tego, żeby zostać Cechmistrem, nie wystarczy tylko zrozumienie polityki naszego Cechu.

- To prawda - przyznał stłumionym głosem i zapatrzył się w przestrzeń. Przelatywali nad ostatnimi wzgórzami dzielącymi ich od bazy.

Komendant lotów zasygnalizował, że mają zaparkować sanie obok sortowni, w towarzystwie pół tuzina pozostałych maszyn, którym udało się uciec przed burzą. Killashandra wygasila silniki i odwróciła się do Larsa.

- Wyładuj skrzynie, dobrze? Ja pójde się odmeldować — oświadczyła bezbarwnym głosem.

- Mogę to zrobić za ciebie, jeśli wolisz - zaproponował, nagle bardzo ludzki w swoim tajonym współczuciu.

- Nie, to ja pilotowałam sanie.

Komendant lotów, wysoki, chuderlawy mężczyzna, którego Killashandra w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, zmierzał w jej stronę, dając znaki, żeby zaczęła.

- Czy gdzieś natknęłaś się na Bollama? Tego, którego wprowadzał Lanzecki?

- Owszem - odparła tak obojętnie, że aż przyknał oczy ze zdumienia. - Nie umiał wyrwać Lanzeckiego ze stanu Zniewolenia. Kazaliśmy mu czym prędzej wracać z Pasma.

- Chcesz powiedzieć...

Przyszła pracownica bazy zajmująca się nadzorem przewozów. Minę miała ponurą.

- Uważam, że Lanzecki zrobił to świadomie! - oświadczyła Killashandra prowokacyjnie.

- Jesteś tego pewna, Killa? - spytała tamta. Killashandra odwróciła się w jej stronę, unikając oskarżycielskiego wzroku komendanta lotów.

- Po cóż by sobie dobierał takiego wymoczką jak Bollam? W dodatku kompletnego żółtodzioba? Zbyt niedoświadczonego, żeby wiedział, jak przerwać zniewolenie? Zbyt nędznej postury, żeby miał szansę w starciu z Lanzeckim?

Kobieta odpowiedzialna za cargo schyliła głowę, zamykając oczy.

- Nie rozumiem, Killashandro Ree... Byłaś dość blisko, żeby zdążyć w porę? - domagał się odpowiedzi oficer dyżurny.

- Postanowiłam uszanować wybór Lanzeckiego. Wszystkim radziłabym to samo.

Okręciła się na pięcie, zwracając do sań nieomal biegiem. Zza pleców dobiegały ją odgłosy sprzeczki tamtych dwojga. Ciche, zwięzłe odpowiedzi kobiety świadczyły o tym, że usiłowała pogodzić się z wyborem Lanzeckiego.

Kiedy w milczeniu wyładowywali we dwójkę skrzynie z kryształem, czuła, że stosunek Larsa do jej decyzji jest ambiwalentny. Wyglądało na to, że wiadomości zdążyły już przecieć z hangaru do sortowni. Rozmawiano przyciszonym głosem, ukradkiem toczono debaty na temat cen kryształu. Kiedy sortowaczka wyjaśniła im, ile dostaną za zielony, Killashandra nie przeżyła nawet odrobiny uniesienia, jakie cyfry tego rzędu

powinny były w niej wzbudzić. Lars tylko zmarszczył brwi, skinął głową i odszedł od blatu. Sortowaczka wzruszyła ramionami. Killashandra powlokła się za Larsem do wind. Wysłuchiwała komunikatu meteorologicznego, nadawanego wszędzie, nawet tutaj, ponieważ pogoda dla śpiewaków była sprawą najwyższej wagi. Nie pojawiła się żadna wzmianka o zaginionych saniach. Nigdy nie informowano o zaginionych saniach.

- No i dobrze - mruknęła, kiedy komunikat dobiegł końca. Burza zaliczała się do tych przelotnych szkwałów, gwałtownych, lecz krótkich, i jedyną ofiarą jej impetu było życie Lanzeckiego. - Jutro wieczorem będziemy mogli wrócić w Pasma.

- Co ty bredzisz? - obruszył się Lars. - Jeszcze nie znaleziono Lanzeckiego, a ty już... - Urwał, widząc wyraz jej twarzy.

- Im prędzej wyląduję w Paśmie, tym prędzej zapomnę - oświadczyła, sina z wściekłości.

- Zapomnisz o Lanzeckim? - spytał w osłupieniu.

- Zapomnę! Zapomnę!

Drzwi windy otworzyły się. Killashandra pobiegła korytarzem do ich apartamentu. Za plecami słyszała kroki Larsa, ale wcale nie była mu wdzięczna, że za nią idzie.

Wbiegła do środka, trzasnąwszy drzwiami. Usłyszała znajomy odgłos ciekącego do wanny płynu opalizującego. Niezdarnie zrzucając po drodze skafander i buty, weszła do łazienki i wgramoliła się do wanny. Płyn sięgał jej dopiero do łudek, więc nadstawiała ramiona i plecy pod strumień z kranu. Z pokoju dobiegł ją niewyraźny głos Larsa wprowadzającego do osobistej pamięci najświeższe dane. Żeby go zagłuszyć, bluznęła wiązką przekleństw.

Kiedy w południe następnego dnia zeszli do jadalni, powitały ich milczące, przygnębione twarze pracowników bazy. Killashandra podstawiała swoją tacę pod automat z napojami alkoholowymi, Lars natomiast obserwował miny tych, którzy siedzieli w alkowach. Jego dyskretne poszukiwanie Bollama ponownie rozbudziło furię Killashandry.

- Lanzecki jest już na tamtym świecie — syknęła, szarpiąc go za koszulę. — Co pijesz?

- Yarrańskie - odpowiedział bezbarwnie.

- Yarrańskie? Masz zamiar pić piwo? Dzisiaj jest dzień na nalewkę paralizującą, a nie na piwo!

- Myślałem, że zamierzasz jutro rano być w Paśmie - zauważył z gorzką ironią. - Polecisz na kacu?

- Na największym kacu, jaki uda mi się sprokurować przed startem - odparła buńczucznie, wychylając pierwszy z szeregu potrójnej objętości kieliszków na swojej tacy.

Wrzuciła naczynie do otworu odzyskowego, wciskając jednocześnie guzik, żeby zamówić następne.

- No to polecisz sama - oznajmił.

Wyjął z automatu piwo i odszedł, zostawiając ją tam, gdzie stała.

Zdumiona, patrzyła, jak lawiruje wśród stolików kierując się w stronę alkowy, w której siedziała już para komendantów hangaru. Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, że Lars ma ciągotki masochistyczne. A może chciał po prostu sprawdzić, czy Bollamowi przypadkiem nie udało się zaciągnąć Lanzeckiego do sań i przewieźć do bazy?

Wymoczek z pewnością tego nie dokonał, w przeciwnym przypadku personel nie siedziałby obstawiony alkoholem. Rozejrzawszy się uważniej, stwierdziła, że większość obecnych osiągnęła ten stopień pijaństwa, do jakiego sarna zmierzała. Osuszyła kolejny kieliszek i, stąpając z namaszczeniem, żeby nie uronić ani kropli znieczulającego płynu, ruszyła w stronę Larsa. Wokół stolika unosił się duszny opar ketonów. Obsługa hangaru musiała ostro pić, od kiedy rozniosła się wiadomość o wypadku.

- Przeżyje, przeżyje - uspokajała właśnie szefowa działu cargo, kiedy Killashandra zbliżała się do nich. - Trudno natomiast przewidzieć, czy będzie się jeszcze do czegoś nadawał. - Podniosła wzrok na Killashandrę i, krótkim skinieniem głowy, zaprosiła śpiewaczkę do stolika. Komendant lotów wyraźnie nie zaaprobował jej zaproszenia. - Daj spokój, Murr, jesteś z nami dopiero od niedawna i niczego nie rozumiesz. Słusznie postąpiłaś, Killashandro - dodała i poklepała poduszkę obok siebie. Uniosła brwi na widok ilości alkoholu na tacy. - Wesołego kaca! - wzniosła toast kubkiem z kawą.

Nagle Killashandra straciła wszelką ochotę na pijaństwo, które zaplanowała. Jej żołądek buntował się, burcząc głośno. Siadła, złożyła ręce na podółku i zapatrzyła się w Larsa, od którego pociechy i zrozumienia była bardziej uzależniona niż swego czasu od śpiewania czarnego kryształu. Ostentacyjnie nie zwrócił na nią uwagi. Łzy same popłynęły jej po twarzy.

- Zrobiłaś słusznie, bardzo słusznie - zapewniła ją cicho ta od cargo i ucisnęła ramię Killashandry łagodnie, ale mocno. - Prawda, Larsie Dahl? - dodała surowo.

Lars spojrzał na nią i w jego polu widzenia znalazła się zapłakana twarz Killashandry.

- Może i prawda, skoro tak uważasz - westchnął z rezygnacją, spuszczaając wzrok.

- Posłuchaj, Dahl - szefowa przechyliła się przez stolik, patrząc groźnie. - Właśnie tak uważam. Jak chcesz, zapytaj kogoś ze służb medycznych. Oni już dawno wiedzieli. - Machnęła ręką w stronę tej części bazy, gdzie mieściły się pomieszczenia, w których przetrzymywano wyniszczonego śpiewaków, dopóki serca nie przestawały bić w ich okaleczonych ciałach, a ich pustych umysłów nie spowił do reszty mrok. - Ja też wiedziałam - oznajmiła wyzywająco. - Murr nie znał Lanzeckiego w sile wieku jak my z Killashandrą. Killa знала

go lepiej niż większość z nas. Murr, Lars, pozwólcie sobie powiedzieć, że postąpiła słusznie. Nie mam pojęcia, jakim cudem ten dupek, Bollam, w ogóle przeszedł przez testy. Domyślam się tylko, że był zbyt tchórzliwy albo zbyt przerażony, żeby zrezygnować, kiedy już się dowiedział, czym ryzykuje zamieszkując na Ballybranie. Miał bardzo kiepskie Przejsie, zupełnie jakby symbiont również się zorientował; że wybrał sobie nieciekawego nosiciela. Nigdy nam przez myśl nie przeszło, że zostanie śpiewakiem! - Pogarda w jej głosie niespodziewanie podzialała na Killashandrę kojąco. - I to jeszcze partnerem Lanzeckiego!

- Lanzecki był jego przewodnikiem... - odezwał się Lars, jakby, wbrew wszystkiemu, szukał jakiegoś usprawiedliwienia.

- Kiedy Lanzecki powiedział, że zainicjuje tego ciamajde, wiedziałam, że go więcej nie zobaczę w hangarze - wybuchnęła z rozgoryczeniem. - Pamiętasz, jak ci to mówiłam, Murr?

- Ale dlaczego? - spytał Murr. - Wszyscy twierdzą, że był najlepszym Cechmistrem w historii Cechu...

- Było ich dotąd tylko czterech - zwróciła mu uwagę.

- Czterech? - powtórzył Murr ze zdumieniem. - Przecież Cech będzie wkrótce obchodził siedemsetlecie!

- Cóż, niewątpliwie. Ja sama kieruję cargiem od prawie dwu i pół stuleci.

Murra zatkało do reszty - wbił nieruchomy wzrok w swą rozmówczynię, jakby obawiał się, że pierwszym mrugnięciem powiek obróci w proch jej żwawą sylwetkę i atrakcyjną twarz. Mimo smutku Killashandra nie mogła powstrzymać rozbawienia.

- Co takiego lekarze wiedzieli o Lanzeckim? - spytał Lars, nie zdradzając żadnych żywszych uczuć, jednak Killashandrą wyczuła, że jego niechęć wobec niej osłabła.

- Wszystkich nas czeka taki sam koniec. - Szefowa carga wzruszyła ramionami. - W którymś pokoleniu symbiont słabnie i następuje fizyczna degradacja. Wtedy zaczyna się szybka jazda w dół. - Dostrzegła wyraz twarzy Murra i uśmiechnęła się. - Nic się nie bój, Murr, nie tak łatwo się mnie pozbędziesz. Mój symbiont i ja nadal jesteśmy w znakomitej formie.

- Czy nigdzie w Karcie Cechu nie wspomina się o zasadach wyboru nowego Cechmistra? - spytał Lars, obserwując, jak Murr usiłuje odzyskać panowanie nad sobą.

- Nie - wyjaśniła specjalistka od przewozów, marszcząc nieznacznie brwi. - Jak już wspominałam, ten problem pojawia się bardzo rzadko.

Killashandrą spojrziała na Larsa płomiennym wzrokiem. Leciutki uśmieszek w kąciку jego ust bynajmniej jej nie uspokoił.

- To z pewnością potrwa - stwierdziła obojętnie kobieta. - Tutaj wchodzi w grę polityka. Rzecz stara jak świat. Będą musieli wybrać kogoś, kto będzie odpowiadał stałej klienteli Cechu.

- Oni... to znaczy kto? - spytał Lars.

- Pojęcia nie mam - kolejny raz wzruszyła ramionami. - Może instruktorzy będą wiedzieć. - Powiodła wzrokiem po sali. - Żaden nie wygląda na wystarczająco trzeźwego, żeby warto go było o to pytać. Muszę wracać do pracy. Czy mam postawić wasze sanie na pasie startowym? Burza już przeszła.

Killashandrą nie odważyła się spojrzeć na Larsa.

- Tak, jutro znów polecimy - oświadczył, a ona z ulgą opadła na poduszkę.

Ale ulga ulotniła się z chwilą, gdy przypomniawszy sobie zapowiedź szefowej działu cargo, że na wybory nowego Cechmistrza trzeba będzie długo poczekać.

Tak więc w końcu nie upiła się, żeby zagłuszyć dojmujący ból po odejściu Lanzeckiego. Postanowiła znosić żal równie dzielnie jak specjalistka od przewozów i Lars zamiast topić go w alkoholu jak Murr. Piła jedynie kufel za kuflem yarrańskie piwo. Śpiewak mógł pić spokojnie yarrańskie piwo przez cztery dni, zanim odczuł pierwsze oznaki stępienia zmysłów, Doniesiono jej, że Bollam przetrwał, a jego szczątkowy umysł nie uległ dalszemu zubożeniu. Kiedy statek ekipy ratunkowej natknął się na jego rozbite sanie, adept sztuki śpiewaczej był nieźle poraniony, na szczęście, zanim puścił stery, udało mu się wymknąć ze strefy burzy. Czuła do niego niechęć za to, że kryształ odjął mu wszelkie wspomnienia o Lanzeckim. Rwała się do odlotu w Pasma z nadzieją, że zagna tam podobnej ulgi. Parę dni śpiewania kryształu w Paśmie i człowiek zapominał o wszystkim. Następnego dnia Lars wstał jeszcze przed świtem. Byli już spakowani. W milczeniu przebyli drogę do hangaru. Szefowa carga uniosła dłoń w geście pozdrowienia; komendant lotów, Murr, machnął jedynie, żeby dać im sygnał do startu. Oficjalny znak otrzymali od jednego ze szkolonych nowicjuszy.

Sanie jak wystrzelone z procy poleciały prościutko nad czarno-żółty znak nad złożem zielonego kryształu.

- Nie powinniśmy byli lecieć tutaj od razu - odezwała się Killashandra do Larsa, kiedy przelatywali nad znakiem.

- Niebo jest czyste - odpowiedział z lekceważącym wzruszeniem ramion.

Miał rację. W powietrzu nie było ani jednego śpiewaka, który mógłby wypatrzeć kierunek, w jakim lecą ich sanie.

Kiedy wylądowali w niewielkim wozie, natychmiast zobaczyli, że złożo zostało zniszczone. Resztę dnia spędzili usiłując dośpiewać się do czystej barwy.

- Zostawmy to w diabły, Lars - przez Killashandrę przemawiały doświadczenia dziesięcioleci. - Nic tak nie pęka jak zielony po odsłonięciu żyły.

Kopnął poniewierające się pod nogami okruchy, po czym ruszył do sań. W wąwozie przesпали noc, ale kiedy poranna pieśń kryształu obudziła w nich pożądanie, był to jedynie głos kryształu, a nie ich serc.

Tydzień zajęło im staranne przeszukanie koła otaczającego znak. Natknęli się na złoża różowego, ale kryształ był tak blady, że nie warto było stroić pił. Czuli się sobie tak dalecy, jak nigdy dotąd, więc Killashandra na przemian to klęła w duchu, to modliła się o żyłę, która rozładuje nieznośne napięcie. Gdy zaczną śpiewać, nawet Lars zapomni o wszystkim albo przynajmniej jego ból przygaśnie.

Pogoda, jak na złość, była aż za dobra. Pasma omdlewało w uściskach ballybrańskiego lata. Noce spędzali po najgłębszych, najbardziej zacienionych wąwozach, szukając wytchnienia od wściekłego żaru.

- Zaczynam tęsknić za burzą - zwierzył się Lars. - Będziemy musieli wracać, jeżeli gdzieś nie nabierzemy wody.

- Nigdzie nie wracam, dopóki nie znajdę kryształu!

Wzruszył ramionami. W końcu jednak natknęli się na głęboką sadzawkę pod skalnym nawisem, z którego popękanej ściany sączyła się woda, tworząc w cieniu jeziorko. Napelnili zbiornik sań, potem rozebrali się do naga i wykąпали, uprali ubrania w miejscu, gdzie z sadzawki wypływał nalutki strumyczek. Ulga była wprawdzie tylko fizyczna i nie duchowa, jednak stali się teraz dla siebie łaskawsi niż kiedykolwiek od chwili, gdy głos Bollama zakłócił ich porozumienie.

Późnym rankiem następnego dnia Lars, który siedział u sterów, wypatrzył, wyblakłą już prawie do cna żółto-czarną jodelkę.

- Co ty na to? Masz ochotę tu śpiewać?

- Nie pamiętam, jaki to kolor, ale nic mnie to nie obchodzi. Mogłabym nawet ciąć różowy, byle ciąć cokolwiek!

- Ene, due, like, fake - Lars skierował sanie na południowy wschód w wąską rozpadlinę, od północy zamkniętą wysokim zboczem. Na wschodniej krawędzi zauważyli nacięcie w kształcie litery V. - Pamiętam to miejsce.

- Całkiem przyzwoite nacięcie. - Zanim Lars wylądował, zdjęła już obie piły i, chwyciwszy w biegu manierkę z wodą, pognęła w stronę nacięcia, potykając się na starych odłamkach. - Czarny! Lars, mamy czarny kryształ!

Opuściła ją depresja, a podczas wspinaczki na skalną półkę pamiętała nawet o zachowaniu ostrożności. Lars odśpiewał pięciokrotnie czyste, mocne C; nawet przez grube podeszwy butów wyczuła odpowiedź kryształu. Wydobyła pierwszą bryłę, po czym stoczyła walkę z Larsem, który musiał jej wyrwać pryzmat z rąk, gdyż czarny kryształ jak zwykle ją zniewolił. Kiedy Lars zaczął układać go w skrzyni, dostała histerii. Trzy razy, z całej siły, dał jej w twarz. Z ulgą osunęła mu się w objęcia.

- Już dobrze, kochanie, dobrze - mruknął, muskając jej włosy. - A teraz bierzmy się do ciecia. Za Lanzeckiego. Zawsze się cieszył, kiedy wracaliśmy z czarnym.

- Tak, ale już mnie nie zmusi do tego, żebym je podłączała w jeden układ! Nie zmusi mnie, choćby nie wiem co!

Zastanawiała się, gdzie dokonać następnego ciecia i ile im się uda tym razem wydobyć czerni w najwyższym gatunku. Nie zwróciła uwagi na dziwne spojrzenie, jakim obrzucił ją Lars.

Clodine wyceniła pięć skrzyń czarnego według najwyższych stawek rynkowych. Taka ilość wystarczała dla dwóch układów planetarnych - tych, naturalnie, które stać było na system komunikacji oparty na czarnych kryształach. Wydobyli też kilka niezłych, pojedynczych sztuk, nadających się do uzupełnienia istniejących już instalacji. Clodine nie kryła swojego podziwu.

- Nikt nie potrafi ciąć tak jak wy. Nie przypuszczałam, że śpiewacy mogą być tak wielkimi indywidualnościami - odważyła się na wyznanie.

- Dokąd jedziemy, Lars? - spytała Killashandra. - O ile mnie pamięć nie myli, twoja kolej wybierać.

- Chyba tak - roześmiał się.

Czuła, że przyszedł do siebie, ale nie mogła sobie przypomnieć po czym.

Po powrocie do apartamentu jak zwykle zanurzyła się natychmiast w wannie, a Lars uzupełniał dane pamięci.

- Szybko się uwinęłaś - skomentowała.

Miała wrażenie, że dopiero co wszedł do pokoju. Zwykle zapis zajmował mu co najmniej kwadrans. Lars, nie zdjawszy jeszcze ubrania, z zaskoczeniem wpatrywał się w wydruk. Trzymał go tak, że mogła przeczytać jego treść.

- Zgłosić się na konferencję? Czegóż Lanzecki tym razem chce od ciebie? - Pociągnęła go za rękę. - Najpierw musisz rękę wykapać. Cuchniemy oboje!

Zaśmiała się. Zapach Larsa, nawet najbardziej nieświeży, nieodmiennie wprawiał ją w podniecenie.

- Lanzecki? - Westchnął ze smutkiem.

Ciekawe, co się mogło stać? - pomyślała.

- Pójdę sprawdzić. To wiadomość sprzed paru dni.  
- No, to może poczekać jeszcze parę minut.  
Zrzucił z siebie przeпоcony, pocięty kryształami skafander.  
- Wezmę prysznic. Wrócę, jak tylko się dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. - Zgniół wydruk i wrzucił do odzyskiwacza.

- Lars! Mieliliśmy przecież robić plany...  
- Zajmij się tym, kochanie. Znajdź nam jakąś oceaniczną planetę, na której jeszcze nigdy nie byliśmy - zaproponował z wymuszoną beztroską, zupełnie zrozumiałą u kogoś, komu kazano stawić się natychmiast u Lanzeckiego po upalnym miesiącu spędzonym w Paśmie.

Trzeba będzie paru długich kąpielí, żeby spłukać ze skóry wszystek pot i kurz. Do diabła, nienawidziła Ballybranu latem. Słońce spaliło jej włosy - dotknęła centymetrowych kosmyków. Nie, nie, zaraz... ach tak, już sobie przypominała: mieli je tak brudne i zlepione potem, że w którymś momencie ostrzygli się nawzajem do skóry.

Zanurzyła się aż po brodę; płyn opalizujący oblepił ją gęstą mazią, wypłukując pulsującą w porach wibrację. Była wykończona. Nie miała pojęcia, skąd Lars bierze siły, żeby odpowiedzieć na wezwania Lanzeckiego. Pamiętała jeszcze tylko, żeby wyciągnąć z wnętrza uchwytów bezpieczeństwa i zapiąć wokół ramion. Gdyby zasnęła, nie zsunie się pod wodę. Wiedziała, że śpiewacy topili się w kąpielí. Nie mogła sobie przypomnieć, kto uległ podobnemu wypadkowi.

Ledwie poczuła się jako tako domyta, kiedy do łazienki wpadł Lars. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym uśmiechnął się w sposób, który oznaczał, że ma dla niej niezbyt radosną wiadomość.

- Pacjentka w krytycznym stanie czeka na przewiezienie z Shankill - oznajmił dobitnie. Jęknęła.  
- Zgłosiłeś się na ochotnika? Dlaczego ten Lanzecki zawsze nas musi wybierać?

Wskazał ją palcem, zmarszczył brwi i uśmiechnął się z zakłopotaniem, więc Killashandra jęknęła jeszcze raz.

- Znowu mnie wyznaczył?

Lars zrobił dziwną minę, a potem jeszcze mocniej ściągnął brwi.

- Przeciwnie, to ja cię wyznaczyłem. - Podeszedł do wanny, po drodze zdejmując ręcznik z wieszaka. - Ciężki przypadek. Postawiono mylną diagnozę. Cała nadzieja w symbioncie.

Dźwignęła się z kąpielí i nie zwracając uwagi na błagalny wyraz jego oczu i zaciśniętą linię warg, ruszyła w stronę prysznica, roniąc po drodze ciężkie krople opalizującego płynu. Odkręciła kran. Obracając się z wolna, żeby dokładnie spłukać płyn, przez zasłonę z wody patrzyła na Larsa. Zakręciła kurek i łaskawie sięgnęła po ręcznik, który Lars trzymał już w pogotowiu. Westchnęła.

- Czy Lanzeckiemu aż tak bardzo brakuje ludzi, że prowadzi rekrutację wśród konających? - zakpiła, wycierając się z wystudiowaną zmysłowością.

Ujrawszy ponownie osobliwy wyraz na twarzy partnera, zorientowała się, że miłosne igraszki są ostatnią rzeczą, która mu w głowie.

- Ona pochodzi z Fuerte. Uznałem, że do tej misji będziesz najodpowiedniejszą osobą, jaką Cech może wysłać.

Nie umknął jej uwagi lekki nacisk, z jakim wymówił słowo „uznałem”. Właśnie przymierzała się do zrobienia kolejnej kpiącej uwagi, kiedy dotarło do niej, że Lars na prawdę domaga się od niej wykonania tej misji.

- Prom czeka, Killa - upomniął ją łagodnie. - Nie ma zbyt wiele czasu do stracenia.

- Czemu akurat ja, do cholery? - Cisnęła ręcznik w kąt i uważnie przyjrzała się swemu ciału. - Nie mam nawet żadnej świeżej blizny do zademonstrowania ani dowodów na odmładzającą działalność symbionta, podobnie jak dowodów na to, że pochodzę z Fuerte - dodała z cierpkim uśmiechem.

- Nie zostało jej wiele czasu. - Lars uśmiechnął się kąciakiem ust; w jego błękitnych oczach nadal czaił się smutek. - Myślę, że do udzielenia informacji o warunkach życia na Ballybranie nadajesz się jak mało kto.

Mamrocząc gniewnie pod nosem, podeszła do szafy i wyciągnęła pierwszy z brzegu kombinezon. Wepchnęła nogi w nogawki, wcisnęła ręce w rękawy, zapięła całość. W tym czasie palcami nóg ustawiła buty w pionie. Wepchnęła stopy do środka.

- Gdzie ją trzymają?

Lars objął ją, trącając nosem w ucho. Ucałował ciepło, choć bez cienia zmysłowości.

- W dziale rekrutacji.

- Rekrutacji?

Skinął głową.

- Zrozumiesz na miejscu. Teraz już idź!

Odprowadził ją do windy i pocałował jeszcze raz, kiedy wysiadała na poziomie startowym. Nie była zachwycona tym, że Lanzecki nie uwzględnił w misji towarzystwa Larsa, nie miała jednak nic przeciwko samemu zadaniu - nie pierwszy raz zlecano jej podobną misję.

Symbiont ballybrański stanowił ostatnią deskę ratunku dla osób, które zapadły na choroby, wobec

których współczesna medycyna rozkładała ręce. W cywilizacji galaktycznej nawet drobne mutacje gatunku ludzkiego pociągały za sobą nieproporcjonalne reakcje immunologiczne na stosunkowo niewinne wirusy. Infekcje tego typu nie reagowały nawet na imponujący arsenał środków farmaceutycznych ani na udoskonalone techniki leczenia wypracowane na bazie starych, dobrych, ziemskich metod oraz nowinek przejętych od innych ras galaktycznych. Kontakt z ballybrańskim symbiontem okazywał się niemal w stu procentach skuteczny - w każdym razie u osób, u których uszkodzony organ nie wymagał jeszcze usunięcia. Niewątpliwą wadą tej kuracji był fakt, że pacjent zmuszony był później prowadzić życie, na jakie skazał go symbiont, choć nie zawsze zostawał śpiewakiem kryształu, gdyż praca ta wymagała słuchu absolutnego. Na szczęście śpiewanie kryształu nie stanowiło jedyne go dostępnego zawodu na Ballybranie. Praca w służbach pomocniczych była zawsze mile widziana. Killashandra zastanawiała się, jakie też umiejętności może posiadać nowa kandydatka. Może zastąpi wymoczkę w biurze Lanzeckiego? Osobisty prom Cechmistrza stał na pasie startowym. Na widok Killashandry pilot natychmiast przerwał pogawędkę i żywo gestykulując dał jej do zrozumienia, iż powinna się spieszyć. Wyglądało na to, że ją znał, więc zaszczyciła go uśmiechem.

- Coś o niej wiadomo? - spytała, zapinając pasy.

Skinął głową, nie przerywając dopełniania ostatnich formalności z kontrolerem ruchu. Odezwał się dopiero, kiedy opuszczali atmosferę Ballybranu.

- Jest córką jakiegoś dostojnika na tej, jak jej tam...

- Fuerte.

- No właśnie, Fuerte. Personel medyczny twierdzi, że to ostatni dzwonek, Jakieś paskudztwo wlaźło jej w kręgosłup. Killashandra wzdrygnęła się.

- Jak na ironię, pracowała właśnie nad szczepionką przeciwko tej infekcji.

- Jest lekarką?

Mimo dobroczynnego działania symbionta personel medyczny był bardzo wysoko ceniony na Ballybranie.

- Z działu badawczo-wdrożeniowego. Nie za wiele tego „b” i stanowczo za mało „w” - dodał.

Baza Shankill natychmiast skierowała ich na pas lądowania należący do Cechu.

- Zaczekam - oświadczył pilot z lekkim ukłonem, otwierając włącz promu.

Szef działu rekrutacji, okazały mężczyzna o imponującej prezencji, z wielką ulgą przyjął przylot Killashandry.

- Proszę za mną, Killashandro Ree. Nie powinni byli zwlekać tak długo - dorzucił tonem nagany. - Może już być za późno.

Killashandra na końcu języka miała dość ciętą ripostę, ale ograniczyła się tylko do wzruszenia ramionami.

- Tędy - oświadczył, mijając pokoje do rozmów z kandydatami i prowadząc ją do większego pomieszczenia. - Dopełniłszy już niezbędnych formalności...

- No to dlaczego. - Urwała, gdyż pchnął drzwi i znienacka znalazła się w wypełnionym po brzegi pokoju. Wyraz twarzy obecnym wyjaśniał wiele. W jednym końcu pomieszczenia spoczywała na noszach kandydatka, nad którą nachylała się lekarka z niepokojem kontrolując wskaźniki aparatury podtrzymującej życie. Pięć osób, o spalonych fuertańskun słońcem twarzach i pełnych lęku oczach, rzuciło się w stronę Killashandry, zalewając ją gwałtownym potokiem niezrozumiałej mowy.

- Nie mam wątpliwości, kto jest kandydatką, chciałabym jednak poznać rodziców - oświadczyła śpiewaczka.

Dwie osoby wystąpiły naprzód. Pozostałe trzy wyraźnie poczuły się pominięte.

- Gubernator Fiske-Ulass - przedstawił się mężczyzna, - Jestem ojcem Donalli, a to jest jej matka, Dian Fiske-Ulass.

- Macie państwo jakieś problemy?

Mężczyzna wzruszył ramionami w sposób, który miał sugerować, że on nieczęsto występuje w pozycji petenta i cała sytuacja jest dla niego nie do przyjęcia.

- Dowiadujemy się właśnie, że nie będziemy mogli towarzyszyć Donalli na Ballybran...

- Ależ możecie, pod warunkiem, że zdecydujecie się z nią zostać - wyjaśniła Killashandra pogodnie.

W oczach gubernatora mignęło rozdrażnienie, ciągnął jednak dalej, przypatrując się śpiewaczce z rosnącą podejrzliwością. Dostojnicy fuertańscy nie znosili sprzeciwu.

- Podobno nie ma żadnej gwarancji, że ta... niecodzienna symbioza ją uleczy..

- To był jej wybór, gubernatorze - wtrąciła spod ściany lekarka. - Wybór, którego dokonała, kiedy jeszcze była w stanie mówić. Nadal podtrzymuje swoją decyzję.

- Nie może już mówić? - Killashandra wymieniła spojrzenia z lekarką.

- Można się z nią porozumieć - wyjaśniła tamta, patrząc wyzywająco na gubernatora, który pogardliwym pstryknięciem palców skwitował jej wypowiedź.

- W jaki sposób?

- Opiekując się chorym, człowiek uczy się odczytywać jego życzenia...

Gubernator parsknął pogardliwie, a jego żona stłumiła szloch. Killashandra jednak skinęła z aprobatą, czekając na dalsze słowa lekarki.

- Jedno mrugnięcie powiek oznacza: nie, dwa: tak. -Odsunęła się od noszy, zapraszając gestem Killashandrę.

- Każdy mruga powiekami - mruknął gubernator.

Killashandra, nie zwracając na niego uwagi, zbliżyła się do noszy. Spojrzała na kredowobiałą twarz, której pergaminową skórę znaczyły bruzdy przewlekłego cierpienia. Serce Killashandry ścisnęło się na widok nieszczęsnej istoty, w której ledwie kołatało się życie. Chora głowę miała przypiętą do nagłówka i Killashandra musiała się nachylić, żeby zajrzeć w jej oczy, jasnoniebieskie i dziwnie przytomne, chociaż białka stały się już chorobliwie żółte.

- Czy pragniesz poddać się symbiozie ballybrańskiej? - spytała.

Powieki zacisnęły się mocno raz, potem drugi. Wzrok chorej zachowywał krystaliczną trzeźwość.

- Jakże są rokowania bez symbiozy? - spytała lekarkę.

- To, że ciągle jeszcze żyje, zakrawa na cud - usłyszała cichą odpowiedź. - Bez symbionta nie wytrzyma dłużej niż parę dni.

- Czy Donalla otrzymała pełną informację o Ballybranie? - spytała Killashandra pracownika rekrutacji, kładąc lekki nacisk na imię dziewczyny.

Skinął głową.

- Zgodnie z wszelkimi przepisami. Jednak rodzice muszą za nią podpisać zgodę. Tak każe Karta.

- W czym rzecz wobec tego?

- Słyszeliśmy najróżniejsze historie... - wybuchnęła gubernatorowa, której mąż nadal patrzył podejrzliwie na Killashandrę.

- Że symbiont zamienia ludzi w mutantów? - spytała śpiewaczka, zdając sobie sprawę, jak bliska jest prawdy.

Wyrwała ampulkę z apteczki, zmiażdżyła o stół i ku przerażeniu osłupiałych widzów rozorała szkłem przedramię. Nacięcia, odpowiednio rozległe, krwawiły obficie.

- Mutantka, której rany goją się w okamgnieniu - zakpiła, unosząc rękę, żeby wszyscy mogli zobaczyć, jak szybko symbiont tamuje krwawienie i regeneruje uszkodzoną tkankę. - Podpisujcie! - rzuciła najbardziej władczym tonem, na jaki było ją stać. - Daję wam trzydzieści sekund i odchodzę... zostawiając waszą córkę bez żadnej nadziei... Dian Fiske-Ulass złożenie podpisu na dokumencie nie zajęło nawet tyle czasu. Wyciągnęła pióro do męża.

- Czy jest dla Donalli inne wyjście? - załkała.

- Nie ma - twardo zaprzeczyła lekarka, siłą powstrzymując się od dalszych uwag.

Wzruszywszy ramionami z gniewną rezygnacją, gubernator ujął pióro i złożył podpis, nieczytelny, za to pełen ozdobników.

- Macie! Zabraliście mi jedyne dziecko!

- Pan jest gubernatorem Fuerte? - spytała pogardliwie Killashandra. - Bierzmy ją na pokład - zwróciła się do lekarki. - Cechmistrz przysłał swój osobisty prom. - Popatrzyła złośliwie na Fiske-Ulassa.

Wszyscy obecni podążyli za noszami. Dian szlochała, gubernator ratował swój publiczny wizerunek pełną zdecydowania postawą.

Pilot, ujrawszy ich w korytarzu, przejął nosze od Killashandry, która cofnęła się wtedy i pomogła je trzymać lekarce z tyłu.

- Podaj mi swój kod. Przekażę ci wiadomość, jak jej poszło - zwróciła się do lekarki. Tamta wskazała głową za siebie.

- Wszyscy mają zamiar czekać na Shankill, dopóki...

- Nasze służby medyczne tobie będą przekazywać wiadomości - obruszyła się Killashandra. - Jak się nazywasz?

- Hendra Ree - odpowiedziała z zaczepnym uśmiechem.

- Ree? Jesteś moją krewną?

Dziewczyna potwierdziła z figlarnym błyskiem w oczach.

- A więc wiedziałas, że tu przyjechałam?

- Jesteś swoistą legendą w naszej rodzinie. To właśnie ja powiedziałam Donalli o Ballybranie i jego symbioncie, kiedy straciła wszelką nadzieję - wyjaśniła, wsuwając nosze do promu.

- Legendą? - zdumiała się Killashandra.

Nie przypuszczała, że jej rodzina w ogóle ją pamięta, zwłaszcza że opuściła Fuerte w bulwersujących okolicznościach, w towarzystwie śpiewaka kryształu. Umocowała nosze pasami.

- Nie, proszę pana, nawet na prom - dobiegł je głos pilota. - Chyba że decyduje się pan zostać na zawsze. Nawet powietrze we wnętrzu jest ballybrańskie. Niech pan się cieszy, że w ogóle wolno się z nią pożegnać.

Gubernator cofnął się niezwłocznie, ciągnąc za sobą żonę.

Hendra skrzywiła się z niechęcią, sprawdziła pasy przytrzymujące nosze, po czym odwróciła się błyskawicznie i ucałowała Donallę w policzek.

- Powodzenia, dziecko - szepnęła.

Schodząc z promu, odwróciła się nieznacznie w stronę Killashandry i z szerokim uśmiechem pomachała jej ręką. Więc tak się zachowuje człowiek, gdy spotyka się z kimś, kto jest legendą w jego rodzinie - zadumała się Killashandra.

- Ruszajmy - rzuciła do pilota, który właśnie zajął miejsce na swoim fotelu. Zapięła pasy. Natychmiast po opuszczeniu satelitarnego portu skontaktowała się z bazą. Poprosiła, by wszystko zostało przygotowane na przyjęcie znajdującej się w stanie krytycznym kandydatki.

Zanim słuza rozsunęła się do końca, personel medyczny tłoczył się już przy wejściu. Kiedy wynoszono nosze, Killashandra zauważyła, że po trupio bladej twarzy dziewczyny płyną łzy.

- Wszystko w porządku, Donallo? - spytała chorą. Powieki przymknęły się dwa razy, wyciskając kolejną porcję łez, co nadało całej scenie niezamierzonego patosu.

- Będę do ciebie zaglądać - dodała, kiedy sanitariusze dźwignęli nosze w stronę windy.

Dopóki nie zostanie zarażona symbiontem, Donalla będzie przebywać nie w szpitalu, lecz w jednym z pokoi dla kandydatek. Killashandra miała nadzieję, że symbiont szybko wpłynie na jej mocno nadwątlone przez chorobę ciało. Donalla była cichą bohaterką, a to wzbudzało w Killashandrze szacunek. Miała nadzieję, że głupota i przesady rodziców nie odebrały jej nadziei na przeżycie.

Skloniła się lekko pilotowi na pożegnanie i ruszyła w stronę najbliższego komunikatora, żeby połączyć się z Larsem.

- Przywiozłaś ją?

- Jeszcze w porę, mam nadzieję. Jest w bardzo kiepskim stanie.

Chrząknął.

- Tym łatwiej symbiont zadziała... tak przynajmniej twierdzą medycy.

- A swoją drogą to, że jestem Fuertanką, wcale mi nie pomogło w kontaktach. - Uśmiechnęła się, widząc jego pytające spojrzenie. - No, poza kontaktami z lekarką.

- Proszę, nie każ mi zgadywać.

- Okazuje się - zachichotała - że w rodzinie Ree jestem postacią legendarną.

- A ty myślałaś przez cały czas, że jesteś czarną owcą, co? - Spojrzał z komiczną surowością.

- Przez cały czas byłam pewna, że zostałam wykreślona z drzewa genealogicznego rodziny Ree.

- Cóż, życie obfituje w drobne niespodzianki.

- O ile człowiek jest je w stanie spamiętać.

## Rozdział VI

Wychodząc z założenia, że legendarna postać powinna wykazywać się współczuciem, dobrocią, a przynajmniej gościnnością, Killashandra odprowadziła Donallę do jej pokoju. Wokół chorej roilo się od zielonych kitli personelu medycznego. Technicy obserwowali ekrany monitorów i rozstawiali aparaturę podtrzymującą życie.

Presnol, przełożony służb medycznych Cechu, pochylał się nad wstęgą wydruku. Cmokał, a chwilami kłął, mocno niezadowolony z tego, co widział.

- Dlaczego zwlekali do ostatniej chwili?  
- Teraz już w każdej sekundzie zachodzi cudowne uzdrowienie - uspokoiła go Killashandra.  
- Tak, ale jest już cholernie późno - odparł krzywiąc się. - Mięśnie krtani są tak osłabione, że nawet implant się nie przyjmie. W jaki sposób się porozumiewa?  
- Jedno mrugnięcie oznacza: nie, dwa; tak.  
- Musi przybywać z niezłego ciemnogrodu. - Presnol był najwyraźniej wstrząśnięty.  
- Z grudy błota, która nazywa się Fuerte - wyjaśniła z uśmiechem Killashandra. - Ale uszy ma najzupełniej zdrowe.

Presnol poczerwieniał i zaklął kolejny raz.

- Cóż, mogę tylko mieć nadzieję, że symbiont sobie z nią poradzi - oświadczył z zadumą. - Jej przypadek to bezcenne doświadczenie dla naszych laboratoriów.

- Kiedy będą zauważanie pierwsze oznaki Przejścia? - spytała Killashandra, zniżając głos.  
- Przy takim osłabieniu nie powinno to długo trwać. I lepiej, żeby nie trwało.  
- No, chodź, chodź tutaj, symbioncie - zagruchała śpiewaczka, jakby symbiont był jej krnąbrnym ulubieńcem. Wykrzywiła twarz w uśmiechu.

- To wszystko, co ci umiem powiedzieć. — Presnol podszedł do noszy. Starał się przybrać jak najbardziej przyjacielską minę. - Presnol Outerad, przełożony personelu medycznego - przedstawił się. - Przeglądałem twoją kartę i mam podstawy sądzić, że symbiont już rozgościł się w twoim ustroju. Wkrótce będziemy mieli pewność, że przeniknął do krwiobiegu, nie chciałbym jednak, żeby zupełnie niepotrzebnie pojawiły ci się w żyłach jakieś zatory. Muszę ci ostrzec, że przebieg Przejścia może być bardzo różny. Wszyscy - wskazał na Killashandrę - liczymy na to, że w twoim przypadku przebieg będzie lekki. - Jego uśmiech był autentycznie szczery i nie miał nic wspólnego ze shizbowym grymasem. - Chciałbym cię mieć na oku, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Jego opinia i sposób odnoszenia się do chorej uspokoiły Killashandrę. Cóż, był w końcu uczniem Antony, która nie tolerowała fałszywej serdeczności, z jaką personel medyczny odnosił się niekiedy do pacjentów. Na dodatek miał do czynienia z osobą o wykształceniu lekarskim i traktowanie jej tak, jakby była zwykłą pacjentką, byłoby wręcz obraźliwe. Poczuła, że jej szacunek do Presnola rośnie. Zauważyła, że Donalla raz mrugnęła.

- Bardzo dobrze. W twoim stanie monitorowanie nie ma najmniejszego sensu. Gdybyś poczuła się gorzej, proszę natychmiast mocno mrugnąć. Mogą wystąpić następujące objawy... - nastąpiła wyliczanka kolejnych możliwości.

W drzwiach stanął Lars, przyglądając się wszystkim z posępną miną.

Uznawszy, że Donalla jest w odpowiednich rękach, Killashandra wyszła na palcach z sali.

- Chyba możemy odłożyć nasz wyjazd na troszkę później? - spytała Larsa.

Przez chwilę wpatrywał się w nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym nagle ją uściskał.

- Jasne, że powinniśmy zaczekać, zobaczyć, jak Donalla sobie radzi. Jesteście w końcu rodaczkami z Fuerte...

Zrobił unik, chroniąc się przed pięścią Killashandry.

Symbiont w pozbawionym wszelkiej odporności ciele Donaili rozgościł się błyskawicznie. Pierwsza wróciła mowa i Donalla, co było zrozumiałe, rozszlochała się histerycznie, uwalniając z wielodniowego napięcia. „Płacz jest świetnym lekarstwem” - powiedział Presnol do Larsa i Killashandry, dumny, jakby postępy chorej były jego osobistą zasługą, a nie efektem działania symbionta.

- Wyrwaliśmy ją z objęć śmierci - oświadczył z dumą. Killashandra i Lars, z trudem powstrzymując się od śmiechu, wymienili spojrzenia.

- Jak przebiega jej adaptacja? - chciał wiedzieć Lars. Presnol spojrzał na niego zdumiony.

- Skąd mam to wiedzieć, na Boga? Przecież ona dopiero...

- Umknęła z objęć śmierci, Lars - dokończyła Killashandra, walcząc o zachowanie powagi. - Skąd może wiedzieć, jak wygląda jej adaptacja?

- Fakt. - Kąciki warg mu drgnęły. - Wpadniemy później ją zobaczyć - dorzucił, wygaszając ekran.

- „Objęcia śmierci”! - Killashandra wydała z siebie długo tłumiony chichot.

Kiedy złożyli wizytę Donaili, chora siedziała wsparta na poduszkach. Mogła poruszać głową, a nawet unieść na ich powitanie słabą, wymizerowaną rękę.

- Bardzo czekałam na okazję, żeby ci osobiście podziękować, Killashandro Ree - oznajmiła.

Jej głos, jakkolwiek słaby, okazał się ciepłym, dźwięcznym kontraltem. A może jest muzykalna i wyjdzie z Przejścia jako śpiewaczka? - pomyślała Killashandra.

- Nie ma za co. My, Fuertanie, powinniśmy się trzymać razem na obczyźnie - odparła pogodnie, sadowiac się na fotelu dla odwiedzających. Lars zajął miejsce obok.

Donalla bardzo się poprawiła w ciągu tych dwóch dni. Wychudła twarz zaokrągliła się, piwne oczy nabrały blasku, skóra rumieńców, wargi się zaróżowiły i wypełniły. Z niemal kościotrupa zamieniała się w całkiem niebrzydką kobietę. O ile nie wręcz ładną. Killashandra rzuciła ukradkowe spojrzenie na Larsa, który często twierdził, że lubi patrzeć - tylko patrzeć, nic więcej - na piękne kobiety. „Mniej psują oczy niż brzydkie” - mawiał. W jego oczach nie dostrzegła jednak niczego poza troskliwą uwagą i zainteresowaniem.

Donalla, zawstydzona czy onieśmielona, spuściła powieki.

- Nie wiedziałam nawet o istnieniu Cechu, dopóki Hendra nie opowiedziała mi o nim i o tobie.

- Skąd niby miałabyś o mnie wiedzieć?

- Gdybym wiedziała, że Fuertanie też mogą być sławni, miałabym o wiele mniej zmartwień.

- Zawsze zachowywałaś się jak renegatka - oświadczył z błyskiem rozbawienia w oku Lars, na co Killashandra odpowiedziała parsknięciem.

- Z czasem nawet renegaci przechodzą do panteonu sław - oświadczyła skromnie, jednak nie bez irytacji. W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć okoliczności, w jakich opuściła Fuerte. Pamiętała tylko, że zrobiła to z prawdziwą satysfakcją. Niewykluczone, że specjalnie zapomniała o wszystkim albo po prostu nie chciała pamiętać. Śpiewanie kryształu ułatwiło jej tylko to zadanie.

- Podobno z trudem wydostaliście się z Carrikiem z Fuerte - dorzucił Lars, po czym zwrócił się do Donalli. - Czy ciebie również karmiono propagandą o śpiewakach kryształu, bandzie niebezpiecznych zwyrodnialców, gotowych omotać Bogu ducha winne ofiary i zdeprawować maluczkich?

- Nie - uśmiechnęła się leciutko Donalla, a jej oczy rozbłyły. - Ale moja informatorka była krewną Killashandry, chyba równie nieprawomyślną jak ona. Podziwiała cię za odwagę i żądzę przygód. Pewnie wiesz, że była bardzo podniecona szansą spotkania z tobą?

- Naprawdę? - zdziwiła się rozbawiona Killashandra. Niewiele zdążyły sobie powiedzieć w krótkiej rozmowie z Hendrą, miały wtedy ważniejsze sprawy na głowie. - Rzeczywiście, udało mi się wyrwać z Fuerte.

- Dużo się zmieniło od twojego wyjazdu - lojalnie przyznała Donalla.

- Było co zmieniać - skwitowała cierpko Killashandra. - Presnol powiedział, że w Przejściu masz już najgorsze za sobą - dodała, przechodząc na inny temat.

- Nic nie wiem o żadnym Przejściu... - Donalla kolejny z zdobyła się na słaby uśmiech.

- To świetnie - pochwaliła Killashandra. - Symbiont obszedł się z tobą łaskawie. Wkrótce będziesz mogła wstać z łóżka.

- Wierzcie mi, że doceniam to w pełni. Żałuję, że nie wysłano mnie tutaj wcześniej, kiedy okazało się, w jakim tempie postępuje u mnie paraliż.

- To bardzo fuertańskie: nie przyjmować do wiadomości faktów - stwierdziła Killashandra.

- Rodzice chcieli mojego dobra - pośpieszyła z wyjaśnieniem Donalla.

- Nie męczmy już Donalli. - Lars podniósł się z fotela. Killashandra posłusznie ruszyła za nim mimo protestów chorej, która twierdziła, że świetnie czuje się w ich towarzystwie, zwłaszcza teraz, kiedy może rozmawiać.

- Muszę nadrobić zaległości.

- My też - odparł zagadkowo Lars, wyprowadzając Killashandrę z pokoju.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - spytała, kiedy szyli korytarzem.

Przemilczał jej pytanie, udając, że słucha w skupieniu komunikatów meteorologicznych. Prowadził ją w kierunku wind dowożących na poziom administracyjny. Na miejscu zorientowała się, że zmierzają w kierunku biura Lanzeckiego.

- Co to, to nie! - zaprotestowała. - Nie dam mu się wpuścić kolejny raz! Chyba masz źle w głowie, jeżeli znowu dasz się na coś naciągnąć - Mam wystarczająco dużo kredytów. Nie musimy się tak szarpać. W tej chwili powinniśmy lecieć z powrotem w Pasma. Za długo tu siedzimy.

- Nic nam nie grozi ze strony Lanzeckiego - powiedział Lars przez ściśnięte gardło. - Proszę cię o towarzystwo z innego powodu. Chodź.

W jego głosie kryło się błaganie. Wkroczyła do biura podejrzliwie rozglądając się na wszystkie strony. Biurko Traga świeciło pustką. Killashandra spochmurniała. Przypomniała sobie z wysiłkiem, że i tak nie miała co liczyć na to, że zastanie Traga. Gdzieś w pamięci kołatało wspomnienie, że jego miejsce zajął ktoś inny, ktoś, za kim nie przepadała. Lars położył jej rękę na plecach i delikatnie popchnął w stronę gabinetu. Pomieszczenie było puste. Rozejrzała się, myśląc, gdzie mógł się podziać Lanzecki. Lars obszedł dookoła jego biurko i usadowił się w fotelu Cechmistrza.

- Killashandro Ree - przemówił tonem, jakiego nie znała; trochę gniewnym, trochę niespokojnym, a jednocześnie pełnym prośby. - Musisz wreszcie przyjąć do wiadomości, że Lanzecki nie żyje. Wiedziałaś o tym już dwa miesiące temu. Nie kto inny jak właśnie ty nalegałaś, żeby nikt nie pomagał Bollamowi go ratować... -

To ostatnie imię coś jej mówiło. Skrzywiła się niechętnie. Lars jednak jeszcze nie skończył. - Chciałbym, żeby to wreszcie do ciebie dotarło. Lanzecki nie żyje.

Wpatrzyła się w Larsa, tknięta niemiłym przecuciem, że ma do czynienia z kolejną rzeczą, o której wygodniej było zapomnieć. Nie powinna była zapominać, kto jest Cechmistrzem. Cechmistrz to w końcu najistotniejsza postać dla wszystkich śpiewaków kryształu, dla wszystkich członków Cechu Heptyckiego.

- Przecież musi być jakiś Cechmistrz... - zaczęła niepewnie, bezskutecznie usiłując się odnaleźć w gmatwaniu obrazów i wspomnień, które kiedyś wyparła z pamięci.

- Jest Cechmistrz, Killashandro - oświadczył Lars łagodnym, kojącym tonem. Wyglądał na zatroskanego. - Ja nim jestem.

- N i e! - Cofnęła się gwałtownie.

Zerwał się z miejsca i okrążywszy biurko, zrozpaczony wyciągnął do niej błagalnie ręce.

- Wiem, że nie możesz się z tym pogodzić, kochanie. Wiem, że usiłowałaś wyprzeć z pamięci śmierć Lanzeckiego, takie są jednak fakty. Faktem jest też, że zostałem powołany na stanowisko Cechmistrza. Chciałbym, żebyś pomagała mi sprawować mój urząd, podobnie jak byłaś moją partnerką w Paśmie.

Z coraz większym niedowierzaniem kręciła głową. Lars - Cechmistrzem? Czysty absurd. Był przecież jej partnerem. Razem śpiewali kryształ. Najlepszy duet w dziejach Cechu. Muszą wracać w Pasma i śpiewać. Teraz, kiedy Lanzecki nie żyje, śpiew był ważniejszy niż kiedykolwiek - czarny kryształ, zielony kryształ, błękitny! Cechmistrz nie ma czasu śpiewać. A Lars musi śpiewać kryształ razem z nią. Nie może zostać Cechmistrzem.

- Wiem, kochanie - ciągnął jeszcze łagodniej - z jego śmiercią trudno się pogodzić. Był dla nas wszystkich źródłem siły. Sam chciałbym być równie dobrym przywódcą, ale potrzebna mi jest twoja pomoc. Bez wątpienia jesteś najlepszą śpiewaczką w dziejach Cechu. Wiesz o śpiewaniu kryształu więcej niż my wszyscy, w dodatku umiesz przekazać swoją wiedzę. Wiele osób nie potrafi przekazać informacji tkwiących w ich umyśle. Ty masz ten dar. Do diabła, w końcu byłaś moją mistrzynią! - Uśmiechnął się z przymusem. - To tylko jeden z powodów, dla których potrzebuję twojej współpracy i twoich umiejętności.

Zbliżył się do niej i wziął ją w objęcia, by dłońmi, których dotykowi nigdy nie potrafiła się oprzeć, ukoić jej wzburzenie, pieszczotą ułatwić pogodzenie się z tym, co przed chwilą powiedział.

- No już dobrze, dobrze. Widzę, że niesłusznie pozwalałem ci zapominać to, czego nie chciałaś pamiętać, bo uważałem, że zawsze mogę przechować to w pamięci za ciebie. Teraz nie stać mnie już na taki luksus. Ale bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję twojego partnerstwa.

- Jestem śpiewaczką kryształu, nie jakąś... biurwą.

Zaśmiała się.

- Trag twoim zdaniem był biurwą?

- Trag... to był Trag- podsumowała niezbyt odkrywczo, szukając w myślach jakiejś wymówki, która pozwoliłaby jej odrzucić propozycję Larsa. Dla niej Cechmistrzem zawsze był i będzie Lanzecki. Trag... Nawet odrobinę nie jest podobna do Traga.

- Wiem, że oswojenie się z prawdą wymaga czasu, ale musisz, kochanie, przyjąć do wiadomości, że jestem Cechmistrzem. Wiem, że nie jestem Lanzeckim, niemniej każdy Cechmistrz wyciska osobiste piętno na Cechu i ja też mam parę ciekawych, choć może niecodziennych pomysłów, które pozwolą...

- To dlatego Lanzecki trzymał cię ciągle w swoim gabinecie - warknęła oskarżycielsko. - Po to były te nie kończące się narady!

- Wierz mi, nie miałem pojęcia, do czego zmierza. Zupełnie się nie orientowałem, że stara się mnie przysposobić do przejęcia jego funkcji. Faktem jednak jest, że moje propozycje rozwiązań znajdowały w jego oczach uznanie...

Zapatrzyła się w mężczyznę, który był jej towarzyszem od tak dawna, że nie mogła już sobie wyobrazić życia bez niego. Wpatrywała się w jego jakże bliską twarz, myśląc, że tak naprawdę nic o nim nie wie.

- Mogłeś się nie zgodzić - wyszeptała, porażona wymową jego słów i tym, czego od niej żądał. - Nie musiałeś przyjmować funkcji.

- Lanzecki zaproponował moją kandydaturę, używając argumentów, wobec których jestem bezradny.

- Ty chcesz być Cechmistrzem! - wybuchnęła oskarżycielsko.

Ze smutnym uśmiechem potrząsnął cierpliwie głową.

- Nie, kochanie, nie chcę być Cechmistrzem, niemniej jestem nim teraz i mam zamiar, dla dobra najzacieklejszych nawet oponentów, postawić Cech na nogi.

- Na nogi? Co za bzdury? - Zrobiła krok do tyłu. - Co takiego ci się w Cechu nie podoba? Za kogo się masz, żeby cokolwiek tutaj zmieniać?! - wykrzyknęła ochryple w przypiływie paniki. - Nie jesteś Lanzeckim! Zawsze miałeś Cech w nosie! Nic, tylko żagle i żagle! To jedno cię naprawdę obchodzi...

Odwróciła się na pięcie i wybiegła z gabinetu.

- Killa, kochanie, pozwól, że ci wszystko wyjaśnię! - zawołał za nią.

Wcisnęła na oślep guziki wind, modląc się, żeby drzwi rozsunęły się jak najszybciej. Lars był żeglarzem, a nie Cechmistrzem. Cechmistrzem był Lanzecki. Zawsze. Niezlomna ostoja jej życia. Gwarant

bezpieczeństwa. Drzwi się rozsunęły. Wskoczyła do windy, z całych sił przyciskając płytkę, żeby Lars nie zdążył wskoczyć za nią. Będzie próbował ją przekonać, wykazać słuszność swojego punktu widzenia. Nie dopuści do tego, żeby wpakował ją w robotę za biurkiem. Z dala od Pasma, z dala od kryształu skończy jak Trag - degeneracją symbionta. Utrata odporności - to właśnie wykończyło Traga.

Będzie musiała wystrzegać się Larsa jak ognia, inaczej przekona ją do czegoś, na co ona nie ma najmniejszej ochoty. Cech nie potrzebuje żadnego stawiania na nogi! Radził sobie zupełnie nieźle przez parę stuleci. Zmiany - po co? Dlaczego? Nie zamierza przykładać do tego ręki. Najlepsza śpiewaczka w dziejach Cechu - trele, morele! Zawsze umiał od niej uzyskać, co tylko zechciał. Liczył na to, że będzie miał z niej nowego Traga! Tylko że ona nie była Tragem, starym, wiernym, spokojnym Tragem, rzeczowym i krytycznym. Była - raz na zawsze! - Killashandry Ree. Drzwi rozsunęły się ponownie. Wskoczyła z windy. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje; z westchnieniem ulgi skonstatowała, że ma przed sobą podłogę hangaru. Lars w żaden sposób jej nie dogoni!

Zaszyje się gdzieś w Paśmie, gdzie nie dosięgnie jej ręka Larsa - wielkiego Cechmistrza. Polecą najdalej, jak się da, zostawi z sobą najodleglejsze wspólne działki. Znajdzie nowe żyły - nikt nie będzie miał bladego pojęcia, gdzie się podział! Będzie śpiewać dopóty, dopóki Cechmistrz nie zrozumie, że jest zbyt wielką śpiewaczką, żeby trawić życie na urzędniczym stołku!

Ułamkiem świadomości zdawała sobie sprawę, że komendant lotu usiłuje coś jej powiedzieć. Jeszcze raz kategorycznie zażądała sań. Kiedy nie reagując na jej polecenie, nadal usiłował jej coś przekazać, odepchnęła go na bok i pobiegła w stronę pochylni. Jej sanie stały w pierwszym rzędzie, więc mogła do nich bez trudu wejść. Pchnęła drzwi kabiny i usadowiła się w fotelu pilota. Sprawdziła silniki, nasunęła hełm. Wieża kontrolna zaczęła coś głądzić.

- Proszę o pozwolenie na start. Muszę natychmiast lecieć w Pasma. Czy to jasne?

W jednej sekundzie głosy, które usiłowały jej coś perswadować, umilkły. Zapadła długa cisza. Silniki wyły. Rytmicznie zaciskała dłonie na sterach, czekając na zezwolenie startu. Była gotowa lecieć nawet bez zezwolenia. Sięgała właśnie po dźwignię napędu, kiedy w słuchawkach rozległ się głos.

- Zezwolenie na start dla Killashandry Ree - oznajmił bezbarwny, wyprany z wszelkich uczuć tenor. - Powodzenia, śpiewaczko.

Nie zauważyła nawet, że głos nie należał do komenda lotów. Zjechała z pochylni i skierowała się w stronę otwartych drzwi hangaru. Na zewnątrz ustawiła się dziób w kierunku północnym. Od razu ruszyła pełną mocą. Ulga, że ucieczka się powiodła, osładzała dyskomfort miazdzącego przeciążenia posłusznie przyspieszających sań.

Pierwsza burza przyłapała ją jeszcze w czasie poszukiwania złoza. Nie wróciła do Cechu. Poleciała jeszcze dalej północ, chroniąc się na drugim brzegu morza. Postanowiła przeczekać gigawichry na Kontynencie Północnym. Większość czasu przespalała, po czym wróciła z powrotem w Pasma podjąć poszukiwania.

Do powrotu zmusił ją brak zapasów, przede wszystkim wody. W bazie spędziła tylko niezbędne minimum czasu głucha na perswazje komendanta lotów oraz szefom działu cargo, bezskutecznie usiłujących ją zatrzymać. Lanzecki z pewnością zastawił na nią kolejną pułapkę, a ona nie miała najmniejszego zamiaru dać się schwycić.

- To nie Lanzecki cię wzywa - przekonywała ją zgnębiona dysponentka cargo. - Donalla...

- Nie znam żadnej Donalli.

Zdecydowanym krokiem wyminęła kobietę, wskoczy do zaopatrzonych na nowo sań i mocno zatrzasnęła właz. Kiedy wytaczała pojazd z hangaru, komendant lotów gwałtownie gestykułując wskazywał swoje słuchawki, dając do zrozumienia, że prosi o włączenie odbioru. Nie zwracając na niego uwagi dodała gazu i ruszyła zakosami w taki tempie, że nikt nie był w stanie prześledzić trajektorii jej lotu.

W końcu trafiła na kryształ - ciemnozielony, stojący w dominancie. Była w trakcie śpiewania, kiedy włączył się alarm w saniach. Przerwała tylko na chwilę, by skonsultować się z własnym zmysłem meteorologicznym. Po raz pierwszy nie zadziałał z wyprzedzeniem. A może zadziałał? Ostatnio parę razy zdarzyło jej się dać zniewolić przez kryształ. Może powinna... Ale nie, to było dopiero pierwsze ostrzeżenie. Miała czas.

A jednak ledwie zdążyła. Ostatni kryształ, masywny, zielony występ skalny, zniewolił ją i z transu wytrąciło ją dopiero, zwalając nieomal z nóg, smagnięcie gigawichru.

Jak szalona pakowała skrzynie do sań, ponieważ nie robiła tego w ciągu ostatnich dni. Nigdy jeszcze nie startowała w tak krytycznych warunkach. Jednak szczęście nie opuściło jej do końca, ponieważ wypadek nastąpił, kiedy wylatywała już z burzy, na tyle blisko bazy, że ekipa ratownicza zdążyła uratować kryształ i jej poturbowane ciało. Sanie można było spisać na straty.

- Jaki kolor śpiewałam? Ile zarobiłam? - brzmiały jej pierwsze pytania, kiedy odzyskała przytomność.

- W sam raz, żeby kupić sobie nowe sanie - odparł kobiecie głos.

Powieki miała ciężkie jak z ołowiu, ale wreszcie udało jej się otworzyć oczy. Pośród rozmytych kształtów wyodrębniła zamazaną twarz.

Z trudem wygrzebała z pamięci odpowiednie imię.

- Antona?  
 - Nie, nie Antona. Donalla.  
 - Donalla? - Kallashandra wyjęła wzrok, gwałtownie mrugając. Twarz kobiety nic jej nie mówiła. -  
 Czy ja cię znam?  
 - Niezbyt dobrze. - W głosie pojawił się cień rozbawienia. - Ale jakiś czas temu uratowałaś mi życie.  
 - Nie przypominam sobie, żebym z kimkolwiek śpiewała.  
 - Nie jestem śpiewaczką. Jestem lekarzem. Pamiętasz, jak przekonałaś moich rodziców, żeby puścili mnie na Ballybran?  
 - Nie. - Potrząsnęła przecząco głową. Poczula nieznosny ból. -Niewiele mam do czynienia z rekrutacją -oświadczyła lekceważąco. - Moja praca polega na śpiewaniu kryształu, a nie na kaptowaniu śpiewaków.  
 - Mnie też nie kaptowałaś, Killashandro Ree, za to przedstawiłaś moim rodzicom niezbitą dowód, że ballybrański symbiont leczy i to szybko.  
 - Bo musi. Inaczej wkrótce nie miałby dla siebie ani jednego nosiciela. Tym razem też, zdaje się cudem, wyszłam cało?  
 - Rzeczywiście cudem - wtrącił się męski głos.  
 Ten głos akurat znała. Nie chce widzieć na oczy tego człowieka - stwierdziła przerażona. Odwróciła głowę. Nie miała zamiaru go słuchać - słuchać Cechmistrza.  
 Ciepła dłoń zamknęła się wokół jej palców, gładząc kciukiem wierzch ręki w sposób tyleż kojący, co podstępny. Próbowала się wyrwać, ale nie miała dosyć siły.  
 - Nieźle się pokiereszowałaś, Słoneczko. Zawsze się bałem, że coś takiego się zdarzy prędzej czy później. Gdybym był z tobą...  
 - Ale cię nie było! - Rozwścieczona, wyrwała w końcu rękę. - Jak przystało na Cechmistrza, siedziałeś w swoim gabinecie! - wycedziła z pogardą. Gdy w polu jej widzenia pojawiła się twarz Larsa, Killashandra, pomimo bólu. uniosła rękę i zakryła oczy. - Nikt ci nie bronił ze mną śpiewać. A teraz zjeżdżaj stąd. - Zamachnęła się. żeby go odepchnąć.  
 - Chyba lepiej, żebyś już poszedł. Twoja obecność absolutnie jej nie uspokaja. Jeszcze nie wróciła do siebie.  
 - Jesteś w błędzie, Donallo. Jak najbardziej wróciła do siebie.  
 - Proszę, nie bierz do serca tego, co mówi. Jeszcze nie. Mimo symbionta ma straszliwe bóle.  
 - Wyjdzie z tego?  
 - Z pewnością. Rany goją się szybko, a kości nóg prawie się zrosły. Trochę dłużej trzeba będzie poczekać na mięśnie i ścięgna.  
 - Daj mi znać, kiedy z powrotem... będzie sobą, dobrze, Donallo? Zasugeruj jej może...  
 - Będę cię informować na bieżąco, ale niczego nikomu nie mam prawa sugerować.  
 Killashandra wierciła się niespokojnie, podświadomie rozdrażniona przyjaznym tonem ich rozmowy, wskazującym na pewną poufalskość między tą całą Donallą a mężczyzną, którego nie miała zamiaru więcej oglądać.  
 - Dam ci jeszcze coś na sen - odezwała się Donallą. Killashandra poczuła chłód aerozolu na szyi. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, jak się wyśpisz.  
 - Nic nigdy nie bywa lepsze od tego, że się człowiek wyśpi.  
 Kiedy zbudziła się kolejny raz, zegar na ścianie wskazywał godziny ranne. Zegary Cechu Heptyckiego nie wskazywały nigdy dnia, miesiąca ani roku. Pomieszczenia szpitala skryto głęboko we wnętrzu bazy przed napastliwością gigawichrów. Hiologram ścienny pokazywał pogodę. Słoneczny, pogodny ranek wydał się Killashandrze, nie wiedzieć czemu, czymś nieprzyzwoitym. Jęknęła. Czujniki łóżka zdążyły już zareagować na zmianę w wykresie snu. W drzwiach pojawiła się miła twarz.  
 - Głodna?  
 - Wściekle-jęknęła.  
 Głód również wydał jej się czymś niestosownym. Ukryła twarz w poduszkach.  
 - Zaraz wracam.  
 Widok jedzenia rozbudził w niej jednak wolę życia. Sam fakt, że siadła, był symbolem jej powrotu do zdrowia. Nic jej nie bolało, cała jednak zeszytywniała. Obejrzała swoje ręce i nogi, z osłupieniem pogładziła blednące już szramy, świadczące o rozmiarach odniesionych obrażeń. To jej przypomniało, że roztrzaskała sianie. Nie mogła jeszcze się z tym pogodzić. Dźwignęła się z łóżka i powłokła do łazienki. Do przepastnej wanny napeściła gorącej wody z olejkami aromatycznymi o rozluźniającym działaniu. Po kąpieli, odświeżona i nieco mniej sztywna, zasiadła w izolacie przed komputerem. Wystukała swój kod. Lekceważąc wezwanie do uzupełnienia danych osobistych, zażądała informacji o stanie konta. Nogi się pod nią ugięły. Za mało na zakup nowych sań.  
 Zaraz, zaraz. Za mało na odkupienie takich sań, jakie rozbiła. Dwuosobowych. Teraz jednak nie śpiewała już w duecie. Na pojedyncze powinno wystarczyć, może nie najnowszy model, ale na pewno na dostatecznie dobry, żeby dolecieć w Pasma ze skromnymi zapasami na miesiąc. Wystukała zapytanie o pilę.

Jeżeli piłę też zniszczyła, to będzie się musiała solidnie zadłużyć. Z pewnością nie na długo uspokoiła się. Nie na długo. Zaśpiewa tyle czarnych kryształów, że mu oczy wyjdą na wierzch! Wystukała kod warsztatu naprawy pił, nikt się jednak nie zgłosił. Wywołała skorowidz administracyjny, żeby sprawdzić, kto jest kierownikiem warsztatu: w prywatnej kwaterze właściciela czy właścicielki firmy „Clarend nab Ost” panowała głucha cisza. Najwyraźniej nie przymówiano żadnych wezwań.

Pogłębiającą się frustrację Killashandry szczęśliwie przerwało pojawienie się dziewczyny z tacą zastawioną lunchem.

Kończyła pałaszować drugi suty posiłek, kiedy udało jej się wreszcie połączyć z Clarendem nab Ost, który nie szczędził uszczypliwych uwag pod adresem osoby, która nie odkłada piły na miejsce, rozbija sianie, a potem spodziewa się, że ruszy w Pasma jakby nigdy nic. Gorąco zapewniła go, że zawsze po pracy zabezpiecza piłę.

- Jakim cudem wobec tego tkwiła w luku towarowym? - spytał kpiąco.

Zatkało ją. To niedopatrzenie przeraziło ją bardziej niż rozbicie sań czy obrażenia na własnym ciele. Zaczęła się kajać, ucinając nareszcie tyradę Garenda skierowaną przeciwko beztrojskim, samowolnym, niedbałym, zblazowanym półgłówkom, zwanym śpiewakami, oraz ich haniebnym błędom i występkom. Później, łagodniejszym już tonem, poinformował, że nie skończył jeszcze naprawy, że nie daje głowy za sprawność piły, jeżeli jeszcze raz zostanie podobnie potraktowana, wreszcie dodał, żeby Killashandra była wdzięczna losowi, że zostało cokolwiek z jej narzędzia, skoro tak się z nim obchodzi.

Po tej rozmowie, o dziwo, wrócił jej humor - kiedy człowiek zostanie ochrzany przez technika za karygodne niedbalstwo, to wie, że świat się toczy wyznaczonym torem. Zadzwoiła do hangaru z pytaniem, jak długo będzie musiała czekać na nową jedynekę,

- Powinno mi wystarczyć kredytów, chyba że znów podnieśliście ceny - zwróciła się do superintendenta.

- Oszalałaś, mielibyśmy się paść na twoim nieszczęściu? Jedynekę, mówisz? Myślałem...

- Nie znasz najnowszych plotek, Ritwili - rzuciła z taką furią, że po drugiej stronie zapadła cisza. - Wytypuj odpowiednie sianie i dopilnuj zaopatrzenia. Podstawowe produkty na miesiąc. Powinnam stąd wyjść lada moment.

- Chyba jeszcze nie „lada moment” - wtrąciła lekarka, która podsłuchiwała końcówkę ich rozmowy. Killashandra zmarszczyła brwi. Pogrzebała w pamięci, wreszcie poddała się ze wzruszeniem ramion. Kobieta wydawała jej się znajoma... i nieznajoma zarazem.

- Na wypadek, gdybyś mnie nie pamiętała: jestem Donalla Fiske-Ulass, twoja rodaczka z Fuerte - przedstawiła się kobieta, podchodząc do łóżka. Zamilkła wyczekująco.

- Nie przypominam sobie. Nawet na to nie licz - westchnęła Killashandra, potrząsając głową.

- Ależ liczę jak najbardziej. Mam prawo liczyć na to, że kobieta, która uratowała mi życie, zapamiętała tamto wydarzenie - oświadczyła pogodnie Donalla, wciskając głębiej ręce w kieszenie szpitalnego fartucha. Była niezwykle atrakcyjną kobietą, szczupłą, ale nie chudą... na myśl o chudej Donalli coś drgnęło w pamięci Killashandry. Krótkie kręcone włosy okalały inteligentną twarz o drobnych rysach. Miała zachwycające oczy. Cała tchnęła autorytetem i fachowością. - Zwłaszcza że czuję się wobec ciebie zobowiązana.

- Cech nie honoruje tego typu zobowiązań - przypomniała jej Killashandra.

- Pomiedzy śpiewakami, ponieważ w waszym środowisku obowiązuje, będzie obowiązywać i ma obowiązywać rywalizacja, zjadłość i wściekła determinacja. - Ponownie uśmiechnęła się. - Pozwolisz więc, że spłacę zaciągnięty dług.

- Mówiłam ci już, że o niczym takim nie wiem.

- Ale mogłabyś, gdybyś tylko zechciała - nalegała Donalla.

Jakaś przymilność w jej głosie wzbudziła nieufność Killashandry.

- Unikam ludzi, którzy się zbyt o mnie troszczą - oświadczyła oschle. Licząc na to że wreszcie tamtą zniechęci.

- Jeszcze nie wiesz, o czym mówię - oświadczyła Donalla przysiadając na brzegu łóżka i obrzucając Killashandrę uważnym spojrzeniem.

- Koniecznie muszę się dowiadywać? - spytała z rezygnacją.

- Koniecznie. Cechmistrz kazał mi porozmawiać o tym z każdym z was.

- Ach, tak. - Killashandra natychmiast się najeżyła. Donalla uśmiechnęła się leciutko, jakby ta reakcja w najmniejszym stopniu jej nie zaskoczyła.

- No cóż, niewielu śpiewaków entuzjastycznie odniosło się do mojej propozycji.

- Dość już tego kręcenia. Powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy nie?

- Cóż to za ton, Killashandro Ree? - zganiła ją Donalla kpiąco. Killashandra spojrzała na nią ze zdumieniem. - Od kiedy wróciłam tutaj do zdrowia, wciąż rozmyślam o najpoważniejszych minusach związanych z zawodem śpiewaka kryształu.

- Zbytek łaski! - prychnęła Killashandra wyniośle.

- To nie żadna łaska. Chodzi o skuteczniejsze wykorzystanie czasu i energii śpiewaków. W obrębie

Pasma wasza pamięć przestaje funkcjonować. Nie jesteście w stanie odtworzyć charakterystycznych szczegółów, które pozwoliłyby na precyzyjną lokalizację drogocennych złóż.

- Szczegółów może nie, ale zostaje rezonans, który doprowadza nas z powrotem do wartościowszych działek - zaprotestowała Killashandra, kręcąc głową nad tępotą Donalli.

- Tylko wtedy, jeśli natychmiast wracacie z powrotem w Pasma. O ileż prościej byłoby zarejestrować dokładną lokalizację, na co pozwoliłoby dokładne zapamiętanie szczegółów topograficznych.

- Żeby potem każdy śpiewak mógł podglądać taką informację? W życiu! Nie ze mną te numery!

- To nie są żadne numery. Udało mi się już z powodzeniem dotrzeć do złogów pamięci w zagruzowanym labiryncie, jakim są umysły śpiewaków.

- Udało ci się... co?- Killashandra siadła na łóżku, wzburzona podobnym pogwałceniem prywatności. Za kogoż ta kobieta się uważa?

- Mam poparcie Cechmistrza, w dodatku...

- Wynos się stąd! Nie przyłożę do tego ręki. Ten twój Cechmistrz musi mieć źle w głowie, żeby na to pozwalać. W życiu nie słyszałam o beczelniejszym naruszeniu prywatności.

- Pomyśl tylko, ile informacji można w ten sposób odzyskać - nie ustępowała Donalla, przysuwając się bliżej. - Ile utraconych wspomnień odblokować.

- Nie mam żadnych wspomnień, na których by mi zależało. - Była zaledwie o decybel od krzyku. - Idź komu innemu wciskać ten kit. Mnie zostaw w spokoju,

- Kiedy ja chcę ci tylko pomóc, Killashandro. - Donalla postanowiła zmienić taktykę.

- Mam gdzieś twoją pomoc. Wynos się, żebym cię nie musiała stąd wykopać sama. Wiesz, że jestem już na to dosyć silna. - Uniosła się lekko z krzesła.

Dotknięta do żywego lekarka zerwała się z łóżka. Zrobiła krok do tyłu.

- Pomogłabyś w ten sposób Larsowi Daniowi, nie mówiąc o Cechu.

- Tylko nie próbuj mnie brać pod włos, Donallo. Lojalność to kolejny towar zbędny śpiewakom. - Płynnym ruchem podniosła się do pionu, zachwycona posłuszeństwem swojego ciała. Złapała Donallę za ramię, odwróciła w stronę drzwi i zdecydowanie wypchnęła z izolatki. - I żebym cię tu więcej nie widziała.

- Spróbuj mnie tylko wysłuchać... - zaczęła Donalla, ale Killashandra zatrzęsła jej drzwi przed nosem.

- Regresja w ogóle nie jest bolesna!

Ta kobieta była naprawdę niemożliwa. Krzyczała teraz przez zamknięte drzwi! Jednym ruchem Killashandra włączyła na cały regulator program rozrywkowy, zagłuszając głos Donalli. Następnie nałożyła na drzwi kod prywatności.

Najpierw musiała przejść jej furia. Zatopiła się w muzyce. Nadawano barokowe chóry. Jedna z pieśni wydała jej się znajoma. Podchwyciła partię sopranu, z zaskoczeniem konstatując, że zna słowa. Urwała śpiew, kiedy zorientowała się, że głos ma ochrypliwy i skrzekliwy.

Nic dziwnego, skoro uczepliła się jej ta durna krowa, która ubrdała sobie, że jest wyrocznią w sprawie rzekomych potrzeb Killashandry Ree. Niestety, decydować o tym wyłącznie może Killashandra Ree. Zapracowała sobie ciężko na ten przywilej! Odrzucać bezużyteczne wspomnienia - czysty absurd! I Cechmistrz zgodził się na coś takiego?

Sapnęła z oburzenia na wspomnienie słów Donalli. Może pamięć jej szwankuje, ale ludzkich głosów słucha nie od dziś. Kolejny raz zatrzęsło ją na wspomnienie intonacji, która zdradzała więcej, niż by tego chciała Donalla. Kobieta wymawiała imię Larsa tonem sugerującym więcej niż zwykłą znajomość opartą na czysto służbowych stosunkach. Nie ma co, dobrana parka! Gdyby wiedziała, że ta baba ośmieli się występować przed nią w charakterze głosu sumienia, pozwoliłaby się jej wykończyć w izbie rekrutacyjnej! - Proszę bardzo, potrafię sobie przypomnieć, o ile mi się chce! - mruknęła pod nosem.

Roześmiała się, usłyszawszy dziecienną urazę we własnym głosie. Pamiętała najważniejsze rzeczy: jak prowadzić sanie, trafiać na działkę, śpiewać kryształ i - przede wszystkim - na ogół nie zapominała, co śpiewać, żeby uzyskać najwyższe ceny rynkowe. Co miała jeszcze pamiętać? Drobne, nic nie znaczące wydarzenia? Brednie i banialuki, które tylko zaśmiecają umysł i przeszkadzają w myśleniu: wkurzające i upokarzające drobiazgi, duperele z podróży do miejsc, w których i tak jej noga już więcej nie postanie?

Czy potrafiłaby zapamiętać cokolwiek z nie znanej planety?

Cóż, gdyby była interesująca czy podniecająca w jakimkolwiek sposób, tobym zapamiętała - przekonywała się. Zapamiętałabyś! Jak chcę, to zapamiętam!

Przespała całe popołudnie. Zbudziło ją nieśmiałe stukanie do drzwi. Młodziutka, pogodna salowa weszła z pytaniem, czy może podać obiad. Znów jadła z apetytem, starając się nie zauważać faktu, że ktoś zadał sobie trud skomponowania zestawu z jej najulubieńszych potraw, co z pewnością odbije się na kosztach hospitalizacji. Do diabła, zawsze wykonywała się na egzotyczne potrawy, a yarrańskie piwo pochłaniała kuflami!

Przez następne trzy dni nie musiała oglądać Donalli, niemniej miała parę sesji z terapeutami, którzy pomogli jej odzyskać pełną sprawność mięśni. Odebrała piłę od Clarenda, który zaklinał ją, żeby pamiętała -

pamiętała- że jeszcze jeden taki numer, a będzie musiała sobie sprawić nową. Została posiadaczką lśniących, nowiutkich sań.

- Nie będę ci nawet wyliczał, ile sań rozwalilaś przez te wszystkie lata - oświadczył Ritwili cierpko, podsuwając jej rachunek do podpisu. - Sanie wyczerpują twój kredyt. Jesteś pod kreską, więc lepiej śpiewaj dobrze!

Zatrzymała się jeszcze przy stanowisku Clodine, by dowiedzieć się, czego ma szukać.

- Ktoś dopytywał się ostatnio o ciemny ametyst, no i, oczywiście, tnij każdy czarny, jaki spotkasz - podpowiedziała z uśmiechem sortowaczka. - Masz zresztą wrodzonego nosa, a na czerń zawsze znajdą się chętni.

- Taa... - Bynajmniej nie cieszyła jej własna skłonność do czarnego kryształu. Lubiała brać za niego kredyty, ale nie lubiła ciąć go samotnie. Czarny kryształ zniewalał ją łatwiej niż inne kolory. - Będę o tym pamiętać.

Tego dnia nie tylko ona miała odlatywać z hangaru Cechu. Jeszcze piętnastu śpiewaków przygotowywało się do startu, przy czym każdy z nich zdecydowany był odlecieć ostatni, żeby móc podpatrzeć kierunek obrany przez pozostałych kolegów i ukryć, dokąd sam się wybiera.

Zniesmaczona Killashandra zrezygnowała z czekania. Jeżeli wszystko będzie posuwać się w takim tempie, doleci do Pasma po ciemku. Patrząc na oznaki zużycia na pojazdach kolegów, uświadomiła sobie, że w nowych saniach z łatwością prześcignie każdego. Poprosiła o zezwolenie na start, wysłuchując w zamian serdecznych podziękowań komendanta lotów, który zaczynał już tracić cierpliwość.

- Banda umyślowo chorych - wycedził, zapomniawszy wyłączyć mikrofon.

- Miej się więc na baczności -roześmiała się, wytaczając nowy pojazd przez wrota hangaru.

Ta krótka wymiana zdań wprowadziła ją w dobry humor, który jeszcze się poprawił, kiedy pięciu śpiewaków znienacka poprosiło również o odprawę. Da im popalić!

Pozwoliła sobie na kaprys startu z prędkością niedopuszczania w takiej odległości od hangaru, śmiejąc się w kulkę z gniewnych pokrzykiwań komendanta. Lekkożywnie lecąc tuż nad pofalowanym przedgórzem Pasma, rozprędziła sanie do granic rozsądku.

- Spróbujcie za mną tylko lecieć, łachmyty! Będą was zdrapywać z tych wzgórz!

Kiedy sanie niemal otarły się o ziemię, wydała z siebie melodyjne „hurra”. Słowa wypadły jej z pamięci, więc, co sił w płucach, śpiewała arię na samych samogłoskach, rozkoszując się odzyskaną wolnością.

## Rozdział VII

Z Gór Milekeya wróciła z ładunkiem pryzmatów błękitnego kwarcu stojących w A i wyżej. Solo pracowało jej się zawsze dobrze w górnych rejestrach, co dawało jej znaczną przewagę nad resztą śpiewaków.

Do hangaru dotarła w pierwszych podmuchach naciągającej burzy. Znow uśpiewała niezłą porcję, tym razem jednak, co musiała przyznać z zadowoleniem, bez szkody dla siebie czy sań. Liczyło się tylko jedno: powrót w tym samym stanie ciała i umysłu, w jakim wyjeżdżała. W głębi duszy czuła ulgę, że lekkomyślność uszła jej płazem.

Dotarła jako jedna z ostatnich, więc musiała postać w kolejce, aż Clodine oszacuje jej kryształ. Czekanie wlokło się w nieskończoność, zwłaszcza że każda cząsteczka jej ciała domagała się płynu opalizującego, który zredukowałby rezonans do rozmiarów nieszkodliwej dolegliwości. Szalejąca burza bombardowała jej ciało lawiną wysokich tonów. Wstrząsana dreszczami, z trudem doczekała swojej kolejki.

Kiedy Clodine poinformowała ją, że znow udało jej się trafić w największe szlagiery na rynku kryształów, mimo zawodzenia gigawichru odczuła ulgę w całym ciele.

- Należało mi się trochę szczęścia - oświadczyła, wzdygnąwszy się na wspomnienie ostatniego tygodnia w Paśmie.

Oślepiające słońce niemilosiernie paliło blizny, jęk ciętego kryształu zdawał się rozplątywać umysł na części. Chciała zdobyć dosyć towaru, żeby na jakiś czas wydostać się z planety, uciec przed pieśnią kryształu na tyle daleko, żeby umysł miał szansę się zagoić.

- Ile?

Clodine uniosła głowę znad konsoli, a w lewym kącie jej ust pojawił się gorzki uśmiech.

- Nie ufasz mi już, Killashandro?

- W tej sprawie nie zaufałam własnej matce, gdybym pamiętała jeszcze, kto mnie urodził - odparła.

Zmusiła zakurzone wargi do uśmiechu. Spokój - zganiła się - Clodine jest moją przyjaciółką. Na pewno zdaje sobie sprawę, że muszę wyrwać się z Ballybranu, uciec od zawodzenia kryształu.

- Wystarczy?

Clodine zmieniła ostrość widzenia i spojrzała na Killashandrę z matczyną niemal wyrozumiałością.

- Śpiewasz już dostatecznie długo, żeby wiedzieć, kiedy nacięłaś wystarczająco dużo.

- Gadaj wreszcie! - Z niepojętą wściekłością wałnęła pięściami w kontuar, aż kryształ zadzwieczał, a zaskoczona Clodine wzrok przeskoczył na powiększenie. - Przepraszam, Clodine. Nie powinnam krzyczeć na jedyną przyjaciółkę, ale...

- Wystarczy - uspokoiła ją Clodine. Pocieszycielskim gestem sięgnęła w stronę ręki Killashandry, zaraz jednak cofnęła dłoń jak oparzona. Smutek przeleciał po twarzy. Potem wzrok przeniósł się na postać stojącą za plecami śpiewaczki.

Killashandra odwróciła nieznacznie głowę. Stał za nią Cechmistrz. Wróciła spojrzeniem do Clodine, ignorując go jak zawsze ostatnimi czasy.

- Killa - odezwał się, a jego tenor przepełniony był troską - tym razem zdecydowanie przedobrzyłaś. Nie powinnaś jeszcze pracować solo. Każdy śpiewak w tym Cechu zgodziłby się towarzyszyć ci podczas paru najbliższych lotów.

- Pracuję tak, jak mi się podoba - odparła, przeżąc dumnie skonane ciało. - Może jestem już stara, ale jeszcze się jakoś trzymam na nogach.

Cechmistrz wskazał monitor meteorologiczny w głębi sortowni; bezwiednie podążyła wzrokiem za jego palcem. Udało jej się zachować kamienny wyraz twarzy, choć obleciał ją zimny strach. Nie zauważyła, że wiatr był tak potężny - dwanaście w gigaskali. Czyżby zmysł meteorologiczny ją zawiódł? Albo stępniał aż tak bardzo? Nie, po prostu była o wiele głębiej w Paśmie, niż jej się wydawało. Burza z łatwością mogła ją przyłapać jeszcze przy pracy. Ale nie przyłapała. Bezpiecznie dowiozła do bazy dosyć kryształu, żeby znow udać się gdzieś poza planetę.

- Nieźle wieje - przyznała, krzywiąc się i wzruszając ramionami. - Boję się, że z mojej działki nie zostanie kryształ na kryształe.

Cechmistrz leciutko dotknął jej ramienia; nie cofnął ręki jak przedtem Clodine.

- Nie leć następnym razem solo, Killa. - Zrobiła unik, ale ciągnął dalej: - Śpiewasz kryształ już od wielu, wielu lat. Wpadłaś tu tuż przed nawałnicą o mocy dwunastu stopni. Następnym razem zostaniesz o parę minut za długo i... puff - Ręce z szeroko rozcapierzonymi palcami wyrzucił do góry. - Tyle właśnie zostanie z twojego mózgu.

- Teraz sama decyduję o sobie, Cechmistrzu - odparła, w dalszym ciągu zwrócona do niego plecami. W oczach Clodine dostrzegła współczucie i niepokój.

- Z zerwanymi bębenkami i umysłem jak pęknięty balon? Jasne. Jasne. Spójrz tylko, pół tuzina śpiewaków gotowych jest lecieć z tobą na każde skinienie. A może już nie pamiętasz - dorzucił słodkim głosem - ile zarabiałaś, śpiewając w duecie...

- Z Larsem Dahlem - dokończyła obojętnie, nadal nie odwracając się do niego.

- Dobrze się nam pracowało razem, Killa - mówił nadal serdecznie.

- Bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że raczy pan wciąż o tym pamiętać, Cechmistrzu. Zawróciła od lady, ale zastąpił jej drogę.

- Myliłem się, Killashandro. Za późno już, żebyś cięła w duecie. Masz serce z kryształu.

Wyszedł z sortowni, zostawiając ją tam, gdzie stała.

Daremnie starała się przekonać samą siebie, że bawia ją jego oskarżenia - w ustach Larsa te słowa cięły boleśnie jak kryształowe odłamki. A przecież nie miała najmniejszego zamiaru śpiewać w duecie. W każdym razie nie z Larsem Dahlem. Sięgnęła pamięcią wstecz, usiłując przypomnieć sobie cokolwiek z tamtych sielskich dni. Bezszyfrowanie. Musiało to być bardzo dawno temu: wiele burz, wiele Przejść, wiele wypraw po kryształ minęło od tego czasu.

- Killa?

Głos Clodine sprowadził ją na ziemię: na ekranie widniała suma jej zarobków. Całkiem niezła. Nawet po odjęciu haraczu dla Cechu wystarczała, żeby Killashandra przez prawie rok nie musiała latać w Pasma. Może przez ten czas uda jej się wypłukać kryształ z serca.

Cechmistrz pomylił się co do niej. Tak, z pewnością się mylił. Podziękowała Clodine, która z ulgą przyjęła poprawę nastroju przyjaciółki.

Przystanąła w hallu po to tylko, żeby wystukać swoje imię i zamówić autopilota, który doprowadzi ją do jej mieszkania. Dawno już przestał ją denerwować fakt, że w kompleksie Cechu nie potrafi bez pomocy znaleźć drzwi do własnego apartamentu. Teraz po prostu pozwalała się prowadzić pilotowi. Gigawichry zdawały się deptać jej po piętach, dudniąc echem w windzie i w korytarzach. Klucz nagle zadzwieczał w jej ręce. Przyspieszyła kroku. Im prędzej zanurzy się w kąpieli opalizującej, tym prędzej pozbędzie się gniewnego pulsowania kryształu we krwi. Nie, nie we krwi. Jeszcze nie we krwi. A więc byli wciąż mężczyźni gotowi ciąć z nią w duecie? Kto powiedział jednak, drogi Cechmistrzu, że ona była skłonna śpiewać z którymkolwiek z nich? Kiedy dochodziła na miejsce, drzwi mieszkania otworzyły się same. Przyspieszyła kroku. Napełnianie wanny płynem zawsze wlokło się w nieskończoność. Powinno być jakieś urządzenie do zdalnego sterowania kranem, zwłaszcza dla śpiewaków tak nasączonych kryształem jak ona. Kiedyś ktoś - jakżeż mu było? - wyświadczał jej małą uprzejmość i po powrocie zastawiała wannę pełną.

Skręciła do łazienki i ze zdumieniem zauważyła, że mazista ciecz sączy się z kranu do prawie pełnej wanny. Ale przecież ten ktoś - daremnie wyteżała pamięć, ściągając brudny kombinezon - od dawna nie żył. Będzie dogonnie wdzięczna temu, kto odkręcił kran w jej łazience. Cechmistrz? Mało prawdopodobne. Jakżeż się ten drugi mężczyzna nazywał?

Nie była dłużej w stanie łamać bezskutecznie głowy. Z głębokim westchnieniem ulgi zanurzyła się w gęstej cieczy, która oblepiła ją, wnikając w pory skóry. Ciało skwapliwie wchłaniało anodynę. Oparła głowę we wklęsnięciu, zapięła uchwyty na rękach i nogach. Mięsień po mięśniu rozluźniała całe ciało, czekając, aż w kościach uciśnie rezonans.

Musiała zasnąć; nic dziwnego w takim stanie. Po przebudzeniu poczuła się troszkę lepiej. Nie obejdzie się bez poczwórnej kąpieli - stwierdziła, wypuszczając zużyty płyn.

- Podajnik! - krzyknęła głośno, uruchamiając automat w sąsiednim pokoju. Automat zabrzączał w odpowiedzi. Zamówiła jedzenie. Czekala, aż kolejne brzęczenie da znać, że posiłek jest gotowy. - Kiedy wreszcie wynajdą tego robota, który przyjdzie do mnie z tacą...

Kiedyś nie musiała troszczyć się o taki szczegół, to fakt. Tyle jeszcze była w stanie zapamiętać. Wypelzła z wanny, ponownie odkręciła kran i, owijając się w obszerny ręcznik, ruszyła w stronę podajnika, nie sobie nie robiąc z tego, że za każdym krokiem na podłodze tworzy się kałuża płynu. Nęący zapach jedzenia sprawił, że po raz pierwszy od wielu dni ślina napłynęła jej do ust.

- Nie jedz za dużo, Killashandro - upomniwała się, z góry przeczuwając, jak zareaguje jej wyposzczony żołądek, jeżeli pozwoli sobie na obżarstwo. Tyle jeszcze była w stanie zapamiętać.

Łapczywie przełknęła parę kęsów, po czym siłą woli zmusiła się, żeby wrócić z tacą do łazienki. Postawiła posiłek na szerokim brzegu wanny. Z powrotem wskoczyła do kąpieli, sadowiąc się pod szerokim kranem, z którego wylewał się z chlupotem płyn opalizujący. Wsparta jedną ręką o brzeg wanny, wkładała do ust pojedyncze pędy milsi, żując starannie.

Stanowczo nie powinna zapominać w Paśmie o jedzeniu. Jej sanie były wystarczająco dobrze zaopatrzone, a skoro już zapłaciła za prowiant, szkoda go marnować. Postara się o tym pamiętać.

W czwartej kąpieli zaczęła sobie przypominać wzloty i upadki w czasie poprzedniej wyprawy. Nie była specjalnie zachwycona. Po pierwsze, wróciła z Pasma niespecjalnie obciążona parę sekund przed burzą. Naturalnie, tym razem odcięła kupony od poprzedniej wyprawy - z kryształem tak właśnie bywało. Jeżeli śpiewakowi udało się wystarczająco szybko wrócić w pobliże żyły, kryształ zaczynał rezonować, wskazując drogę. Poprzednim razem nie miała jednak dosyć kredytów, żeby wydostać się z planety, mimo że tego rozpaczliwie potrzebowała... choć ani w połowie tak bardzo jak teraz.

Ukojenia musiała szukać w objęciach przystojnego i nieco aroganckiego młodego szczura lądowego w głębi kontynentu, choć słoń mu na ucho nadepnął, stał obiema nogami na ziemi i, niestety, nie potrafił jej rozżarzyć do czerwoności.

- Serce z kryształu, jeszcze co! - Słowa Cechmistrza brzmiały w jej uszach, jak zgrzyt kryształowego złomu.

Parsknęła ze szczerym obrzydzeniem i wygramoliła się z wanny, strącając przy tym tacę. Podeszła do wielkiego ściennego lustra i patrzyła, jak płyn ścieka z jej ciała, jedrznego i zgrabnego jak ciało nastolatki. Dawno już zrezygnowała z wysiłków ustalenia swojego wieku kalendarzowego: jakież miał w końcu znaczenie w sytuacji, w której symbiont zapewniał jej młody wygląd i dobre samopoczucie. Nie była to nieśmiertelność, ale coś w tym rodzaju - starzała się wyłącznie jej pamięć.

- Gdzie by tym razem dać nogę z tej zakichanej planety? - zagadnęła swoje odbicie, po czym rozsunęła drzwi garderoby.

Z lekkim zdumieniem przyjęła do wiadomości, że szafa pęka w szwach od eleganckich ciuchów. Musiała wydać resztę kredytu na szmatki, którymi usiłowała omotać jurnego lądowego szczura. Jako kochanek był brutalny, co stanowiło pewną odmianę. Wszystko było odmianą, od kiedy z jej życia zniknął Lars Dani. Jak Cechmistrz śmiał sugerować, że powinna śpiewać w duecie?! Nie miał prawa ani wystarczającej władzy, nie mógł jej do niczego zmusić prośbą ani groźbą!

Rozjuszona, wystukała kod dyrekcji kosmoportu i zażądała informacji o kierunkach, do których udają się najbliższe promy z Shankill.

- Nie ma ich zbyt wiele, K. Ś. Killashandro - brzmiała uprzejma odpowiedź. - W tej chwili niewielki frachtowiec tankuje paliwo przed odlotem do układu Armagh...

- Czy byłam tam już kiedyś?

- Nie - usłyszała po chwili ciszy.

- Z czego się żyje na Armagh?

- Eksport tranu i kleju rybnego. - Głos rozmówcy tchnął lekkim obrzydzeniem.

- Jedna z tych mokrych planet?

- Nie do końca. Bardzo przeciętne proporcje lądów i mórz.

- Tropiki? - Z niepojętych powodów tropik jednocześnie fascynował ją i odpychał.

- Posiada bardzo miłą strefę tropikalną. Znakomita kuchnia, jeżeli gustujesz w diecie preferującej dania rybne i owocowe, i możliwość uprawiania wszystkich sportów wodnych.

- Proszę zabukować - zażądała władczo, tonem przysługującym śpiewakom kryształu, przynajmniej na Ballybranie.

- Start dzisiaj, o dwudziestą drugą trzydzieści — padła informacja.

- Powinnam zdążyć. - Rozłączyła się.

Wyciągnęła najbardziej klasyczne i skromne ciuchy, jakie udało jej się wgrzebać w szafie, na chybił trafił wybrała parę bardziej efektownych rzeczy, wrzuciła do torby podręcznej i zasunęła zamek. Zawahała się, przystanąwszy na środku pokoju. Potoczyła po ścianach obojętnym wzrokiem. Typowa kwatera członka Cechu. Z trudem przywołała w pamięci wspomnienie czasów, kiedy na ścianach wisiały obrazy i tkaniny, piękne, oryginalne bibeloty stały na półkach i stolikach, na podłodze salonu leżał dywan. W tej chwili pomieszczenie było do cna ogołocone z wszelkich osobistych akcentów, przynajmniej związanych z osobą Killashandry.

- Ponieważ - oznajmiła na głos, jakby chciała swoje słowa odcisnąć na ścianach pokoju - jestem śpiewaczką kryształu, która żyje tylko chwilą obecną.

Wychodząc trzasnęła drzwiami, ale to w żaden sposób nie poprawiło jej samopoczucia. Rozchmurzyła się trochę, stwierdziwszy, że jakkolwiek po sesji w Paśmie miewała trudności z odnalezieniem drogi do mieszkania, zawsze nieomylnie trafiała z podziemnych poziomów mieszkalnych na pas startowy promu.

Bez pośpiechu zdjęła z oczu soczewki ochronne. Niewiele się zmieniło. Prawdę mówiąc Ballybran oglądany w drodze na Shankill wyglądał jeszcze mniej interesująco, niż się można było spodziewać. Burza ucichła. Killashandra poczuła nagłą tęsknotę za rezonansem, który zostawał w oddali, za tęczą świetlistych pryzmatów otaczających bryły kwarcu, za czystą słodyczą porannej pieśni kryształu, za jego westchnieniami w chłodnym, białym świetle jednego z głównych księżyców Ballybranu, za infradźwiękowym buczeniem, przenikającym aż do kości w zimne, czarne noce.

Na miejscu musiała dopełnić wszystkich formalności związanych z opuszczeniem układu, po czym została skierowana na stanowisko dwudzieste trzecie, na którym czekał już annaghiański frachtowiec, „Maeve 18”. Do kabiny zaprowadził ją młody steward, który jak mógł uciekał przed nią - i brzęczeniem rezonansu - po wąskich korytarzach.

- Macie na pokładzie płyn opalizujący? - spytała, ponuro uśmiechając się na widok jego reakcji.

- Znajdziesz go w swojej kabinie, śpiewaczkko - odpowiedział i błyskawicznie zniknął.

Nazywanie dwumetrowej rynny szerokości ludzkiego ciała wanną zakrawało na niezły eufemizm. Żeby się dostać do środka, trzeba było dokonać akrobatycznej sztuczki nad sedesem. Instrukcja przy tablicy kontrolnej sugerowała, że płyn po splukaniu używany był ponownie. No cóż, mogła liczyć na trzy do czterech kąpieli, zanim płyn się zdezaktywizuje. Ta ilość musi jej wystarczyć. Odkręciła kran i rozległ się swojski gulgot.

Cisnęła torbę podróżną na wąską koję, zrzuciła ubranie i dokonała wymaganej akrobacji, zanurzając się w wannie dokładnie w chwili, kiedy dopływ cieczy został automatycznie odcięty. Przypięła ręce i nogi do

upręży, oparła głowę o brzeg wanny i poddała się oczyszczającemu działaniu płynu.

Po raz pierwszy wychynęła do mesy trzeciego dnia, wypłukawszy na tyle z krwi i kości kryształowy rezonans, żeby móc spokojnie iść między ludzi. Dręczyło ją pragnienie, które nie ograniczało się jedynie do jadła i napoju, pragnienie, które jednak potrafiła utrzymać na wodzy, w przeciwieństwie do ośmiu pasażerów płci męskiej i dwóch stewardów, bezsilnych wobec jej kobiecego uroku. Żaden jej się nie podobał, wobec czego wycofała się do kabiny, której nie opuszczała już do końca podróży. Wystarczająco wiele razy podróżowała w podobnych układach, żeby wiedzieć, że lepiej nie pokazywać się nikomu na oczy.

Kosmoport Armagh III cuchnął tranem i klejem. Kiedy żegnała się pośpiesznie z kapitanem, do ładowni wtaczano właśnie beczki. Błysnęła dokumentami i została zaproszona do korzystania bez ograniczeń ze wszystkich udogodnień planety. Nie musiała legitymować się przynależnością do Cechu - Armagh III była otwartą planetą.

Wynajęła własny latacz i zgłosiła się do Turistasu po listę ośrodków wypoczynkowych. Lista okazała się na tyle długa, że Killashandra przymknęła oczy i na chybił trafił wskazała palcem: Trefoil na południowo - wschodnim wybrzeżu głównego łądu. Pospieszenie zaopatrzyła się w trochę armaghiańskiej odzieży - leciutkie ażury w barwne desenie - po czym ruszyła w drogę.

Trefoil przypominał jej jakieś miejsce, w którym już była. Podobieństwo wyraźnie narzucało się nawet wtedy, kiedy międzyoceaniczny statek powietrzny zaczął krążyć nad niewielkim portem rybackim. Jachty halsujące pod pełnym żaglem w stronę portu sprawiły, że serce jej zabiło z niepojętej, bolesnej radości. Była pewna, że kiedyś musiała mieć coś do czynienia z żaglowcami, gdyż w jej umyśle natychmiast pojawiły się odpowiednie nazwy: siup, ożaglowanie łaćńskie, szkuner, kecz, jolka. Znów poczuła ukłucie bólu. Niechętnie uznała, że tak wyraźne wspomnienia można nawet uznać za zaletę tej prowincjonalnej planety.

Łądowisko znajdowało się niedaleko długiego nabrzeża, w stronę którego zmierzał olbrzymi dwumasztowiec z niewymuszonym wdziękiem zawijając do jednego z portowych basenów. Kolejne określenia same cisnęły się na język. Po części, żeby uwolnić się od nieoczekiwanych emocji, po części dlatego, że statek dziwnie ją fascynował, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła spacerowym krokiem w stronę nabrzeża. Załoga uwijała się na rejach, refując ostatni z kwadratowych żagli baktortu. Ale większość żeglarzy kręciła się po lśniącym jak kryształ pokładzie.

- Od czego pokład tak błyszczy? - spytała stojącego obok mężczyznę.

- Od tranu - wyjaśnił krótko rozmówca, rudobrody olbrzym, zaraz jednak przyjrzał jej się ponownie.

Mężczyźni zwykle obrzucali Killashandre powtórным spojrzeniem. -Pierwszy raz na Armagh?

Skinęła głową, nie mogąc oderwać oczu od szkunera.

- Od dawna tutaj?

- Dopiero co przyjechałam.

- Mieszkasz już gdzieś?

- Jeszcze nie.

- Polecam Złotego Delfina. Najlepsza kuchnia w mieście. Doskonały wyszynk.

- Też tam mieszkasz? - Przyjrzała mu się uważniej.

- Waśnie dlatego polecam to miejsce - odparł z rozbrajającą szczerością,

Odwzajemniła jego uśmiech ani ozięble, ani zbyt zachęcająco. Neutralnie. Przypominał jej kogoś.

Odwrócili się w stronę wpływającego do doku żaglowca.

Procedura wydała się Killashandrze fascynująca i dziwnie znajoma, jednak odegnała wspomnienia. Zajęła się podziwianiem sprawnie wyszkolonej załogi. Chociaż z kapitańskiego mostka nie padło ani jedno polecenie, wszyscy robili, co do nich należało. Wielki kadłub z opuszczonymi żaglami dryfował bokiem w stronę doków. Zwinięto ostatni żagiel. Dwóch marynarzy, jeden z rufy, drugi z dziobu, wyrzuciło cumy na brzeg. Kiedy odległość na to pozwoliła, zeskoczyli na ląd, zręcznie okręcili je wokół kołpaków.

Armaghiańscy byli wysocy, opaleni i muskularni, co znajdowało aprobatę w oczach Kallashandry. Rudobrody obserwował ją spod oka. Niewątpliwie się nią interesował. Nagle stojący najbliżej marynarz odwrócił się w jej stronę, machając ręką. Jego zęby na tle mahoniowej skóry raziły śnieżną bielą. Odrzucił do tyłu gęstwinę krętych kosmyków i pomachał ponownie. Jak wszyscy jego towarzysze, nosił długie, wyświecone od tłuszczu spodnie i bluzę niecodziennego kroju, która odsłaniała pierś i ramiona, natomiast na wysokości żeber została usztywniona podwójną warstwą skóry. Mężczyzna był nieprawdopodobnie umięśniony.

Dlaczego do niej machał? Jednak nie, pozdrowienie skierowane było do rudobrodego, który ruszył przed siebie, przywitać się z przyjacielem. Dołączył do nich trzeci mężczyzna, kudłaty, z czarną brodą, i również uściśkał rudobrodego. Cała trójka gawędziła zwrócona twarzami do statku, czekając, aż podjedzie po szynach groźnie wyglądająca machina. Z maszyny wysunęła się rampa, która opadła nad pokład żaglowca i zawisła wyczekująco. Obaj marynarze wrócili na statek, przy czym blondyn poruszał się z naturalnym wdziękiem urodzonego atlety. W porównaniu z nim brunet wydawał się niezdarny. We dwóch dźwignęli luk pokładowy. Z rozkołysanej rampy wysunęły się szczęki, które objęły pokład w rejonie otworu ładowni. Rampa zagłębiła się w rozwartej paszczy żaglowca. W chwilę później ruszyła w górę taśma i Killashandra zobaczyła pierwszego w życiu lunka -wielką, stanowiącą źródło oleju rybę Armaghu. Lunk wyruszał w swoją ostatnią podróż.

Pochłonał ją proces wyładunku, który mimo automatyzacji nadal wymagał rąk ludzkich. Tłuste łuski ześlizgiwały się z taśmy; w takich wypadkach blondyn wbijał ogromny haczyk wędkarski w okryte twardym pancerzem grzbiety trzepoczących się ryb i zręcznym ruchem rzucał rybę na miejsce. Wyglądało na to, że rudobrody pełni jakąś oficjalną funkcję, gdyż notował coś na pulpicie sterowniczym, często rzucał polecenia do mikrofonu i najwyraźniej zapomniał o obecności Killashandry, co z gruntu pochwałała. Mężczyzna powinien przykładać się do swojej pracy.

Zwłaszcza kiedy pracował z równie zachwycającą ekonomią ruchu i wysiłku jak blondyn.

Prawdę mówiąc Killashandra była raczej zaskoczona, kiedy rampa nagle się cofnęła i urządzenie przesunęło się w stronę następnego luku. Pomiędzy marynarzami pojawił się mały, bosy łobuziak z tacą pachnących smakowicie gorących placków na głowie. Killashandra uświadomiła sobie, że odkąd opuściła powietrzny statek, to znaczy od rana, nie jadła niczego. Zanim zdążyła zawołać chłopaka, marynarze zabrali całą porcję. Rozdrażniona, odwróciła się plecami do morza. Gdzieś w pobliżu muszą być jakieś restauracje. Obrzuciwszy pożegnaniem spojrzeniem blondyna, który z ukontentowaniem trzymał po jednym placku w każdej dłoni, wyszła z przystani.

Tak się złożyło, że w knajpcie, w której się posilała, wisiał plakat reklamujący Złotego Delfina. Zajazd znajdował się nieco dalej, przy plaży, w zagajniku paprociowców, które również jej coś przypominały, co doprowadzało ją do szaleństwa. Daremnie łamała sobie głowę. Złoty Delfin rozsiadł się po drugiej stronie przylądka, wystarczająco daleko od miasta i przystani, żeby nie docierały doń odgłosy przemysłowe. Wynajęła pokój z werandą od strony morza. Przebrała się w tutejszy strój i pustym korytarzem udała się do baru

- Co pan poleca z miejscowych trunków? - spytała barmana, sadowiac się na dziwnym drewnianym stołku barowym.

- Zależy, jaką pani ma głowę, moja miła - odparł mały, czarny mężczyzna, uśmiechając się zachęcająco.

- Nigdy nie tracę głowy.

- Słodkie czy wytrawne?

- Hm... wytrawne, chłodne i... dużo.

- Może harmat, tutejsze wino z fermentowanych owoców. Jest mocne.

- Wobec tego, proszę mieć mnie na oku. Pan zna miarę.

Skinął głową z uszanowaniem. Skąd mógł wiedzieć, że metabolizm śpiewaków kryształu radził sobie z nadwyżką leków, narkotyków i alkoholu? To błogosławieństwo było zarazem ich przekleństwem. Zwłaszcza jeżeli ulegli kontuzji poza Ballybranem, a wokół nie było kryształu, który zagłuszyłby kakofonie bólu w mięśniach i kościach. Niestety, nadal miała w sobie tyle rezonansu, że spokojnie mogłaby poddać się amputacji i nie czuć bólu.

Podany w wysokiej szklanicy cierpki i chłodny harmat łagodnie szczypał w gardło.

- Bardzo stosowny trunek w krainie słońca - przyznała. - I marynarzy.

- O, tak - zgodził się barman z błyskiem w oku. - Przez nich nie eksportujemy go tyle, ile byśmy mogli.

- Myślałam, że handel Armagh opiera się wyłącznie na tranie i kleju.

- Owszem - zmarszczył wzgardliwie nos. - Ale eksport harmatu jest bardzo opłacalny, niestety przepisy handlowe dają priorytet konsumpcji miejscowej.

- Trzeba opracować jakiś inny gatunek.

- Robię, co mogę - wyznał zgnębiony - ale oni wypijają do dna wszystko, co wyprodukuję.

- Jesteś również wytwórcą win? Wyprostował się z dumą.

- Zbieram owoce z własnych winnic, przeprowadzam proces fermentacji, tłoczę, beczkuje, leżakuję.

Zasypała go pytaniami, zaciekawiona jego zawodem. Przyszło jej do głowy, że gdyby nie była śpiewaczką, mogłaby zająć się wyrobem win, Biyanco, tak się bowiem barman nazywał, gawędził z nią przyjaźnie, dopóki śpiewy i pokrzykiwania gromady mężczyzn nie zakłóciły ciszy baru.

- Rybacy - wyjaśnił, pospiesznie napełniając kolejne szklance harmatu i popychając wzdłuż kontuaru.

Nie zdążył jeszcze obsłużyć wszystkich, kiedy szerokie drzwi otworzyły się gwałtownie i do baru wtargnęła horda mężczyzn i kobiet w wytłuszczonych spodniach i kamizelkach. Wszyscy sięgali po pierwsze naczynia, jakie wpadły im w ręce. Po drewnianym kontuarze potoczyły się z brzękiem monety. Killashandra nadal siedziała tam gdzie przedtem, teraz jednak z obu stron tłoczyło się około trzydziestu ludzi, którzy dopóki nie osuszyli pierwszej szklanki do dna i gromkim głosem nie zażądali następnej, nie racyli na nią nawet spojrzeć. Później, w swoim odczuciu, została również zignorowana; posypały się żarciki, ubijano interesy.

- Radziłbym uważać na ten trunek - rzucił ktoś za nią. Zobaczyła rudobrodego.

- Uprowadzono mnie o tym - odpowiedziała z uśmiechem.

- Biyanco pędzi najlepszy harmat po tej stronie kanału. To nie jest napój dla laików.

- Uprowadzono mnie o tym - powtórzyła, lekko rozbawiona tą zniewagą.

Naturalnie, nie mógł wiedzieć, że jest śpiewaczką kryształu. Ostrzegął ją w najlepszej wierze.

Wielka, opalona na brąz pięść musnęła jej biust. Zaskoczona, podniosła wzrok i napotkała błękitne, przejrzyste oczy jasnowłosego marynarza, które patrzyły na nią z chłodnym uznaniem. Na sekundę w jego oczach pojawił się błysk typowo męskiego zainteresowania, zaraz jednak z powrotem zagościła w nich

poprzednia ostrożność.

Odwróciła wzrok, dziwnie poruszona widokiem błękitnych oczu, znanych, a zarazem nie znanych. Poczula ukłucie rozczarowania. Stanowczo był dla niej za młody. Odwróciła się w stronę rudobrodego, który uśmiechał się, jakby bawiło go to, co właśnie zobaczył.

- Thursday, Orric Thursday - przedstawił się Killashandrze.

- Killashandra Ree - oświadczyła, wyciągając rękę.

Trudno, żeby po uścisku dłoni zorientował się, że jest śpiewaczką kryształu, zauważyła jednak, że zaskoczyła go jej siła. Killashandra nie była wysoka ani grubokoścista: cięcie kryształu nie wymagało mięśni, a jedynie umiejętności kontrolowania energii.

- To mój wierny druh, Shad Tucker. - Thursday wskazał blondyna. Zadowolona, że tłok przy barze uniemożliwiał podanie ręki, skinęła tylko głową.

- A to mój towarzysz broni. Tir Od Nell - Orric Thursday wskazał czarnobrodego, który również zadowolili się uśmiechem i kiwnięciem głowy. - Przyjechałaś tutaj na wypoczynek, Killashandro? - spytał Thursday, a kiedy potaknęła, wypytywał dalej - Dlaczego, mając do wyboru całą galaktykę, zdecydowałaś się na tak nudny rybacki zaścianek jak Armagh?

Trudno powiedzieć, ile razy słyszała podobne pytanie, Pytanie, które było zgrabnym zaproszeniem do zwierzeń.

- Powiedzmy, że lubię uprawiać sporty wodne - odparła, beczelnie taksując go spojrzeniem.

Ku jej zaskoczeniu, ze śmiechem odrzucił głowę do tyłu, odsłaniając świeżo wygolone pasmo białej skóry, której nigdy nie dosięgały promienie słońca. Jego towarzysze nie odezwali się słowem, ale nie spuszczała oczu z Killashandry.

- Powiedzmy. W takim razie wylądowałaś w bardzo odpowiednim miejscu. Chcesz popływać na spokojnym morzu? Codziennie o świcie wyrusza łódź. - Spojrzał na nią pytająco. - A może narty wodne? Nurkowanie? Pływanie z delfinami? Co tylko sobie życzysz, Killashandro Ree!

- Już dość, zamęczysz mnie!

- Wyglądasz na osobę niezmordowaną. - Aż się prosił, żeby mu przytrzeć nosa.

- Skąd możesz to wiedzieć? Nic nie wskazuje na to, żebyś się na tym znał.

Tir Od Nell zarechotał.

- Ale ci przyłożyła, Orr! - zawołał, waląc towarzysza w ramię.

Shad Tucker uśmiechnął się z cichym rozbawieniem, jakby go zaskoczyła jej ironiczna uwaga i nie był pewien, czy wypada mu śmiać się z własnego kolegi.

Orric ze wzruszeniem ramion wyszczerzył zęby, po czym spojrzał na Killashandrę z szacunkiem. Głośno zgromił Biyanco, że serwuje harmat w dziurawych szklankach. Zaspokoiwszy pierwsze pragnienie, większość rybaków wyszła.

- Szukam rozrywek - wyjaśnił Orric.

Tir Od Nell i Shad Tucker ustawili jednak stoliki wokół Killashandry i pili dalej.

Nie ustępowała im ani na krok, płacąc za siebie i z rozbawieniem śledząc podchody Orrica, który chciał ją koniecznie pociągnąć za język.

Wkrótce zorientowała się, że niełatwo go zniechęcić. Bez skrupowania opowiadał o życiu swoim i kolegów. Przed pięcioma sezonami pracowali we trzech na tym samym kutrze, po czym musieli zejść na jakiś czas na ląd z powodu słabych połowów. Orric miał smykałkę do komputerów i często, kiedy przybijał statek, wyręczał w pracy obsługę przystani. Tir Od Nell w sezonie zatrudniał się dorywczo na łodziach, po czym wracał do stałej pracy na lądzie. Shad Tucker, jedyny cudzoziemiec, przemierzył morza czterech planet, zanim zakotwiczył na Armagh.

- Zaklina się, że jest w drodze, ale siedzi tu już ponad piąty rok - mówił Orric - i nikt nie widział, żeby starał się o bilet.

Tucker słuchał z pobłażliwym uśmiechem, jakby krępowało go wszelkie mówienie o nim.

- Nie daj się zmylić skromności Shada, Killashandro Ree - ciągnął Orric, kładąc dłoń na ramieniu towarzysza. - On nie jest zwykłym poławiaczem lunka, o nie. - Kolejny raz ból targnął sercem Killashandry, zamaskowała go jednak uśmiechem pod adresem Orrica. - Ma uprawnienia pierwszego oficera na morzach czterech planet, przy których Armagh wygląda jak sadzawka. Przyleciał tutaj promować sprzęt podwodny jednego z towarzystw z Anachorety. - Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że propozycja na Armagh padła na jałowy grunt.

- Ludzie na Armagh są konserwatywni - wyjaśnił Tucker, którego głos stanowił miłą odmianę po porykiwaniach Orrica. Musiała wyteńczyć słuch, żeby go słyszeć.

- Dlaczego? - spytała.

- Wydaje im się, że istnieje tylko jeden sposób na połów tłuszczonego się lunka. Ciągną go długimi wędkami. Unika się w ten sposób obrażeń zewnętrznych. Lunk nie miota się tak jak w sieci, dzięki czemu jego tran się nie warzy. Kapitanowie mają wyczucie, pozwalające obchodzić się bez radarów. Pływałem z piątką czy szóstką najlepszych i zawsze umieli powiedzieć, w którym kierunku posuwa się ławica i ile uda się wyłowić na

danej głębokości.

A ty - pomyślała Killashandra, rozbawiona jego zachwytem - dałbyś sobie rękę uciąć, żeby rozwinąć podobny zmysł.

- Łowiłeś na innych planetach?

- Aha.

- Na przykład gdzie?

Wymyślał się jej jak lunk; sama zresztą stosowała podobną taktykę.

- Tu i ówdzie. Pajęcznice, kłapieszczęki, płetwała błękitnego, płaszczy i welladayskie wieloryby.

Młody mężczyzna opowiadał o tym od niechcienia, jakby spotkanie z podwodnymi potworami było chlebem powszednim. Jakim cudem wiedziała, o czym on mówi? Rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę Orrica, którego oczy lśniły oczekiwaniem, że litania Shada wywrze na niej wrażenie.

- Na Spindrift kłapieszczek mało go kiedyś nie chapsnął swoim pancerzem - dumnie oznajmił Orric. - Przeleciał parę kilometrów na płaszczy, zanim ją schwytał, największą płaszczykę, jaką kiedykolwiek widziano na Mandalay.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak mu zależy na wychwalaniu zasług przyjaciela. Z pewnością jednak miało to podnieść Orrica w jej oczach. Shad, tak czy owak, był za młody. Nie próbowała już więcej ciągnąć za język Shada, zadowolając się rozmową z Tirem i Orrikiem.

Orric zamawiał następne kolejki, chociaż niepokoiła go ilość harmatu, jaką wlewała w siebie Killashandra. Planetę okrył mrok i zapalono światła.

- Kolacja - zarządził Biyanco, spuszczać wokół baru balustradę.

Pojawił się w bocznych drzwiach i energicznie gestykulując zaprosił ich do czteroosobowego stolika po drugiej stronie sali. Killashandra nie wyrażała sprzeciwu wobec sugestii Orrica. żeby się do posiłku, i resztę wieczoru spędziła, słuchając anegdot o rybach, w ich towarzystwie. Noc - z wyboru - spędziła samotnie. Nie umiała się zdecydować.

Wschodzące na morskim horyzoncie słońce zastało ją unoszącą się na rozkołysanych wodach prywatnej laguny hotelowej. Podziwiała kutry poławiaczy, które z żaglami wzdętymi od porannej bryzy pruły z niebywałą szybkością w otwarte morze. Ku jej miłemu zaskoczeniu Orric pojawił się w okolicach południa, proponując małą wycieczkę po Trefbil. Z braku lepszego zajęcia zgodziła się i odkryła, że ma do czynienia z uroczym towarzyszem, który chętnie zapoznawał ją ze specyfiką lokalnego przemysłu. Prowadził ją z dala od szlaków turystycznych, za co była mu niezmiernie wdzięczna. Nienawidziła, kiedy traktowano ją jak turystkę, choć przecież wszędzie poza Ballybranem była turystką. Wysiłki Orrica Thursdaya zmierzające do tego, by Killashandra ujawniła, jaki ma zawód, spełzały jednak na niczym.

Nie dlatego, że miała specjalne zamiłowanie do tajemniczości, ale dlatego, że tylko na nielicznych planetach rozumiano, na czym polega praca śpiewaka kryształ. Zazwyczaj ludziom tej profesji przypisywano najdziwniejsze praktyki i obyczaje. Z tego powodu ostrożność i małomówność dawno weszły jej w nawyk.

Późnym popołudniem zabrzączał pager przy pasku Orrica. Wzywano go do doków; na horyzoncie pojawiły się kutry.

- Wybacz, moja miła - oświadczył, wykonując karkołomny zwrot swoim superszybkim lataczem. - Wzywają mnie obowiązki.

Oświadczyła, że wybierze się z nim na przystań, i pozwoliła mu wierzyć, że robi to z jego powodu. Miała ochotę znów obejrzeć załogę wykonującą w ciszy manewr kotwiczenia, ponownie przyjrzeć się spalonej na brąz sylwetce Shada Tuckera. Stanowczo był dla niej za młody - upomniała się kolejny raz - niemniej warto było podziwiać wdzięk, z jakim się poruszał.

Dowiedziała się, że tego dnia połów był szybki i obfity. Kiedy poławiacze gasili już pragnienie w Złotym Delfinie, Tucker sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego. Nie mogła się powstrzymać od pytania, co wprawia go w tak dobry humor.

- Zarobił wreszcie dostatecznie dużo, żeby się stąd wyrwać - wyręczył go Orric w odpowiedzi. Shad wzruszył tylko nieporadnie ramionami. - Ale się stąd nie ruszy. --Orric pokiwał głową z cierpkim uśmieszkiem. - Nigdy się stąd nie rusza. Siedzi tu dłużej niż gdziekolwiek.

- Dlaczego? - spytała Shada, uciszając Orrica, żeby dosłyszeć odpowiedź. - Niech Tucker sam odpowie. Ma chyba własny rozum, prawda?

Shad spojrzał na nią lekko zaskoczony. Gdzieś ulotniła się nieporadność jego błękitnych oczu, jej miejsce zajęło spojrzenie, które wstrząsnęło nią do głębi.

- Tu są prawdziwe morza - powiedział po swojemu, miękko akcentując słowa - a nie zapóźnione w ewolucji zbiorniki planktonu.

Mamrocze tak, bo mówiąc nie otwiera ust do końca - stwierdziła. Co każe mu się mieć aż tak na baczności?

- Mają tu lunka na eksport, tereta i płaszczy do konsumpcji, mięczaki i skorupiaki dla wybredniejszych podniebień, wreszcie... stale mogą zbierać owoce morza... Niespotykana różnorodność. Kto wie, czy nie kupię sobie kwałka ziemi i nie zostanę tutaj.

- Pływasz jeszcze na czymś poza kutrami połowiączy lunka?

Shada zaskoczyło jej pytanie.

- Każda łódź leci za lunkiem, kiedy ryba się tu pojawi. Płynę z wszystkimi.

- Jeśli masz nastrój, żeby harować jak wół- dodał ponuro Tir Od Nell.

Shad rzucił mu pobłażliwe spojrzenie.

- Połów lunka wymaga wyłącznie siły fizycznej - oświadczył z chytrym uśmieszkiem.

Była to chyba odwieczna potyczka między tymi dwoma, gdyż Shad ze sporą wprawą bronił się przed napaściami Tira.

Tej nocy, z czystej perwersji, wzięła sobie do łóżka Tira. Nie żałowała tego doświadczenia, chociaż nie było między nimi zgodności seksualnej. Jego gwałtowność wprowadziła nie ukoiliła jej do końca, niemniej zaspokoiliła choć trochę pożądanie. Nie zachęcała go do dalszych propozycji. Gdzieś, kiedyś, dawno temu, nauczyła się, jak to robić, nie wprawiając kochanka w kompleksy.

Opuścił ją o świcie. Orric wpadł parę godzin później pokazać jej plantację krabów i ostryg na półwyspie położonym o dziesięć sekcji na południe od Trefoil. Kiedy przekonała Maxa Ennerta, właściciela farmy, o swoich umiejętnościach, dopasował im obojgu maski ze zbiornikami tlenu i mogli wyruszyć na podwodną wyprawę.

Zanurzona po czubek głowy, odgradzona zasłoną z baniek powietrza - choć połączona linkami z Maxem i Orrikiem - uświadomiła sobie, nie po raz pierwszy bodaj, dlaczego śpiewacy tak bardzo gustowali w morzach. Pod wodę nie docierały dźwięki z atmosfery, co stanowiło ogromną ulgę dla znękanym bębenków.

Płynęli parę zaledwie centymetrów nad starannie utrzymanym podmorskim ogrodem. Max i Orric od czasu do czasu zrywali gałąź szczególnie dojrzałych winogron czy śliwek i wrzucali do wielkich sieci, które ciągnęli za sobą.

W rozległej, podmorskiej dolinie przepłynęli obok żeńców koszących wodorosty. Od czasu do czasu dryfowały obok nich luźne warkocze tych roślin; dłuższe i gęstsze obaj mężczyźni zrećnie chwytały w sieci. Killashandra z rozkoszą unosiła się kawałek za Maxem i odrobinę przed Orrikiem, wyciągając szyję i rozglądając się na wszystkie strony, żeby nacieszyć się do woli pejzażem przejrzystych wód. Co jakiś czas jeden z mężczyzn kontrolował wskazania przyrządów umieszczonych w jej kombinezonie. Euforia była zmorą nurków; towarzysze Killashandry nie mieli pojęcia o jej zawodowej odporności.

Możliwe, że to właśnie było tematem kłótni, do której doszło między Orrikiem a Maxem, kiedy siedzieli już od dwóch godzin pod wodą. Mimo to spędzili na głębinach kolejne trzy godziny, potrzebne do zwiedzenia całej farmy. Gdy wyszli na brzeg koło lądowiska Maxa, zapadła noc, jak zawsze w tropikach, bez uprzedzenia.

- Zostańcie, jeśli nie macie nic lepszego do roboty - zaproponował Max, ale jego słowa brzmiały nieszczerze, jakby recytował wyuczony tekst.

Weszła do pokoju, w którym przebiegała się w kombinezon nurka. Usłyszała za sobą kroki Orrica. Nie przyszło jej do głowy, żeby zamknąć drzwi, on jednak nie zaniedbał tej czynności. W następnej sekundzie trzymał ją w objęciach. Nie opierała mu się, ale też mu nie uległa. Zaskoczony, odsunął się, patrząc jej pytająco w oczy.

- Nie jestem podatna na euforię, Orric - zaryzykowała.

- O czym ty mówisz? - spytał niewinnie, szerzej otwierając szare oczy.

- Nurkowałam w tyłu oceanach, ile Shad na oczy nie widział.

- A więc Tucker ci się podoba. - Chyba nie był zazdrosny, a jedynie zaciekawiony.

- Shad jest... - Wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty w jakikolwiek sposób szufladkować młodego mężczyzny.

- A ja ci się nie podobam? - Znów nie sprawiał wrażenia zmartwionego, lecz zaciekawionego. Spojrzała przeciągle.

- Wydaje mi się... - urwała, po czym znenacka wygłosiła opinię, której do tej chwili nie uświadamiała sobie w pełni. - Za bardzo przypominasz mi kogoś, o kim próbowałam zapomnieć.

- Ale tylko ci przypominam?

Jego głos był cichy i łagodny, prawie jak głos Tuckera. Czym prędzej odepchnęła myśli o młodym mężczyźnie.

- Nie musisz się czuć dotknięty, Orric. Podobieństwo jest czysto powierzchowne.

W jego oczach pojawiły się iskiereczki rozbawienia i nagle zorientowała się, że podobieństwo wcale nie jest aż takie powierzchowne. Tamten mężczyzna zareagowałby tak samo - pozbawionym urazy rozbawieniem. Rozeźliło ją to jeszcze bardziej.

- Tak więc, moja tajemnicza damo, kiedy poznasz mnie lepiej...

- Najpierw musiałabym cię w ogóle poznać.

Polecieli do Trefoil, zataczając koła nad nabrzeżem, przy którym nie stał ani jeden kuter.

- Lunk odpływa od wybrzeży. Wygląda na to, że sezon się kończy — odezwał się Orric.

- Czy Tucker rzeczywiście zarobił na wyjazd stąd?

- Chyba tak. - Orric był pochłonięty ładowaniem w półmroku. - Ale Tir potrzebuje jeszcze jednego, solidnego połowu. Tak samo, przypuszczam, szyper Garnish. Zanim zejdą na ląd, będą ścigać ławicę, dokąd się da.

Dokładnie tak brzmiała wiadomość, która czekała na Orrica w Złotym Delfinie. Większość wieczoru przegadali w barze z Biyankiem i garstką innych gości.

Biyanco zaprosił Killashandrę do obejrzenia zbioru owoców na jego plantacji.

- Ładowe owoce na harmat - oświadczył z dziwnym wzruszeniem ramion.

Orric ze śmiechem wyzwał go od niepoprawnych szczurów ładowych.

- Biyanco klnie się, że w życiu nie wziął do ust owocu morskiego.

- Nigdy mnie bieda do tego nie zmusiła - oznajmił Biyanco z godnością.

Wytwórca win zbudził Killashandrę przed świtem, a jego traktor z niską platformą warczał już pod werandą. Stosując się do rad Biyanca, włożyła kombinezon i kombiboty. Ciasno upięła warkocze. Trefoil rozciągało się wzdłuż plaż wielkiej, półokrągłej zatoki; za miastem ciągnęły się pasma wzgórz, porośnięte nieprzebytym gąszczem tropikalnej roślinności, której bujne pnącza przewieszały się nad drogą, daremnie usiłując się uporać z wytrawionym chemikaliami tunelem prowadzącym w głąb pustynnego lądu.

Biyanco był uroczym towarzyszem - raz małomówny, kiedy indziej gadatliwy, ale zawsze w interesujący sposób. Zatrzymał traktor po drugiej stronie przybrzeżnego pasma wzgórz, gdzie czekały ciężarowe platformy. Siedzący na nich chłopcy i dziewczynki byli w takim wieku, że powinni raczej spędzać czas w szkole - skonstatowała Killashandra. Każde dziecko miało rzemieniem przytroczoną do pleców pochwę z sięgającym kolana nożem. Ubrane były w kombinezony i kombiboty z ostrymi klamrami do wspinaczki po drzewach.

Gawędziły i podśpiewywały, tnając zwieszonymi z platform nogami. Traktor kolebał się z boku na bok i wspinał się wypalonym traktem. Od czasu do czasu któreś z dzieciaków wyjmowało nóż, żeby odciąć pnącze natrętnie usiłujące wdrzeć się do przyczepy.

Biyanco krętał, wytrawioną drogą piał się coraz wyżej nad poziom morza, wreszcie zwolnił, by rozejrzeć się po poboczach. Pięć kilometrów dalej z nagłym okrzykiem skierował platformę w lewo, gwałtownie manipulując przełącznikami tablicy rozdzielczej. Huknął groźnie i nogi pasażerów poznikały we wnętrzu wozu. Wzdłuż platform towarowych powysuwały się opuszczane osłony, z których poza krawędź platformy przyskał kwas i trawił wszelką roślinność. Nagle platforma zatrzymała się, jak gdyby musiała sforsować niewidzialną barierę. Biyanco wcisnął parę przełączników, przestawił pokrętkę i nagle traktor gładko ruszył w zupełnie nowy kierunek.

- Nie uwierzysz, ale jestem właścicielem tej góry - oświadczył Biyanco, spod oka patrząc, jakie wrażenie zrobiło jego oświadczenie na Killashandrze. - Myślałaś pewnie, że masz do czynienia ze zwykłym barmanem i gorzelnikiem, który pędzi mocne trunki, co? Trochę cię zaskoczyłem, ha! - Mały człowieczek promieniał.

- To prawda.

- Przed zapadnięciem nocy jeszcze bardziej cię zadziwię!

Wreszcie dotarli do celu podróży - zalanej permaformem polany, na której szereg kwasoodpornych budynków mieścił w sobie przetwórnię owoców i tymczasowe kwatery dla robotników. Zbieracze, których wieźli ze sobą, jechali jeszcze dalej. Platformy ruszyły po automatycznych szynach. Na każdej platformie siedziała szóstka dzieci. Najwyraźniej wszystkie były tutaj nie pierwszy raz i pracowały w identycznych zespołach, ponieważ odprawa odbyła się niemal bez słów.

Biyanco zaprowadził Killashandrę do przetwórni, gdzie pokrótce objaśnił jej tajniki produkcji.

Każda załoga przetwarzała inny gatunek - wyjaśnił. Sekretem dobrego harmatu było staranne dobranie proporcji różnych gatunków przejrzałych owoców. Istniały niezliczone ilości odmian harmatu. Złoty Delfin zawdzięczał swoją sławę właśnie mieszance Biyanca; to ona ściągала do zajazdu tłumy armaghiańskich klientów. Trunek z tych wzgórz miał moc i wyborny aromat. Trzeba było wielu miesięcy, żeby harmat dojrzał: owoce zebrane w dniu ich przyjazdu miały fermentować przez dziewięć miesięcy, następnie wino musiało leżakować przez sześć lat, dopiero potem będzie się nadawało do konsumpcji. Biyanco zaprowadził Killashandrę do chłodnych, ciemnych piwnic, zatopionych głęboko w permaformie. Pokazał automatyczne urządzenia alarmowe, które miały się włączyć, gdyby któryś z podstępnych, tropikalnych korzeni znalazł sobie drogę w permaformowej osłonie. Biyanco przez cały czas nie rozstawał się z bliperem, który nosił przy utkanym z delikatnych, wytrzymałych włókien pasie. Dawał Killashandrze poszczególne roczniki do degustacji. Z rozbawieniem zauważyła, że leje jej do pełna, sam ograniczając się do paru łyków. Lubiła Biyanca, a że wiedziała od niego o harmacie to i owo, stopniowo udawała coraz bardziej pijaną.

Trzeba przyznać, że Biyanco faktycznie ją zadziwił. Rozanielony powodzeniem swoich zabiegów, wykazał o wiele więcej animuszu, niżby mogła przypuścić. Uznała to za miłe, ale jednocześnie była trochę zaskoczona kompletnym brakiem reakcji z własnej strony. W końcu Biyanco był całkiem zręcznym kochankiem... Stawał na głowie, żeby ją wprowadzić w rezonans, ale ich wibracje nie współgrały jak z Tirem i zapewne również Orrikiem, gdyby doszło do czegokolwiek. Była niemile zaskoczona. Poza Ballybranem nie powinna mieć tego rodzaju problemów. Czyżby rzeczywiście jej serce skrzepło na kryształ? Może była już za

stara na miłość?

Gdy czekali na powrót pełnych platform na polanę, Biyanco spał, a ona daremnie przeszukiwała swą dziurawą jak sito pamięć. Stale natykała się na cyniczny śmiech Cechmistrza. Niech go szlag! Prześladował ją nawet tu, na Armagh! Nie miał prawa mieszać się we wszystko, czego tylko tknęła, wtrącać do każdego jej związku, w którym usiłowała znaleźć ukojenie. Zachowane strzępy wspomnień wskazywały na to, że jej poprzedni romans był równie nieudany. Były zapewne też inne, podczas kolejnych podróży. W cichych, chłodnych ciemnościach sypialni, u boku Biyanca, który z wyczerpania zasnął, Killashandra ponuro przeklinała Larsa Dahla. Dlaczego inni kochankowie dostarczali jej tak niewiele rozkoszy? Jak mógł psuć jej związku innymi mężczyznami, skoro ledwie pamiętała i jego, i to, jak się kochali? Odmówiła pozostania z nim z pewnością siebie, która ją teraz opuściła. Serce z kryształu?

Badawczo przejechała dłonią po swoim nagim ciele, wyczuwając zwięzłą muskulaturę ud, miękkość brzucha, sprężystość piersi. Śpiewaczki kryształu były dozwonnie bezpłodne. Mała strata - pomyślała, a potem nieoczekiwanie ogarnęło ją zwątpienie.

Niech piekło pochłonie Larsa Dahla, Jak śmiał ją tak porzucić? Czy coś mogło się równać ze śpiewaniem czarnego kryształu? Byli najbardziej wydajnym duetem w historii Cechu Heptyckiego, a on zrezygnował z tego dla władzy. I co mu teraz po tej władzy? Ona też na tym ucierpiała. Sama nie umiała trafić na czarny.

Hałas powracających platform i śpiewy zbieraczy zbudziły Biyanca. Patrzył na nią, ze zdumieniem mrugając oczami. We śnie zdążył zapomnieć, że był z kobietą. Z uprzejmą powagą podziękował jej za stosunek, po czym włożył ubranie i, sumitując się jak mógł, wyszedł. Przynajmniej on miał z tego jakąś przyjemność - pomyślała.

Wykąpała się, ubrała i dołączyła do wytwórcy win w chwili, kiedy z przepelnionych pak barwna zawartość zaczęła sypać się do basenu, w którym plukano owoce. Biyanco siedział przy pulpicie sterowniczym, a jego zręczne palce przenosiły się z klawisza na klawisz. Ważył po kolei każdą pakę, obliczał wartość i szefom załóg wręczał kwitki z wykazem należności. Uśmiechy na twarzach wszystkich, nie wyłączając Biyanca, świadczyły o tym, że zbiór musiał być pomyślny.

Po zakończeniu wyładunku przyczepy zawracały i podłączały się po kolei do traktora, który wracał do Trefoil. Teraz miał nastąpić etap przetwórstwa. Zbieracze schronili się w cieniu napierającej dżungli, żeby zjeść drugie śniadanie.

Uszy Killashandry przeszył przeraźliwy wizg. Krzyknęła, zasłaniając natychmiast usta, ale jej pierwszy, głośny okrzyk nie uszedł uwagi Biyanca. Dźwięk ucichł. Z ulgą rozejrzała się, zdumiona tym, że nikt, oprócz niej, nie zareagował na zatrważający odgłos.

- A więc jesteś śpiewaczką kryształu - stwierdził Biyanco podtrzymując ją, ponieważ chwiała się na nogach. - Bardzo mi przykro. Nie byłem pewien, czy jesteś śpiewaczką, a sam nie mam wystarczającego słuchu, żeby rozpoznać, czy kryształy obwodów są w porządku. Możesz być pewna, że bym cię ostrzegł - przemawiał ze szczerą skruchą.

- Powiniście je podstroić - odparła ze złością, zaraz jednak przeprosiła za swój wybuch. - Jakim cudem wpadłeś na to, że jestem śpiewaczką kryształu?

- Słyszałem o was. - Uciekł spojrzeniem.

- Co takiego słyszałeś?

Jego czarne oczy patrzyły teraz wprost na nią.

- Że śpiewaczki potrafią wydobywać z siebie dźwięki, od których mężczyźni tracą rozum. Że oczarowują mężczyzn, uwodzą ich, a potem porywają na Ballybran, skąd żaden z nich więcej nie wraca.

Killashandra uśmiechnęła się z wysiłkiem; wciąż jeszcze bolały ją uszy.

- A dlaczego nie byłeś pewien, czy jestem śpiewaczką?

- Dlatego, że spałaś ze mną! - Zabarwionym sokiem palcem dźgnął się w pierś. Wyciągnęła rękę i łagodnie dotknęła jego policzka.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Biyanco, nie mówiąc o tym, że jesteś najlepszym wytwórcą win na Annagh. Lubię cię, ale powinieneś nastroić te kryształy, zanim posypią się w drzazgi.

Biyanco spojrzał na sprawcę cierpień Killashandry.

- Lista niedomagań mojego tłumika rezonansowego jest dłuższa od rzeki Murtagh - oświadczył. - Jesteś błada. Może drinka? Harmat dobrze ci zrobi... ty wstrętna wiedźmo - dodał nagle, chichocząc, gdyż uświadomił sobie, że nie była ani w połowie tak pijana, jak udawała. Rozciągnął wargi w uśmiechu. - Niezły z ciebie ptaszek, Killashandro z Ballybranu. Ja, barman od dziesięcioleci, dałem ci się tak podejść! - Znów zachichotał. - W każdym razie harmat dobrze ci zrobi na nerwy.

Pstryknął palcami na jednego z szefów zbieraczy. Chłopiec pomknął do kwater robotników, skąd wrócił niosąc kieliszki i płaską butelkę schłodzonego harmatu.

Piła łapczywie, trzymając kieliszek w obu, nadal drżących, dłoniach. Cierpki chłód trunku działał na nią kojąco; bez słowa wyciągnęła kieliszek po dolewkę. Biyanco patrzył na nią łagodnie, choć z lekkim niepokojem. Chociaż - nie obdarzony nadśluchem, potrafił sobie wyobrazić katusze, jakie wzbudza we wrażliwych nerwach

wizg rozstrojonych kryształów.

- Nic ci się od tego nie stało, mam nadzieję?

- Nie, Biyanco, nic. Dla nas to drobiazg. Zostałam po prostu wzięta przez zaskoczenie. Nie spodziewałam się, że twoja aparatura działa na obwodach krystalicznych...

Uśmiechnął się przebiegle.

- Nie jesteśmy aż tacy zacofani, choć żyjemy na cichej i spokojnej planecie. - Odsunął się od niej, ale patrzył z nowym zainteresowaniem. - Czy to prawda, że śpiewacy nigdy się nie starzeją?

- Ma to swoje ujemne strony, przyjacielu.

Uniósł brwi z uprzejmym niedowierzaniem, Killashandra nie dodała jednak nic więcej. Z uśmiechem sączyła harmat, czekając, aż ból do reszty ustąpi.

- Mówiłeś mi, że musisz przystąpić do przetwarzania owoców w określonym czasie. Gdybyś pozwolił mi zjechać traktorem po szynach do najbliższego zakrętu... Albo nie... - rozmyśliła się nagle, gdyż wpadł jej do głowy lepszy pomysł. - Ile masz czasu, zanim zbior zacznie się psuć?

- Trzy godziny. - Szerzej otwarł oczy. Pojął jej intencję i patrzył na nią teraz z pełną niedowierzania wdzięcznością. - Zrobiłabyś to naprawdę? - wyszeptał.

- Zrobiłabym i zrobię. O ile, oczywiście, masz odpowiednie narzędzia.

- Mam. - Pospieszenie, jakby się obawiał, że się rozmyśli, zaprowadził ją do warsztatu.

Miał wszystko, czego mogła potrzebować. Najważniejsza rzecz - piła, była na szczęście nadal bardzo ostra. Dwie pary wyszkolonych rąk - Biyanco własnoręcznie montował obwody, kiedy modernizował aparaturę przed trzydziestoma laty - bez trudu dobrały się do kryształów.

- Stoją w tercjach - rzucił niepotrzebnie.

- W jakiej gamie?

- As-moll.

- Moll? Do takich ciężkich robót?

- Obwody obciążone są tylko okresowo, a molle są o wiele tańsze od durów - odparł cierpko.

Przytaknęła. Dury byłyby o wiele za drogie dla producenta win na trzeciorzędnej rybackiej planecie, choćby mu się Bóg wie jak powodziło. Dała As; kryształ zarezonował z łagodnym pomrukiem. To samo powtórzyło się przy D, dopiero E okazało się rozstrojone o pół tonu. Urwała, zyanim fałszywy rezonans na dobre nadszarpnął jej nerwy. Z uważną pomocą Biyanca uwolniła kryształ z obejm i zważyła go czule w dłoniach. Był błękitny, pochodził z Pasma Ghanghe i musiał mieć swoje lata, ponieważ złoża błękitu w tamtych stronach zdążyły się już wyczerpać.

- Pęknięcie jest tutaj, na samym czubku - oznajmiła, wskazując palcem skazę na kryształ. - Obejma musiała się poluzować wskutek wibracji.

- Zakładałem filcowe podkładki i dopasowywałem obejmę zgodnie z instrukcją.

- To nie twoja wina, Biyanco. Tutaj, w tropikach, współczynnik rozszerzalności zapewne jest inny, dlatego nawet prawidłowo zainstalowane obejmę puszczają. Trzydzieści lat, mówisz? Dobra robota. Szkoda, że mało kto dba o kryształ tak jak ty.

- Zmalałby popyt i nie zbijałoby takich fortun.

Potaknęła ze śmiechem.

- Cech ciągle wynajduje nowe zastosowania dla kryształu. Śpiewacy zawsze będą mieli pełne ręce roboty.

Zdecydowali się, że nastroją cały zestaw w milszej tonacji, co znaczyło, że będzie musiała poprzycinać trzy kryształy - dzięki temu Biyanco miał uzyskać durową triadę. Ufała Biyancowi. Pozwoliła mu się przyglądać, jak tnę i stroi kryształ. Najpierw musiała rozgrzać bryłę własnym głosem zmusić, żeby jej odpowiedziała. Dopiero wtedy mogli przystąpić do decydującego cięcia.

To zadanie nawet w umiarkowanym klimacie, przy na lepszym wyposażeniu wyciskało siódme poty. Kiedy przyszło do zakładania obejm, była wykończona. Biyanc widząc, jak drżą jej ręce, odsunął ją na bok.

- Patrz tylko, czy dobrze wszystko robię - poprosił, choć było to absolutnie zbyteczne.

Jego zręczność nie ograniczała się do łóżka. Niestety, był dla niej za stary.

Humor jej się poprawił, kiedy po włączeniu procesor nie odezwał się wściekły jazgot kryształu.

- Odpocznij, Killashandro. Zejdzie nam tu jeszcze par godzin. Możesz wyciągnąć się na tylnym siedzeniu traktem. Jest na tyle szerokie, że będziesz mogła wypoczywać prze całą drogę do Trefoil.

- A ty, Biyanco?

Posłał jej łobuzerski uśmiech.

- Niewykluczone, że jestem odrobinę młodszy od ciebie śpiewaczko Killashandro. Któż to jednak naprawdę może wiedzieć?

Wykończona nerwowo cieciami i strojeniem zasnęła, zbu dziła się jednak, kiedy Biyanco otworzył drzwiczki traktora Zawiasy skrzypnęły cienko w C.

- Dobry zbior - stwierdził, kiedy zobaczył, że nie śpi.

Siedzący w przyczepach znużeni zbieracze śpiewali. Głos jednego z nich był wyjątkowo monotony.

Szczęśliwii dotarli do wioski, zanim ten dźwięk na dobre zaczął je działać na nerwy. Odczepiono platformy i zbieracze roz płynęli się w ciemnościach. Biyanco z Killashandrą ruszył wypaloną drogą do Trefoil.

Świtało prawie, kiedy zaparkowali przed Złotym Delfinem.

- Killashandro?

- Tak, Biyanco?

- Jestem twoim dłużnikiem.

- Nie jesteś. Zwykła wymiana uprzejmości.

Zachnął się.

- Naprawdę-potwierdziła z uśmiechem. -Jeżeli jednak koniecznie musisz mi jakoś odplacić, to po prostu zachowaj dyskrecję w kwestii śpiewaczek kryształu.

- Dlaczego?

- Dlatego, że bez względu na to, co o nas słyszałeś, jestem również istotą ludzką. I muszę zaspokajać moje ludzkie potrzeby po to, żeby się nie dać kryształowi. Po to właśnie podróżujemy poza planetę.

- Nieprawdą jest, że wabicie mężczyzn na Ballybran?

- Zgodziłbyś się ze mną pojechać na Ballybran?

- Nie da się u was robić harmatu - odparł wyniośle.

Roześmiała się. Zareagował bardzo prawidłowo, chroniąc spokój własnej duszy. Traktor ruszył powoli spod zajazdu. Ciekawe, czy Biyanco słyszał kiedykolwiek o piwie yarrańskim. Chłodny łyk dobrze by jej teraz zrobił.

Przespała cały dzień. Zbudziła się dopiero nazajutrz o świcie. Leniwie popływała w lagunie. Podobny do czarnego mopsa właściciel zajazdu poinformował ją, że kutry poławiaczy nie wróciły jeszcze z morza. W południe powitał ją wesoło, nie robiąc żadnych aluzji na temat przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości. Zastanawiała się, czy nie opuścić Trefoil i nie zwiedzić lataczem planety. Pozna inne portowe miasta, złowi do swojej sieci innych rybaków. Któryś z nich na pewno będzie dostatecznie silny - musi być dostatecznie silny - żeby rozpuścić w niej kryształ. Zwlekała jednak z ostateczną decyzją, popijając przez całe popołudnie harmat, dopóki Biyanco nie wmusił w nią posiłek.

Zanim jeszcze gromada wilków morskich wysypała się na nadmorską ścieżkę, a z ich wyschniętych gardel dobył się śpiew, wiedziała, że kutry poławiaczy przybiły do portu. Rybacy śpiewali o swoim pragnieniu. Pomagała Biyancowi napełniać dla nich szklanice, śmiejąc się z zaskoczenia, jakie wywołał w nich jej widok za ladą baru. Jeden tylko Shad Tucker wydawał się przyjmować jej obecność jako rzecz naturalną.

Wśród gości byli Orric i Tir Od Nell. Dowcipkowali z nią, tak jak mężczyźni od niepamiętnych czasów dowcipkują z barmankami. Tucker przyglądał się jej ze swojego stoika w narożniku baru, racząc się hojnie harmatem, gdyż jak twierdził, język przysechł mu do podniebienia.

Biyanco zarządził przerwę na posiłek, by zrobić podkład pod kolejne porcje trunku. Rybacy powrócili niosąc akordeon, skrzypce, dwie gitary i flet. Stoły rozsunięto pod ściany. Zaczęły się tańce i muzykowanie.

Muzyka była niezła, instrumenty dobrze nastrojone, toteż Killashandra słuchała z przyjemnością, wystukując rytmy obcasem. Wreszcie muzycy poprosili o chwilę wytchnienia i porzuciwszy instrumenty na szynkwasię, wyszli, by w chłodnym, morskim powietrzu złapać drugi oddech.

Killashandra jak każda kobieta w barze tańczyła do upadłego, nie odmawiając nikomu z tancerzy, wśród których znalazł się i Biyanco. Nikomu z wyjątkiem Tuckera. Siedział w kącie i... nie spuszczał z niej wzroku.

Kiedy goście wyszli, żeby ochłonać, podeszła do Shada. W jego twarzy, poczerwieniałej od słońca, niebieskie oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze niż zwykle. Popatrywał co chwila na swoje dłonie. Lunki wydzielały spomiędzy łusek substancję. Kilka ostatnich ryb musiał wepchnąć na taśmę gołymi rękami.

- Zagoją się? - spytała.

- Z pewnością. Do jutra wszystko zaschnie, a za tydzień zarośnie. Nic poważnego. - Obojętnym wzrokiem popatrzył na ręce, po czym w roztargnieniu powrócił do zdzierania niszczącej się skóry.

- Nie tańczyłeś.

Nieśmiały uśmiech zagościł w kącikach jego ust. Tucker zadarł lekko głowę, patrząc na nią z ukosa.

- Dosyć się natańczyłem z rybami w ostatnich dniach. Tak czy owak, wole patrzeć.

Pochylił się, sięgnął po najbliższą gitarę. Wybrał akord i skrzywił się; nie zauważył, że Killashandra zadrżała aż od dysonansu. Musnął palcami struny, podkręcił opuszczone G, dostroił nieznacznie E, jeszcze raz wziął akord i skinął z aprobatą.

Zamrugła oczami. Miał absolutny słuch.

Zaczął grać delikatnie, w stylu, który nie przypominał w niczym gry muzykantów. Operował skomplikowaną techniką i wyszukаныmi rytмами, jednak Killashandrę zachwyciła przede wszystkim migotliwa płynność tonu i melodii. Shad wspiął się na szczyty improwizacji. Podążał za melodią z wytrwałością, z którą mogło się mierzyć jedynie zaangażowanie jego jednoosobowej publiczności.

Do bólu zachwycało ją piękno jego gry, piękno skupionej twarzy. Kiedy skończył, ogarnęło ją uczucie pustki.

Siedziała na barowym stołku, z łokciami na kolanach, wsparłszy podbródek na splecionych dłoniach. Przechylił się nad gitarą i łagodnie pocałował ją w usta. Jednocześnie wstali; Shad odstawił gitarę, wziął Killashandrę w objęcia i pocałował mocno. Wyczuła pod dłońmi jedwabistą gładkość skóry, ciepłą bliskość jego męskiego ciała, miała wrażenie... w fali zgiełku napłynęła reszta gości.

A może jednak ten? - pomyślała, kiedy Orric chwacko zawinął nią w żwawym tańcu. Kiedy odważyła się spojrzeć przez ramię, Shad, lekko uśmiechnięty, siedział z powrotem w kącie, nie spuszczać z niej wzroku.

Jest o wiele, wiele dla mnie za młody - upomniała się. - Jestem już zbyt zmęczona życiem.

Następnego ranka wstała na kacu chyba po raz pierwszy od dobrych stu lat. Musiała się na niego nieźle napracować. Leżała na plaży, w cieniu, starając się unikać zbędnych ruchów. Do południa nikt nie zawracał jej głowy - zapewne wszyscy wokół cierpieli na podobną przypadłość. Wreszcie na skraju jej legowiska wyrosły wielkie stopy Shada. Kucnął i nachylił się nad nią; nie znoszącym sprzeciwu gestem zsunął jej kapelusz z szerokim rondem na tył głowy.

- Zjedz. To ci dobrze zrobi - powiedział cicho.

Podał jej niewielką tacę z oszronioną szklanką i półmiskiem pokrojonych owoców.

Musi mieć niezwykle staranną wymowę - pomyślała. Dosłyszała każde z wypowiedzianych cicho słów, chociaż wolałaby ich nie słyszeć. Jęknęła, a on ponowił swoją propozycję. Ujął ją delikatnie i posadził w pionie, żeby nie rozlewała pijąc. Podawał jej plasterki po plasterku, jak się karmi chore, rozkapryszone dziecko. Czuła się chora i nic jej nie smakowało, kiedy jednak zawartość tacy wylądowała w jej żołądku, musiała przyznać, że lekarstwo Shada okazało się skuteczne.

- Nigdy się nie upijam.

- Możliwe, ale też nie co dzień tańczysz raniąc stopy do krwi.

Poczuła, że faktycznie pieką ją podeszwy, a kiedy przyjrzała im się z bliska, odkryła bąble i dziesiątki drobnych zadrapań.

Spędził z nią całe popołudnie. Mówił niewiele. Przyjął jego propozycję, żeby popływać. Woda laguny wydała jej się chłodniejsza niż zwykle, a może to jej ciało nagrzało się, chociaż leżała w cieniu.

Kiedy wynurzyli się z wody, czuła, że grają w niej bardzo ludzkie jak na śpiewaczkę kryształu uczucia. Podziwiała wysoką, prężną sylwetkę Shada, niewymuszony wdzięk, z jakim się poruszał, delikatność rysów przystojnej twarzy. Był jednak dla niej o wiele za młody. Znów obudził się w niej głód męskiego ciała; będzie musiała spróbować z Orrikiem.

Jednak Shad najwyraźniej nie zamierzał jej odstępować Orricowi: wyperswadował jej pomysł wracania do gospody na posiłek, namawiając, żeby podczas odpływu nałapać ostryg w pobliskiej niewielkiej zatoczce. Trudno było się sprzeczać z cichym, wyższym od niej o ładnych parę centymetrów mężczyzną, który z łatwością mógłby ją wziąć pod pachę i zanieść, gdzie mu się spodoba... nawet jeśli był o sto lat od niej młodszy.

Nie sposób było uniknąć muśnięć jego jedwabistego ciała, kiedy wspólnie doglądali pięknych skorupiaków, czy kiedy podawał jej namoczone w winie plasterki owoców bądź jadalne korzenie duszone na parze.

Przyglądał jej się z ukosa, a w jego błękitnych, pociemniałych oczach odbijały się ogień i noc, a Killashandra poczuła, że nie ma siły dłużej opierać się jego subtelnym prowokacjom.

Obudziła się na plaży spowitej zmrokiem, przy dogasającym ognisku, czując przy sobie potężne, uśpione ciało.

Rękami obejmowała prawe ramię Shada, głowę wtuliła we wgłębienie obojczyka. Z tej pozycji spokojnie mogła studiować jego profil. Nie obawiała się już, że ma kryształ w sercu. Nadal potrafiła dawać i nadal potrafiła przyjmować. Chociaż śpiewała kryształ od niepamiętnych czasów, nie zatraciła najcenniejszych rysów człowieczeństwa, które Shad hartował w niej żarem swojej młodości.

Niesłusznie dyskwalifikowała go dotąd z powodu niezgodności dat urodzenia, jakże błahej w porównaniu ze spokojem i ukojeniem, jakich zaznawała w jego objęciach. Rozpierała ją radość życia, czuła się jak nowo narodzona.

Shad otworzył oczy, kiedy zaczęła się przeciągać. Posłał jej słodki łagodny uśmiech. Przygarnął ją do siebie, ze względu na delikatność jej ciała pohamowując młodzieńczą siłę i energię.

- Szalona kobieto - odezwał się z podziwem, długimi palcami drapiąc ją leciutko po głowie i bawiąc się kosmykami jej włosów. - W życiu nie spotkałem takiej jak ty.

- I nie spotkasz.

Co ona wygaduje?

Uśmiechnął się z góry, zachwycony jej pewnością siebie.

- Dużo podróżujesz?

- Kiedy mam taką fantazję.

- Zatrzymaj się na jakiś czas.

- Kiedyś będę musiała wrócić do pracy.

- Jakiej pracy?

- Jestem członkinią Cechu. Uśmiechnął się szeroko i przytulił ją.

- Dobrze, nie będę cię o nic wypytywał. - Delikatnie przejechał palcem po jej brodzie. - Nie możesz być aż taka stara, za jaką się podajesz.

Miała na tyle uczciwości, żeby uprzedzić go, że nie są sobie współcześni.

Roześmiała się w odpowiedzi, jednak przeszył ją dreszcz. To nie mógł być przypadek, że wtaśnie z nim, a nie z kim innym znalazła ukojenie. Myślała o tym, gładząc krzywiznę jego uda. Przeraziła ją myśl, że mogłoby się to już więcej nie powtórzyć. Kurczowo przywarła do Shada.

Przytulił ją mocniej do siebie, a jego cichy śmiech był przepełniony miłością. Pomiędzy ich ciałami ponownie zapanowała pełna słodczy harmonia. Tak, przy Shadzie Tuckerze jej obawy wydawały się bezpodstawne.

Ich związek uzyskał aprobatę Orrica i Tira, który zarobił w sezonie sporo i zastanawiał się teraz, jak wydać swoje kredyty. Jeden tylko Biyanco zajął jej pytając w twarz; wzruszyła ramionami i posłała małutkiemu wytwórcy win uspokajający uśmiech. Przyjrzał się uważnie Shadowi, po czym odwzajemnił jej uśmiech.

Nie powiedział ani słowa, tak zresztą, jak przypuszczała. Wiedział tak samo dobrze jak ona, że Shad Tucker nie jest jeszcze gotów wiązać się z jedną kobietą. Killashandra była dla niego kolejną przygodą, kobietą, która zechciała dotrzymać mu towarzystwa po ciężkim sezonie na morzu. Dnie również spędzali razem, penetrując wybrzeże w obie strony od Trefoil. Shad planował zainwestować w zakup ziemi w głębi lądu lub na wybrzeżu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak... pełna życia i energii. Na wyprawy zabierał ze sobą gitarę, na której godzinami potrafił wygrywać rozmaite melodie, kiedy odpoczywali po kochaniu w jego niewielkiej łodzi, w południe chroniąc się w cieniu żagli przed zabójczym słońcem Armagh. Uwielbiała przyglądać się Shadowi, kiedy grał: był pochłonięty muzyką jak chłopiec, który właśnie natrafił na trop niedoścignych prawd zawartych w Pięknie, Muzyce i Miłości. Jego twarz w chwilach, gdy pieszczotą wzniecał w niej miłosny płomień, zachowywała tę samą młodzieńczą niewinność i głębię koncentracji. Delikatna powściągliwość, z jaką się kochał, zdumiewała podwójnie w obliczu jego siły i porażającej młodości.

Tygodnie płynęły dzień za dniem, jednak czuła się tak wybornie, że pierwszy skurcz zaskoczył ją w najwyższym stopniu. Nie miała najmniejszej wątpliwości, co oznacza: jej ciało zaczynało domagać się pieśni kryształu.

- Coś cię zabolalo? - spytał Shad, gdyż znajdowała się właśnie w jego ramionach.

Nie była w stanie odpowiedzieć, więc pokręciła tylko przecząco głową. Zaczął całować ją powoli, leniwie, z wielką pewnością siebie. Brutalna siła ponownie targnęła jej kręgosłupem. Wcisnęła się mocniej w objęcia Shada, licząc na to, że nie poczuje, co się z nią dzieje, a jej samej uda się o wszystkim zapomnieć.

- Co się stało, Killa?

- Nic. Nic, na co ty nie umiałbyś znaleźć rady.

Znalazł. Jednak potem nie mogła zasnąć. Leżała, wpatrując się w wirujące księżycy. Wciąż nie potrafiła się zdobyć na to, żeby opuścić Shada. Raz za razem dokonywał na niej swojej czarodziejskiej sztuczki, aż wydmuchnął ostatni okruszek kryształu z jej umysłu... doszło do tego, że zaczęła się zastanawiać, czy nie wystąpić z Cechu. Byłby to czyn bez precedensu. Nikt dotąd nie odważył się na to, być może nawet nikt dotąd nie miał na to ochoty. Kiedy ją najdzie potrzeba kryształu, zawsze może się podjąć strojenia. W całym wszechświecie tego rodzaju usługi zawsze się cieszyły wzięciem. Musi być blisko Shada. Przy nim nie czuje lęku; jest dla niej ukojeniem. Czekala na tę miłość tak długo, że miała prawo się nią teraz nacieszyć.

Targnął nią kolejny spazm, mocny, gwałtowny, dotkliwy. Wygięta w łuk, walczyła z bólem. Zdawała sobie sprawę, że Ballybran nieubłaganie wzywa ją do siebie. A ona nie chce odchodzić od Shada Tuckera.

Dla niego była tylko nowością, odmianą, kobietą, z którą kochał się teraz, kiedy sezon połowu lunka pomyślnie dobiegł końca i mężczyznom należał się wypoczynek. Ale nie była kobietą, dla której chciałby wznosić swój dom na akarach nadmorskiej posiadłości. Tymczasem ona go kochała; za młodość, za paradoksalną łagodność i uprzejmość, za to, że w jego ramionach przez chwilę czuła się tak, jakby jej czas nie dotyczył.

Gorzka prawda o ich sytuacji wyświetliła jej się z całym okrucieństwem, bolesnym jak kolejny spazm kryształowego głodu.

To niesprawiedliwe! - krzyczała w duszy Killashandra. - Niesprawiedliwe. Nie mogę go kochać. Niesprawiedliwe. Jest za młody. Zapomni o mnie przy innych kobietach. A ja - ja też nie będę w stanie go zapamiętać. To było najokrutniejsze ze wszystkiego.

Rozpłakała się, ona, Killashandra, która pół wieku wcześniej, kiedy ich związek z Larsem Dahlem legł w gruzach, przysięgła sobie, że nie uroni w życiu łzy z powodu mężczyzny. Jej szloch, chociaż niegłośny, zbudził Shada. Utulił ją tklawie i, nie pytając o nic, co dodatkowo skomplikowało jej uczucia. Może nie jest aż taki młody - pomyślała z nieśmiałą nadzieją. - Może będzie chciał o mnie pamiętać.

Kiedy łzy obeschły na jej twarzy, pocałował ją z gwałtownością, której nie sposób było pozostawić bez odpowiedzi. Odpowiedziała więc, równie gorliwie i czule jak zawsze.

W dwa dni później nadeszło wezwanie. Biyanco odszukał ich w zatoczce. Powiedział tylko, że czeka na nią pilna wiadomość. Była wdzięczna wytwórcy win za jego takt, choć nienawidziła go za to, że był posłańcem. Jak przypuszczała, wzywał ją Cech: przyszło pokaźne zamówienie na czarny kryształ. Każdego, kto potrafił

zaśpiewać czerń, wzywano do stawienia się w Paśmie. Wezwanie było zarazem zakamuflowanym ostrzeżeniem: zbyt długo przebywała z dala od kryształu. Patrzyła na swoje odbicie w plastykznej ścianie kabiny komunikacyjnej. Tak, kryształ potrafi odrzeć z młodzieńczego wyglądu. Jak długo zechce Shad wspominać starą kobietę, w którą ona się wkrótce przemieni?

Ruszyła pożegnać się z Shadem. Mieć to już jak najprędzej z głowy, wracać na Ballybran i zatopić tęsknotę w pieśni kryształu. Czuła, że drży z chłodu. Shad siedział na brzegu laguny, brzdąkając na gitarze, pochłonięty którąś z melodii skomponowanych na jej cześć. Była to piękna melodia, jedna z tych, które przyklejają się od razu do człowieka, tak że wstaje rano i od razu zaczyna nucić.

Killashandra wstrzymała oddech. Shad miał słuch absolutny - mógł z nią polecieć na Ballybran. Osobiście wyszkoliłaby go na śpiewaka kryształu.

- Nie rób tego - odezwał się Biyanco, wylaniając się zza jej pleców.

- Czego? - spytała chłodno.

- Jeśli naprawdę kochasz tego chłopca, nie rób tego. Niech zapamięta cię taką, jaką jesteś teraz. O to ci przecież chodzi, prawda?

Naturalnie, że o to, ponieważ ona sama nie będzie w stanie go zapamiętać. Stała obok Biyanca, słuchając śpiewu Shada, obserwując chłopięce zaabsorbowanie na jego ukochanej twarzy, pozwalając, żeby okrutna prawda wyparła z niej resztki nadziei.

- To nigdy się nie udaje, prawda, Killashandro? - spytał łagodnie Biyanco.

- Nigdy.

Mignęło jej wspomnienie Larsa Dahla. Też spotkali się gdzieś poza Ballybranem. Też był człowiekiem morza. Więc może specjalnie wybrała morską planetę, licząc, że spotka ponownie Larsa Dahla? Albo kogoś innego? Na przykład Shada Tuckera. Czy jej samej na Ballybran nie zwabił też jakiś wiecznie młody kochanek? Niewykluczone, kto by tam jednak spamiętał podobne szczegóły. Rzecz w tym, że była już dostatecznie stara, żeby przestać zabawiać się w syrenę nęcącą w objęcia kryształu. Dostatecznie stara, żeby zostawić kochanka, kiedy był jeszcze młody i zakochany na tyle, by zapamiętać ją jedynie jako kobietę.

- Ciebie się nie zapomina, Killashandro - powiedział Biyanco, ze smutkiem w mrocznych oczach przyglądając się, jak zawraca o drogi.

- Spróbuję zapamiętać choć tyle.

## Rozdział VIII

- Cech otrzymał najpoważniejsze zlecenie w swoich dziejach, zlecenie, które umożliwi kolonizację i eksploatację siedmiu nowych systemów planetarnych - oznajmił Cechmistrz dwudziestu odwołanym z wojaży śpiewakom. - Musimy sprostać zamówieniom. Każdy z was -jego błękitne oczy wędrowały od twarzy do twarzy - ciął od czasu do czasu czarny kryształ.

- Ciałem, jeśli udało mi się go znaleźć - zauważył ktoś żartobliwie.

- Garstka wybrańców - dorzucił następny dowcipniś.

Wcale nie jest aż taki podobny do Shada - stwierdziła Killashandra. Była rozkojarzona, może z głodu kryształu, a może umyślnie pozwalala sobie na nieuwagę, dlatego że w roli Cechmistrza występował Lars Dahl. To, że obaj mają niebieskie oczy i są zakochani w morzu, jeszcze nie wystarcza - powiedziała sobie. A w każdym razie nie powinno wystarczać. I bez jego gadania każdy z nas tnie czarny kryształ, jeśli się natknie na złoże.

- W celu ułatwienia poszukiwań - ciągnął Lars Dahl, a za jego plecami ukazały się na ekranie kolorowe godła - Cech unieważnia oznakowania działek śpiewaków, którzy, z tych czy innych powodów, nie udzielają się aktywnie w Paśmie. - Po sali przeszedł szmer konsternacji. - Śpiewaków, pragnę dodać, o których wiadomo, że znajdowali czarny kryształ - ciągnął, nieznacznie podnosząc głos, - musimy dotrzeć do każdego potencjalnego źródła tego surowca.

- Choćbyśmy mieli przewrócić niebo i ziemię - dorzucił ten sam wesołek, wzbudzając chichoty i znaczące chrząknięcia.

- Dokładnie - odparł z uśmiechem Lars Dahl. - Tak więc - skinął ręką w kierunku ekranu - widzicie tutaj unieważnione znaki. W przypadku jednak, gdy ktoś z was natrafi na czerni na działce żyjącego jeszcze śpiewaka...

- Nie potrafiliście wycisnąć z nich w regresji, skąd brali czarny kryształ, co, Lars? - padło pytanie zakończone jadliwym śmiechem.

Regresji? Dźwięk tego słowa wzbudzał w niej jakieś niemiłe wspomnienia. Wyprostowała się, usiłując wyparzyć, kto zadał pytanie. Regresji? Dlaczego ten wyraz wywoływał w niej taki niepokój?

- Będę zmuszony użyć i tego rozwiązania, Fanerine, jeżeli wy, zdrowi na ciele i umyśle, nie będziecie w stanie wyśpiewać takich ilości czerni, jakie Cech zobowiązał się dostarczyć. Jak już powiedziałem, w przypadku pracy na działce żyjącego śpiewaka, dwadzieścia pięć procent zysku przechodzi na pierwotnego właściciela. - Uniesieniem dłoni uciszył gwałtowne protesty. - W tych dwudziestu pięciu procentach mieści się dziesięcina dla Cechu, więc przyznacie, że całkiem niedrogo wejdziecie w posiadanie złoża. Oczywiście, pod warunkiem, że je najpierw znajdziecie. -Killashandrze podobał się dosyć jego cierpki ton. Lanzecki poczucie humoru rezerwował na prywatne okazje. - Macie tutaj kopie wycofanych oznakowań, które powinniście zabrać ze sobą. Umieście je na widocznym miejscu i starajcie się nie zapomnieć, po co zabraliście je ze sobą. Pierwsza osoba, która natknie się na zwolnioną działkę, uzyskuje prawo własności. Powinna oznaczyć teren własnym godłem.

Większość z was zauważyła zapewne, że niedawno odbyliśmy Przejście, w związku z czym jedną przeszkodę w poszukiwaniach mamy z głowy. Meteorolodzy zapowiadają stabilną pogodę przez pewien czas... jest to chyba zresztą regułą po Przejściach.

Jego uwaga wywołała parę uprzejmych śmieszków, Killashandra patrzyła jednak przed siebie z kamienną twarzą. Niech sobie nie myśli, że będzie nimi tyrał, nawet montując całą tę intrygę z „udostępnionymi” działkami, na których ewentualnie mógł znaleźć się czarny kryształ. Dlaczego nagle Cech okazał się „zobowiązany” do dostarczania czegośkolwiek? Cały wszechświat powinien czekać pokornie na każdy kryształ wydobyty przez śpiewaków. Powiodła wzrokiem po twarzach na sali. Spośród dwudziestu osób rozpoznawała dwie czy trzy. Tak mało? Nieznośne brzęczenie w ciele przeszkadzało jej zebrać myśli. Z drugiej strony jednak, ilu z tej dwudziestki ją poznało? No tak, ale siedziała w ostatnim rzędzie i marzyła o tym, żeby zebranie skończyło się jak najprędzej. Skuliła się, obejmując rękami, jakby chciała wycisnąć z siebie dręczące szczypanie. Może powinna wymknąć się cichcem? Ktoś jednak zagradzał drogę do drzwi. Czyżby miał za zadanie nie wypuścić nikogo przed końcem?

Z rezygnacją zaczęła przysłuchiwać się argumentacji Larsa, który usiłował zmobilizować wybraną grupę do niemożliwego - wyśpiewania nieprawdopodobnych ilości czarnego kryształu, na jaki opiewał ich kontrakt. Prychnęła niechętnie. Do diabła, trzeba przyznać, że całkiem nieźle radził sobie z przekonaniem śpiewaków do wagi zadania. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek brała udział w podobnym zbiorowym zrywie. Nie pamiętała też, żeby Lanzecki kiedykolwiek wkroczył na nie używaną działkę, zanim wypłował ostatni ślad po farbie.

Podniosła się jednocześnie z wszystkimi, bez specjalnego zdziwienia przyjmując fakt, że ktoś ją woła po imieniu. Cechmistrz przeciskał się w jej stronę.

- Killa, czy moglibyśmy zapomnieć o starych urazach i popracować w duecie? - spytał tak cicho, że tylko ona mogła go słyszeć.

Wytrąciło ją z równowagi intensywne spojrzenie jego świetlistych, błękitnych oczu. Spojrzenie,

skupione wyłącznie na jej twarzy. To właśnie była różnica między Shadem a Larsem Daniem - spojrzenie Shada nie było tak wymagające, a za to bardziej nasycone łagodnością i dobrocią. Odwróciła twarz.

Cholerny Biyanco! Dlaczego dała mu się przekonać, żeby z powodu jakichś sentymentów rezygnować z tak dobrego partnera? Wprawdzie nawet gdyby przywiozła ze sobą Shada, nie byłby jeszcze gotów ruszyć z nią na tak wyczerpującą ekspedycję, choćby nawet poszczęściło mu się na tyle, żeby miał Przeskok Milekeya. Jednak inicjowanie go byłoby prawdziwą rozkoszą, wprowadzanie w zawilości nowego zawodu, obserwowanie, jak jego wrażliwa twarz reaguje na nieznane cuda... a zwłaszcza napawanie się poranną pieśnią kryształu z równie delikatnym i czułym towarzyszem jak Shad Tucker. Ten dopiero potrafiłby się cieszyć morzami Ballybranu! Ciekawe, jaką łódź sprawiłby sobie za pierwszy solidniejszy zarobek?

- Killa?

- Co?

Cechmistrz przyglądał jej się z troską.

- Jedna rzecz nie ulega wątpliwości, Killashandro Ree, musisz czym prędzej wracać w Pasma bez względu na to, czy wyśpiewasz czarny, zielony czy tylko różowy. Przyleciałaś na ostatni dzwonek. Bardzo cię szczypie?

Nagła troska w jego głosie zaskoczyła ją, nie dała jednak nic poznać po sobie.

- Jak tylko dolecę do Pasma, przejdzie mi wszystko - oświadczyła znużonym głosem. Głód kryształu skręcał jej kręgosłup.

- Jeśli zdołasz odlecieć w takim stanie. Polecimy razem, czy ci się to podoba, czy nie. Wysyłanie cię solo w takim stanie byłoby zabójstwem. Spotkamy się w hangarze. Donallo...

Killashandra spojrzała na kobietę, która wystąpiła z grupy. Jej twarz wydała jej się dziwnie znajoma. Kobieta uśmiechała się ciepło i przyjaźnie, mimo to Killashandrą targnął niepokój.

- Cieszę się, że wróciłaś szczęśliwie, Killashandro. - Widząc nieufność śpiewaczki, uśmiechnęła się uspokajająco. - Pójdziemy prosto do hangaru. Na tyle możesz mi z pewnością zaufać.

- Będę potrzebować... - Szarpnęła swoje ubranie. - W Paśmie to nie wytrzyma nawet godziny. Nie mam butów...

- Słoneczko, pozwól, że Donalla zadba o wszystkie drobiazgi. - Troskliwy głos Cechmistrza miał rozwiać jej wątpliwości.

Nie czuła się do końca przekonana, ale jej wahania ustąpiły wobec dojmującej potrzeby uwolnienia się od krystalicznego świerzb. Lars pchnął ją w czyjeś ciepłe, łagodne i trochę nie znoszące sprzeciwu dłonie. Najłatwiej było ustąpić i dać się poprowadzić.

Potarła czoło. Jak mogła się doprowadzić do takiego stanu? Pozwalać, żeby manipulowali nią jak dzieckiem?

Czyżby było aż tak źle? A może już do tego stopnia zramolała? Ale przecież o własnych siłach zeszła z pokładu transportowca! Bez trudu odszukała właściwy prom! Dlaczego ni stąd, ni zowąd nie miałyby sobie poradzić z czymś tak dziecinnie prostym, jak dotarcie do hangaru? Choćby ją nawet głowa zawiodła, stopy powinny poradzić sobie same. Mimo to pozwalała się prowadzić. Fakt, że niełatwo jej było zebrać myśli, kiedy huczało jej w głowie, krew w żyłach brzęczała, szczypiąc w serce i płuca - miała już krystaliczne dreszcze, których żadne ilości płynu opalizującego nie byłyby w stanie uśmierzyć. Jedynym remedium pozostawało śpiewanie kryształu.

Niechętnie musiała przyznać Cechmistrzowi rację. Tym razem przeciągnęła strunę. Powinna była wystartować na Ballybran jeszcze tego samego dnia, kiedy poczuła pierwsze oznaki głodu. Ten głód zresztą zapewne osłabił jej zdolność podejmowania decyzji.

Teraz, kiedy pojęła przyczyny swojego przytępienia, wiedziała już, że istnieje dla niej jedyne lekarstwo: ciecie kryształu! Niech kryształ śpiewa w jej ciele, w jej kościach, w jej krwi! Niech przetrze zamglony umysł, pobuduje zanikającą energię! Kryształ. Najgorszy narkotyk w galaktyce - trudno przy nim przeżyć, ale nie sposób bez niego żyć.

Potknęła się. Podtrzymała ją uczynna dłoń Donalli.

Dookoła zawirował rejwach i kontrolowany chaos hangaru. Nachylały się nad nią jakieś twarze, obok przepływały wielkie, zamazane kształty. Pospieszenie wepchnięto ją gdzieś, gdzie hałas prawie całkiem ucichł. Czyjeś dłonie obracały ją na wszystkie strony zakładając skafander lotniczy. Stopy wepchnięto w znajomy uścisk kombibotów.

- Moja piła...

Przyściśnięto jej prawą dłoń do chłodnej, twardej powierzchni i palce Killashandry automatycznie zacisnęły się wokół uchwytu narzędzia, gładko wsuwając w precyzyjnie dopasowane do kształtu dłoni zagłębienia. Powoli uspokajała się.

Posadzono ją w dopasowanym fotelu. Dopięto pasy. Nie mogąc wykonać ruchu ani podjąć żadnej decyzji, czekała biernie. Wokół niej unosił się znajomy, a zarazem obcy zapach - zapach farby, oleju i paliwa - gryzący, a mimo to dający ukojenie.

Rozległ się ryk i fala przesączonego benzyną i smarami powietrza owiała nadwrażliwą skórę na twarzy

Killashandry. Ktoś pewnie wkroczył do sań. Turbiny zawyły, smród paliwa nasilił się, ale to ją uspokoiło. Sanie ruszyły i Killashandra westchnęła z ulgą. Przyspieszenie wciskało ją coraz głębiej w oparcie. Przez okno przebiły się, zbyt silne dla jej zmęczonych oczu, promienie słońca. Zaciśnęła powieki na znak protestu. Chyba nie zapomniała o założeniu soczewek refrakcyjnych? Zamrugnęła. Nie zapomniała, ale zawsze musiało upłynąć dobre parę sekund, zanim zakomodowały się do aktualnego współczynnika refrakcji. Oślepiający blask przygasł nieco, przeciążenie startowe zelżało. Otworzyła oczy, uprzytamniając sobie nagle, gdzie jest. Na fotelu pilota rysowała się smukła sylwetka Larsa.

- Odpocznij troszkę, Słonko - zwrócił się do niej.

Wiele razy tak mawiał, kiedy ruszali z bazy w Pasma.

Posłuszeństwo było o tyle łatwiejsze od oporu. Zapadła się głębiej w fotel, odrzuciła głowę do tyłu i pozwoliła sobie na sen.

- Ene, due, like, fake... - Obudziła ją znana wyliczanka.

- Ha! Zdaje się, że będę miała czym szantażować Cechmistrza... - mruknęła.

Lars roześmiał się zaraźliwym śmiechem, który zawsze ją tak rozbijał. Poczuli, że kąciki jej ust same się unoszą.

- Zawsze skutkuje - wyjaśnił. - Prędzej czy później - dorzucił, widząc, że zamierza zgłosić swoje wątpliwości.

Wyprostowała się z trudem, gryząc wargi z bólu. Każdy ruch prowokował nieznośne szczypanie we krwi i w kościach. Jednak była już w Paśmie. Wkrótce dolegliwości zaczną ustępować. Wreszcie zacznie śpiewać. Odpięła pasy i zapatrzyła się w strome zbocza i granie w głębi masywu Pasma.

- Gdzie jesteśmy?

- Penetrujemy jedną ze starych działek. Patrzyła na niego, marszcząc czoło. Po chwili dopiero wróciła jej najświeższa pamięć.

- Tak? Czyją? Uśmiechnął się.

- Nieważne. Grunt, że emblemat figuruje na liście.

- Gdzie w Karcie dogrzebałeś się czegośkolwiek na temat wygasania praw własności?

- W uprawnieniach Cechmistrza - uśmiechnął się, a kiedy prychnęła lekceważąco, dorzucił: - Dlaczego nie miałbym korzystać z własnych prerogatyw? Cech musi stosować się do legalnych zarządzeń. Podobnie jak Lanzecki, mam zamiar korzystać z wszelkich legalnych metod...

- Nie jesteś Lanzeckim!

- Dzięki za wotum zaufania - odparował, zgaszony. Zapadła długa cisza, podczas której Killashandra drapała się ukradkiem, próbując uśmierzyć swędzenie. - Aż tak źle? - spytał po chwili z autentyczną troską.

- Bywało gorzej - odparła pokornie, choć nieszczerze. Z pewnością pamiętałaby podobny koszmar - i unikała w przyszłości jak ognia.

- Możesz bujać innych, ale nie mnie, Słonko. Trzymaj się. Jesteśmy już prawie na miejscu.

- Gdzie? - spytała łamiącym się głosem. - Szybko, błagam! Zrób znak tam!

Władczym gestem wskazała w prawo. Wicelne słońce przez moment załśniło na odłamku kryształu.

- Nawet zwińjąc się w kryształowym świerzbie, zachowujesz orli wzrok. - Zaśmiał się z uznaniem. Skręcił w prawo, zwolnił i precyzyjnie posadził sanie na dnie wąwozu. - Mało kto w Cechu może się z tobą równać - mruknął, kiedy nieomylnie można już było rozpoznać porzucone przez ich poprzedników odłamki.

Nie panowała nad drgawkami; drżała na całym ciele. Przez chwilę borykała się z klapą zamykającą sanie, wreszcie udało jej się otworzyć. O mało nie wypadła z pojazdu.

- Uważaj, Słonko! - krzyknął Lars, błyskawicznie wystukując na konsolce polecenie lądowania.

Ruszyła, potykając się o krystaliczny gruz. Przykucnęła, nabrała pełne garście odłamków. Zaciśnęła palce. Nie zwracała uwagi na ostre krawędzie, wdzięczna wręcz za ich bolesną pieczęć, gotowa zapłacić krwią, byle tylko uwolnić się od szczypania, które rozsadzało jej arterie, żyły, naczynia krwionośne...

- Spokojnie, Słonko, spokojnie! - zawołał Lars, mocno chwytając ją za ramiona i podnosząc do pionu.

- Ach! - westchnęła z ulgą. - Nigdy jeszcze niczego tak nie potrzebowałam!

- To jeszcze nie powód, żeby całkiem tracić rozum - ofuknął ją cierpko.

Schylił się, podnosząc odłamek, który musiał powstać wskutek wadliwego cięcia. Uniósł jej okrwawione ręce, otrząpął z okruszków kryształu, po czym włożył w dłonie większą bryłkę, pozbawioną ostrych krawędzi. Otoczył Killashandrę ramieniem i zaprowadził z powrotem do sań. Tam umył jej dłonie, a ona przekładała z ręki do ręki krystaliczny walec i ścisnęła jak talizman. Kiedy Lars skończył te zabiegi, mniejsze zadrapania zdążyły się już zagoić.

- Powinnaś teraz coś zjeść, Słonko - oświadczył, w dalszym ciągu przemawiając łagodnym, rzeczowym tonem.

Zaczął przygotowywać posiłek. Siedziała, tuląc kryształ do piersi. Czuli, jak w miarę podgrzewania do temperatury jej ciała walec, jakkolwiek uszkodzony, wysysa z niej bolesny świąd.

Machinalnie zjadła to, co Lars jej podał, następnie, nie przerywając kołysania, przyłożyła kryształ do ud, kolanami dociskając go do brzucha. Nie protestowała, kiedy Lars położył ją do łóżka. Skuliła się jak embrion

wokół zbawczej bryły. W kojącym uścisku spędziła długą noc.

O świetle zbudziła ją pieśń kryształu. Uszkodzony walec promieniował boleśnie. Wyprężyła się z krzykiem, odpychając go od siebie, jakby zawierał truciznę. Lars podniósł bryłę i wyrzucił z sań, przecinając nagły atak bólu.

Przykrył ją całym ciałem, ale wila się w męczarniach, bo rozłaka z kryształem trwała zbyt długo, żeby Lars podniecał ją jak dawniej.

- Zaraz będzie lepiej, Słoneczko, zaraz będzie lepiej... -mruczał, starając się złagodzić targające nią paroksyzmy.

Gdyby była sama, pognałaby do najbliższej żyły. Rozkojarzona, pchana nieodpartym impulsem poddania się ekstazie ogrzanego promieniami słońca śpiewającego kryształu, z łatwością mogła ulec śmiertelnemu wypadkowi.

Wijąc się w uścisku Larsa, wrzeszczała, rozpaczliwie usiłując wyrwać się i dosięgnąć kryształowej ściany, która uśmierzyłaby nieznośny świąd i ukąszenia bólu.

- Puść mnie! Błagam, Lars, puść mnie! Muszę się dostać do...

- I zostań trupem! - wrzasnął, zaciskając dłonie na jej nadgarstkach. Za każdym razem, kiedy prawie udało jej się wyrwać, przyciskał ją całym ciałem do łóżka. -Trzymaj się, Słonko. Jeszcze chwilka. Zaraz słońce wejdzie nad horyzont!

Miotła się, gryzła, próbowała wbić mu kolano w krocze, ale był szybszy, silniejszy i zręczniejszy od niej.

Chorał umilkł raptownie, kiedy promienie słońca załśniły nad grzbietami wzgórz, oświetlając wąwóz. Bezwładnie poddała się przytrzymującym ją dłoniom. Szlochała bezsilnie. Świerzb dopadł ją ze zdwojoną mocą, ale wściekła potrzeba dotknięcia kryształu ustąpiła. Ze znużeniem wtarła pot i łzy z twarzy w koldrę.

- Puść mnie, Lars - poprosiła głucho. Chwilę jeszcze trzymał ją w uścisku, w końcu jednak uwolnił jej nadgarstki i zsunął się z łóżka.

- Przepraszam za to, co było, ale sama rozumiesz, że nie miałem innego wyjścia.

- Rozumiem - odparła, z roztargnieniem rozcierając ramiona. Uniosła się na łokciach. - Jesteś bardziej zdradliwy niż altairiańskie pnącze - oświadczyła zgryźliwie.

Czysto fizyczne dolegliwości szczęśliwie odciągały jej uwagę od pulsującej w żyłach pieśni kryształu.

Wcisnął jej w ręce kubek ciepłego płynu.

- Pij - polecił. - Nafaszerowane stymulantami.

Posłusznie pociągnęła łyk. Ciecz spłynęła do przełyku, natychmiast odnajdując drogę do żołądka, skąd zaczęła promieniować w kierunku kończyn.

- Dziękuję, Lars.

- Wreszcie mówisz jak moje Słoneczko. - Zwichrzył jej włosy.

- Nie jestem żadnym „twoim Słoneczkiem” - oświadczyła, patrząc spode łba.

- Fakt, niespecjalnie przypominasz moje Słonko - powiedział bezbarwnym głosem.

Starła się nie zwracać na to uwagi.

- Przylecieliśmy tutaj po kryształ, prawda? No to bierzmy się do roboty.

Zwlekła się sztywno z posłania i, starając się iść pewnie, podeszła do stojaka. Piła okazała się za ciężka dla bezwładnego ramienia Killashandry, w końcu jednak z pomocą Larsa udało jej się przerzucić ramię przez ramię.

- Chodźmy.

Ruszyli, brnąc wśród kamieni i odłamków kryształu. Zauważyła, że bagaż Larsa nie składa się wyłącznie z jego piły. Kiedy dotarli do skalnej ściany, oddalonej zaledwie o piętnaście metrów od sań, Killashandra dyszała z wyczerpania. Gdy tylko wyrównała oddech, podała A. Usłyszała, że Lars śpiewa C, a ściana odpowiadaniu echem. Rezonans nie był bardzo silny, niemniej zachęcający. Oparła otwartą dłoń na ścianie, usiłując wyczuć źródło dźwięku.

- Tutaj jest wyraźniejsze - powiedział Lars. Jednym susem pokonała dzielącą ich odległość. - Nie połam nóg! -krzyknął.

Znów zaśpiewała A, czując mrowienie rezonansu w dłoni.

- Spokojnie, mała -mitygował ją, ale ona już stroiła piłę.

Rutyna robiła swoje. Killashandra chwyciła za kabłak infradźwiękowe ostrze, kierując je w stronę kryształu, który leżał ukryty w czeluściach ziemi od chwili, gdy uformowały go ruchy tektoniczne.

- Przytrzymaj!

Głos Larsa w samą porę ostudził jej zapal. Pierwsze cięcie wykonali precyzyjnie. Lars wykroił bryłę, aż Killashandra skwapliwie wyciągnęła ręce i wyszarpnęła kryształ ze skalnej ściany palcami, nie zważając na zadrapania - ciężki, przejrzysty, zielony wielościan.

Potrącony promieniem słońca rozśpiewał się w jej dłoniach. Śpiewał i śpiewał, a jego dźwięk przenikał do krwi, spływał przez ręce do tułowia, z tułowia do nóg, wypłukiwał dokuczliwy rezonans, koł udrękę rozłaki ze źródłem jej młodości.

Ktoś wydarł podłużny kształt z jej rąk. Krzyknęła, w odpowiedzi otrzymując policzek. Padła na ziemię, kalecząc kolana o okruchy kryształu.

- Zniewolił cię! - Głos Larsa dotarł do niej, kiedy właśnie zamierzała się rzucić na zamazany kształt we mgle, odpowiedzialny za pozbawienie jej kryształu.

Powoli wstała, pomagając sobie rękami. Pod wpływem transu drżała z wyczerpania, Lars podał jej dłoń, drugą ocierając pot i brud z jej twarzy. Automatycznie oparła się o niego, przyjmując pomoc i podświadomie szukając współczucia. Oplótł ją ramionami, wsparty podbródkiem o jej głowę; dawniej często zdarzało im się tak stać po udanym śpiewaniu.

- Już dobrze, dobrze, Słoneczko - powtarzał, tuląc ją i poklepując po plecach. - Tego ci było trzeba. Czujesz się troszkę lepiej? - spytał, odchylając jej głowę i zaglądając w wymęczoną twarz.

- Na jak długo pozwoliłeś mnie zniewolić? - spytała, orientując się, że jest wykończona do granic możliwości.

- Ze względu na twój stan na większość dnia- odpowiedział ze śmiechem, Odepchnęła go.

- Chcesz powiedzieć, że przez ciebie byłam zniewolona cały dzień, zamiast ciąć kryształ? Starczyłaby mi godzina, góra półtorej!

Cofnął się uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Wreszcie poznaję moje Słoneczko - oświadczył, teatralnym gestem wznosząc ręce do nieba.

- Nie jestem żadnym „twoim Słoneczkiem” - oświadczyła gniewnie, usiłując wrócić do normalnego stanu. Zbyt długo już trzęsła się jak galareta.

- No cóż to bardzo przyzwoita, ciemna zieleń, więc nie próżnowałem, kiedy byłaś nieobecna duchem.

Przyglądała mu się z zaprawioną podziwem nienawiścią: był tak nieznosnie zgodliwy, nieznosnie skuteczny, zawsze miał tę swoją cholerną rację, niech go kryształ!

Wzięła górne C, ale głos zadrżał z osłabienia. Napięła przeponę i zaśpiewała jeszcze raz. Do jej uszu dotarło podane o oktawę niżej A. Zieleń zarezonowała. Jak na rozkaz przytknęli ostrza do lśniącej powierzchni. Wycięli pięć podłużnych kryształów, po czym Lars zarządził przerwę. Nie pozwolił sobie pomóc nieść skrzyni do sań. Na miejscu, kiedy odwiesili już piły, uparł się ze Killashandra powinna wziąć choćby krótki prysznic. Kiedy spostrzegł, że nie jest w stanie utrzymać się na nogach pod sączącym się z prysznica skąpym strumykiem wody, zdjął ubranie i pomógł jej się umyć.

Potem przykrył ją kołdrą i, nadal nagi, szybko przyrzucił kolację. Z trudem wmusiła w siebie jedzenie, wysiłek ten jednak wyczerpał ją ostatecznie, Lars w ostatniej chwili złapał opadający na kołdrę talerz. - Musisz uważać. To nasza jedyna kołdra. Próbowала wymyślić jakąś ciętą odpowiedź. Honor nie pozwalał, żeby Lars miał w tym dniu ostatnie słowo, ale zapadła w sen, zanim opracowała dostatecznie miazdzącą ripostę.

Obudziła ją pieśń kryształu. Czując przy sobie ciepło męskiego ciała, odwróciła się, szukając skwapliwie ukojenia. Jej partner był równie spragniony namiętności. Czułość i łagodność, z jaką ją kochał, przypominała jej Shada, jednak kiedy otwarła oczy, nie ukazała jej się zachwycająco niewinna twarz Tuckera, lecz Lars Dahl.

Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się z góry, a jego błękitne oczy, pociemniałe od nie wypowiedzianych uczuć, wpatrywały się w nią badawczo. Poruszyła się niecierpliwie. Odsunął się.

- Lepiej się dzisiaj czujesz? - zagadnął niedbale.

- Owszem - odparła równie obojętnie, zbierając garderobę z podłogi.

Łatwo powrócili do starych zwyczajów. W duchu buntowała się, ale tak było jednak najwygodniej. Ich rozmowy kręciły się głównie wokół kryształu.

- Nie powinniśmy się tutaj zasiadywać - oświadczyła, kiedy kończyli śniadanie. - Zielony to nie czarny, a w końcu przylecieliśmy tu po czarny.

- Już czujesz się na siłach? - spytał wprost. Wzruszyła ramionami.

- Wolę tracić czas na poszukiwaniach niż na cieciu zielonego.

- Łatwiej ci będzie dojść do siebie, jeśli będziesz śpiewała zielony.

- Też coś! Wróciłam już do siebie!

- Czyżby? - Uniósł brew. - I dajesz się zniewalać na całe godziny?

- To twoja wina - wycedziła. - Jedna starczyłaby mi zupełnie.

- Tere-fere.

Mimo klótni, posłuszni wieloletnim nawykom, uprzątał kabinę sań, przygotowując się do wymarszu.

Po drodze jeszcze godzinę skakali sobie do oczu, ale kiedy dotarli do wyblakłego znaku, który nosił ślady podobieństwa do jednego z emblematów na liście, zdążyli już dojść do jako takiego porozumienia. Niestety, w trakcie penetrowania okolicznych wąwozów u wylotu jednego z nich natknęli się na sanie. Killashandra zmeła w ustach przekleństwo. Czym prędzej się wycofali.

- A co, z naszymi działkami? Nie ma tu żadnej w pobliżu?

- Powinny tu być - oświadczył Lars z namysłem. Walnął pięścią w konsolę. - Musi istnieć jakaś metoda, dzięki której śpiewacy byłiby w stanie rejestrować położenie złóż.

- Akurat! Żeby potem różne łobuzy tygodniami szperały mi w programach, próbując dobrać się do

danych?

- Mamy teraz kody przeciwwłamaniowe. Żaden śpiewak nic da rady ich złamać.  
- Już wam wierze?! Nie ze mną te numery!  
- Wiem. -Wzruszył ramionami. -Ale innych udami się przekonać.  
- Chciałabym to zobaczyć.  
- I zobaczysz, Słoneczko. Cech potrzebuje reorganizacji. Nie może funkcjonować na wielusetletnich zasadach, niewyobrażalnie płynnych i przeraźliwie naiwnych.  
- Naiwnych?  
- Żyjemy w galaktyce, w której rządzą surowe prawa. Przyświecająca pierwszym Cechmistrzom etyka zawodowa nie istnieje już, a modernizacji nie widać znikąd.  
-Modernizacji? - Killashandra potoczyła ręką po kabinie w której skomplikowana aparatura w miniaturowej obudowie funkcjonowała sprawnie i dyskretnie.  
- Nie chodzi mi o sprzęt. Mówię o... - przycisnął palec do skroni - ...programach. O sposobie myślenia, etyce, zarządzaniu.  
-Jedno jest pewne, że tobie cechmistrzostwo poprzestawiało coś w programach.  
- Czyżby? - Spojrzał na nią z ukosa. - Prędzej czy później zgodzisz się ze mną, że trzeba iść z duchem czasu. - Hmm Czy to aby nie nasz znak po prawej...  
Faktycznie, był to ich znak, starty niemal doszczętnie ze spłaszczonego wierzchołka. Opadli na zbocze, by go odmalować i sprawdzić, czy rozpoznają miejsce.  
- Nie bardzo poznaję - zawyrokowała Killashandra. A jednak podświadomie coś jej nie dawało spokoju.  
-Chyba... - zaczęła z wahaniem - chyba to będzie czarny.  
- Nie jesteś pewna.  
- Myślę, że miałeś rację pytając, czy czuję się na siłach. -Walczyła z dreszczami.  
- Możemy wracać i z powrotem ciąć zielony.  
- Przylecieliśmy tutaj ciąć czarny i będziemy go śpiewać, choćbym miała paść trupem.  
- Jestem przeciwny samobójstwu, bez względu na to, jak bardzo Cech aktualnie potrzebuje czarnego kryształu.

Uśmiechnęła się kwaśno.

Jak się okazało, trafili na ciemnobłękitny, jeden z najpiękniejszych kolorów, jaki zdarzało im się kiedykolwiek śpiewać. Z trzema pełnymi pojemnikami ruszyli w stronę sań, żeby uzupełnić zapasy wody. Wtedy właśnie Killashandra targnęło pierwsze przeczucie burzy. Doznanie było tak intensywne, że aż wstrzymała oddech. Głód kryształu musiał podwoić jej wrażliwość. Osunęła się na obudowę cysterny, ale Lars ją podtrzymał.

- Co się dzieje? Nie mów mi tylko, że nic - zapowiedział, patrząc na nią przenikliwie. Domyślał się już.  
- Burza?

Skinęła głową. Lars zaklął. Zakręcił kran i odstawił na bok wypełnioną do połowy manierkę. To samo zrobił z manierką, którą wyjął z bezwładnych rąk Killashandry.

- Dobra, zbierajmy się stąd.  
- Kiedy to jest tylko...  
- Dobra, dobra. Widzę po tobie, że to będzie solidna burza.  
- To tylko dlatego, że ja...  
- Nie obchodzą mnie żadne „dlatego” - krzyknął, uderzając pięścią. Wziął ją za rękę i odwrócił twarzą do kuchenki sań. - Wracajmy i tyle. Nie mam zamiaru narażać się nawet na najłżejszy podmuch. Po ostatnim głodzie nie masz jeszcze całkiem dobrze w głowie.

Protestowała gwałtownie, jednak musiała przyznać, że trafnie zdiagnozował jej stan. Za nic w świecie dobrowolnie nie przyznałaby mu racji - z przyzwyczajenia klóciła się zajadle. Nie chciał nawet słuchać o tym, żeby zostać i wyciąć choćby jeden kwintet. Być może zdążyliby, przyznał, ale nie uważał, żeby ta żyła była aż tak rewelacyjna.

- Tak czy owak nie jest to czarny - skonstatował z gniewnym wyrazem oczu i ust. - Staraj się nie zapominać, Słonko, że celem naszych poszukiwań jest czarny kryształ!

- Po co wobec tego traciliśmy czas śpiewając błękitny?

- Bo wydawało ci się, że trafiliśmy na czarny! - Przechadzał się po swojej stronie sań, domykając szafki, sprząając śmieci.

- Wyśpiewaliśmy bardzo przyzwoity błękit... - zaczęła pokornie, co należało do wypróbowanych taktyk. - Sam mi mówiłeś tyle razy, że...

W jednej chwili jego gniew się ulotnił. Wyciągnął rękę przez wąską przestrzeń, która dzieliła ich od siebie, i pogłaskał ją ze skruszoną miną po policzku.

- Wybacz, Słoneczko, ale za żadne skarby nie będziemy już ciąć... tutaj... dzisiaj...

- To powinna być wspólna, a nie jednoosobowa decyzja - obruszyła się, zastanawiając, czy aby nie zaczął mięknąć. - Dawniej nie bywałeś tak apodyktyczny.

- A teraz jestem. - Westchnął ze znużeniem. - Jako Cechmistrz mam więcej powodów pilnować, żeby mózg ci nie wykipiał, niż jako partner.

- Nie chciałam, żebyś zostawał Cechmistrzem.

- Dałaś mi to wyraźnie odczuć - oświadczył z błyskiem w oku, zaraz jednak się uspokoił. - Byliśmy najlepszym duetem w dziejach Cechu. Oglądałem wydruk naszych wspólnych osiągnięć. Imponujące! - Nagle uśmiechnął się łobuzersko i przed oczami mignął jej dawny, dobrze znany Lars. Poczula, że serce jej bije mocniej. - A teraz, jazda stąd. Nie zamierzam nadstawiać ani mojego, ani twojego karku.

W znacznie przyjaźniejszych nastrojach wrócili do Cechu. Meteorolog zdążył już ogłosić alarm. Do hangaru ze wszystkich sektorów ściągały sanie. Lars rozglądał się właśnie za kimś, kto pomógłby mu wylądować kryształ, kiedy komendant lotów podał mu komunikator. Wezwanie w sprawie najwyższej urzędowej wagi.

- Dopilnuję naszych spraw w sortowni - oświadczyła Killashandra, widząc pytające spojrzenie Larsa.

Przez chwilę śledziła wzrokiem jego wysoką sylwetkę, gdy szedł w stronę najbliższego wyjścia. Z głową przekrzywioną na bok wysłuchiwał wezwania. Następne zamówienie na czarny kryształ?

Okazało się, że skrzynie Cechmistrza mają w sortowni pierwszeństwo. Killashandra pchnęła pojemniki w stronę stanowiska Clodine. Starła się zachowywać jakby nigdy nic i nie zwracać uwagi na nerwowość sortowaczki. Dopiero widok kryształu przywrócił Clodine dawną swobodę. Wartość rynkowa błękitu była w stanie poprawić nawet najgorszy humor śpiewaka.

Kiedy Killashandra sprawdziła wysokość swoich kredytów, zaczęło do niej docierać wydobywające się z jej skóry i odzieży bzyczenie kryształu. Szybko poszła w stronę kwater mieszkalnych. Przytykając dłoń do płytki na drzwiach, słyszała już plusk płynu opalizującego. Uśmiechnęła się. To ładnie ze strony Larsa. Dahła, porządna kąpiel, przekąska i wróci do normy. A przynajmniej do tego, co dla Śpiewaków jest normą. Grunt, że udało jej się pozbyć skurczów. Jedno porządne śpiewanie - i po wszystkim.

Zaczynała programować podajnik, kiedy ekran zaświecił się, ukazując twarz Larsa.

- Killa? Niezłą forszę dostaliśmy za błękit.

- Sama chciałam ci o tym powiedzieć - oświadczyła z niezadowoleniem.

- Zamówiłem jedzenie do siebie. Jeżeli miałabyś ochotę mi potowarzyszyć... - Zaskoczyło ją nieznaczne wahanie w jego głosie, ale fakt, że obecny Cechmistrz nie jest równie apodyktyczny jak Lanzecki, sprawił jej przyjemność.

- Myślę, że dam się skusić - oświadczyła ciepło i skasowała polecenie dla swojego podajnika. Obiad z Larsem, a raczej obiad z Cechmistrzem, wzniecał w jej pamięci miłe echa.

Przeglądając garderobę w szafie, wybrała zestaw, który korespondował z jej dobrym nastrojem. Ubrała się starannie, wiele czasu poświęcając rozczesaniu i starannemu upięciu zmierzwionych włosów. Powinna się znowu ostrzec. W Paśmie włosy były tylko przeszkodą - pocily się i wpadały do oczu właśnie wtedy, kiedy chciała zobaczyć dokładnie linię ciecica. Przyjrzała się swojej twarzy: świeża opalenizna sprawiała, że jej oczy bardziej błyszczały, chociaż ich białka zaczynały już żółknąć. Przejechała dłońmi po policzkach: nadal były zapadnięte, w dodatku czas zaczął chyba żłobić bruzdy od nosa do kącików ust. Rozciągnęła twarz, usiłując wygładzić skórę. Spochmurniała. Zestarzała się, nie da się ukryć. Musi bardzo uważać, żeby już nie wyczerpać swojego symbionta. Nieźle go nadużyła, skoro tak wygląda.

Pierwszą rzeczą, która ją uderzyła w oczy po wejściu do biura Cechmistrza, było puste, uprzątnięte z akt i innych przedmiotów biurko. Zmarszczyła czoło. Trag? Nie, Traga już nie ma. Lars nie znalazł odpowiedniego asystenta. Będzie musiał. Nic dziwnego, że ją tak szorstko traktował w Paśmie. Pamiętając ilość pracy, jaką obłożony był - mimo pomocy Traga - Lanzecki, orientowała się, że funkcja Cechmistrza w żadnym wypadku nie jest synekurą. Lars musiał być skończonym durniem, skoro dał się wprzęgnąć w podobny kierat. Mogła się założyć, że od kiedy został Cechmistrzem, nie był jeszcze ani razu na żaglach.

„Kiedy” nie było słowem, którym posługiwała się zbyt często, nagle jednak to właśnie słowo mignęło jej w głowie. Kiedy Lars przejął urząd po Lanzeckim? Chrząknięciem zbyła drażniące wątpliwości. Ruszyła w stronę drzwi gabinetu. Lars siedział kontemplując ekran monitora. Zdążył się przebrać i wziąć prysznic; włosy miał jeszcze wilgotne. Pod ścianą, przy szerokim oknie wychodzącym na wrota hangaru, nakryto już do stołu. Killashandrę uderzył w nozdrza zapach ulubionych potraw. Lars wyczuł czyjąś obecność w pokoju. Uniósł niechętnie głowę, zaraz jednak poderwał się na nogi z uśmiechem.

- Słoneczko!

Gestem zaprosił ją do stołu. Odsunął przed nią krzesło.

- Co cię teraz aż tak pochłania? - spytała bardziej żartobliwie niż kpiąco.

- Pozwól mi na krztynę altruizmu - poprosił, całując ją w policzek, zanim sam usiadł.

- A to niby dlaczego?

Z uśmiechem zajrzał jej uważnie w oczy i był wyraźnie zadowolony z tego, co w nich dostrzegł.

- A więc? - Zadarła podbródek.

- Najpierw zjemy, potem porozmawiamy. Chciałbym, żebyś przed naszą kolejną wyprawą nieco przytyła.

- Chcesz powiedzieć, że nie polecimy, jak tylko skończy się burza? - jęknęła.

Zamiast odpowiedzi nałożył jej hojnie na talerz ulubionych przysmaków. Kiedy zaczął nakładać sobie, dotarło do niej, że zamówił kłosa nikko, których nawet zapachu nie znosiła. Uśmiechnął się, widząc, jak marszczy nos z obrzydzeniem.

- Teraz widzisz, że nie staram się schlebiać wyłącznie twoim gustom, Killashandro Ree. Nie, nie będziemy mogli wyruszyć natychmiast. Czarny kryształ nie jest naszym jedynym produktem, który ma zbyt. - Gwałtownie zmienił temat. - Prędzej byłbym gotów do drogi, gdybyś zdecydowała się mi pomóc.

- Myślałam, że ci pomogę, znajdując czarny kryształ. Polecę sama.

- Nie! - Wypowiedział to słowo z taką mocą, że spojrzała na niego z osłupieniem. Nie zwykł był zwracać się do niej tym tonem. Najeżyła się. Złapał ją za rękę, zrzucając pędy milsi z łyżki, którą niosła do ust. - Nie, Killashandro. To zbyt niebezpieczne. Nie doszłaś jeszcze do siebie i z pewnością dałabyś się zniewolić. Zwłaszcza śpiewając samotnie czarny kryształ.

Czuła sprzeciw wobec jego zakazu, musiała jednak przyznać, że zniewolenie w jej przypadku było bardziej niż prawdopodobne. Musiała również przyznać, że podczas ich ostatniej eskapady była w fatalnej formie: niewiele brakowało, żeby kryształ uczynił z niej kalekę. Co z tego, że szukali czarnego kryształu? Miała piekielne szczęście, że nie trafili na odpowiednie złoże. Już zielony uzależnił ją dostatecznie mocno. Larsowi należy się wdzięczność za ryzyko, jakie podjął, biorąc ją w Pasma w takim stanie.

- Czym mogłabym ci, Cechmistrzu, służyć? - spytała żartobliwie.

- Dzięki, Słonko - uśmiechnął się ze szczerą ulgą. - Będę ci bardzo zobowiązany.

- A więc?

- Zjedzmy najpierw. Nie umiem myśleć, kiedy żołądek przysycha mi do kręgosłupa.

Była bardziej głodna, niż przypuszczała, więc z przyjemnością zabrała się do jedzenia. To dziwne, jak pełen żołądek potrafi osłabić opór wobec niestrawnych propozycji.

Kiedy opróżnili ostatni półmisek, Lars odchylił się i z uśmiechem poklepał się po brzuchu.

- Zaraz lepiej. A teraz gdybyś była tak dobra i dokończyła obliczanie stanu kont wyświetlonych na ekranie, uniknąłbym urażenia paru osób.

- Jakich osób?

- Clarend i Ritvili wnieśli oficjalnie skargi, do których muszę się ustosunkować, a na Shankill czeka na mnie delegacja. Powinienem ją wreszcie przyjąć.

- Myślę, że lepiej dałabym sobie radę z delegacją niż z rachunkami - zasugerowała ostrożnie.

- Robiłaś takie rzeczy dla Lanzeckiego. Pamiętasz, jak Afarianie próbowali wyłudzić kryształ? Mam teraz podobną sytuację z Triadą Blackwella. Próbuja tych samych chwytów i będę ich musiał spławić, ale do tego potrzebne mi są liczby.

- Co za nuda - westchnęła, wznosząc oczy do nieba.

- Wiele moich obowiązków nie należy do interesujących, a mimo to... - Spojrzał na nią, a na jego szerokich ustach pojawił się uśmiech. - Lubię się przyglądać, jak nasz Cech stawia czoło obcym.

- Trzymamy rękę na unikalnym towarze, którego nikt, choćby stanął na głowie, nie jest w stanie wyprodukować - parsknęła. - Jesteśmy panami sytuacji.

- Podobają mi się te „my” w twoich ustach, Słoneczko. - Przechylił się przez stół i pogłodził ją po dłoni. - Pójdę teraz udobruchać kogo trzeba, a ty wyszukaj dla mnie odpowiednie dane.

- Tylko ten jeden raz, ponieważ mam wobec ciebie dług wdzięczności - ostrzegła, wyrывая rękę i grożąc mu palcem. - Nie łudź się, że mnie w to wrobisz na stałe. Jestem śpiewaczką, a nie gryziopiórkiem. Znajdź sobie jakiegoś rekruta z doświadczeniem handlowym. - Właśnie szukał - oświadczył z przebiegłym uśmiechem.

Przystąpiła do analizowania danych i odkryła, że ta praca interesuje ją bardziej, niż była skłonna przypuszczać. Niewątpliwie zakres kompetencji Cechu - i jego niepodważalna pozycja jedynej dostawcy krystalicznych zestawów komunikacyjnych przewyższał wyobrażenia Killashandry. Jej praca - ciecie kryształu - była tylko pierwszym ogniwem skomplikowanego łańcucha procesów, których produkt końcowy był niezmiennie poszukiwany w zasiedlonych obszarach galaktyki. Odcięcie świata od ballybrańskiego kryształu oznaczałoby całkowity krach gospodarki, gdyż technologia na wszelkich poziomach uzależniona była od brył i okruchów krystalicznych. W ballybrańskich laboratoriach spece od poszukiwań naukowych wynajdowali coraz nowsze zastosowania kryształu - nawet zanieczyszczone okruchy wykorzystywano do produkcji materiałów ściernych. Połygliwsze drobne odłamki stosowano do wyrobu biżuterii rezonansowej, która znów wróciła do łask. Killa-shandrę zastanowiło, jakim cudem galaktyka dopuściła do tego, żeby tak wielka władza znalazła się w rękach Cechu. Co też takiego planował Lars? Reorganizację, modernizację, czy coś w tym rodzaju... W pozostałych dziedzinach Cech zmuszony był bazować na obcych technologiach.

Nie mogąc się oprzeć pokusie zdobycia całkowitego dostępu do archiwów Cechmistrza, Killashandra weszła do zastrzeżonych zbiorów. Taka szansa mogła jej się więcej nie trafić. Lars wspominał coś o całkowitych dochodach z kryształu. Zaciekało ją, w jakim stopniu ona, Killashandra Ree, przyczyniła się do pomyślności Cechu. W supertajnych plikach bez trudu odnajdywała potrzebne informacje. Jednak data ich pierwszej wyprawy w duecie zdumiała ją. Nie mogli śpiewać od tak dawna. To nie mogło być prawdą... Wyszła ze zbioru i

siedziała, wpatrując się w ekran, który migotaniem wyrażał gotowość do dalszych usług. To nie może być prawda...

- Słonko? - płynący z komunikatora głos Larsa przerwał wywołane informacją zmyślenie. - Słoneczko, masz dla mnie te liczby? Słoneczko? Słonko, co się tam dzieje?

Troska i rosnący niepokój w jego głosie wydobyły ją z odrętwienia.

- Widziałam... - Tyle tylko udało jej się wykrztusić.

- Słonko, co się z tobą dzieje?

- Czy jestem stara, Lars?

Zawahał się najwyżej przez moment, później nawet uznała, że roześmiał się chyba od razu.

- Stara? Śpiewaczka nigdy się nie starzeje, Słonko. -W jego głosie dźwięczał śmiech, który jej wyczulone ucho odebrało jako absolutnie szczery. To rozbawienie nie mogło być udawane. - Po to właśnie zostajemy śpiewakami. Żeby się nigdy nie zestarzeć. Podaj mi te dane, dobrze, a jak wrócę z Shankill, to ci pokażę, że nic sobie nie robimy z czasu. Niech podobne drobiazgi nie psują ci humoru. Podasz mi wreszcie te liczby czy nie? Jestem już prawie na Shankill. Prześlij, jeżeli możesz.

Wykonała polecenia mechanicznie jak robot, po czym rozparła się w wygodnym, lecz nieco zbyt obszernym fotelu Cechmistrza, usiłując przypomnieć sobie, jakim cudem udało jej się wyśpiewać na przestrzeni tych wszystkich dziesięcioleci aż tyle ton kryształu.

Lars zastał ją dokładnie na tym samym miejscu. Nad Ballybranem dawno już zapadła noc. Przekonywał ją, jak współpracownik i jak kochanek, lecz nie potrafił wytrącić jej z depresji. Zrobił jedyną możliwą rzecz: z powrotem zabrał ją w Pasma.

Wróciła do siebie z chwilą, gdy zorientowała się, że są głęboko w Paśmie Milekeya. Podczas wyprawy trafili na niezwykle rzadki czarny kryształ - cała oktawa brzmiała w E - zdolny wyśpiewywać wiadomości nawet przez największe układy planetarne, które dobijały się o własny system przekazu informacji oparty na kryształach. Jednak śpiewanie czerni rozstrajało Killashandrę do tego stopnia, że nie zaprotestowała, kiedy Lars zdecydowanie, acz niechętnie, zawrócił sanie w stronę kompleksu Cechu. Po raz pierwszy wracali nie z powodu burzy.

Jak przez mgłę uświadamiała sobie, że Lars niesie ją na rękach do szpitala. Nie przyjął niczyjej pomocy i odmówił położenia jej na wózku bezgrawitacyjnym. Sam ją rozebrał, kiedy Donalla instalowała monitory, a Presnol zastanawiał się nad optymalnym czasem działania poszczególnych leków.

- Pieprzę wasz optymalny czas! — wściekł się Lars. -Pobudźcie jej symbionta! Wyleczcie ją!

Zanim wypadł z kliniki, dopilnował jeszcze, żeby dopięto jej uprząż w wannie z płynem opalizującym. Pozwoliła się unosić cieczy, nie myśląc nawet o tym, ile kredytów przybyło im dzięki czarnemu kryształowi.

## Rozdział IX

- Mamy wystarczająco dużo czarnego kryształu? - spytała Killashandra, gdy Lars złożył jej pierwszą wizytę w szpitalu. Zaczęła już wracać do zdrowia po głębokim załamaniu nerwowym.

- Dosyć, żeby uciszyć utyskiwania o dobre parę decybeli, Słonko. - Nachylił się, całując ją, po czym z łobuzerskim błyskiem w oku szczytnął w policzek. - Najlepsze były te, które cięliśmy razem.

- Naturalnie - potwierdziła w przypiływie dawnej pychy.

- Widziałas, na ile wyceniono nasz ostatni?

- To jedna z pierwszych rzeczy, którą się zainteresowałam, kiedy tylko odzyskałam przytomność. - Przytuliła policzek do jego dłoni. - Muszę się z tobą rozliczyć. Podzieliłeś się ze mną dochodami z kryształu, który cięś sam, co jest sprzeczne z Kartą. Śpiewałeś go beze mnie - oświadczyła z naganą, widać było jednak, że czuje się jego szczodrością mile polectana.

- Przecież to jest twoja działka. Gdybyś miała szansę, cięłabyś ze mną, dopóki pogoda by się nie zepsuła.

- No dobrze - odsunęła się lekko i obrzuciła go taksującym spojrzeniem. - Ile będzie mnie kosztowała twoja wielkoduszność?

Wybuchnął śmiechem, odchylając głowę do tyłu i odpychając się od łóżka, aż krzesło zabalansowało niebezpiecznie na tylnych nogach.

- Nie tyle kierowała mną wielkoduszność, ile pamięć o moim własnym zarządzeniu, że osobom, na których działki wkracza się bez ich udziału, przysługuje całkowita opieka.

- Jestem żywą, zawodowo czynną śpiewaczką - obruszyła się. - Nie jestem jeszcze - przynajmniej na razie... - Machnęła nerwowo w stronę oddziału, na którym leczono śpiewaków z uszkodzeniami mózgu.

- Oczywiście, że nie. Faktem jest jednak, że z powodu zamówień zmuszony byłem wydobywać czarny kryształ, skąd się dało - oświadczył, poważniejąc na chwilę. - Śpiewałaś ze mną wcześniej, więc najuczciwiej w świecie zasłużyłaś na swoją część... zwłaszcza przy obecnych cenach rynkowych czarnego kryształu. Takich cen jeszcze nie było - stwierdził, przewracając oczami.

- Nie było, to fakt! - odpowiedziała z uśmiechem. Na czarnych zawsze zarabiała się najlepiej. Za ten oktę zarobiła więcej niż przez ostatnie... wywód utknął na kwestii czasu. Szybko zrezygnowała z całej spekulacji. - Czy nasz oktę został już zestrojony? - Złościło ją, że Presnol i Donalla nie chcieli udostępnić tej informacji. Pozwalali jej korzystać jedynie z prymitywnego dźwiękowego komunikatora.

- O tak, przeszlifowano go i osadzono w obejmach w rekordowym czasie. Ci z Triady Blackwella zachwycili się na widok zestawu. Potrzebowali ośmiu kryształów i dostali osiem, w dodatku strojących ze sobą. Co ich zresztą odpowiednio kosztowało.

- Bardzo słusznie!

- Zainstalował je Terasolli, który potem zaszył się tak głęboko na planecie Maxima, że wszelki słuch po nim zaginął - ciągnął Lars, pochmurniejąc. - Nawet wzięwszy pod uwagę ceny w ich kurortach, starczy mu na wiele miesięcy.

- Byłam kiedyś z tobą na Maximie - zauważyła, chociaż nie potrafiła przypomnieć sobie żadnych szczegółów legendarnych egzotycznych uciech, jakie oferował ów raj próżniaków...

Wielu śpiewaków narażało ciało i umysł, żeby móc powrócić na Maxima, ona jednak nigdy nie miała na to jakoś ochoty.

- Jeden, jedyny raz. Żadnych mórz, żadnych jezior, żadnych żagli. - Spojrzał na nią z ukosa. - A propos, może wyrwałabyś się ze mną gdzieś na parodniowy wypoczynek? Przyjąłbym cię do mojej załogi.

- Mogę nawet pływać jako twoja załoga, byle się tylko stąd wyrwać!

Przelknawszy irytację, jaką wzbudzała w nim ta kpina, zwichrzył włosy Killashandry i wyszedł, pogwizdując chanta.

W trzy dni później, idąc nabrzeżem, Killashandra ze zdumieniem zorientowała się, że na miejscu, z workami żeglarskimi u stóp, czekają Donalla, Presnol i Godine, Poczula złość na Larsa. Nie dość, że ośmielił się zaprosić kogoś oprócz niej, to jeszcze musiał właśnie ich wybrać. Chciała - spodziewała się - być z nim sama na pokładzie „Anioła”. Łódź wystarczająco odciągała od niej uwagę Larsa. Kiedy jednak spojrzała na przycumowany u wybrzeża jacht, przeżyła kolejny, jeszcze silniejszy wstrząs: to nie był „Anioł”, a była prawie pewna, że dobrze go pamięta, tylko inny jacht, dłuższy o dobre dziesięć czy piętnaście metrów. Jacht, ale o wiele większy. Wyjaśniało to do pewnego stopnia obecność pozostałych osób, w niczym jednak nie łagodziło jej niechęci.

Lars przyszedł, kiedy chłodno witała się z resztą załogi. Biegł po nabrzeżu w ich stronę, uradowany niespodzianką, jaką, im zrobił.

- Wspaniała łódź, nie uważacie? - oświadczył z chłopięcym entuzjazmem. Znowu wyglądał jak jej dawny Lars, a nie jakiś Cechmistrz. - To będzie dziewiczy rejs. Jesteście pierwszą załogą.

Nawet Killashandra nie miała serca gasić radości, z jaką oprowadzał ich po pokładzie, wskazując na usprawnienia techniczne i wszelkiego rodzaju udogodnienia, luksus i przestroność siedmiu kabin pasażerskich i mesy. Nad wszystkim unosił się zapach lakieru, farby i trudny do określenia, lecz wyczuwalny zapach

„nowości”. Znalazło się nawet miejsce na niewielką wannę do kąpeli opalizującej. Wściekłość Killashandry minęła, kiedy Lars zaprowadził ją do kajuty kapitańskiej, wesoło zapraszając pozostałych pasażerów do zajęcia miejsc w swoich kabinach. Wyglądało na to, że na „Aniele II” będą mieli o wiele więcej prywatności, chyba że Lars uprze się, by trzymać z nią wachtę na zmianę. Możliwe, iż tak się skończy - pojęcia nie miała, na ile dwójka lekarzy i sortowaczka znali się na żeglarswie.

- Podoba ci się, Słonko? - spytał Lars, rzucając worek żeglarski na szeroką koję i wskazując na pięknie urządzonej kabine. - Dobrze strzyż cię czarnego kryształu!

- Musiałeś splukać się do ostatniego kredytu - mruknęła, rozglądając się z uznaniem. - Ostatni krzyk techniki?

- Kiedy opuszczał doki Oferii, tak było. - Objął ją obiema rękami w pasie i przyciągnął do siebie, zanurzając twarz w gęstwinie jej krótkich, sprężystych włosów. - Być może nie zestarzał się jeszcze, chociaż nie chciałem wypływać w morze, dopóki nie będę miał mojego Słonka na pokładzie. Wiesz dobrze, że bez ciebie to nie to samo. - Pocałował ją i puścił, żeby móc wymachiwać swobodnie rękami. - Przyszasz sama, że cacko. Odkąd widziałem bliźniacze jachty na Flagu Trzy, nie mogłem już spać spokojnie.

- Czy reszta załogi zna się na żegludze? - zainteresowała się niechętnie.

- Parę razy pływali na starym jachcie - rzucił od niechcenia. - Nie cierpię na chorobę morską, jeśli o to ci chodzi, i umiem poruszać się po pokładzie. Resztę robi sam jacht.

- Kto gotuje? - spytała lekko uszczypliwie.

- Każdy, kto nie ma wachty - odparł promiennie, przytulając ją znów do siebie. - Cieszę się, że cię mam na pokładzie, kochanie. Strasznie się cieszę. A teraz - oznajmił - bierzmy się do żagli.

Rejs okazał się niezmiernie przyjemny, zwłaszcza kiedy zorientowała się, że jest o wiele lepszym żeglarzem od reszty pasażerów. Jak zawsze, automatycznie i bezbłędnie wykonywała wszystkie polecenia Larsa. Stwierdziła, że nie zapomniła istotnych rzeczy. Reszta to śmieci, które czas prędzej czy później i tak wymiótłby z jej pamięci.

Wieczorami cumowali w ustronnych zatoczkach, powierzając jacht opiece monitorów, które miały obudzić załogę, gdyby na wykresach pojawiło się coś niepokojącego. Noce spędzała z Larsem w kapitańskiej koi.

Smażone na patelni świeżo złowione ryby były kruche i delikatne w smaku. Żeglowali, a raczej Lars żeglował, gdyż bardzo długo nikomu, nie wyłączając Killashandry, nie pozwalał tykać steru. Po południu trzeciego dnia dopadł ich lekki sztorm. Rozkoszowała się burzliwą pogodą, która przywoływała strzępki wspomnień o sztormach przeżytych wspólnie z Larsem na rozmaitych jachtach. Dopiero po czterech dniach obowiązki Cechmistrza przypomniły o sobie. Lars usiłował rozwikłać zasygnalizowany problem przez komunikator, jednak z powodu braku asystenta, który prowadziłby wszystkie sprawy pod jego nieobecność, z żalem musiał zawrócić.

- Wydawało mi się, że szukasz pomocnika - zauważyła Killashandra, nieszczęśliwa z powodu nagłego zakończenia ich sielanki.

- Od siedmiu lat rozglądam się za właściwą osobą, Słonko. Bardzo trudno znaleźć kogoś, kto by się naprawdę nadawał. Wprawdzie paru rekrutów zatrudnionych czasowo wykazywało się pewnymi talentami, jednak żaden z nich nie miał wystarczającego doświadczenia, żeby skutecznie pełnić funkcje kierownicze. Potrzebuję kogoś, kto orientuje się w zasadach funkcjonowania Cechu, kto śpiewał albo kiedyś będzie śpiewać kryształ, kto posiada talenty rządzenia ludźmi, a nie ulega przy tym gorączce władzy. Przede wszystkim kogoś, komu mógłbym zaufać...

- ...że nie będzie domagać się twoich przywilejów? - dokończyła kpiąco.

- Również - potaknął mrużąc oko. - Nie jest łatwo podolać temu stanowisku. Nauczyłem się robić sam, co się tylko da, i nie oglądać się na nikogo. Śpiewacy, ogłędnie mówiąc, mają zbyt kiepską pamięć.

Wyczuła kolejne piętra aluzji. Skrzywiła się. Przygarnął ją czule do siebie, muskając ustami po karku.

- Gorzej, idealizują, to słowa Donalli, śpiew kryształ, podnosząc go do rangi najistotniejszego elementu ich życia, którym, w jakimś sensie, powinien być. Ale to także poważne obciążenie: z czasem są w stanie funkcjonować w tak wąskich ramach, że z szerszego punktu widzenia stają się bezużyteczni. Albo śpiewają, albo uciekają przed śpiewaniem na takt długo, jak długo kryształ im pozwoli. Ten rodzaj krótkowzroczności dotyka sporą liczbę skądinąd przyzwoitych ludzi. Życie nie składa się wyłącznie z... Hej, Słonko, co się z tobą dzieje? - Zesztywniała w jego objęciach, próbując go odepchnąć. - Hej, nie ma powodu brać wszystkiego do siebie! - Ze śmiechem przytulił ją znowu, głaszcząc, dopóki nie rozluźniła się z powrotem. - Głuptasku!

Dopływali już do przystani Cechu, więc pozwoliła się udobruchać, choć czuła, że jego komentarze nie są pozbawione podtekstu. A jednak... nic z wydarzeń ostatnich paru dni nie nasuwało podejrzeń, że ich wieloletni związek uległ jakimkolwiek przemianom. Donalla nie ukrywała swojego zainteresowania Presnolem, Clodine natomiast ewidentnie; interesowała się kobietami.

Jacht dobijał do portu. Lars zaczął wydawać rozkazy i nie było już czasu na dalsze rozmowy. Z jednej strony była zła o jego niepokojące uwagi, których nie zamierzał jej wyjaśniać, z drugiej jednak potrzebowała

czasu, żeby przeżyć to, co powiedział. Kto wie, czy nie miał racji.

W głębi ducha musiała przyznać, że ona również popełniła grzech, zubożenia osobowości. Czyżby nie umknęło to uwagi Lar:sa? Czyżby miał nadzieję, że jego praktyki położą kres tej krótkowzroczności? Ale jak? Gdzieś na obrzeżach umysłu zaczęła dojrzywać pewna decyzja. Decyzja nieuchwytna jeszcze, ale na pewno bardzo ważna.

Z westchnieniem skończyła sprzątanie kuchni. Usunęła resztę prowiantu, który mógłby się zepsuć. Cóż, chyba nie jest aż taka jak inni. W końcu pływa na żaglach i pamięta, że zwiedziła więcej mórz, niż jakakolwiek galaktyka pomieści.

Rejs pozwolił Larsowi odpocząć nieco od obowiązków, w sumie jednak zajęcia było więcej - na miejscu czekały kolejne zamówienia na czarny kryształ.

- Wydałem przecież rozporządzenie, żeby nie przyjmować żadnych nowych zleceń.

Gniewnie marszcząc brwi, wpatrywał się w ekran komunikatora, który byczyeniem zwracał na siebie uwagę od chwili, kiedy Lars odsunął właz prywatnego poduszkiowca.

- Nigdy nie odrzucamy zamówień na czarny, Cechmistrzu - brzmiała odpowiedź.

- Nie jesteśmy w stanie ich realizować. Donallo, będziesz musiała wziąć się za Rimbola i Borellę! - zawołał, wychylając się z pojazdu.

Oba imiona z czymś się Killashandrze kojarzyły.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy, Lars! - odkrzyknęła Donalla, wzruszając ramionami, jakby nie widziała swojej misji w zbyt różowych kolorach.

- Rimbol? Znałam go... chyba - oświadczyła Killashan-dra. W jej wspomnieniach mignął dowcipny uśmiech na chłopięcej twarzy. - Borellę też... - Twarz kobiety nie była wyraźna, w pamięci pozostała głównie wysoka, muskularna sylwetka i paskudnie pokancerowana noga. - Nie widziałam ich od dawna - dodała.

- I nie zobaczysz ich zapewne, Słonko - odparł łagodnie Lars. - Oboje o jeden raz za dużo zlekceważyli ostrzeżenie meteorologów.

- O! - Umilkła trawiąc tę informację. - Jak wobec tego może Donalla ich wykorzystać?

Lars zapakował do wozu ich worki, zapiął pasy, gestem zachęcając Killashandrę, żeby poszła w jego ślady. Skierował wóz w stronę bazy.

- Regresja - odparł zwięźle.

To było właśnie słowo, które nie dawało jej spokoju.

- Co to takiego?

- Stara technika dobierania się do fragmentów pamięci usuniętych z premedytacją bądź wskutek uszkodzenia mózgu. Wykorzystujemy jedynie dwie piąte naszych szarych komórek. Jeżeli wierzyć Donalli, niektóre funkcje można przerzucać do nie używanych obszarów mózgu, przy czym wspomnienia często zostają usunięte z pamięci operacyjnej. Moda na regresję pojawia się i znika, największą popularnością cieszy się zawsze regresja do przeszłych wcieleń. - Zaśmiał się, dając jasno do zrozumienia, co sądzi na temat tego rodzaju praktyk. - My posługujemy się regresją dla pobudzenia reakcji łańcuchowej pamięci - podjął dalszy wątek. - Prowadzone przez Donallę badania nad utratą pamięci sugerują, że nic z tego, co kiedykolwiek widzieliśmy, słyszeliśmy czy odczuwaliśmy, nie zostaje zagubione. Najbardziej przykre rzeczy staramy się zagrzebać najgłębiej, chroniąc naszą psychikę przed ich oddziaływaniem. O dziwo, miłe wspomnienia z równą łatwością się chowają. Dzięki precyzyjnemu zastosowaniu hipnozy Donalla potrafi odzyskiwać zapomniane wiadomości.

- To nielegalne! - wybuchnęła, jednak Lars przecząco pokręcił głową.

- Owszem, legalne. Upewniłem się w tej sprawie przed przystąpieniem do badań. Opiekujemy się ciałami dawnych śpiewaków i zapewniamy im najlepszą opiekę, na jaką nas stać. Więcej, niektórzy z nich pod okiem Donalli zaczęli z powrotem funkcjonować jak ludzie.

- Chyba nie posyłacie ich z powrotem w Pasma?! - spytała patrząc na niego z osłupieniem. Roześmiał się szorstko.

- Nie jestem sadystą, Killashandro, dla mnie sukcesem jest fakt, że są w stanie sami chodzić wokół siebie. Stan niektórych poprawił się do tego stopnia, że mogli podjąć nieskomplikowane prace w szpitalu.

- To makabryczne. - Wzdrygnęła się,

- Ale również bardzo wygodne. Szpital stale pęka w szwach, a ja nie zamierzam pozbawiać należytej opieki nikogo, kto wykasował sobie mózg. Druga sprawa to to, że Cech nie przyciąga dostatecznej liczby rekrutów, żeby powetować sobie te straty...

Poczuła, że rośnie w niej gniew przemieszany z przerażeniem. Sama zbyt bliska była „wykasowania” własnego mózgu.

- Czy gdybym się skasowała, to byś... Nie odrywając wzroku od przesuwającej się pod kołami jezdni, chwycił ją za rękę.

- Gdybyś się skasowała, Killa, w ogóle nie wiedziałabyś, co się wokół ciebie dzieje.

- Chodzi mi o to, czy mnie też pozwoliłbyś... - Umilkła przerażona myślą o tym, że ktoś, drastycznie naruszając jej prywatność, mógłby gmerać bez zezwolenia w jej wspomnieniach.

Palce Larsa boleśnie zacisnęły się na jej ramieniu, ucinając tego typu rozważania.

- Mówiłem ci, że nie starałem się o stanowisko Cechmistrza. Lanzecki zostawił mi niezły bałagan, o czym nie wiedziałem, zgadzając się objąć tę funkcję. Nikt od niego nie wymagał całkowitego rozliczania się z czegokolwiek - Uśmiechnął się szyderczo. - Ja jednak posiadam własne koncepcje postawienia Cechu na nogi, reorganizacji, która podniosłaby skuteczność i umożliwiła planowanie. Nie mogę być zdany na łaskę kaprysów śpiewaków i pogody.

- Kaprysów? - powtórzyła z oburzeniem. - Kaprysów? - Rozwścieczyło ją to określenie.

- Zgadza się. Śpiewakom za bardzo daje się we wszystkim wolną rękę...

- Za bardzo? Nam, którzy przy każdej wyprawie w Pasma ryzykujemy utratą rozumu?

- Rzeczywiście, to jest najbardziej ryzykowny element całej operacji - przyznał niechętnie. - Większość śpiewaków... ty nie należysz do nich, Słonko, więc możesz się rozluźnić i posłuchać... większość śpiewaków tnie tyle, żeby wyjechać z Ballybranu. Zostawiają złoza, zanim zmusi ich do tego pogoda. W tym czasie zapominają, gdzie udało im się wyśpiewać kolejne kredyty i tracą mnóstwo czasu usiłując zlokalizować stare złoza czy znaleźć nowe. Paranoja, która powstrzymuje śpiewaków przed notowaniem współrzędnych, jest czymś absurdalnym. Wystarczyłoby po prostu zakodować informację.

- O ile później będzie się pamiętało kody - wtrąciła Killashandra.

- Numery nie są trudne do zapamiętania - oświadczył. - A niewątpliwie coś trzeba zrobić, żeby każdy mógł mieć dostęp do równie cennych informacji. Położyłoby to kres nie kończącym się spekulacjom, a wyprawy w Pasma stałyby się jeszcze bardziej opłacalne. Nasz przyjaciel Terasolli jest kolejnym przykładem marnowania czasu. Dostał najwyższe wynagrodzenie za instalację oktawy, w związku z czym nie wróci zapewne na Ballybran, dopóki nie przygna go z powrotem świerzb krystaliczny. Stanie się to za jakiś rok; rok, podczas którego będzie nieproduktywny. Trzeba to w końcu ukrócić.

- Ukrócić? - wykrztusiła, zdumiona jego bezkompromisową postawą.

- Dwa, trzy miesiące powinny śpiewakom w zupełności wystarczać.

- Skąd ty u diabła, możesz to wiedzieć? - spytała. - Nie instalowałeś czarnego kryształu. - Nie mogła dalej mówić, bo trzęsła się z wściekłości

- Zatrzymaj się.

- Nie idę z tobą. Wolę wracać na piechotę do bazy niż z tobą.

- Nie.

Opuścił poduszki na ziemię, ale włączył blokadę drzwi o które oparł się plecami tak, by nie mogła dosięgnąć. Jego oczy miały błyskawice gniewu. Z zaciętą miną chwycił ją za ramiona.

- Zostaniesz tutaj i wysłuchasz mnie! Jeżeli uda mi się przemówić do rozumu komuś, kto jak ty jest przeciwny ukróceniu marnotrawstwa i głupich, archaicznych fanaberii. To może w końcu wyciągnę Cech z dołka, w jaki się wpakował - Potrząsnął Killashandrą, wpijając palce w jej ramiona - Robię, co mogę, żeby ratować Cech - oświadczył nie dając jej się wyrwać. - Nasza pozycja w komunikacji podupadła ponieważ światu obrzydło już ciągle czekanie na Ballybrańskie kryształy i wypracował technologie alternatywne. Technologie, które nie dorównują kryształowi, ale urządzenia spełniają te same funkcje, co więcej, ich podzespoły są wymieniaalne - wycedził, dla podkreślenia wagi słów. - Jest dziewięć zamówień na czarny których nie mogę zrealizować, bo śpiewacy nie są w stanie trafić do miejsc, w których znajdowali czerń. Szwendają się więc po Paśmie, rozglądają na wszystkie strony i usiłują sobie cokolwiek przypomnieć. Ale teraz część musi sobie przypomnieć. Dostyś długo zachowywałem cierpliwość, Lanzecki też ją zachowywał, ale wszystko ma swoje granice i jak o mnie chodzi, doszliśmy właśnie do tych granic. Stanę na głowie, żeby zdobyć czarny kryształ, pogadania stałej rezerwy tego materiału i przywrócić Cech do jego dawnej świetności. Nawet jeśli w tym musiał przeryć się przez umysły rozmóždzonych śpiewaków. Byłoby mi jednak o wiele łatwiej, gdyby dobrowolnie współpracował ze mną żywy śpiewak.

Wpatrzył się w nią rozgoryczonym spojrzeniem. W jego pociemniałych od udręki oczach mogła wyczytać głęboki niepokój, frustrację, niezliczone obawy. Z przejęcia ochrypl.

- W jaki sposób mogłabym z tobą współpracować jeszcze ściślej niż dotąd? - spytała cicho, drżąc w duchu na myśl o tym, na co, być może, się decyduje.

- Och, Słoneczko... - Przycisnął ją mocno, jedną dłonią przygarniając jej głowę pod swój podbródek, a drugą gładząc po plecach, jakby dotykiem chciał wyrazić całą wdzięczność i ulgę. Odsunął ją leciutko, ujął jej twarz w dłonie, gładził łagodnie kciukiem po policzku i zaglądał głęboko w oczy. - Wiesz dobrze, gdzie śpiewałaś czarny. Masz to wszystko nadal w pamięci. - Czule ujął jedną dłonią tył jej głowy. - Musimy po prostu dobrać się do tych wspomnień... przypomnisz sobie wszystko. Donalla twierdzi, że gdyby odpowiednio tobą pokierować, odzyskałabyś całą pamięć...

Zesztywniała, żałując poprzedniego impulsu. Uwolniła się z jego objęć.

- Wcale nie potrzebuję wszystkiego pamiętać. Więcej: nie chcę pamiętać wszystkiego. Bądź łaskaw przyjąć to do wiadomości.

- Kochanie, proszę tylko o charakterystykę topograficzną terenu wokół złóż czarnego kryształu, które śpiewałaś. Zapamiętałem tylko dwa, a wiem, że było ich więcej. Muszę mieć czarny kryształ! - Walnęła pięścią, wgniatając blachę w obudowę tablicy kontrolnej.

Złapała go za rękę, żeby nie dopuścić do ponownego ciosu. Natychmiast przykrył jej dłoń drugą dłonią.  
- Gdyby tylko - zaczął ciszej — udało nam się namówić śpiewaków do notowania szczegółów topografii terenu, tak żeby byli w stanie wracać do najlepszych złóż...

Parsknęła, hamując jednak ironię, żeby nie pogrążyć Larsa do końca.

- Wydaje mi się, kochanie, że żądasz niemało - podsumowała cierpko. - Wiesz, jak łatwo śpiewacy ulegają rozmaitym paranojom. Robić zapiski, które ktoś inny mógłby odnaleźć i wykorzystać? - Potrząsnęła głową. - Nie mówiąc już o ściąganiu śpiewaków na Ballybran, zanim stanie się to absolutnie niezbędne.

Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Dlatego właśnie tak bardzo zależy mi na twojej współpracy, Słonko. Należysz do najstarszych spośród czynnych zawodowo śpiewaków. Jeżeli ty zastosujesz się do odgórnych zarządzeń - wyjaśnił z rozgoryczeniem - inni pójdą za twoim przykładem. Zwłaszcza jeżeli zaczniesz przywozić więcej kryształu i to kryształu w lepszym gatunku, ponieważ będziesz wiedziała dokładnie, jak dotrzeć do złóż, które warte są eksploatacji.

- Już i tak nacięłam więcej kryształu niż inni...

- Fakt, że jesteś w tym względzie obiektem powszechnej zazdrości - stwierdził, z przebiegłym humorem.

- Dobrze. Wobec tego, jak się ta cała regresja odbywa?

Wyprostował się, a jego oczy straciły ponury wyraz.

- W stanie hipnozy. Donalla znakomicie to robi. Potrafiła wydobyć ze mnie współrzędne, których potrzebowałam, żeby dotrzeć podczas naszego ostatniego wypadu do jednej z naszych dawnych działek.

- Sam... sam tego próbowałeś? - Zatkło ją z przerażenia na myśl, że osobiście mógł się aż tak narażać.

- Jako Cechmistrz zmuszony byłem, nie oglądając się na chorobę partnerki, osobiście dać przykład. Sama rozumiesz, że nie mogę żądać od śpiewaków robienia czegoś, czego bym sam nie zrobił.

- I ty mi będziesz narzekał na kaprysy śpiewaków!

- Przestań na mnie krzyczeć. Wyśpiewałem, ile mogłem, wróciłem cały i zdrowy, a w dodatku udało mi się zrealizować kolejne zamówienie.

- Zamówienie? Jakie znów zamówienie? - pytała oburzona.

- Zamówienie, które leżało nie tknięte od dwudziestu lat. Nic dziwnego, że reputacja Cechu mocno podupadła! Nareszcie uzyskałem zezwolenie na rozpoczęcie energiczniejszej kampanii rekrutacyjnej, ale w tej chwili potrzebuję wszystkich doświadczonych śpiewaków, balujących aktualnie na Maximie, Baliolu i w najdalszych zakątkach galaktyki, przy pracy w Paśmie.

Posępna twarz człowieka, który usiłował się nie dać rozpaczy, głuchy ton głosu, który zawsze tryskał optymizmem i humorem, poruszyły ją bardziej niż cokolwiek w jej dotychczasowym życiu, płynącym zwykle pod znakiem egocentryzmu i samolubstwa. Była dłużniczką Larsa Dahla, a teraz nadszedł czas, kiedy mogła spłacić dług w monecie, na której mu akurat zależało.

- No cóż, wracajmy do bazy i niech Donalla próbuje na mnie tych swoich kuglarskich sztuczek czy czegoś tam.

- Poddać twoją pamięć regresji.

- Nic z tego nie będzie - oznajmiła Donalla, okręcając się na stołku. Zerwała się z miejsca i gniewnym krokiem zaczęła przemierzać pokój. - Nie ufasz mi, Killashandro, i tyle. Wszystko się do tego sprowadza. Dopóki mi nie zawierysz, hipnoza nie zadziała.

- Kiedy ja ci ufam, Donallo - zapewniała ją Killashandra, jak robiła to wielokrotnie w ciągu ostatnich paru dni coraz bardziej frustrujących sesji z tą lekarką.

- Moje drogie - wtrącił Presnol, wychynawszy z kąta pokoju, w którym siedział wstrzymując oddech - są ludzie niezdolni do powierzenia kontroli nad swoim umysłem nawet najbardziej zaufanym osobom. Killashandra jest śpiewaczką od wielu lat...

- Nie musisz mi tego ciągle przypominać, - Killashandra skonstratowała, że mówi podniesionym głosem, jednak była zbyt rozdrażniona kolejnym niepowodzeniem, żeby panować nad sobą.

- Pewne nawyki zakorzeniają się zbyt głęboko...

- Nigdy nie byłam niewolnicą żadnych nawyków — zaprotestowała, starając się odrobiną humoru osłabić choć trochę panujące napięcie.

- Ale przecież - oświadczył, zwracając się do niej - ukrywanie lokalizacji działek było zawsze bardzo mocno zakorzenione w twojej podświadomości. Obserwowałem parę sesji, jakie Donalla prowadziła ze śpiewakami wyłączonymi z aktywności zawodowej - Killashandra doceniła jego eufemizm - i często odnosiłem wrażenie, że pewne informacje usiłują ukryć nawet przed sobą. Ich podświadomość odmawia dostępu do wiedzy posiadanej w świadomości.

- Ha! - Killashandra skrzyżowała ręce na piersi. - Wobec tego, kładąc się do łóżka, rozkażę sobie przypomnienie wszystkiego we śnie. Dogrzebię się do znaków szczególnych. Będę śnić o wyniosłych szczytach, grzbietach górskich, wąwozach i dolinach. Będę śnić o śpiewaniu, będę śnić kryształ, dopóki nie obudzę się, przekonana, że rzeczywistość jest snem, który śnił na łożu z kryształów.

- Jak mistycy? - upewniała się Donalla, nie panując nad chichotem.  
Presnol omiótł je zaskoczonym spojrzeniem, ale Killashandra zareagowała uśmiechem,  
- Wiem, co mi chcesz zasugerować: skrajna pogarda dla wszystkiego, co fizyczne. Duch nad materią.  
Mój Boże, gdybym tylko była do tego zdolna... - jęknęła, chowając twarz w dłoniach.  
- Czekaj, czekaj! - Donalla wyprostowała się pod wpływem nagłej inspiracji. - Zdarza ci się, że kryształ cię zniewala, prawda?  
- To powszechna przypadłość śpiewaków - odparła ostrożnie Killashandra.  
- Wiem, ale zgodzisz się chyba, że to zniewolenie jest pewną formą hipnozy? O ile wiem, wywołuje pewne stany mesmeryczne.  
- Owszem.  
Do Presnola dotarł wreszcie sens ich rozmowy.  
- To by znaczyło jednak, że musicie wybrać się w Pasma.  
- No to co? - Killashandra klepnęła rękami po kolanach. - Przynajmniej będę w tym czasie robić coś pożytecznego, zamiast siedzieć beczynnym na tyłku. Wybacz, Donallo. Wiem, że robiłaś, co mogłaś. Po prostu nie umiem się podporządkować. Może w Paśmie dobiedziesz się jakoś do mnie, gdy dam się zniewolić.  
- Ale, ale... - płatał się Presnol.  
- Przecież nigdy tam dotąd nie byłeś, o to ci chodzi?  
- Tylko z ekspedycjami ratowniczymi. - Ciałem lekarza wstrząsnął gwałtowny spazm.  
- Najwyższa pora, żebyś obejrzał Pasma w jego pełnej krasie - stwierdziła ubawiona Killashandra. Zachłysł się z przerażenia.  
- Ja polecę - wtrąciła Donalla, posyłając kochankowi uspokajający uśmiech, -To przecież ja tu jestem hipnotyzerem albo przynajmniej za niego uchodzę. Poza tym nie boję się Pasma.  
- Ja też nie - zaprotestował Presnol, a kobiety wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia. - Naprawdę się nie boję.  
- Moim zdaniem obcość Donalli wystarczy - oświadczyła Killashandra.  
- Jedno z nas powinno zostać tutaj, Pres - dodała Donalla. - Przez ten czas mógłbyś kontynuować hipnozę z... - zawahała się, spoglądając na Killashandrę - ...z innym pacjentem.  
- To prawda - przyznał Presnol, wyraźnie się rozluźniając. Nie był tak świetnym hipnotyzerem jak Donalla, ale pracował skutecznie z dwójką śpiewaków, którzy już nie śpiewali. -To o wiele lepszy sposób wykorzystania mojego czasu. A, właśnie, kiedy odlatujecie? - spytał jeszcze od drzwi.  
Obie kobiety popatrzyły na siebie. Killashandra wzruszyła ramionami.  
- Musimy porozumieć się z Larsem.  
Wykładając swój plan Larsowi, Killashandra zorientowała się natychmiast, że ich projekt dwuosobowej wyprawy nie wzbudza entuzjazmu w Cechmistrzu. Sama też musiała pokonać własne opory przed wyjazdem w towarzystwie nieśpiewaka, nawet tak pasjonującego się śpiewaniem kryształu jak Donalla.  
- Nie mieliśmy dotąd takiej tradycji, żeby nieśpiewacy... - zaczął Lars.  
- Postanowiłeś się przecież rozprawić z tradycją na każdym możliwym polu, czemu miałbyś akurat oszczędzać taki drobiazg? Ta metoda może się okazać absolutnie skuteczna. Przynajmniej w moim przypadku - oświadczyła Killashandra. - Jak sam powiedziałeś, jestem jedną z najstarszych zawodowo czynnych śpiewaczek w Cechu...  
- Killa! - krzyknął ostrzegawczo, bo tracił cierpliwość.  
- Możemy wziąć sporo sprzętu ratunkowego. Pogoda jest przyzwoita, tym samym jeden problem mamy z głowy. Donalla może mieć przy sobie mikrokom, podłączony bezpośrednio do twojej konsoli, więc gdyby trzeba było lecieć nam na pomoc, dowiesz się o tym pierwszy - ciągnęła Killashandra, czując jakąś niezdrową przyjemność w obalaniu każdego argumentu, który mógłby wytoczyć. -Donalla jest silniejsza, niż na to wygląda, a już na pewno będzie potrafiła przerwać zniewolenie. - Mrugnęła porozumiewawczo. -Znasz jakieś dobre chwyt? - spytała Donallę, ale lekarka milczała. - Musisz ją wobec tego nauczyć twoich technik specjalnych, nie wyłączając rozstrajania mojej piły. Ewentualna nagroda i tak będzie więcej warta.  
- Nie mów tego na głos przy Clarendzie - ostrzegł ją Lars, siląc się na dobry humor.  
- Słuszna uwaga - odparła równie wesoło. Oboje przez dziesięciolecia nasłuchali się dość przykrych uwag od wytwórcy piły. - To co, pożyczysz nam podwójne sanie? -upewniła się Killashandra. Przez wielkie okno spoglądała nad dach hangaru. - A niech to, jest dopiero południe. Za parę godzin możemy już śpiewać gdzieś głęboko w Paśmie. -Wyzywająco przechyliła się nad biurkiem w stronę Larsa, usiłując wymusić na nim wyrażenie zgody. - Naturalnie, jeżeli masz gotowe zamiary na czarny kryształ, mogłabym być pożyteczna na parę różnych sposobów.  
- Czy jesteś pewna, że wiesz, co robisz?  
- Nie, ale Donalla sądzi, że zniewolenie pomoże przełamać bariery, które z jakichś powodów nie chcą zniknąć. Z westchnieniem uniósł ręce na znak kapitulacji.  
- Gdybyś mogła przywieźć trochę czarnego... -Zacisnął wargi, słysząc we własnym głosie nutę rozpacz.

Zerwał się z fotela i w czasie, kiedy Killashandra kontaktowała się z hangarem, prosząc o przygotowanie i podstawienie sań, demonstrował Donalli najróżniejsze sposoby wyprowadzania ze stanu zniewolenia.

- Nigdy nie przypuszczałam, że zniewolenie jest aż tak niebezpieczne - oświadczyła Donalla, z szeroko otwartymi oczami chłonąc nowe informacje. - Dopuszcilesz do tego, by Killashandra popadła w stan uzależnienia od zielonego kryształu?

- To była bardzo wyjątkowa sytuacja. Killashandra musiała przedawkować kryształ, żeby usunąć skutki głodu. W żadnym przypadku nie oddałbym jej w niewolę czarnego, bo o wiele trudniej uwolnić się spod władzy tego koloru. Właśnie dlatego nie bardzo mi się podoba to, że wybieracie się tylko we dwie.

- Koniecznie chcesz, żeby jakiś śpiewak pojechał z. nami zobaczyć, gdzie tniemy czerń - zadrwiła Killashandra.

- Możecie być pewne, że bym z wami kogoś posłał, ale nie ma ani jednego śpiewaka w bazie.

- Co w takim razie robi ta cizia przy biurku Traga?

- Daleko jej do śpiewaczki - odparł Lars sarkastycznie - niemniej posiada pewne doświadczenia w zarządzaniu, potrafi również prowadzić dokumentację i księgowość.

Killashandra z uśmiechem ulgi przyjęła sposób, w jaki umniejszał zalety niezwykle pięknej dziewczyny.

- Wracając do sprawy, gdyby nie udało ci się wyrwać jej spod władzy kryształu w żaden z zademonstrowanych przeze mnie sposobów, hukniesz ją pałką za uchem i wywieziesz z Pasma. Przeszłaś szkolenie w pilotażu sań?

- Wiesz dobrze, że wszyscy przechodzimy takie szkolenie - oświadczyła Donalla z wyrozumiałym uśmiechem. - Prowadziłam nawet sanie brygady remontowej podczas burzy - Lars skinieniem głowy zatwierdził jej kompetencję. - Nie zachwyca mnie jednak myśl, że miałabym ogłuszać pałką Killashandrę Ree po to, żeby ją sobie podporządkować. Wezmę ze sobą jakiś środek uśmierzający.

- Musisz być bardzo ostrożna. - Lars uniósł ostrzegawczo dłoń. - Śpiewak w tym stanie potrafi być bardzo gwałtowny. Gdyby do tego doszło, zwiąż ją w saniach pasami.

- A teraz, kiedy przedstawiłeś jej już najbardziej pesymistyczny scenariusz, co masz zamiar wymyślić, żeby ją zniechęcić do końca? - spytała Killashandra z niesmakiem. - Można by pomyśleć, że nie zależy mu na powodzeniu tej misji. Jeszcze nigdy mu nie przyłożyłam, ale kto wie, czy nie przyszła właśnie pora... - Uniosła pięść w żartobliwym gniewie.

Zasłonił się rękami, uchylając przed domniemanym ciosem.

- A tak już między nami mówiąc - dorzucił spokojnie z błyskiem w niebieskich oczach - wiesz, dokąd polecicie?

- Potrzebujesz czarnego kryształu - odparła z uśmiechem. - Skoro Donalli ujawniłeś lokalizację najnowszego złoża, nie ma powodu, dla którego nie miałbyś zaufać swojej partnerce.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Bierz! - Cisnął w nią skrawkiem papieru. - Nie zapomnij połknąć, jak tylko ustalicie kurs.

- Twoja hojność mnie wzrusza, Larsie Dahl - oświadczyła, wychodząc z Donalla z gabinetu. Ruszyły w stronę windy.

Jadąc w dół, Killashandra z rozbawieniem obserwowała spojrzenie, jakim mierzyła ją Donalla.

- Żałujesz swojej decyzji?

- Ani trochę - oświadczyła lekarka z pewnym wysiłkiem, a po chwili na jej twarzy pojawił się niepokój.

- Po prostu nie uświadamiałam sobie możliwych komplikacji.

- Jakim cudem mogłabyś to przewidzieć? - roześmiała się Killashandra. - Lars nie powinien być cię tak straszyć.

- Nie chce cię znowu stracić, Killashandro - oświadczyła Donalla, a jej piękne oczy zagrały od emocji. - Traktuje cię jak bóstwo.

- Czasami okazuje to w dość dziwny sposób - odparła śpiewaczka, bagatelizując słowa Donalli, żeby ukryć swoje zaskoczenie.

- Może dlatego, że jest mu trudno przyznać się do tego nawet przed samym sobą.

Żarliwość, z jaką wypowiedziała te słowa, długo nie dała Killashandrze spokoju. Lars wielokrotnie mówił, że ją kocha, zwykle jednak robił to pod wpływem impulsu, jakby wbrew sobie, zaskoczony własną, nieoczekiwaną deklaracją.. Jego dłonie i oczy zawsze przekazywały więcej, niż skłonny był powiedzieć na głos. Nawet kiedy buntowała się przeciwko niemu, kochała go nadal, buntując się jedynie przeciwko własnej zależności od uczuć innej ludzkiej istoty. Otworzyły się drzwi windy i, zaczerpnąwszy głębiej powietrza, Killashandra wprowadziła Donallę do hangaru, gdzie czekały już podwójne sanie.

Ponieważ w zasięgu wzroku nie było innych sań, Killashandra ustawiła kurs prosto na współrzędne podane przez Larsa, po czym zgodnie z umową demonstracyjnie przeżuła i połknęła karteczkę. Donalla spojrzała na nią z nerwowym uśmieszkiem. I Killashandra zorientowała się, że bawi ją wytrącanie z równowagi opanowanej zazwyczaj lekarki. I że w zasadzie opanowanie obowiązywało Donallę tylko terenie szpitala. Teraz

jednak znajdowała się w królestwie śpiewaków, a szczyty Pasma napawały grozą. Ogarnął ją nabożny lęk. Kiedy Donalla rozluźniła się wreszcie na tyle, żeby serwować przepływającą za oknem efektowną scenę, Killashandra podała ciepłe picie i małą przekąskę. Nie jadły w południe, więc ponieważ miała poddać się zniewoleniu kryształu, wolała mieć pełny żołądek.

Zaczawszy rozmyślać nad samą procedurą stwierdziła, że jest tylko jeden problem. Z okresów zniewolenia nigdy nie przypominała sobie absolutnie niczego. Od momentu, kiedy brała kryształ do ręki, do chwili, gdy jego władza zniknęła, zawsze miała lukę w pamięci. Naturalnie, Donalla delikatnie wyjaśniała jej, że z sesji hipnotycznej pacjent również nic nie pamięta. Cóż - pomyślała Killashandra wzruszając ramionami i przegryzając ostatni kęs tej racji żywnościowej - z pewnością warto spróbować! Powodzenie akcji poprawi nastrój Larsowi, który bardzo tego potrzebuje.

Pomiędzy kolejnymi sesjami z Donalla potajemnie poszperała w ogólnych, dostępnych do powszechnego wglądu plikach, od rekrutacji po dostawę kryształu. Nie da się ukryć, że liczba starających się o przyjęcie do Cechu spadła. Ostatnio przyjęto tylko sześć osób, a w ostatnim dziesięcioleciu zaledwie dziewięćdziesięciu członków zasililo szeregi Cechu. W poprzednich czterdziestu latach ten sam wskaźnik sięgał dwustu. Na liście figurowało więcej śpiewaków nie pracujących niż zawodowo czynnych. W ciągu ostatnich dwudziestu lat nie zarejestrowano żadnych zgonów. Opadły ją ponure myśli. Koszty opieki nad emerytowanymi śpiewakami przewyższały wydatki na cele badawczo-wdrożeniowe, tymczasem dochody Cechu spadały. Lars miał niestety rację twierdząc, że Cech znalazł się w poważnych opałach. Rzeczywiście, powinna była przywieźć z sobą.. - zmarszczyła się z wysiłkiem, usiłując przypomnieć sobie nazwisko. Miała kogoś takiego na oku, była prawie pewna. Z wymaganym słuchem absolutnym. Czyżby ta zdolność ginęła we współczesnym świecie? Zdolność polegająca wyłącznie na sprawnym połączeniu ucha z umysłem?

W miarę jak zaczęło docierać do niej położenie Cechu, jej początkowy sprzeciw wobec wdzierania się w uszkodzone obszary umysłów śpiewaków zaczął ustępować. Za namową Donalli towarzyszyła jej podczas sesji hipnotycznej z mężczyzną, którego symbiont zaczął wyraźnie słabnąć. Skurczony, pomarszczony ze starości śpiewak stawy miał zgrubiałe od artretyzmu, ręce i nogi przeraźliwie chude, a żyły nabrzmiały. Mimo to, owinięty w ciepły, miękki koc i pachnący świeżością po kąpieli, wyglądał na zadowolonego. Głęboko zapadnięte, tępe oczy nie zdradzały zbyt wiele inteligencji, jednak z pewną uwagą śledziły nieustanne migotanie fraktali na wielkim ekranie w narożniku pokoju. W porównaniu z żywymi trupami, które oglądała w drodze do jego jedyńki, prezentował się wcale nie najgorzej.

„Wybrałam Rimbola, ponieważ on przynajmniej śledzi, co się dzieje na ekranie” - wyjaśniła Donalla. - „Udało mi się szczęśliwie restymulować dwójkę czy trójkę najmniej wyniszczonych śpiewaków. Akurat przed chwilą wyłączyłam muzykę, mam jednak wrażenie, że Rimbol reaguje zarówno na bodźce wizualne, jak i akustyczne. Myślę, że każdy sposób dotarcia do ich mózgów jest lepszy niż zostawianie tych nieszczęśników bez czegośkolwiek, co nadawałoby się do słuchania i oglądania. Rimbol jest bardziej od innych podatny na hipnozę”.

Uniosła pryzmat i przekręciła głowę Rimbola tak, by kryształ znalazł się na wysokości jego oczu. Poruszyła pryzmatem, aż złapał światło, Rimbol wpatrywał się w bryłę jak oczarowany.

„Patrz na ten pryzmat, Rimbolu, obserwuj zmienność jego cudownych barw. Twoje oczy robią się ciężkie, nie możesz ich otworzyć, bo powieki masz ciężkie jak ołów, zasypiasz, powoli zasypiasz.” - Miły kontralt Donalli rytmicznie recytował słowa sugestii. Powieki Rimbola zadrgały, po czym zamknęły się; z jego ust wydobyło się westchnienie. „Teraz zaśniesz, nie stawiając mi żadnego oporu. Najlepiej, jak umiesz, odpowiesz na moje pytania. Przypomnisz sobie pejzaż wokół złoza i wszystkie znaki szczególne w okolicy. Podasz mi również współrzędne, ponieważ masz je nadal w pamięci. Pamiętasz to miejsce, bo cięles w nim kryształ, cztery piękne pryzmaty w E-dur. Zarobiłeś tyle kredytów, że mogłeś opuścić Ballybran na ponad rok. Archiwa podają, że odwiedziłeś w tym czasie swoją rodzinną planetę. Pamiętasz tamte chwile, Rimbol? Pamiętasz znaki szczególne wokół tamtego złoza?”

„E-dur, powiadasz? Najlepsze, jakie kiedykolwiek udało mi się wyśpiewać. Pamiętam”. - Mówił niewyraźnie, ale lekarka ze śpiewaczką słuchały z uwagą. - „Pamiętam. Dwa stożkowate szczyty, potem płaskowyż...” - Słowa stały się wyraźniejsze; głos odmłodził, nabrał dźwięczności. - „Wąski wąwóz w kształcie litery S, musiałem lądować na stoku. O mało nie straciłem sań, ale wiedziałem, że gdzieś w pobliżu jest czerń. Cholernie stromy stok, od dołu do samej góry, ciężka wspinaczka, co chwila lecę w dół, ale wiem, że kryształ gdzieś tam jest... czuję to w dłoniach i w kolanach...”

„Współrzędne, Rimbol. Podaj współrzędne. Widziałeś je w chwili lądowania. Wiesz dobrze, że je widziałeś. Cofnij się do chwili, kiedy patrzyłeś na pulpit sterowniczy. Widzisz liczby na radarach, tak czy nie?”

„Widzę...”

„Co widzisz, Rimbol? Przyjrzyj się uważnie. Liczby są bardzo wyraźne, prawda?”

„Prawda...”

„Jakie liczby widzisz?”

„Nno...- westchnął kolejny raz starzec - ...długość; sto pięćdziesiąt dwa stopnie, dwadzieścia dwie minuty, szerokość: szesnaście stopni, piętnaście minut. Kto by pomyślał!” - Uśmiechnął się z zadowoleniem, a

jego przymknięte powieki zadrżały. - „Jednak zapamiętałem!”

Killashandra pospieszenie zanotowała współrzędne, po czym uważnie przyjrzała się liczbom; otrzymywanie informacji tą drogą nadal wprawiało ją w zakłopotanie.

„On taraz już nigdy nie poleci” - uspokoiła ją Donalla. - „Nic potrzebuje tych wiadomości, w przeciwieństwie do Cechu, który teraz się o niego troszczy”.

„Wydaje mi się, że ktoś mógłby odszukać działkę bez tego całego gmerania w jego pamięci” - zaoponowała Killashandra, którą raziło podobne naruszenie prywatności Rimbola.

Jego imię wydawało jej się skądś znajome, ale zestarzał się tak bardzo, że nie umiała sobie przypomnieć, jak wyglądał, kiedy był młody i pełen życia.

„Nie ma czasu, żeby szukać na chybił trafił” - odparła Donalla. - „Dziękuję ci, Rimbolu” - zwróciła się do pacjenta. - „Twoja pomoc jest naprawdę nieoceniona”.

„Naprawdę?”

Killashandra ze zdumieniem zobaczyła wtedy, że na drżące, zwiedle usta śpiewaka wypełza uśmiech, który nie znika nawet po zakończeniu sesji hipnotycznej. Bez zbędnych komentarzy Donalla włączyła skoczną, śpiewną melodyjkę. Wyszły. Killashandra odwróciła się w progu. Śpiewak dyrygował rytmicznie pokręconym przez artretyzm palcem.

Kiedy skończyły jeść, Killashandra sprawdziła aktualne współrzędne i stwierdziła, że są prawie na miejscu. Po chwili nadleciały nad czarno-żółtą jodelkę. Zaczęła krążyć, w myślach recytując wylizankę Larsa - „ene due” - i rozglądała się za charakterystycznymi elementami krajobrazu, które miały ją precyzyjnie naprowadzić na złoża czarnego kryształu.

Zmieniła kierunek o sto sześćdziesiąt stopni i dopiero wtedy udało jej się rozpoznać konfigurację wąwozów: trzy równoległe linie przedzielone sfalowanymi skalnymi graniami. Na dnie trzeciego powinna trafić na ślady robót. Tak też się stało. Ślady musiały być świeże, gdyż wzrok jej przyciągnęło migotanie słonecznych odbłasków,

- Jesteśmy na miejscu! - wykrzyknęła radośnie. - Patrz! - Zamaszyście wskazała ręką przed siebie. - Widać złoża!

Wargi Donalli rozchyliły się, a na jej wysokim czole pojawiła się nieznaczna zmarszczka.

- Cóż, miejsce, jak miejsce - zażartowała Killashandra. - Choć z rzadka uczęszczane, niemniej wyeksponowane przez wielu.

Wyłączyła silnik i jak to miała w zwyczaju, w ostatniej chwili zarejestrowała współrzędne wyświetlone na ekranie. Niewątpliwie zerkniecie na ekran należało do repertuaru rutynowych zachowań - takich jak wygaszenie silnika - tak automatycznych, że zapominało się o nich w trzy sekundy później. Donalla będzie musiała przetrząsnąć setki tego typu migawek...

Sięgnęła po piłę i podała Donalli wyścielany pojemnik na kryształ. Otworzyła drzwi sań. Przez podeszwy ciężkich kombibotów czuła wibrację złoża czarnego kryształu. Z trudem przełknęła ślinę. Czerń wabiła ją z nieodpartą siłą. Możliwe, że Lars miał rację: nie była jeszcze w dostatecznie dobrej formie, żeby obcować z czernią. Czy miały jednak jakiś inny wybór?

Ruszyła pierwsza w stronę wyrobiska widocznego dzięki regularnym schodkom w miejscu, gdzie ostatnio śpiewano kryształ. Otoczenie wydało jej się całkowicie obce. W archiwach dogrzebała się informacji, że Lars śpiewał solo niemal przez dziesięć lat - nie zdawała sobie nawet sprawy, że ich rozłąka trwała tak długo. Mimo to - skonstatowała kręcąc głową ze zdumieniem - działka nosiła ich wspólny znak. Tak, niewątpliwie Lars to jedna wielka gmatwanina sprzeczności. Pomyślała, że jest zbyt sentymentalny na stanowisko Cechmistrza jednak musiała zrewidować swoją diagnozę, wspomniawszy bezwzględność jego ostatnich pociągnięć.

Po drodze na miejsce jeszcze raz wyjaśniła Donalli procedurę śpiewania kryształu: po znalezieniu odkrywki śpiewak ustalał tonację złoża, stroił piłę i przystępował do cięcia.

- Niebezpieczeństwo zaczyna się w chwili, gdy biorę do rąk wycięty pryzmat. Jeżeli w tym momencie padnie na niego słońce, zapadam w trans. - Krzywiąc się niechętnie, spojrzała w górę, żeby sprawdzić pozycję słońca. Starła się nie zwracać uwagi na to, że jej żołądek wiąże się w lodowaty supeł. - Chodź - zakomenderowała z głębokim westchnieniem - trzeba się brać do roboty! - Machnęła na Donallę, żeby odsunęła się nieco od ostrza piły.

Spojrzała na krystaliczną ścianę. Tak, to był styl cięcia Larsa. Poznałaby je na końcu świata. Ostatnie burze nie uszkodziły jego charakterystycznych nacięć. Zgarnęła na bok luźne odłamki. Sprawdziła dłonią powierzchnię kryształu i, obniżwszy przeponę, podała czyste, niezbyt wysokie C. Kryształ zarezonował natychmiast. Nastroiła piłę. Przyłożyła ostrze pod kątem prostym do ściany i pchnęła energicznie, wyciągnęła je, pociągnęła z góry w stronę pierwszego nacięcia, błyskawicznie zmieniła ustawienie i kolejnym ruchem z góry na dół uwolniła kryształ. Wyłączyła piłę i wypuściła z rak. Narzędzie zawisło na uprząży oplatającej ramiona Killashandry.

- Teraz - zapowiedziała.

Uniosła czarny kryształ wysoko pod słońce. Poczuła, że dostaje się we władzę kryształu. Nie była w stanie się temu oprzeć, tak jak Rimbol nie potrafił się oprzeć Donalli.

Ostry żwir wciskał się jej w twarz, bezkształtne, twarde przedmioty wgniatały się w ciało, głowa pękała od brzęczącego w uszach, przykrego rezonansu. Nagle nieznosny hałas ucichł.

- Killa? Killa? Nic ci nie jest?

Czyjaś dłoń zaczęła potrząsać jej ramię, zrazu łagodnie, potem bardziej gwałtownie. Głos należał do kobiety. Nigdy nie śpiewała w duecie z kobietą! Uniosła się z pozycji leżącej, ręką odruchowo usiłując wymacać piłę. Jej piłę! Gdzie jest jej piłą? To niemożliwe, żeby ją upuściła! Oszolomiona, po omacku przeszukiwała grunt wokół siebie. Czy piekły i sprawiały jej ból.

- Killa?

Na skalnych odłamkach zaskrzypiały buty. Czyjaś twarz patrzyła na nią z niepokojem. Ten ktoś w jednej ręce trzymał jej drogocenną piłę, w drugiej - podłużny kawał czarnego kryształu.

- Nie upuściłam jej... -jęknęła z ulgą Killashandra.

- Miałam zamiar ją strzaskać, gdyby nie podzielał na ciebie ten jazgot - oświadczyła kobieta.

Killashandra przyjrzała się uważnie pełnej niepokoju twarzy. Twarz była skądś znajoma. Zmusiła wyczerpany umysł, żeby dobrać do niej odpowiednie imię. No tak, jasne.

- Donalla!

- A niby kto? - odparła lekarka szorstko, lecz z ulgą.

Killashandra usiadła. Nadal jeszcze nie miała zaufania do własnych nóg. Bolało ją prawe ramię, w ręce mrowiła ustępująca drętwota. Pomasażowała bark. Stopniowo zaczęło do niej docierać, że nad wąskim wąwozem gwałtownie zapada noc.

- I co? - spytała bez ogródek, skoro tylko wróciła jej pamięć.

Cięła czarny, żeby dać mu się zniewolić, co niewątpliwie jej się udało, jednak stan ten trwał o wiele dłużej, niż się spodziewała.

Jedno spojrzenie na twarz lekarki wyjaśniło jej wszystko.

- Byłaś jeszcze bardziej oporna niż w szpitalu - oświadczyła z pełnym znużenia westchnieniem. - Stałaś po prostu jak wryta, trzymając w ręku ten nieszczęsny kawałek.

Lekceważąco machnęła kryształem. Killashandra próbowała ocalić pryzmat. Donalla natychmiast przycisnęła go z powrotem do piersi.

- Nic mi nie jest, Donallo. Już się nie dam zniewolić. Błagani, nie uszkodź go!

- Po tym, co z tobą zrobił? Myślałam, że ci go nigdy nie wydrę z ręki. - Donalla nieufnym spojrzeniem obrzuciła trzymaną w ręku pryzmat.

- Odłóż go wobec tego do skrzynki. - Killashandra zaczęła się rozglądać, wreszcie trafiła na pojemnik. Szturchnęła go palcem. - Tylko nie upuść - strofowała łamiącym się z niepokoju głosem posłuszną Donallę. Odchrząknęła. -Nie wiem dlaczego, ale świeży kryształ pęka najłatwiej -ciągnęła, panując już nad głosem.

Kiedy lekarka złożyła kryształ w pojemniku i zamknęła wieko, śpiewaczka westchnęła z ulgą.

Wstała, otrzepała się z kurzu i okruszków kryształu. Była zmęczona, jednak spojrzawszy na słońce, zorientowała się, że powinno wystarczyć światła, żeby dośpiewać kilka pryzmatów do zestawu.

- Co robisz? - spytała ostro zaniepokojona Donalla.

- Będę ciąć. - Dopiero siłą udało jej się wydrzeć piłę z rąk lekarki.

- Nie umiem cię wyprowadzić z transu!

- To nie powód, żeby nie ciąć. Zwłaszcza czarnego kryształu.

Zeszła o kwintę w dół, podała dźwięk głośno i czysto, wysłuchiwała odpowiedzi kryształu, po czym nastroiła piłę. Donalla zastąpiła jej drogę.

- Odsuń się - zażądała, przestraszona Killashandra, bo... właśnie zamierzała zagłębić ostrze w ścianę, dokładnie na wysokości ud Donalli.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- Daj mi święty spokój! - Spróbowała odepchnąć koleżankę. - Nie ma słońca. Zniewala się pod wpływem promieni. Daj mi spokojnie skorzystać z reszty światła.

- Jesteś pewna? Nie wiesz, ile godzin zajęło mi...

- Dobrze, ale o tej porze dnia nic takiego się nie zdarzy - wybuchnęła, rozjątrzona.

Donalla była gorsza od wszystkich nowicjuszy, jakich zdarzyło jej się kiedykolwiek inicjować.

- Słońce już prawie zaszło. No już, zejdziesz mi z drogi.

Donalla cofnęła się z wahaniem, obserwowała ją nieufnie. Killashandra jeszcze raz podała dźwięk, nastroiła piłę i zagłębiła precyzyjnie powyżej poprzedniego cięcia. Na tej samej wysokości wydobyła kryształ i jeszcze dwa mniejsze, zwarte i niewielkie, niemniej czarne! Przymierzała się do wycięcia trzeciego, tymczasem ściana zarezonowała fałszywie. Intruzja lub wewnętrzna rysa! Śpiewaczka zaklęła pod nosem i odstąpiła od złoza. Skinięciem ręki przywołała Donallę z pojemnikiem. Uporała się z pakowaniem kryształu dokładnie w chwili, gdy ostatnie promienie słońca skryły się za grzbietami górskimi.

Ciężkim krokiem ruszyły w stronę sań, niosąc pojemnik między sobą. Dopiero kiedy został dobrze zabezpieczony pasami, a piłą odwieszona na miejsce, Killashandra pozwoliła sobie, by dopadło ją zmęczenie.

- Jak długo według twoich obliczeń byłam zniewolona? - spytała, osuwając się na fotel.

- Zapomniałam sprawdzić od razu godzinę - usprawiedliwiła się Donalla - ale od chwili, kiedy zaczęłam rejestrować czas, do uwolnienia minęły trzy i pół godziny!

Killashandra zaśmiała się słabo.

- To się czuje. - Rozmasowała mięśnie barków, zdrętwiałe od długiej bezczynności. - I mówisz, że nie reagowałam na nic?

- Wpatrywałaś się w kryształ. Próbowалам każdej ze sztuczek Larsa, ale z takim skutkiem, jakbyś sama była z kryształu.

Musiała się nieźle przerazić - stwierdziła Killashandra -dlatego teraz jest taka zła.

- Nie masz sobie nic do zarzucenia, Donallo. W końcu się uwolniłam, a kryształ jest całkiem niezły gatunkowo. Tak czy owak, uwolniłabym się o zachodzie słońca. Lars zapomniał ci o tym powiedzieć? - Sądząc z wyrazu twarzy Donalli, zapomniał. - Zrób mi coś do picia, dobrze? Nie mam siły się ruszyć, a w gardle mi całkiem zaschło...

Donalla z łoskotem wystawiła kubek na blat kuchenny. Krok, jakim szła, gdy niosła wodę z zamrażarki, lepiej niż jakiegokolwiek słowa zdradzał stan jej uczuć.

Napełniwszy żołądek, Killashandra wzięła podręczny reflektor i ruszyła obejrzeć skalną ścianę. Liczyła na to, że uda jej się przebić przez uszkodzoną warstwę do czystego kryształu. To cholerne szczęście, że trafiłam na czarny -pomyślała, zaraz jednak wyśmiała się w duchu. Szczęście z tym odkryciem nie miało nic wspólnego. Pewność, że złożo okaże się czarnym złożem, podcinała jej nieco skrzydła w robocie. Cały urok i cała emocja opierały się na tym, że ten niezwykle rzadki minerał należało najpierw znaleźć. Niemniej praca okazała się owocna, a Donalla miała okazję nabyć doświadczeń, wzbogacających jej kliniczną praktykę ze śpiewakami kryształu.

Killashandra zanuciła cicho, jednak nie doczekała się w odpowiedzi najsłabszego rezonansu. Klnąc, zawróciła w stronę sań. Musi doczekać rana, żeby sprawdzić, jak poważna jest rysa. Nie móc trafić na czarny kryształ - to było przykre, ale nie tak przykre, jak trafić na czerń, która nie nadawała się do cięcia.

Obudziła się w środku nocy. Obok niej spoczywało ciepłe ciało. W jednej chwili uprzytomniła sobie, że ciało należy do Donalli, a nie do Larsa. Jeszcze jednej rzeczy zapomnieli wyjaśnić lekarze. Dziewczyna była zdecydowanie heteroseksualna, wobec czego Killashandra uznała, że będzie musiała radzić sobie w samotności — poranna pieśń mogła okazać się wstrząsem ponad jej siły.

Wstała cichutko, wyjęła z szafki zapasowy koc termiczny i wysiadła z sań. Nie pierwszy raz w życiu miała spać na ziemi. Wczołgała się pod dziób sań, gdzie nie docierała poranna rosa. Przez chwilę przewracała się z boku na bok, aż wreszcie, ułożywszy się wygodnie, z powrotem zapadła w sen.

O świcie obudził ją śpiew kryształu. Oddychała głęboko, starając się osłabić efekt pieśni, zaraz jednak dobiegły ją rozpaczliwe nawoływania. Znosiła je z bohaterskim uśmiechem, choć jej katusze zapewne nie ustępowały cierpieniom Donalli. Przed powrotem do kabiny odczekała, aż objawy pieśni ustąpią.

- Co to było? Gdzie się podziewałaś? - dopytywała się Donalla z nutą pretensji.

- Tak właśnie kryształ wita poranne słońce. Niezapomniane przeżycie, nie uważasz?- Killashandra uśmiechnęła się wyzywająco, składając koc przed włożeniem do szafki. - Wolałam nie narażać naszej świeżej przyjaźni.

- Rozumiem. - Donalla zaczerwieniła się jak burak, unikając wzroku Killashandry. - Nikt mi o tym nie wspomniał.

- Domyślam się - przytaknęła ze współczuciem Killa-shandra. - Kolejny przykład czegoś, co jest dla nas tak oczywiste, że zapominamy uprzedzić nie wtajemniczonych.

Zanim Donalla odezwała się, wzięła głęboki oddech.

- Rozumiem teraz... to znaczy... chodzi mi o to, że niektóre układy partnerskie cechuje u was niezwykła trwałość. -Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Właściwie nie bardzo wiem, co chciałam powiedzieć.

Killashandra roześmiała się. Włączyła termę i przystąpiła do przygotowywania śniadania.

- Niewątpliwie rano jest mniej drobnych nieporozumień.

Zanim dobrnęły do końca śniadania, Donalla okiem klinicysty analizowała dodatni wpływ ogrzanego słońcem kryształu na wzrost poziomu libido u istot ludzkich. Rozbawiona zawodowym wścibstwem lekarki Killashandra udzieliła obszernych i szczerych odpowiedzi.

- W tym wszystkim najdziwniejszy jest fakt, że większość śpiewaków śpiewa solo - zauważyła lekarka, patrząc pytająco na Killashandrę, ale ona wzruszyła tylko ramionami.

- Pewnie, jak z wszystkim po paru latach następuje przesyt - oświadczyła.

- Ty i Lars pracujecie w duecie od... - Donalla ugryzła się w język.

Killashandra obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem. Członków Cechu, którzy nie „tracili” czasu w Paśmie, pouczano, że należy unikać obliczeń, które mogłyby przynębiać śpiewaków.

- Od dawna - zakończyła za Donallę. - Od bardzo dawna. Przeleciało jak z bicia trzasnął. Ile ja mam lat, Donallo?

- Z pewnością nie wyglądasz na swój wiek, Killashand-ro - zapewniła Donalla, grając na zwłokę. - Konkretnie liczby to zawracanie głowy,

Killashandra odchrząknęła.

- Chyba masz rację. Tak naprawdę te liczby wcale mnie nie interesują.

- Wyglądasz na jakieś cztery dekady, najwyżej - pięć -dorzuciła na pocieszenie.

- Dzięki. - Killashandra wstała od śniadania. - Muszę pójść zobaczyć, czy coś się jeszcze da wykroić z tej żyły. Tylko dzisiaj - pogroziła palcem Donalli - musisz być cholernie czujna, żeby wyjąć mi kryształ z rąk w tej samej sekundzie, w której go wytnę. Jeżeli będzie trzeba, wyrwij mi go siłą i bardzo, bardzo ostrożnie odłóż do skrzyni.

Donalla przez cały dzień posłusznie była w pobliżu, jednak okazało się to zbędne. Rysa przecinała całe złoże. Killashandra klęła. Tak dobrze cięło jej się poprzedniego dnia. W ogóle nie usłyszała pęknięcia, kiedy wydobywała trzeci pryzmat. Zwykle ubytek tych rozmiarów nie tylko słyszała, ale również czuła pod stopami.

- Niech to wszyscy diabli - warknęła gdzieś w środku popołudnia, przyznając się do porażki.

Próbowała nawet odnaleźć inne miejsca, w których kryształ podchodził pod powierzchnię skały, jednak w odpowiedzi słyszała najwyżej cichy pomruk.

- I co? — spytała Donalla, otrząsnąwszy się z sennego otępienia. Z występu skalnego śledziła z góry poczynania Killashandry.

- Do niczego. Nie ma po co tu dalej sterczeć.

- Wracamy? - Donalla wyraźnie się rozpogodziła.

- Za wcześnie. Warto by się rozejrzeć za czymś jeszcze.

- Przecież Lars dał ci tylko te współrzędne.

- Tak, ale w okolicy powinno być więcej odsłoniętych żył.

- Ile czasu zamierzasz przeznaczyć na poszukiwania?

- Cóż... - Pokiwała palcem. - W tym właśnie sęk, że nie wiem, gdzie szukać.

- Wracajmy lepiej do bazy po kolejne współrzędne -oświadczyła Donalla, zsuwając się ze skalnej półki i otrzepując spodnie.

- Na sam powrót stracimy trzy godziny - wyrwało się Killashandrze. -Mogłabym...

- ...krążyć bezowocnie po okolicy godzinami, o ile nie całymi dniami - dokończyła Donalla. - Chodź, ułatwimy sobie zadanie i weźmiemy gotowe współrzędne, co ty na to?

Killashandra bez dalszych protestów poddała się zdrowemu rozsądkowi, który przemawiał ustami Donalli. Była Larsowi coś winna. Słuszność leżała po jego stronie. Musi dostarczyć mu czerni. Nie tracąc czasu, powinna ciąć w miejscach, gdzie surowiec był zapewniony.

- Racja. Święta racja. Wracamy. Zrobimy tak, jak sobie życzy Lars.

## Rozdział X

Lars ucieszył się czarnym kwartetem, a zmartwił niepowodzeniem Donalli. Z uczuciem ulgi, że wróciły całe i zdrowe, wręczył Killashandrze karteczkę z kolejnymi współrzędnymi.

- Dalej mi to pachnie naruszaniem cudzego terytorium -oświadczyła bez zachwyty.

- Inaczej będziesz śpiewać, kiedy dojdzie do podziału zysków - zakpił Lars.

- Właśnie. Kolejny problem - odpowiedziała, krzywiąc się.

Po godzinie odleciała samotnie, wysłuchawszy przedtem wykładu Lars a, który surowym tonem pouczył ją, żeby odkładała czarny kryształ natychmiast do pojemnika.

- O ile trafię na czarny.

- Trafisz, trafisz.

Rzeczywiście, trafiła. Niestety złożę w tym czasie zostało pogrzebane pod rumowiskiem odłamków skalnych i kamieni zbyt ciężkich, jak na siły Killashandry. Zaśpiewała co sił w swoich potężnych płucach; pogrzebany kryształ odpowiedział piskiem.

Zawróciła do Cechu. Doleciała tuż przed zmierzchem, ale Lars, który bez oporów wręczył jej nowe współrzędne, me chciał się zgodzić, żeby leciała w nocy.

- Weź porządną kąpiel, najedz się wyśpij przyzwoitym przyzwoitym łóżku - poradził, łypiąc dwuznacznie okiem. - Stęskniłem się za tobą, Słonko - dodał cicho. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w kark. Skrzywił się, oblizując wargi. -Pfuj! Idź się wykapać.

- Słuchaj Słońce -powiedział, nagle poważniejąc -bardzo potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś była przy mnie i potakiwała kiedy sytuacja będzie tego wymagać. Twoje poparcie powinno mi zaszkodzić przychylności innych śpiewaków.

- Przychylności w jakiej sprawie? - spytała nieufnie. Twarz Larsa przybrała urzędowy wyraz

- Oprócz ciebie troje śpiewaków ciągle jeszcze myśli, mam nadzieję, na tyle elastycznie, żeby mnie poprzeć.

- Poprzeć w jakiej sprawie?

- W niczym strasznym. - Uśmiechną się do mej, a w jego oczach z powrotem zamigotały isierki humoru. - Chodzi o wykorzystywanie współrzędnych ujawnionych przez śpiewaków w stanie spoczynku.

- Aha

Zrozumiała, na czym polegał jego problem, jak i sposób, w jaki zamierzał go rozwiązać.

- Chciałbym również sprawdzić, jak ustosunkują się do alternatywy sugerowanej przez Donallę.

- Czyli? - Delikatnie zaczęła się uwalniać z jego objęć Podrapał się po głowie zwiniętą w pięść dłonią – nieomylny znak niepewności i nerwów.

- Gdyby śpiewacy nie tracili tyle czasu na szukaniu działek, na których nie pracowali ostatnio gdyby mogli lecieć prosto na miejsce, oszczędzaliby mnóstwo czasu.

- Chciałbyś wobec tego, żeby pozwalali się zahipnotyzować Donalli, która wydobędzie z ich pamięci współrzędne? Potaknął.

- Chyba na to nie pójdą - zawyrokowała, kręcąc głową z powątpiewaniem.

- Poleciałaś z moimi współrzędnymi i trafiłaś na złożę. Wzięłaś współrzędne Rimbola i też doleciałaś, dokąd należało.

- Wiem, że to działa, i pewnie udałoby ci się namówić niektórych do posługiwania się współrzędnymi nie pracujących śpiewaków, ale nie sądzę, żeby się dali namówić na wydobycie własnych współrzędnych podczas hipnozy. Wiesz, jakiego bzika wszyscy mają na temat lokalizacji swoich działek.

- Nie powinniśmy dać się zwariować.

- Łatwo powiedzieć!

- Donalla nie jest śpiewaczką, a jako lekarka dowiodła, że reprezentuje wysoki poziom etyki zawodowej. Z pewnością nie nadużyje ich zaufania.

- Najpierw musi je zdobyć.

- Zgoda, ale nie przypuszczasz chyba, że nie będzie potrafiła utrzymać języka za zębami. Właściwie... Dlaczego nie miałyby sama sobie udzielić posthipnotycznej sugestii, żeby zapomnieć o tym, co podczas sesji słyszała?

- Coś takiego jest możliwe? - Killashandra była wyraźnie zdumiona.

- Więcej ci powiem, Donalla zamierza każdemu śpiewakowi, który się na to zgodzi, przydzielić hasło. Znając ulotną pamięć śpiewaków - uśmiechnął się wymownie do Killashandry - dopuszcza, że będzie musiała pilnować ich haseł, niemniej umożliwi to przypominanie sobie odzyskanych współrzędnych bez dalszej pomocy hipnotyzera. W każdym razie, jeśli wierzyć Donalli - ciągnął, krążąc energicznie po pokoju - tak by to mogło wyglądać. Otrzymują od niej sugestie posthipnotyczną, zgodnie z którą przypominają sobie współrzędne z chwilą, gdy sanie dotkną gruntu. Tyle dokładnie mają zakodowane w pamięci. Archiwa Cechu nie mają wprowadzić informacji, gdzie kto ciął, ale odnotowują, co kto ciął. Kiedy chcą wrócić do konkretnego złoża, wypowiadają hasło i współrzędne stają się dostępne, ale wyłącznie dla nich, w związku z czym nie dochodzi do

pogwałcenia prywatności.

- To rzeczywiście jest do przyjęcia... dla osób, na które hipnoza podziała.

- Jesteś jedną z nielicznych, na które nie działa -oświadczył z rezygnacją.

- Nigdy nie poddawałam się zbiorowym modom - wyznała beztrząsowo, aby zatuszować poczucie klęski.

Naprawdę chciała pomóc Larsowi. - W każdym razie możesz liczyć na moje poparcie... jeżeli na coś ci się to przyda.

- Twoje poparcie znaczy dla mnie więcej, niż sobie wyobrażasz, Sionko - odparł, kiwając głową z przejęciem. - Idź do siebie, weź kąpiel. Muszę jeszcze popracować - wskazał na biurko, zarzucone stertą dyskierek. -Spotkamy się za godzinę w jadalni, dobrze?

Wykąpała się i ubrała w miarę starannie, po czym zeszła do jadalni, której w ostatnich latach nie zaszczycała wcale swoją obecnością. W wielkiej sali nie było zbyt wielu stołowników, w większości boksów nie paliły się światła. Killashandrę przeszył lekki dreszcz. Czy to było w porządku, że wszyscy śpiewacy znajdowali się w Paśmie? Że wokół nie widać było ani jednego adepta, czekającego na zarażenie symbiontem? Że rzesza pracowników służb pomocniczych tego właśnie wieczoru zdecydowała się zjeść obiad w prywatnych kwaterach?

Rozglądała się w poszukiwaniu Larsa, kiedy usłyszała znajome gwizdnięcie. Zastawił tacę czymś, co wyglądało na kufle yarrańskiego piwa. Towarzyszyli mu Presnol z Donallą, a także trójka śpiewaków. Widziała ich poprzedniego dnia na zebraniu, na którym Lars oficjalnie dokonał przejścia przez Cech działek emerytów.

Ruchem głowy wskazał jej stół bankietowy na końcu niskiej sali, zawróciła więc w tamtym kierunku. Udało jej się przypomnieć imię jednego ze śpiewaków: Borton. Wyteżyła pamięć i przypomniała sobie, że pochodził z tego samego naboru co ona. Nie wyglądał o wiele starszy niż w czasach, kiedy wspólnie przechodzili szkolenie. Cóż, widać jego symbiont sprawował się bez zarzutu.

- Cieszę się, że cię widzę, Borton - powitała go, dumna, że udało jej się dopasować imię do twarzy.

Uśmiechnęła się do pozostałej dwójki, jakby ich też pamiętała. Nerwowo zerknęła na Larsa.

- Tiagana, Jaygrin - wtrącił czym prędzej - czy pamiętacie Killashandrę?

- Wydaje mi się, że albo spotkaliśmy się na promie z Shankill, albo w czasie wycieczek podczas oczekiwania na prom - zwróciła się Killashandra do Jaygrina. Przeniosła wzrok na Tiaganę. - Ach, yarrańskie piwo. Marnie byśmy bez niego skończyli.

Tym stwierdzeniem przełamała ostatnie lody. Każdy sięgnął po swój kufel z tacy Larsa; wcześniej przynieśli do okrągłego stołu talerze i półmiski. Lars okazał się gospodarzem wesołym i hojnym - kiedy śpiewacy opróżnili kufle, posłał Presnola po następne. Dostrzegła błysk rozbawienia w oczach biesiadników; zapewne doskonale orientowali się, że Cechmistrz usiłuje uspić ich czujność. Bardzo dawno temu ostatni raz siedziała w gronie towarzyszy czy była na proszonym obiedzie. Przyjęcie najprawdopodobniej byłoby całkowitym niewypałem, gdyby nie Presnol i Donalla, którzy zręcznie sterowali rozmową.

- W porządku, Lars, nakarmiłeś nas i napoiłeś, możesz teraz przystąpić do rzeczy -oświadczył Borton, rozpierając się na krześle i odsuwając pusty talerz.

- Cała wasza czwórka zarobiła, śpiewając na działkach emerytowanych śpiewaków. Miałem nadzieję, że tak będzie. Teraz chciałbym pójść o krok dalej - kontynuował, wyjaśniając swój zamiar podobnie, jak wyjaśnił go nieco wcześniej Killashandrze.

Czyżby trenował na niej argumentację? Zaniepokoiliła się. Wobec tego jednak, że słyszała już cały wywód, mogła uważniej obserwować, jak cała trójka reaguje na słowa Larsa.

Tiagana nie próbowała nawet ukrywać swojej niechęci. Odsunęła się od Larsa w stronę Bortona, który siedział po jej drugiej ręce. Borton z kolei wydawał się zainteresowany. W oczach Jaygrina natomiast widać było nieomal migotanie kredytów, a jego uśmiech tchnął nie skrywaną chciwością.

- Skąd mamy pewność, że Donalla nie odhipnotyzuje się i nie będzie znać lokalizacji naszych działek?

- Nie odhipnotyzuje się - odparł Presnol tonem wykluczającym wszelką dalszą polemikę.

- Przez myśl by mi to nie przeszło - dorzuciła Donalla. -Jaki miałabym z tego pożytek, skoro sama nie śpiewam, a przy waszej pamięci nie mam co liczyć na to, że zechcecie podzielić się ze mną Łupem po powrocie z Pasma.

Jaygrin roześmiał się, odsłaniając długie, drapieżne zęby.

- Rozumiem, Lars, że proponujesz nam wkroczenie na działki emerytów plus ten cały interes z odzyskiwaniem pamięci naszych własnych lokalizacji?

Lars skinął głową.

- Żadnych podatków?

- Za pierwsze wkroczenie na zwolnioną działkę dwadzieścia pięć procent, za każde następne śpiewanie - dziesięć dla Cechu.

Teraz nawet Tiagana się zainteresowała.

- To się opłaca. - Killashandra postanowiła wkroczyć do rozmowy. - Poleciałam i wyśpiewałam, ile się dało. Wróciłam, wzięłam kolejne współrzędne, znów trafiłam prosto na miejsce i przystąpiłam do ciecia. Owszem, zdarzyło mi się, że jedno złożę w tym czasie zostało pogrzebane, w każdym razie współrzędne się zgadzały. Można w ten sposób zaoszczędzić sporo czasu i sporo wysiłku.

- Próbowalaś już tego, o czym mówi Lars? - zaciekała się Tiagana.

- Owszem - potwierdziła z pełnym zadowolenia uśmiechem. - Pstryk! - na poparcie swoich słów strzeliła palcami - i jesteś na miejscu! W lepszej formie fizycznej -dodała, wygodniej rozsiadając się na krześle. - Nie chcę nawet myśleć o czasach, kiedy całymi dniami szukało się złoza, a potem sprawdzało, czy w ogóle się do czegoś nadaje. Tą metodą masz sporo kłopotów z głowy. - Zastanawiała się, czy nie napomknąć o lojalności wobec Cechu, wiedziała jednak, że tego rodzaju apele nie mogły liczyć na oddźwięk. Kredyt to było wszystko, co do nich przemawiało. Projekt Larsa niewątpliwie miał przyczynić się do zapewnienia sobie stałych dochodów i ograniczenia pustych przelotów w Pasma. - Koniec pustych przelotów -przypomniała trójce śpiewaków, trawiących w milczeniu jej słowa.

Presnol wymknął się od stołu; wrócił po chwili niosąc kolejne kufle yarrańskiego piwa. Lars dyplomatycznie sprowadził rozmowę na temat ich wspólnego obiadu. Skrytykował jedno czy dwa dania, dopytując, czy śpiewacy podzielają jego opinię.

Śpiewacy o jedzeniu mogli rozmawiać do wystygnięcia galaktyki, a Donalla szafowała piwem tak hojnie, że w końcu nikt, poza wstrzemięzliwszymi niż zwykle Larsem i Killashandrą, nie był w stanie chodzić prosto.

- Myślisz, że się nam udało? - spytała Larsa w drodze do kwater mieszkalnych.

- Jutro się przekonamy. Jaygrin na pewno da się namówić. - Zachichotał. - To chytry sukinsyn, nigdy jednak nie przywiózł nic w ciemniejszym odcieniu.

To w języku śpiewaków była najbardziej obraźliwa uwaga pod adresem kolegi po fachu.

## Rozdział XI

Killashandra przygotowywała się właśnie do eskapady w miejsce, którego współrzędne zdobyła dla niej Donalla. W hangarze zauważyła trójkę śpiewaków, również szykujących sanie. Po dwóch dniach wróciła ze skrzynią wyładowaną ciemnym ametystem, stojącym w kwintach i w tercjach. Nie był to wprawdzie czarny kryształ, cel jej poszukiwań, jednak, pomna słów Clodine, że mają deficyt ciemniejszych odcieni, została, żeby nie wracać z pustymi rękami.

Zanim wystartowała ze zbocza, nabazgrała współrzędne i wsunęła karteczkę pod przyklejoną do pulpitu listę wycofanych znaków. Teraz pozostawał problem, co zrobić, żeby sobie w porę o niej przypomnieć? Powinna wymyślić jakiś sygnał, na którego widok automatycznie pamięć podsunie jej co trzeba. Zaczynała żałować swojej oporności na działanie hipnozy. Ciekawe, jak radzą sobie Tiagana, Borton i Jaygrin. Z zadowoleniem odnotowała fakt, że bez trudu przypomina sobie ich imiona. Wszystko jest w stanie zapamiętać - o ile jej na tym zależy.

W wyśmienitym jak na siebie nastroju stawiała się ze skrzyniami u Clodine.

- Czy mnie wzrok nie myli, czy stałaś się u nas częstym gościem? - zagadnęła ją żartobliwie Clodine.

- Gościem? - potaknęła wesoło Killashandra. - Mam teraz wyjątkową passę. Zgodnie z zasadami prawdopodobieństwa należało się tego spodziewać. Co prawda, me przywiozłam czarnych...

Clodine uniosła najcięższy kryształ spośród pięciu L dostarczonych przez Killashandrę i zlustrowała dokładnie, przeogniskowawszy wzrok. Położyła na wadze, potem przyklękła nieznacznie, cały czas nie przestając kiwać głową

- Dobrze że zdecydowałaś się przywieźć ametyst. Ostatnio ma na rynku wielkie wzięcie. W budowie są dwie stacje kosmiczne, a Altairianie rozwijają swoją stację przekaźnikową w związku z czym interesują się ciemnymi odcieniami do urządzeń umożliwiających przebywanie w kosmosie. Lars będzie bardzo zadowolony, kiedy się dowie, co przywiozłaś.

- Sama mu powiem! - Mrugnęła porozumiewawczo do sortowaczki.

- Miło cię widzieć w takim dobrym humorze. - Clodine nieśmiało poklepała Killashandrę po rękę. - Ciekawe, że nawet nie bżyczysz.

- To prawda. Mam teraz taki okres, że mogłabym chyba latać.

- Mówi się że właśnie to robisz - zdobyła się Clodine na uwagę.

Killashandra wybuchnęła wesołym śmiechem a jej wesołość wzrosła jeszcze, kiedy zobaczyła sumę, jaką zarobiła w ciągu ostatnich dwóch dni. W przeszłości żeby zdobyć tyle kredytów, nie cofnęłaby się przed zbrodnią. Tak pomyśl Larsa, by odzyskać współrzędne od emerytowanych śpiewaków, był genialny.

W drodze do kwater przystanąła w hangarze i poprosiła o przygotowanie sań na rano.

- Dlaczego nie siedzisz po parę dni w Paśmie, jak dawniej? - zaciekawiał się Murr. - Jak klientka noclegowni, wieczorem wlatujesz, rano wylatujesz.

- Znajduję to, czego Cech potrzebuje, tnę i wracam do bazy. O wiele bardziej ekonomiczne, nie uważasz?

- Zużywasz bardzo dużo paliwa - ostrzegł.

- Nie bój się, starczy mi kredytu. Wybacz.

Odeszła, ale jego zatroskanie zepsuło jej nieco nastrój. Ledwie weszła do mieszkania, zabrzączał komunikator.

- Do diabła, nie dadzą się wykąpać!

- Killa? - Na ekranie pojawiła się postać Larsa. - Cieszę się, że wróciłaś, Ś. K. Ree. Czy mogłabyś jak najprędzej przyjść do mnie do biura?

Już miała złośliwie skomentować jego formalizm, zanim jednak zdążyła otworzyć usta, odsunął się na bok i zobaczyła, że w gabinecie Cechmistrza znajdują się goście. Goście w przezroczystych kombinezonach i maskach tlenowych, które wskazywały, że przybywają w sprawie tak dalece nie cierpiącej zwłoki, że gotowi są zaryzykować zarażenie symbiontem ballybrańskim.

- Pozwól, że doprowadzę się do ładu, Cechmistrzu Larsie Dahl - oświadczyła równie sztywno jak on, po czym wyłączyła komunikator.

Ciekawość kazała Killashandrze szybko wziąć prysznic i się przebrać. Niewiele osób gotowych było odwiedzić Ballybran. Za takim pośpiechem musiało się kryć coś interesującego. Kiedy weszła do biura, osóbką urzędującą za biurkiem Traga podniosła głowę, przez chwilę mierzyła śpiewaczkę spojrzeniem, zawahała się, wreszcie skwapliwie z powrotem wbiła wzrok w ekran. Killashandra przytknęła dłoń do płytki w drzwiach i wkroczyła do gabinetu Larsa.

- Pochwalam twoją gotowość, śpiewaczko Ree. Poznaj Kler i Rudneya Saplinsonów-Trillów. Klero, Rudneyu, macie przed sobą członka ścisłej ekipy eksploracyjnej Cechu. - Wskazał Killashandrze krzesło.

Na stole, przy jej miejscu, znajdował się talerz z przekąskami. W duchu błogosławiła Larsa za to, że pamiętał o czymś do jedzenia. Pamiętał też o specjalnych pojemnikach dla hermetycznie odzianych Saplinsonów-Trillów. Nie udało mu się jednak dyskretnie wyjaśnić Killashandrze dlaczego para gości ryzykowała osobistą podróż na Ballybran.

- Pamiętasz może planetę, którą odwiedziliśmy parę lat temu... - zaczął Lars.  
- Ściśle rzecz biorąc, dwadzieścia cztery lata, pięć miesięcy i dwa tygodnie temu - przerwał mu Rudney Saplinson-Trill z krzywym uśmieszkiem.

Widać było, że ściśłość ma dla niego większe znaczenie niż uprzejmość. Nosowy, metaliczny dźwięk wbudowanego w hełm głośniczka pogłębiał impertynencki ton tej zbędnej uwagi.

- Właśnie. Tę, na której badaliśmy opalizujący twór na zlecenie zmarłego Cechmistrza - podjął Lars. - Uznano wówczas, że członkowie Cechu Heptyckiego, chronieni przez symbionta, powinni oprzeć się infekcji, która zabiła pierwszą ekipę badawczą po zetknięciu z opalem...

- Trafniejszą nazwą będzie płynny metal, Cechmistrzu - wtrącił się Rudney. - W skrócie: PM.

- Nazywaliśmy go Skalnym Klejnotem - odparła Killashandra, naśladowując jego ton głosu, co nie uszło uwagi Klery.

- No właśnie - potwierdził Lars, chrząknawszy. - Z braku ściślejszego określenia - dodał, skłoniwszy się w stronę Rudneya. - Jak zapewne pamiętasz, odbyliśmy dwie wyprawy na Opal, drugą po pobycie na Nihalu Trzy. Podczas drugiej ekspedycji nakarmiliśmy SK, alias PM, pełną ilością odpadów.

Killashandra z trudem opanowała chichot.

- Ściśle rzecz biorąc, nakarmiliście dziewięć z obecnie znanych okazów PM - uzupełnił Rudney.

- Tak jak już mówiłem... - Nozdrza Larsa rozdęły się, co świadczyło o wyjątkowym zniecierpliwieniu. Posłał Rudneyowi mordercze spojrzenie. - Próbowaliśmy również nawiązać kontakt z, hmm... opalescentnym PM. A może opalescencja zanikła? - spytał, podnosząc głos, żeby Rudney znów mu nie przerwał.

Przeszył naukowca lodowatym wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na Killashandrę. Zabębnił rytmicznie palcami po blacie biurka.

Bezmyślny odruch Larsa w połączeniu ze słowami: „opalizacja”, „Nihal Trzy” i „infekcja”, sprawił, że w pamięci Killashandry coś drgnęło.

- Udało się nam nawiązać z nim kontakt - przypomniawszy. - Czy poszliście dalej naszym tropem?

Po co w przeciwnym wypadku ryzykowaliby życiem przylatując na Ballybran?

- Jesteśmy przedstawicielami nauki - oświadczył sztywno Rudney. - Usiłujemy rozpoznać parametry tej niezwykle skomplikowanej formy życia.

- Zgodzicie się wobec tego, że Skalny Klejnot żyje? Rudney zbył Killashandrę machnięciem ręki.

- Jesteśmy dopiero w początkowym etapie badań nad jego istotą.

- Przecież on się nie poddawał żadnym instrumentom badawczym - zwróciła się Killashandra do Larsa.

- Dysponujemy o wiele czulszymi narzędziami - ciągnął Rudney, nie tracąc pewności siebie - dlatego odnosimy sukcesy tam, gdzie zawiodła zwykła aparatura.

- Dobrze - podsumowała Killashandra, krzyżując ręce na piersi i, dla zmylenia przeciwnika, wpatrując się w niego z najwyższym skupieniem. - Co to jest, wobec tego?

- Nie zakończyliśmy jeszcze wstępnego etapu badań - wycofał się Saplinson-Trill.

- Po dwudziestu czterech latach, pięciu miesiącach i dwu tygodniach?

- Mając do czynienia z tak unikalną substancją, należy się wystrzegać zbyt pochopnych wniosków - pouczył ją Rudney.

- Czy strawił w końcu ballybrański kryształ, którym go poczęstowaliśmy? - zaciekawiła się, mile zdziwiona, że pamięta o tym fakcie.

- Nie. - Rudney odchrząknął, co głośnik w hełmie przekazał jako upiorny zgrzyt. - Wydawał się zaniepokojony faktem, że kryształ nie zniknął.

- Ściśle mówiąc - wtrąciła się Kiera - każdy z dziewięciu PM-ów nadal ma swój odłamek kryształu w centralnym zbiorniku, który nazywamy węzłem, chociaż to również nie jest zbyt precyzyjne określenie.

- Może: wypukłością? - podzuciła Killashandra, którą akademickie rozważania rozpaczliwie nudziły.

- Płynny metal to najwłaściwsze określenie jego składu czy wręcz funkcji - wyjaśniła Kiera. Na jej okrągłej twarzy malowała się śmiertelna powaga.

- No dobrze, czy udało się wam nawiązać jakąkolwiek komunikację z moim Klejnotem?

- I tak i nie - odparła zbita z tropu Kiera. - Nasz ksenolingwista zgromadził setki godzin nagrań, niestety... - Zapadła się w sobie ze znużonym westchnieniem.

- Brak wspólnego języka - zasugerowała Killashandra, wzdychając w podobny sposób.

- Wygląda jednak na to - podjęła Kiera pogodniejąc - że poszczególne PM-y mają jakiś rodzaj komunikacji. Nie udało się nam, niestety, ustalić, czy odłamki kryształu pełnią w tym jakąkolwiek rolę. - Rzuciła niespokojne spojrzenie na Rudneya.

- Czy dotyczy to naszej dziewiątki, czy również stalaktytów, które odkryliście później?

- Nie możemy wykluczyć istnienia między nimi jakiegś formy komunikacji. Z całkowitą pewnością możemy mówić wyłącznie o sporadycznych wyładowaniach piezoelektrycznych - wyjaśniła Kiera.

- Nie udało nam się wprawdzie ustalić dokładnych przyczyn tego zjawiska - gładko podjął temat Rudney - niemniej istnieją niezbita dowody, że w całej dwudziestce PM-ów zachodzi efekt termoelektryczny, wzbudzający przepływ woltów. Prąd ten, jak się udało nam ustalić, jest wynikiem ekstremalnych temperatur,

jakie zdarzają się na planecie. Efekt termoelektryczny wykazuje wyraźne fluktuacje nasilenia, zsynchronizowane w czasie z odchyleniami w obiegu planety wokół słońca układu.

Naturalnie, wyznaczaliśmy grupę kontrolną złożoną z trzech jaskiń - ciągnął, sadowiąc się wygodniej, jakby przystępował do dłuższego wykładu. - Jaskinię Trzecią, Dziewiątą i Piętnastą pozostawiliśmy w takim stanie, w jakim zastaliśmy je po przylocie, z odłamkami kryształu w centralnym węźle. Pozostałe podzieliliśmy według rozmiarów na trzy kategorie, przydzielając każdej z nich odrębną dietę: odpady organiczne, które wydają się nie wpływać specjalnie na wzrost PM-ów; odpady nieorganiczne, od których PM-y rozrastają się w postępie geometrycznym, wreszcie dietę mieszaną trzeciej grupy. I ta grupa prosperuje najlepiej.

- Mamy całe godziny nagrań - udało się wtrącić Klerze, kiedy Rudney musiał wreszcie zaczerpnąć ddechu - które, moim zdaniem, zawierają nie tylko odgłosy wyładowań termoelektrycznych. Nasz językoznawca, Fizal, nie ma wątpliwości co do tego, że są pewną formą konwersacji.

- Nie jest to ani w połowie tak istotne i interesujące jak postulowana przez nas wersja ze słońcem 478-S-2937 i jego związkami z planetą - doszedł z powrotem do głosu Rudney. - Gwiazda 478-S przeszła wiele przeobrażeń, a nasze badania zdają się potwierdzać hipotezę, że interesująca nas planeta, Opal, powstała z materii wybuchów poszczególnych etapów formowania się słońca.

- Wybacz, Rudney - przerwała stanowczo Kiera - zdajesz sobie chyba sprawę, że teoria Sarianusa ma równie zasadne podstawy. - Zwróciła się do Larsa. - Nasi astrofizycy są zdania, że słońce układu było gigantyczną novą, uformowaną ze szczątków wygasłych gwiazd.

- Brak jeszcze dowodów na to, Klero. Teoria ta nie wyjaśnia zresztą...

- A wybuchy, Rudney? - zaperzyła się Kiera. Małżeństwo, zapominając o obecnych, rzuciło się w wir dyskusji, którą najwyraźniej toczyło nie od dzisiaj. - Odnotowujemy przecież poważne nasilenie komunikatów „statycznych” tuż przed i tuż po wybuchach.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, Klero, że PM steruje wybuchami?

- Chcę, Rudneyu, i mam wiele dowodów na poparcie mojego stanowiska. - Kiera spojrzała w stronę Killashandry, jakby liczyła, że tamta przyjdzie jej w sukurs. - Jestem głęboko przekonana, że PM rozwinął inteligencję... jakkolwiek w bardzo niecodziennej formie. - Ostentacyjnie zignorowała Rudneya, który parsknął z irytacją, co głośnik przekazał jako serię trzasków. - Jego zmysły i orientacja mają charakter pól elektrycznych i magnetycznych, jonów i elektronów. W tej sytuacji ból manifestowałby się jako zmiana natężenia pola, a szczególnie gwałtowne wybuchy słoneczne stanowiłyby zagrożenie dla samego ich istnienia. Do niedawna... oczywiście w kategoriach długości życia słońca... słońce manipulowało środowiskiem planety, dlatego planeta usiłuje teraz kontrolować wpływy słoneczne, emitując własne pole termoelektryczne, dzięki któremu plamy na słońcu pojawiają się i znikają zgodnie z zapotrzebowaniem. Nasi geologowie zauważyli, że planeta charakteryzuje się niezwykle silnym polem wokół biegunów, częstymi trzęsieniami ziemi i innymi osobliwościami, będącymi konsekwencją bardzo silnej polaryzacji. Można by powiedzieć, że stara się uniknąć „ból”. Fakt, że PM usiłuje przystosować się do środowiska, wskazuje na pewną inteligencję, gdyż tylko istoty inteligentne są do tego zdolne. Sądzę też - dodała, gromiąc wzrokiem Rudneya, który już otwierał usta, żeby jej przerwać - że PM jest zdolny do rozmnażania się poprzez bezpłciowy podział komórek. Obserwuje się stały przyrost wszystkich okazów PM, z którym w parze idzie wzrost oddziaływania na słońce...

- Na ile poziomów w głąb zdążyły już zejść? - spytała Killashandra, przypominając sobie nagle o tym elemencie badań.

- PM-y z kryształem w węźle, na diecie mieszanej zeszły o dziewiętnaście poziomów - wyznała Kiera z macierzyńską dumą. - PM-y bez kryształu nie robią aż takich postępów, jednym słowem... - Zawahała się, rzucając Rudneyowi niespokojne spojrzenie.

- Pokarm plus kryształ równa się wzrost? - zaryzykowała Killashandra.

- Oraz inteligencja - dorzuciła Kiera z przejęciem. - PM-y z kryształem w węźle wykazują wyższą aktywność termoelektryczną. Kto wie, jak daleko zaszliśmy w badaniach inteligencji PM-u, gdyby wszystkie nacieki miały równą szansę? Albo gdyby dostały nie uszkodzony kryształ? - wyrzuciła z siebie bez zastanowienia.

Killashandra nie miała już wątpliwości, co było powodem wizyty naukowców.

- Ubiegaliśmy się - wtrącił niemal przepaszając Rudney - o skromne dofinansowanie ze strony Galaktycznego Towarzystwa Naukowego, żeby pokryć koszty niewielkich kawałków nie uszkodzonego ballybrańskiego kryształu, jednak... - Urwał, wznosząc ręce błagalnym gestem.

Killashandra rzuciła okiem na Larsa, nie całkiem pewna, czy obojętny wyraz jego twarzy bardziej ją śmieszy czy denerwuje. Teraz, kiedy próbował zreorganizować Cech na bardziej solidnych, z handlowego punktu widzenia, podstawach, prośba dwojga śmiesznych naukowców o podarowanie kryształu na projekt badawczy, który nie miał żadnego znaczenia dla Cechu, nie mogła w nim wzbudzać zachwyty. Mimo to miała wrażenie, że bardzo poważnie rozważa przedstawioną mu sprawę. W przeciwnym przypadku po cóż by ją zapraszał na tę konferencję?

Cisza przedłużała się. Twarz Rudneya pod osłoną kombinezonu stawała się coraz czerwieńsza; Klera w tę i wó w tę gładziła palcem szew rękawa.

- Rozumiem, że nie było już więcej zgonów wskutek kontaktów z Opalem? - przerwała milczenie Killashandra. - Naturalnie, że nie. - Saplinson-Trill niecierpliwie pstryknął palcami. - Z całą surowością przestrzegamy rygorów detoksykacji i cotygodniowych badań kontrolnych. Nigdy nie dotykamy PM-u niczym poza instrumentami pozostawionymi na tę okoliczność w jaskiniach. Instrumenty wykonane są ze specjalnego stopu, którego PM nie jest w stanie rozpuścić.

- Żadna z zapaści nie zakończyła się zejściem – dodała Klera jakby nigdy nic.

Rudney z trudem stłumił przekleństwo. Przeszył żonę nienawistnym spojrzeniem.

- Jakie zapaści? - spytała Killashandra, obojętną ciekawością maskując rozbawienie.

- Całkiem niegroźne dla zdrowia. Nie towarzyszyły im nawet poważniejsze dolegliwości fizyczne.

- Jaki typ zapaści? Utrata pamięci?

Przypomniała sobie, że oboje z Larsem spędzili długie chwile, patrząc jak zahipnotyzowani w piękne, migotliwe nacieki na ścianach jaskiń, dorównujące deseniem najbardziej wyszukany fraktalom.

- Klera ma na myśli - zazgrzytał Rudney, ewidentnie rozeźlony wypowiedzią towarzyszek - że w pewnych okresach PM wykazuje podwyższoną aktywność termoelektryczną. Paru członków naszego zespołu doznało czegoś, co można by określić jako przejściowe wejście w odmienny stan świadomości.

- Rzeczywiście było coś hipnotycznego w rytmicznym migotaniu Klejnotu podczas naszych odwiedzin, pamiętasz chyba, Cechmistrzu?

- Zerknęła czujnie na Larsa; zaczynała domyślać się, dlaczego domagał się jej obecności podczas spotkania.

- To prawda - zgodził się bez oporów. - Wprawdzie Cech nie ma zwyczaju sponsorowania pozaplanetarnych badań nad zastosowaniem kryształu, tak się jednak składa, że mamy parę niewielkich egzemplarzy o interesujących kształtach i barwach. Są to fragmenty wycięte przez początkujących śpiewaków. Moglibyśmy je wam przekazać. Pryzmaty nie mają żadnych skaz, lecz ich rozmiar, barwa i gwarancja zachowania stabilności tonu nie kwalifikują ich do wymiany handlowej.

Na twarzy Rudneya wykwitł wyraz najwyższej ulgi. Kiera pisnęła z zaskoczenia i z zachwytu, zaraz jednak zakryła usta dłonią, jakby bała się, by niezręcznym słowem nie sprowokować Larsa do cofnięcia zgody.

- Zgodnie jednak z regulaminem Cechu tylko śpiewacy uprawnieni są do instalacji kryształów - podjął Lars - tymczasem Cech aktualnie potrzebuje wszystkich doświadczonych śpiewaków w Paśmie. Nie możemy sobie pozwolić, żeby ktokolwiek tracił czas na tego typu wyprawę.

- Nie wie pan chyba, Cechmistrzu, że korzystamy z usług statku B&B - zaskoczył ich Rudney. - Tylko dzięki temu, kierując zespołem badawczym, mogliśmy sobie pozwolić na nieobecność.

- Prawdziwy statek B&B z napędem podprzestrzennym? - spytał Lars, spodziewając się zaprzeczenia.

- Jak najbardziej, panie Cechmistrzu-odparł Rudney. -Departament Archeologii i Badań bardzo zainteresował się naszą propozycją i przekazał nam statek do dyspozycji. BB-1066.

- Cóż za miły zbieg okoliczności. Chętnie podjęłabym się tego zadania, choćby po to, żeby znów zobaczyć Brendana. - Killashandra spojrzała pytająco na Larsa.

- Ś. K. Ree, należysz do moich najbardziej doświadczonych śpiewaków - zaczął Lars, obrzucając ją surowym spojrzeniem.

Dostrzegła podejrzany błysk w jego oku. Niewątpliwie próbował, jak mógł, wyśrubować cenę za jej usługi. Miał do tego całkowite prawo. Cech musi dbać o swoją reputację. Zwłaszcza teraz.

- Należy mi się urlop z Ballybranu - zwróciła uwagę. Ku jej zaskoczeniu Lars z niechęcią ściągnął brwi.

- To nie jest odpowiedni moment na urlop z Pasma, Ś. K. Ree.

Jego głos brzmiał tak stanowczo, że całkiem straciła orientację. W sumie była na niego zła - naprawdę należał jej się urlop.

Poza tym kto miał jechać jak nie ona, która miała ju; doświadczenia ze Skalnym Klejnotem? Jako Cechmistrz nie mógł opuszczać planety, w jej przypadku jednak nic, na Mullaha, nie stało na przeszkodzie!

- Rozumiem, że mam jutro podjąć obowiązki służbowe - oświadczyła sztywno i, skłoniwszy się nisko parze naukowców, wymaszerowała z gabinetu.

- I co? - spytała Larsa wieczorem, kiedy, w wiele godzin po niej, wszedł do ich apartamentu.

- Jak to co? - odpowiedział rozdrażniony, ze znużeniem drapiąc się po głowie,

- Dałeś im kryształ?

- Przecież sama słyszałaś. PM, też znaleźli nazwę... -mruknął. Podała mu kufel yarrańskiego i talerz jedzenia. -Dzięki! - westchnął z wdzięcznością, odchylając do tyłu oparcie leżanki.

- Ile wytargowałeś?

- Hę? - mruknął, pociągając solidny haust piwa.

- Ile wytargowałeś za śpiewaka, który zainstaluje kryształy, i kogo masz zamiar wysłać? W dalszym ciągu podtrzymuję moją propozycję.

- Słonko, jesteś mi tutaj potrzebna... - zaczął.

- Poradzisz sobie beze mnie przez tych osiem, dziesięć dni, które spędzę podróżując B&B. Prawdę mówiąc, należy mi się urlop.

- Nie teraz, kiedy z każdej wyprawy wracasz z pełną skrzynią.  
 - Dokładnie tak samo jak Tiagana, Borton i Jaygrin.  
 - Oczywiście, ale...  
 - A także każdy, kogo uda ci się przekonać do uproszczonej metody poszukiwań - dodała. - Myślałam, że właśnie dlatego zależało ci na mojej obecności.  
 - Zależało mi na twojej obecności, żeby sprawdzić, ile pamiętasz. - Mrugnął porozumiewawczo. - Byłaś lepsza, niż mogłem przypuszczać.  
 - Coś podobnego? Dziękuję, Cechmistrzu, za dobre słowo.  
 - Donalla twierdzi, że znaczna część zapamiętywania opiera się na skojarzeniach. Im więcej...  
 - Byłabym wdzięczna, gdybyście przestali się zajmować moją skromną osobą! - Sama nie wiedziała, co ją w tym wszystkim tak drażni. - Daleko mi jeszcze do przejścia na emeryturę, Larsie Dani. Po to, żeby coś pamiętać, nie potrzebuję żadnej hipnozy!  
 - Udowodniłaś to dzisiaj ponad wszelką wątpliwość - przyznał łagodnym tonem, którym posługiwał się, ilekroć chciał ją rozbroić.  
 - Czy byłbyś łaskaw zaprzestać swoich chytrych sztuczek?  
 - Nic takiego nie robię, Słonko.  
 W jego głosie była nuta szczerzego zdumienia. Zsunął się z wdziękiem z leżanki i przytulił Killashandrę do siebie. Siedziała, jakby kij połknęła, żeby nie myślał, że ją przekupi pieszczotą.  
 - Chciałem, żeby ktoś był ze mną, bo bałem się, że wykopię tego całego Rudneya - ciągnął. - Przyznasz, że to nadęty osioł.  
 Była już trochę mniej napięta, ale nadal patrzyła na niego spode łba.  
 - Skończony duppek. Ona natomiast nie była taka najgorsza. Nie wiem, co jej każe się z nim zadawać.  
 - A tobie co się każe ze mną zadawać? - Błysnął zębami w uśmiechu.  
 - Powiedz lepiej, co tobie kazało dawać im kryształ?  
 - Właśnie. - Trącił ją biodrem, żeby się posunęła na fotelu, a potem otoczył ramieniem. - Otóż dostałem pilną depeszę z Departamentu Archeologii i Badań. Żądają od nas przystąpienia do programu. Wygląda na to, że nasz Skalny Klejnot to nie byle co.  
 - Czemu wobec tego powierzają go w ręce takiego dupka jak ten cały Saplinson-Trill?  
 - Ponieważ mimo nieciekawych manier jest wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie.  
 - Czyli?  
 - Mechanice planetarnej. Nie są pierwszą ekipą badawczą, która usiłuje rozwikłać zagadkę opalizacji Klejnotu, jednak jego zespół może poszczycić się większymi osiągnięciami niż koledzy. Kryształ ballybrański umożliwi im kolejny krok w badaniach. Tak przynajmniej uważa DAB.  
 - To czemu sam nie zapłaci za kryształ?  
 - Mają już i tak mocno nadwątłony budżet.  
 - Kto wobec tego sfinansuje instalację kryształu? Odchrząknął.  
 - Poproszono Cech o pokrycie kosztów.  
 Odsunęła się, krzywiąc.  
 Zasłonił jej usta.  
 - Nie denerwuj się. Cech otrzymał uprawnienia, o które bezskutecznie dobijałem się od trzech lat.  
 - Jakże?  
 - Zezwolenie na reklamę warunków zatrudnienia na Ballybranie...  
 - Co?  
 - To rzeczywiście było nadzwyczajne ustępstwo.  
 - Do tego wolno nam prowadzić akcję rekrutacyjną na dziewiętnastu zamieszkanym planetach - dodał z zadowolonym uśmiechem.  
 - Rzecz bez precedensu.  
 - Od niepamiętnych czasów.  
 - Wreszcie dotarło do nich, ile zawdzięczają ballybrańskiemu kryształom.  
 - Dobrze to podsumowałaś. - Leniwie wyginając grzbiet, wyciągnął się przy niej. Wolną rękę wsunął sobie za głowę. - W każdym razie udany dzień.  
 - Kim jest ten nowy typek za biurkiem? - spytała po chwili.  
 - A, ten. - Spochmurniał znowu. - Cóż, zawsze to jakaś para rąk do pomocy. Będzie z niego więcej pociechy, kiedy opanuje kody dostępu do dokumentów.  
 - Domyślam się też - podjęła po długim milczeniu - że nie możesz zepsuć wrażenia, wysyłając niewprawnego śpiewaka do tej roboty.  
 - Nie pozwolę ci jechać, Słonko - zapowiedział stanowczo.  
 - Kogóż mógłbyś wysłać na moje miejsce? - zauważyła przytomnie. - Tylko ja mam odpowiednie kwalifikacje, a nie możesz sobie chyba pozwolić na spartaczenie instalacji?  
 Spojrzał z namysłem, po czym westchnął.

- Masz rację. Zbyt wiele od niej zależy.

Przytulił ją mocniej; kątem oka dostrzegła na jego twarzy cień czegoś, co przypominało zadowolenie. Nie była w stanie znaleźć się zastanowić, bo Lars nie dał jej zebrać myśli.

Wsiadała na pokład Brendana/Boiry 1066 z mieszanymi uczuciami; ulubione towarzystwo statku miała dzielić z Rudneyem i Kiera. Na szczęście para naukowców zabrała ze sobą dokumentację i większość czasu spędzała studiując ją w zaciszu kabiny bądź korzystając z obszernych i niezwykle sprawnych banków danych Brendana.

- Tak samo zachowywali się podczas podróży w tamtą stronę - wyjawiała Boira Killashandrze.

- Zaobserwowaliśmy wysoki współczynnik nudy -dorzucił Brendan, doskonale imitując afektowany ton Rudneya.

Killashandra z Boirą stłumiły chichot. Polubiły się z „fizyczną” 1066 od pierwszego wejrzenia. Boira zresztą -szczupła i niezbyt wysoka - wcale nie była specjalnym okazem tężyzny. Miała bardzo ładną twarz, o gładkiej skórze i regularnych rysach, które zawdzięczała rekonstrukcji, ciemne oczy i ciemne włosy do ramion. Poruszała się z niecodziennym wdziękiem; Killashandra podejrzewała, że on również był ubocznym skutkiem wypadku, który pozbawił Brendana partnerki na czas ich wspólnej ekspedycji na Opal. Przede wszystkim jednak, podobnie jak Brendana, cechował ją celny dowcip i pogodne usposobienie, które czyniło z obojga uroczych towarzyszy podróży.

- Uspokój się, Bren - wymruczała Boira. - Znowu mnie rozśmieszasz. Przechodzę przez niego katusze - zwierzyła się Killashandrze. - Potrafi ich tak sparodiować za każdym razem, kiedy wytkną nos z kabiny, że muszę pozorować atak kaszlu, żeby nie wybuchnął im śmiechem prosto w twarz!

- Teraz widzę, że niesłusznie miałam do siebie pretensje! - zaśmiała się Killashandra.

- Absolutnie - uspokoiła ją Boira. - To wszystko ich wina. Tylko podczas skoku w podprzestrzeń zachowywali się po ludzku.

- Aż za bardzo - dorzucił Bren uszczypliwie. - Dziewięć razy musiałem wymieniać i oczyszczać powietrze!

- Czy w dalszym ciągu macie na pokładzie wannę z płynem opalizującym?

- Jak najbardziej -potwierdziła Boira. -Wstawiliśmy ją do twojej kabiny.

- Co wobec tego zrobimy z nimi tym razem? - zaniepokoiła się Killashandra, celując palcem w kierunku Saplinsonów-Trillów.

- Z nimi? Cóż, pozwolimy im kisić się we własnym sosie. Mogę zamknąć wywietrzniki ich kabiny, żeby oszczędzić nam smrodu. Szczęście, że się potem umyli.

- A ty? - spytała Killashandra Boirę, ta jednak oświadczyła, że skok przyprawia ją jedynie o lekki ból głowy.

- Przywykłam po latach, co nie znaczy, że najdłuższe pięć minut, jakie wymyślił człowiek, kiedykolwiek będzie należało do moich ulubionych sposobów spędzania czasu.

- I co, naoglądałaś się PM-ów? - spytała Killashandra ironicznie.

- Po kilometrowej odprawie i licznych przestrobach na temat trzymania rąk przy sobie, przesłam jakąś idiotyczną, skomplikowaną detoksykację - parsknęła niechętnie Boira. - Niemniej warto było - przyznała. - Ten blask, desenie... Jestem przekonana, że powinni zwracać uwagę na motywy optyczne tych... jak wy je tam nazywacie?... Skalnych Klejnotów? Zasugerowałam - dorzuciła, krzywiąc się na samo wspomnienie - że desień Klejnotu może stanowić kolejną próbę komunikacji.

- I?

- Podczas tasiemcowego wykładu wyjaśniono mi, że moja teoria jest komiczna i pozbawiona wszelkich podstaw naukowych. - Wzruszyła ramionami. -I tak wiem swoje.

- Wzór optyczny jest równie dobrą formą komunikacji, jak każda inna- przyznała Killashandra po chwili zastanowienia. - W końcu słowa też są swego rodzaju wzorami, nie uważasz?

- Hmm, nigdy o tym nie myślałem w tych kategoriach, ale chyba masz rację - przyznał Brendan. - Mądra dziewczyna!

- Domyślałem się, że nie usiłowali zweryfikować twojej teorii?

- Jasne, że nie! Co może fizyczna statku wiedzieć na temat egzotycznych form życia?

- Piętnaście minut do pierwszego skoku - uprzedził Brendan.

Killashandra pośpiesznie oddaliła się do wanny z płynem opalizującym.

Skok w podprzestrzeń obszedł się z nią bardzo łaskawie. Wróciła do głównej kabiny. Brendan z Boirą kontrolowali sprawność urządzeń. Ruchem głowy wskazała parę badaczy.

- A oni?

Boira skrzywiła się.

- Tym razem zastosowali się do zalecanych przez nas środków ostrożności. Nigdy nie mogę pojąć, dlaczego jajogłowi zawsze uważają, że gorzej znam się na moim zawodzie niż oni na swoim. Głodna? - spytała ze znaczącym uśmieszkiem.

- Brendan, kto ci pozwolił jej o tym opowiadać? -spytała Killashandra, na wpół rozbawiona, na wpół zi-

rytowana.

- Żądała wyjaśnień, dlaczego tyle kredytu wyciekło w delikatesach.

- Myślała pewnie, że biesiadowałaś sobie tutaj z pięknymi dziewczętami, kiedy ona leżała na łożu boleści? Wracając do tematu, owszem, jestem głodna, ale nie umieram z głodu, a już na pewno daleko mi do tamtej żarłoczności.

Boirze apetyt dopisywał tak samo jak Killashandrze. Aż do następnego skoku jadły gawędząc. Saplinsonowie-Tril-lowie oszczędzili im swojego towarzystwa, niemniej Boira co pewien czas troskliwie dopytywała się o ich samopoczucie i zdrowie. Małżeństwo wychynęło z kabiny dopiero, kiedy ostatni skok przerzucił ich w układ Opala. Rudney poprosił Brendana o łączność z planetą, żeby mogli zorientować się z Kiera w najświeższych postępach badań. Killashandra z Boirą umknęły do kuchni przed naukowym żargonem.

- Słuchając tego bełkotu, można pomyśleć, że odprawiają czary, czy coś w tym rodzaju - stwierdziła

Boira.

- Równania zawsze były dla mnie czystą abrakadabrą - przyznała Killashandra.

- Fakt. Jeśli udało mi się jakieś rozwiązać, sądziłam, że to czary - wyznała Boira.

Roztrząsały ten problem jeszcze przez chwilę, dopóki Brendan nie poinformował ich łagodnie, że lądowanie spodziewane jest za piętnaście minut.

Rudney i Kiera ekscytowali się najświeższymi wiadomościami, z których wynikało, że Killashandra powinna rozpocząć instalację jak najprędzej. Rudney w podnieceniu bełkotał niezrozumiałe instrukcje. Szczęściem miał przy sobie diagram z zaznaczoną lokalizacją planowanych instalacji, chociaż, sądząc z nieskładnych uwag, zmieniał zdanie co pół minuty. Ale wymyślił, żeby największy i najsilniejszy kryształ przeznaczyć do Jaskini Piętnastej, w której Killashandra rozpoznała siedzibę ich Nienazartego Klejnotu.

- Przecież tam już jest jeden - zauważyła.

- Musi dostać najlepszy kryształ - upierał się Rudney, w ferworze bryzgając śliną na twarz Killashandry.

- Nie przypuszczam, żeby PM piętnaście zechciał pozbyć się starych okruchów, kiedy dostanie większy kryształ - odezwała się Kiera, a na jej twarzy malował się niepokój. - Wątpię, czy potrafimy mu wyjaśnić, że potrzebujemy tamtych odłamków dla któregoś z mniejszych PM-ów.

- Planujecie zamianę? - spytała zdumiona Killashandra.

- Ależ naturalnie, naturalnie. Dostaliśmy od was tylko dwanaście kryształów, a planowana przez nas sieć komunikacyjna ma się składać z trzydziestu PM-ów.

- Czy kiedykolwiek próbowaliście odebrać cokolwiek Klejnotowi?

- Klejnotowi? - powtórzył, zbity z tropu, Rudney. - Prosiłbym o trzymanie się poprawnej nomenklatury. Killashandra posłała mu spojrzenie, jakim w przeszłości potrafiła odstraszyć najzgorzalszych adoratorów.

- Nigdy nie próbowaliśmy - przyznała Kiera.

- Jednym słowem, zawsze tylko brał, a nie dawał - podsumowała Killashandra. - No cóż, spróbuję, ale nie chciałabym skończyć z urwaną ręką czy choćby tylko jednym palcem.

- Absolutnie nie oczekujemy od ciebie fizycznego ryzyka - pośpieszył z zapewnieniem Rudney.

Dla podkreślenia prawdziwości swoich słów oboje z Kiera założyli kombinezony, żeby osobiście towarzyszyć Killashandrze podczas instalacji. Zgromadzona w komorze detoksykacyjnej ekipa badawcza DAB-u z rezerwą odniosła się do pompatycznego w stylu, w jakim Rudney przedstawił im Killashandre. Ale kiedy zaczęła wkładać kombinezon, parę osób, uśmiechając się serdecznie, pośpieszyło jej z pomocą.

Jeden kryształ był czarny i chociaż nieduży, stroił w dominancie. Killashandra czuła, że właśnie on należy się Nienazartemu.

- Jestem pewien, że ten się bardziej nadaje. - Rudney trącił paluchem największy z pryzmatów, bładobłękitny.

- Jest niebieski, molowy i ma o wiele niższą stabilność tonu niż czarny - zaprotestowała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Kiedy... kiedy...

- Rudney, z nas dwojga to chyba ja jestem śpiewaczką - oświadczyła głośno i stanowczo.

Zaskoczony arogancją, stanął jak wryty, wytrzeszcząc oczy ze zdumienia. Zdała sobie sprawę, że wszyscy wpatrują się w nią oszołomieni. Ewidentnie Saplinson-Trill, który był dla niej drażniącym prostakiem, w swoim zespole cieszył się wielkim szacunkiem.

- Czarny kryształ - podjęła łagodniej - wśród górskich kryształów Ballybranu wyróżnia się największą mocą. Nawet tak niewielki pryzmat jak ten jest trzy razy bardziej użyteczny od większego w kolorze błękitnym. Jaśniejsze barwy są bardzo niestabilne. - Uniosła czarny pryzmat, klnąc w duchu natychmiastowe mrowienie, jakie poczuła przez ciężkie rękawice próżniowe. - Czerń stroi poza tym w dominancie, co trzykrotnie rozszerza jej zasięg. Kryształy molowe są dobre do drobnych usług przekąźnikowych, ale z pewnością chcielibyście, żeby Nienazarty dostał prawdziwy smakołyk.

Chodźmy.

Skinęła na dwóch mężczyzn wydelegowanych do niesienia skrzyni z kryształami. Równocześnie

zaczęli zakładać hełmy. Szybko uporano się z testami kontrolnymi, obowiązującymi przy zejściu z pokładu, po czym wszyscy zameldowali gotowość do opuszczenia statku. Uruchomiła połączenie z Brendanem i Boirą. Śluzę otworzyła się na posępne mroki Opalu. Wiele zmieniło się od ostatniej wizyty Killashandry: żuźłowaty grunt planety tonął w powodzi rzęstego światła. Teren poprzecinany był ścieżkami prowadzącymi z bazy do poszczególnych jaskiń. Każda ścieżka została wyraźnie oznakowana tabliczką informującą, dokąd prowadzi. Wyglądało na to, że Nienazarty, rezydujący w jaskini numer piętnaście, stanowi najczęstszy cel wycieczek - ścieżka prowadząca do niego była najmocniej wydeptana. Killashandra wyrwała się do przodu, nie dając się wyprzedzić Rudneyowi.

W pobliżu jaskini tu i ówdzie wystawały z ziemi świetliste wypukłości.

- Nienazarty musiał nieźle urosnąć - mruknęła do siebie.

- Słyszę cię nawet przy takim natężeniu głosu - powiedział cicho Brendan.

- Co powiedziałaś, śpiewaczko kryształ? - spytał Rudney, trącając ją w ramię.

- Dużo mówię sama do siebie - powiedziała na tyle głośno, żeby usłyszał. Uśmiechnęła się. Pastwienie się nad Rudneyem sprawiło jej przyjemność. - Trzeba przyznać, że zrobiliście tutaj niemało - dorzuciła.

Dojście do jaskini zostało oczyszczone z gruzu, a schody poszerzone. Światła były zbędne: błękitna poświata sączyła się z dołu na pierwsze pięć stopni. Po chwili obraz ściemnił się; filtr w hełmie Killashandry automatycznie zareagował na silniejsze światło z zewnątrz.

Mimo to, kiedy zza rogu weszła do komnaty Skalnego Klejnotu, oślepił ją niezwykle blask. Zachłysnęła się ze zdumienia, aż zaniepokojony Brendan zażądał wyjaśnień. Rudney zareagował chępliwym śmiechem, który natychmiast przeszedł w osłupiały gulgot.

- Na wielkiego Mullę z góry Za! - Stała u wejścia jak wryta. Rudney przecisnął się obok niej.

- Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie, dlaczego wzór zmienił się aż tak radykalnie? - przemówił ostro.

Tylko ślepy nie zauważyłby ulewy wymyślnych, splecionych motywów, wędrujących od rdzenia Klejnotu w kierunku podłogi. Wzór wyraźnie różnił się od leniwie sunących prążków, które zauważyła, kiedy stanęła w progu jaskini. Majestatycznie spływał po ścianach, rzucając blask na skalną komnatę, by wreszcie zniknąć w podłożu jaskini.

- To całkiem nadzwyczajne, doktorze. Pierwszy raz udało nam się sfilmować coś takiego - zwrócił się jeden z techników do Rudneya.

- Niewykluczone, że to przywitanie na moją cześć - zasugerowała żartobliwie Killashandra.

- Poziom wyładowań wyraźnie wzrósł - dorzucił technik. - Teraz wraca do normy.

Pospiesznie zbliżyła się do jednej ze ścian, obserwując, jak ostatni z fraktalowych motywów znika z pola widzenia. Zadrżała. Rozejrzała się po jaskini udekorowanej świetlistymi girlandami. Nikt jej nie uprzedził, że płynny metal całkowicie opanował ściany swojej siedziby. Sądziła dotąd, że jego wzrost ograniczył się do wysyłania macek na niższe poziomy. Zaraz, co mówiła Kiera? Dziewiętnaście poziomów? Nie do wiary, a jednak... Być może do wzrostu potrzebował wyłącznie przyzwoitej diety.

Kiedy duraplast hełmu ściemniał wreszcie, akomodując się do rzęstego oświetlenia jaskini, Killashandra zdołała wreszcie wypatrzeć w zębrze Nienazartego niepozorny odłamek kryształu, wystający pionowo z pulsującego jądra. Rudney z pewnością używa o wiele precyzyjniejszych, naukowych określeń na rdzeń Klejnotu - pomyślała. Przetrzęsając pamięć w poszukiwaniu wspomnień z czasów poprzedniej wizyty, stwierdziła ze zdziwieniem, że nie przychodziło jej do głowy nic poza refleksją, że Nienazarty się rozrósł.

- Bren? - spytała cicho. - Czy wtedy zmierzylśmy centrum Klejnotu?

- Tak, tylko... - Urwał na chwilę. - Obwód jest nie zmieniony, niemniej całość sprawia wrażenie grubszej i gęstszej. Spytaj Rudneya, on coś powinien na ten temat wiedzieć.

Słyszała Brena, jednak część jej uwagi była pochłonięta zmienną grą barw i deseni przesuwających się od rdzenia tworów w kierunku podłoża. Klejnot w tym czasie nabrał kolorów, przepuścił przez siebie całe widmo widzialnych barw. Po jego ciele przebiegały zmarszczki najróżniejszych odcieni, rozchodziły się fale barwnych półtonów. Ilekroć usiłowała zatrzymać wzrok na jakimś motywie - kształt rozplątywał się albo zostawał zastąpiony innym wzorem.

Przypominała sobie, że zdarzało się to już poprzednim razem, ale nigdy w tak zawrotnym tempie.

- Do roboty, śpiewaczko kryształ - Rudney przyskoczył do niej, trącając ją w ramię. - Odnotowaliśmy niecodzienną aktywność...

- Słyszałam - odparła chłodno. Poczula nagle, że myśl o wetknięciu czarnego kryształu w pulsujące serce Klejnotu niepokoi ją w stopniu, jakiego nie zaznała jeszcze nigdy przy podobnej okazji. - Z tego, co widzę, mam wrażenie, że rozsądniej byłoby zacząć instalację od jakichś mniejszych okazów.

- Nie zgadzam się! - oświadczył Rudney, przestraszony nagłą zmianą planów. - Jaskinia Piętnasta odpowiada specyficznym...

- No właśnie! Mam zamiar odroczyć najdłużej, jak się tylko da, ryzyko, że stracę przytomność przy instalacji czerni - oświadczyła i, skinąwszy władczo na parę tragarzy, ruszyła ku wyjściu. - Zacznę od Jaskini Trzeciej.

Rudney nie chciał o tym słyszeć; zabiegł jej nawet drogę, usiłując zagrozić wyjście. Wymknęła się,

wzywając tragarzy, żeby ruszyli za nią, chociaż Saplinson nawoływał ich do posłuszeństwa.

- To wam zależy na instalacji kryształu. Zrobię to, ale po mojemu! - wrzasnęła, aż reszta ekipy podskoczyła w miejscu. - Albo idziemy do Trójki, albo wracamy na 1066. Jeśli nie dacie mi przeprowadzić instalacji tak, jak uważam, wracam na pokład, zabierając z sobą kryształy, które, nawiasem mówiąc, są podarunkiem Cechu.

Ta groźba w połączeniu z błaganiami Klery i jednego ze starszych członków zespołu uciszyła obiekcje Rudneya. Killashandra pozwolono działać na własną rękę.

Kiedy z Larsem odwiedzali jaskinię, Klejnot dopiero zaczynał rozchodzić się na boki z centralnego nacieku. Sothi, jeden z tragarzy, poinformował ją, że metal spełził w tym czasie o trzy poziomy w głąb, Z rdzenia okazywał się odłamek różowego kryształu. Na Mullaha, jeśli Klejnot potrafił osiągnąć tyle odżywiając się nędznym różem, to czego się można było spodziewać po nakarmieniu porządną zielenią, przewidzianą do powtórnej intruzji?

Reszta obserwatorów weszła gęsiego do jaskini. U stóp Klejnotu ustawiono przenośną drabinę. Killashandra uniosła zielony pryzmat, obserwując jego połysk w poszukiwaniu ewentualnej skazy, która mogła powstać podczas transportu. Ujęła pryzmat w szczypce i, uważnie śledząc położenie różowej bryły, przystąpiła do instalacji zielonej. Opalizująca powierzchnia wessała nowy kryształ z taką prędkością, że tylko szkolony latami refleks uratował rękę Killashandry przed zatonięciem w rdzeniu. Szczypce poszły na straty. W sekundę później ze stropu spadł okruch różowego kryształu. W powietrzu zaroilo się od rękawic; trzy osoby usiłowały złapać spadający odłamek.

- Mam go! - wykrzyknął Sothi, unosząc różowy okruch tak, żeby wszyscy go mogli zobaczyć.

- Do buzi wkładamy najwyżej jeden kęs - zażartowała Killashandra.

Nie liczyła wcale na to, że uda jej się usunąć stary kryształ.

- Ojej! - krzyknęła przerażona Kiera, odwracając uwagę wszystkich z powrotem ku centrum Klejnotu.

- Do diabła, połknął go! - oznajmiła Killashandra, nie dostrzegając nigdzie nawet cienia zieleni. -

Skończona niewdzięczność...

- Jest, jest! - zawołała teraz Kiera, wskazując na sam środek jądra, z którego powoli zaczął wyłaniać się kryształ. Wynurzył się w dwóch trzecich.

- Odnotowuje się wzmożoną aktywność w Trójce - dobiegł ich głos z bazy.

- Nie wątpimy w to ani trochę - odparła Killashandra, z zachwytem obserwując zjawisko.

Bez wątpienia teoria Boiry o mowie deseni powinna zostać przebadana. Killashandra złapała się na tym, że śledzi wzrokiem fajerwerk zielonych, żółtych i błękitnych jodełek, rozchodzących się z rdzenia Klejnotu w kierunku podłogi, w której znikwały.

- Śpiewaczko kryształu... - Sothi z całej siły złapał ją obiema rękami. - Zaczęłaś się chwiać...

Przyjęła jego pomoc przy schodzeniu z drabiny. Przytknął swój hełm do jej hełmu.

- K. Ś., nie przyglądaj się tym deseniom, bo odlecieś - wyszeptał.

Jej zapaść uszła uwagi wszystkich z wyjątkiem Sothiego, ponieważ reszta obserwatorów, zetkawszy się hełmami, rozpoczęła naradę. Killashandra zastanawiała się, jak długo trwał jej odlot.

- Czy to się często zdarza, Sothi? - spytała.

- Na tyle często, że lepiej uważać.

- Do której jaskini idziemy teraz? - spytała. W czasie krótkiej utraty przytomności ten szczegół wyleciał jej z pamięci.

- Do Dwójki, to jest tuż obok - odpowiedział.

Natychmiast przypomniała sobie planowaną kolejność, a także, gdzie który kryształ miał zostać zainstalowany. A więc podziwianie deseni Klejnotu groziło czymś więcej niż zagapieniem.

Sothi zamierzał właśnie zasygnalizować Rudneyowi, że opuszczają Trójkę, kiedy Killashandra złapała go za rękę, dając znak, żeby się przybliżył.

- Chodź - wyszeptała, przytykając swój hełm do jego hełmu. - Pozwólmy jajogłowym porajcować. Sami zrobimy wszystko dwa razy prędej.

Sothi zawahał się, ale jego kolega, którego kombinezon zdobił napis „Asramantal”, pociągnął go w kierunku wyjścia.

Kiedy Rudney z ekipą dogonili ich wreszcie, Killashandra była już po czterech instalacjach. Sothi i Asra zgrabnie łapali wypadające odłamki kryształu. Nie zwracając uwagi na gniewną tyradę Rudneya, śpiewaczka ruszyła dalej. Jeśli cały czas będzie skoncentrowana na czymś - będzie stąpać z uwagą po żuźlowych ścieżkach czy ukradkiem obserwować desenie Klejnotu, mając jednocześnie pewność, że Sothi lub Asramantal potrząsną nią, gdyby za bardzo odleciała - może uda jej się nie myśleć o instalacji w Nienazartym. W drodze do którejś z kolejnych jaskiń przyznała się do swoich niepokojów Brendanowi i Boirze.

- Czy mogę liczyć na waszą pomoc? - spytała.

- Jaką pomoc? — zażądała szczegółów Boira.

- Mogę mieć pewne kłopoty z Nienazartym.

- Jakie kłopoty?

- Trudno określić. RZECZ polega przede wszystkim na tym, że w ogóle nie cierpię instalować czarnego kryształu - wyznała, starając się nie ujawnić w głosie niepokoju, który z każdą chwilą narastał.

Na Mullaha! Ta czerń nie miała być wykorzystana - w każdym razie w normalnym znaczeniu - jako kryształ komunikacyjny. Kto wie czym się to skończy.

- Możesz coś więcej powiedzieć? - dopytywał Brendan.

- W życiu się tak nie czułam.

- Co moglibyśmy dla ciebie zrobić?

- Bądźcie ze mną w kontakcie i mówcie do mnie, gdybym zaczęła odlatywać.

- Jak to wygląda?

- Kryształ zaczyna przeze mnie śpiewać.

- Musisz mieć niezłe przeżycie?

- Mówiąc ogólnie.

- Jak moglibyśmy ci pomóc? - spytała Boira.

- Mogłabyś włożyć kombinezon i zejść do Piętnastki na finał?

- Jasne, Zajmie mi to tyle, co dwa przyciśnięcia ręcznej pompki. Tylko... co zrobię, jeśli całkiem odleciś?

- Przerzucić mnie wtedy jak najprędzej na Brena. Sądzę, że wyjdę z tego o własnych siłach, jeśli tylko odległość między mną a kryształem będzie dostatecznie duża. Nawiasem mówiąc, Boiro, twoja teoria motywów optycznych nie jest wcale taka nieprawdopodobna. Klejnot wypromieniowuje wzory w nieustannie zmieniających się konfiguracjach.

- Hmm. Ciek... - Głos Boiry zanikł.

- Boira?

- Jest już w kombinezonie, ale jeszcze nie załączyła komunikatora - cierpliwie wyjaśnił Brendan, najwyraźniej przyzwyczajony do niedopatrzeń tego rodzaju.

Spokojniejsza od chwili, kiedy Boira zapowiedziała swoje przyjście, Killashandra wykonała pozostałe instalacje. W drodze do Klejnotu ryknęła rację żywnościową z kombinezonu, czego natychmiast pożałowała. Nie wiedzieć dlaczego, spodziewała się czegoś o wiele smaczniejszego.

- Błę! - mruknęła pod nosem.

- Co się stało? - spytał Brendan.

- Żarcie w kombinezonie!

- O? Mam rozumieć, że doceniłaś moje poprzednie starania?

- Sadząc po tym, czego spodziewałam się teraz, chyba tak. - W jej wyobraźni pojawiły się żywe wspomnienia wymyślnych smaków.

Nie miała więcej czasu na miłe wspomnienia, bo doszli właśnie do wejścia do jaskini. Boira wyróżniała się wśród obecnych: jej kombinezon kłuł w oczy cytrynową żółcią, miał przy tym odmienny krój. W geście pozdrowienia uniosła dłoń w rękawicy w stronę Killashandry. Gest wzbudził poruszenie wśród pozostałych postaci w skafandrach. Killashandra domyśliła się, że na miejscu czekali wszyscy członkowie ekipy Rudneya, którzy mogli opuścić laboratorium. Rozległ się szmer komentarzy, z których Killashandra wynioskowała, że nowa postać wzbudzała w obecnych ciekawość. Technicy, którzy pozostali przy aparaturze pomiarowej w bazie, poinformowali ją podekscytowanymi głosami, że aktywność w obrębie PM-ów podnosi się w szalonym tempie i monitory ledwie nadążają z przetwarzaniem danych.

- No to teraz dopiero wam pokażę, moi drodzy - oznajmiła Killashandra, kiedy Sothi z Asrą ustawili drabinę pod rdzeniem klejnotu. - To, coście dotąd widzieli, to jeszcze nic.

- Co chcesz dokładnie przez to powiedzieć, śpiewaczko kryształowa? - zaczął się dopytywać Rudney. W jego głosie i nagłym zeszywnieniu całej postaci wyczuwało się niepokój.

Killashandra powiedziała to, co powiedziała, po to, żeby dodać sobie animuszu. Wolałaby, by Rudney nie żądał od niej spowiadania się z niewiele znaczących uwag.

Z westchnieniem mocno zacisnęła szczypce wokół czarnego kryształu. Gdyby mogła go w ogóle nie dotykać, jego wpływ na nią nie byłby aż tak silny. Nabrała już wprawy w szybkim wtykaniu kryształów w centra Klejnotów; nie zamierzała spartaczyć ostatniej - koronnej - instalacji.

- Niech pan teraz patrzy uważnie, doktorze Saplinson-Trill.

Podniosła rękę, kątem oka zauważając, że Sothi i Asra przygotowują się do złapania starego odłamka. Na Mullaha!, zaklęła w duchu. Poraziła ją nowa myśl. To wcale nie był ostatni kryształ! Będzie jeszcze musiała zainstalować stare okrychy w nowych Klejnotach.

- Na co mam patrzeć?

- Zobaczy pan - zapowiedziała.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i przytknęła do Klejnotu czarny pryzmat, drżąc z chęci, żeby cisnąć w kąt szczypce i zmykać co sił w nogach, kiedy tylko kryształ zareaguje.

Czarna bryła została wchłonięta tak szybko, że jej refleks nie zdążył się nawet włączyć. Szczypce, kryształ i jej dłoń w rękawicy zostały wessane w zawrotny wir oszalałych deseni. Kaskada rozszalałych wzorów runęła

na nią z druzgoczącym impetem; Killashandra poczuła, że jej chwile są policzone. Przed oczami mignęło jej całe życie, po czym zapadła w czarną otchłań.

## Rozdział XII

Killashandra Ree z najwyższym zdumieniem ocknęła się pośród żywych.

- Wróciła - mruknął ktoś cicho. Chłodna dłoń spoczęła lekko na jej czole. - I co, jednak się udało! - Radosny, pełen ulgi głos należał do Boiry.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparła Killashandra, ostrożnie wymawiając każde słowo. Miała wrażenie, że jej głowa jest o parę numerów większa niż zwykle i chociaż nie boli, łąda chwila zacznie boleć. Dotkliwa jasność bezlitośnie ścżyła się pod powieki. Killashandra mocniej zacisnęła oczy. - Macie jakieś środki znieczulające?

- Co? Śpiewaczka kryształu potrzebuje lekarstw?

- Kiedyś trzeba zacząć. Po tym wszystkim nie miałabym za złe mojemu symbiontowi, gdyby przestał działać, chociaż nawet nie wiem, co to było.

- W bazie trwają na ten temat nie kończące się debaty - oświadczył Brendan, drżącym z radości szeptem. A może mówił głośno, a ona go nie słyszała?

- Czy szepcesz ze względu na mnie? - spytała.

- Tak - potwierdziła Boira normalnym głosem. - Cały czas narzekałaś na hałas i jaskrawe światło, o co zresztą nie mam do ciebie najmniejszych pretensji. Skalny Klejnot po przełknięciu czarnego kryształu rozblysnął jak nova. Coś z tego pamiętasz?

- Pamiętam, jak umierałam.

- Nie umarłaś - zapewniła ją Boira. - Pierwsza rzecz, sprawdziłam odczyty z twojego skafandra, a pewnie nie wiesz, że byłaś sztywna...

- Umarłam - upierała się Killashandra.

- Monitory skafandra były odmiennego zdania, moja droga, a kiedy dotaszczyłam cię tutaj...

- Pokonując opór pozostałych - dorzucił Brendan. - Możesz być dumna z Boiry. Zwalila ich wszystkich z nóg.

- Sothi z Asrą mi pomogli - wspomniała Boira z wdzięcznością. - Nie mam pojęcia, co by ci mogło dobrze zrobić. - Killashandra usłyszała rumor, który w jej głowie rozległ się jak łoskot lawiny.

- Daj jej coś z leków homeopatycznych - podsunął Brendan. - Ten typ środków nie powinien kłócić się z symbiontem.

- Dlaczego przestał działać właśnie teraz, kiedy go potrzebuję? - jęknęła Killashandra. - Czy pozapalaliście wszystkie światła? - Rzęsista jasność przygasła natychmiast. - Dzięki, Bren.

- O, tu mam coś, co podaje się przy urazach, obrażeniach i zaburzeniach ogólnoustrojowych. Widzisz, Bren? Co ty na to?

- Spróbuj - zażądała Killashandra niecierpliwie.

Aerozol chłodził jej skórę, czuła, jak preparat rozchodzi się po ciele, przynosząc ulgę w nieopisanie nieprzyjemnym stanie, w jakim się znalazła.

- Chwała Mullahowi! Działa... - westchnęła, stwierdziwszy, że napięte mięśnie i nerwy zaczynają się rozluźniać.

Dźwięki straciły poprzednią dokuczliwość, kłujące w oczy światło z powrotem stało się znośne.

- Chce mi się pić - wyznała, nagle zdając sobie sprawę, że gardło i usta wyschły jej na wiór. Ciągle jeszcze nie miała odwagi podnieść powiek.

Boira najdelikatniej, jak mogła, wsunęła jej rękę pod głowę i uniosła ją na tyle, żeby Killashandra była w stanie pić z przytkniętego do ust naczynia.

- Zawiera mnóstwo elektrolitów i składników pomocnych w rekonwalescencji - wyjaśniła.

Killashandra nie potrafiła doszukać się żadnego smaku, jednak z wdzięcznością przyjęła obecność płynu. Czuła, jak ożywcza wilgoć spływa z przełyku do żołądka, a całe ciało wchłaniają skwapliwie. Cholerny symbiont zasnął, wykorkował czy wziął gdzieś drugi etat? Była kontuzjowana dostatecznie często, żeby wiedzieć, że potrafił działać wręcz niepostrzeżenie. Co też takiego zrobił jej Nienazarty?

- Nie masz powodów do niepokoju. Nasza aparatura diagnostyczna wykazuje, że jesteś w doskonałej formie fizycznej - zapewniła ją Boira.

- Chciałabym w to wierzyć. - Killashandra siłą woli rozchyliła lekko powieki. Ból się nie pojawił. Otworzyła szerzej oczy. Leżała w swojej kabinie na pokładzie 1066, a zegar nad drzwiami informował ją, że straciła całe dwa dni. - Dobrze, opowiedz mi wszystko - zwróciła się bohatersko do siedzącej przy łóżku Boiry. Obok, na stelażu, stała otwarta skrzynia z aparaturą medyczną.

- Najpierw zrobiłaś się sztywna...

- To jeszcze dobrze pamiętam.

Rzeczywiście, przypominała to sobie z zadziwiającą jasnością. W chwili kiedy przemknęło jej przez myśl, że umiera, jej kości niespodziewanie zeszytniały; to samo odczucie pojawiło się w arteriach, żyłach i naczyniach włosowatych. Kolor ścżył się, skrząc, przez oczy, do każdej komórki jej ciała, zalewał ją nieubłagane migotliwą powodzią. Barwne fale cofały się i napływały z powrotem, jakby porwał ją płynny wir... przed oczami przemknęło jej całe życie.

- Zdążyłam cię dopaść przed Rudneym, a twoi wierni pomocnicy pomogli mi cię ściągnąć z drabiny. Nawet skafander na tobie wydawał się sztywny, ale jak już wspomniałam, wskaźniki były w normie.

- To, co mi się zdarzyło, z pewnością nie mieści się w żadnej normie.

- Zgoda, ale monitory utrzymywały co innego. Od razu mi ulżyło. W tym czasie rozpętało się piekło. To, co robił Klejnot, było po prostu nie do opisania. Brendan pokaże ci zapis wydarzenia...

- Później -poprosiła słabym głosem. Nie zniosłaby ponownie podobnej eksplozji kolorów.

- Naturalnie, kiedy zechcesz - pośpieszył Brendan z uprzejmym zapewnieniem. - Jeśli chodzi o bezstronność nauki i bezstronną obserwację... -zachchotał zgryźliwie. -Rudney i jego ekipa popadli w histerie. Wszyscy pchali się jednocześnie do wyjścia. Cud, że ich skafandry ocalały z szamotaniny.

- Nie dziwię się, że byli przerażeni - litościwie ułaskawiła ich Killashandra.

- Wcale nie byli przerażeni - sarknął Brendan. - Chcieli jak najprędzej dotrzeć do bazy, zobaczyć, co wskazuje aparatura. Rudney wrzeszczał, żeby przestali hałasować, bo nie słyszy, co mówi baza.

- Trzeba przyznać, że Sothi i Asra byli cudowni -wtrąciła Boira. - Pomogli mi wynieść cię z jaskini. Nagle podkurczyłaś ręce i nogi jak wyschnięty owad. Byliśmy pewni, że po tobie, ale Bren monitorował twoje procesy i poganiał nas na pokład. Sothi zamartwiała się, że niepotrzebnie odciągamy cię od Skalnego Klejnotu...

- Skalny Klejnot zrobił ze mną i dla mnie, co było w jego mocy - mruknęła Killashandra, chociaż nadal nie miała jeszcze pojęcia o prawdziwych rozmiarach swojej transformacji. Wiedziała tyle tylko, że coś takiego miało miejsce.

- Czy orientujesz się, co on zrobił? - spytała ostrożnie Boira. - Nic nowego w odczytach?

- Efekt przeciążenia zmysłów nie musi koniecznie być wymierny - zauważył Brendan.

- Czy to jest twoja diagnoza, Bren? - spytała Killashandra.

- Jedynie empiryczna, ponieważ twoje uwagi i zapotrzebowanie na leki wskazują na to, że monitory medyczne nie wychwytyją wszystkiego, co się z tobą dzieje.

- Cóż, może wszystko mi przejdzie, kiedy się wyśpię -zażartowała Killashandra. Nawet tak wypróbowanym przyjaciółom jak Brendan i Boira nie potrafiła przekazać tego, co się z nią działo podczas przeciążenia. - Czuję się tak, jakby mnie ktoś wywłókł na lewą stronę, przekręcił tył do przodu, a potem starannie wyjął...

Szok psychiczny i emocjonalny, jaki przeżyła podczas pierwszej instalacji czarnego kryształu, znaczył dla niej teraz tyle, co ukłucie komara. Lars będzie na nią wściekły, ale nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek w życiu zdołała jeszcze ciąć czarny kryształ. Niewielu rzeczy była pewna w tej chwili, ale tego jednego - tak. Cała sytuacja miała jednak pewne plusy - odtąd zdoła opisać mu każde złożę, w którym cięła czarny kryształ. Więcej, mogła sobie teraz przypomnieć każde złożę, które kiedykolwiek śpiewała, gatunek, rozmiar i ton każdego cięcia, jakiego dokonała w ciągu ostatnich stu dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Pamiętała wszystko, po najblaszsze szczegóły, a brzemie tych wspomnień było bardziej dokuczliwe niż zabieg, który je wywołał.

- Głodna? - spytała łagodnie Boira.

- Chyba tak - przyznała po namyśle Killashandra.

- To znaczy, że jesteś na najlepszej drodze do zdrowia -stwierdziła Boira, podnosząc się z uśmiechem. - Masz jakieś specjalne życzenia?

- Rosół z kurczęcia.

- Świetny wybór - ucieszył się Brendan tak gromko, aż podskoczyła. -Mam stary przepis domowy, wyśmienity na każdą bolączkę: od wrastającego paznokcia u nogi po najdokuczliwszy typ kosmicznej niestrawności.

Killashandra przymknęła oczy. Rosół z kurczęcia, nawet najlepszy, nie uleczy tego, co jej naprawdę dolega. Kto by chciał wszystko pamiętać? Wszystko, z wyjątkiem tego, jak Nienazarty zrobił z nią to, co z nią zrobił.

Pobyt na pokładzie BB-1066 oprócz znakomitej opieki i doskonałej kuchni miał jeszcze inne plusy. Nie mógł jej tutaj dopaść Rudney, chociaż co godzina domagał się rozmowy z nią, żądając zakończenia instalacji kryształów zgodnie z umową, jaką zawarł z Cechmistrzem. Odgrażał się, że oskarży Killashandrę i Cech o naruszenie kontraktu.

- Powiedźcie mu, że dokonałam instalacji zgodnie z kontraktem. W umowie nie było ani słowa na temat starych odłamków i nie mam zamiaru się nimi zajmować.

Kiedy Rudney zażądał od 1066 wydania śpiewaczki kryształu, Brendan wyjaśnił, że nie posiada tego rodzaju władzy nad pasażerami.

Na Opalu pozostali tylko do chwili, kiedy uznali, że Killashandra jest już na siłach znieść dezorientację skoku w podprzestrzeń. Wtedy Brendan wystartował z planety.

Po drugim z trzech skoków w Killashandrze doszła do głosu ciekawość. Chciała wiedzieć, co stało się ze Skalnym Klejnotem, kiedy już wchłonął czarny kryształ. Był to też niezły sposób odwrócenia uwagi od nieustannego przepływu wspomnień, na który nie miała najmniejszej ochoty.

- Zespół Rudneya nie osiągnął żadnych wyników - wyjął Brendan, który prowadził potajemny nasłuch transmisji na zewnątrz i wewnętrznych rozmów ekipy. - W dalszym ciągu analizują dane. Wyładowania

termoelektryczne przekroczyły zakres skali aparatury pomiarowej. Obserwuje się poważny wzrost wszystkich okazów PM...

- Klejnotów, Bren, jeżeli można prosić - wtrąciła Boira.

- Wygląda na to, że aktualnie wciskają się w każdą szparę, szczelinę, szramę, szyb, sztolnię. Obroty planety nabrały nieregularnego charakteru, a aktywność plam słonecznych wzrosła. Kryształy świecą, i to wszystkie, a emitowany przez nie dźwięk ma stabilny ton.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Klejnot używa ich do porozumiewania się? - spytała Killashandra.

- Na to by wyglądało - stwierdził Brendan - chociaż zespół Rudneya nie ma pojęcia, czemu komunikacja miałaby służyć. Semantycy badają częstotliwość i trwałość struktur, a także zmienność rytmów.

- Czyżby Klera miała rację? - spytała Killashandra, bardzo ucieszona tą perspektywą.

- Na razie nie chcą zająć zdecydowanego stanowiska - odparł Brendan z ukrytym jadem.

- Oczywiście. Nie zaprzeczają jednak inteligencji Klejnotu?

- Tego nie mogą zrobić w sytuacji, kiedy ewidentnie przekształca swoje środowisko - wyjaśniła Boira, uśmiechając się od ucha do ucha. - Nawiasem mówiąc, Rudney zwrócił się o przysłanie innego śpiewaka, który zainstaluje mu okuchy.

- Ciekawe, z jakim skutkiem - zauważyła cierpko Killashandra.

- Piętnaście minut do ostatniego skoku - uprzedził Brendan. Killashandra podążyła w stronę wanny z płynem.

Lars czekał na nią na Shankill, a jego zaniepokojona twarz rozpogodziła się, kiedy zobaczył, że o własnych siłach zmierza korytarzem w jego stronę. Wziął ją w ramiona, zanurzył twarz we włosach, pieścił plecy, obejmował w talii. Przywarła do niego, odpowiadając równie namiętnym uściskiem. Lars był ciepły, mocny i nadal tak smukły jak wtedy, kiedy spotkali się na Oferii. Nie zmienił się... Musiała zatrzaskać śluzy pamięci, żeby nie zatonać w lawinie wspomnień. Dopiero oswajała się z faktem, że każda próba wydobycia czegoś z pamięci łączyła się z przytłaczającym zalewem obrazów z przeszłości.

- Przysięgam na wszystko, Słoneczko, nie miałem pojęcia, o co cię proszę - wymruczał.

- O nic mnie nie prosiłeś - odparła zdumiona. - Zgłosiłam się na ochotnika. Zapomniałeś? Wypuścił ją z objęć z miną zbitego psa.

- Słonko, ja cię podpuściłem, żebyś zgłosiła się na ochotnika.

Przeleciała w pamięci całą sytuację, roześmiała się i przyciągnęła go z powrotem do siebie.

- Założmy, że tak, przyznasz jednak, że nie stawiałam specjalnego oporu.

- Jak mogłaś stawiać, skoro byłaś kompletnie otumaniona przez kryształ? - Był tak szczerze skruszony, że wybuchnęła śmiechem.

- Przynajmniej masz tyle przyzwoitości, żeby przeproszać. Lanzecki nigdy by się na to nie zdobył - powiedziała.

Teraz wyczuła w nim jakąś zmianę. Znowu odsunął ją od siebie, niespokojnie wpatrując się w jej twarz.

- Co się stało, Słoneczko? - Jego niepokój był wyczuwalny, nawet uścisk dłoni na jej ramionach zelżał, jakby zorientował się, że ma do czynienia z kruchą istotą.

- Mogłoby się здаwać - zaśmiała się cicho - że Nienazarty, kiedy mnie złapał, podłączył mi z powrotem obwody pamięci. Jak wiesz, fale mózgowe mają charakter elektryczny. Mój mózg odzyskał swój ładunek, aż po pierwsze świadome wspomnienia w życiu.

- Coś takiego! - Lars patrzył na nią wstrząśnięty.

- Sądziłam dotąd, że instalacja kryształu matki dla Trundomoux to szczyt wszystkiego, tymczasem to był drobiazg w porównaniu z tym, co teraz przeżywam. Już dobrze, kochanie - pośpieszyła z zapewnieniem, dostrzegając w jego oczach szaleństwo. - Wracajmy na Ballybran, za którym, zresztą, nigdy nie tęskniłam bardziej niż teraz. Nawiasem mówiąc, czy udało ci się pozbyć Rudneya?

- Z trudem, ale tak. Musiałem zagrozić, że zaskarżę go o narażenie mojej najlepszej śpiewaczki na niebezpieczeństwo. Chcesz powiedzieć, że naprawdę wszystko pamiętasz? - Wyczuła, że na chwilę wszedł w rolę Cech-mistrza. - Może powinienem wysłać któregoś ze śpiewaków na...

- Larsie Dahl! - Szarpnęła nim, aż stracił równowagę. - Nie śmiesz pod żadnym pretekstem ani przez ułamek sekundy rozważać wysłania któregoś z członków Cechu na Opal!

- To było aż takie straszne? - zaniepokoił się.

- Było, jest i, obawiam się, że będzie, mój drogi, ale jakoś to wszystko wytrzymam. - Z góry mogła przewidzieć jego następne pytanie. - Owszem, słusznie domyślasz się, że jestem w stanie podać ci współrzędne każdej działki, którą kiedykolwiek cięłam. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła przerzucić na kogoś to brzemię. - Pchnęła Larsa w kierunku śluzy, za którą czekał jego osobisty prom.

- Wszystkie współrzędne?

- Co do jednej.

Później opowie mu o drugiej stronie tego medalu, wyjaśniając wszystko najdelikatniej, jak potrafi. Na przykład podczas rejsu na „Aniele II”. Zalała ją fala wspomnień, a wszystkie wiązały się ze słowem „anioł”: rejs na Wyspę Anioła, sztorm, schronienie w kwaterze dowódcy, spotkanie z Nahią i Haunessem, spotkanie z ojcem

Larsa, Olavem, wreszcie, zgodne z wyspiarskim rytuałem, zaślubiny z Larsem... Bezlitośnie ucięła potok reminiscencji.

Lars pomógł jej wsiąść do kabiny promu. Chciał pomóc jej zapiąć pasy, ale delikatnie go odrzuciła, zapewniając ze śmiechem, że poradzi sobie sama.

- Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że Skalny Klejnot mnie poznał - powiedziała cicho, żeby Flicker, pilot, nie mógł ich podsłuchać.

Niejedną spadnięcie ze stołka, kiedy zniechęta okazała się, że pamiętam jego imię - pomyślała z rozbawieniem. Zebrała rozbiegane myśli, żeby powiedzieć Larsemu to, co zamierzała mu powiedzieć.

- Przypominałam to sobie podczas ostatniego skoku w podprzestrzeń. Nie twierdzę, że powiedział „dzień dobry”, ale chyba czułam, że mnie poznaje, już kiedy za pierwszym razem weszłam do komory. Dlatego właśnie się przestraszyłam i zażądałam, żeby zacząć od instalacji w Trójce.

- Hmmm. Ciekawe.

- Taak. - Uśmiechnęła się z lekkim rozczuleniem. - Cieszę się, że oddaliśmy mu tamten kawałek.

- Myślisz, że on to zapamiętał? Wzruszyła ramionami.

- Kto wie, jak funkcjonuje jego pamięć? Rudney z pewnością nie ma pojęcia, a my doszliśmy do wniosku...

- My, to znaczy kto?

- Brendan, Boira i ja... doszliśmy do wniosku, że teoria Klery o motywach optycznych jako nośnikach komunikatów jest słuszna.

- Motywy i rytmy?

- Motywy, rytmy i kolory.

- Hmnnn. To bardzo skomplikowane.

- Śmiało, jak na dziewczynę z prowincjonalnej planety.

- Pamiętasz wszystko? - spytał z nutą niepokoju. Skinęła głową.

- Nauczyłam się jednak ukrecać łeb wspomnieniom, zanim mi wskoczą na głowę. Co za dużo, to nie zdrowo.

- Hmmm.

Wziął ją za rękę. Jej głowa opadła mu na ramię. Killashandra miała ogromne szczęście, że została uprowadzona przez Larsa Dahla. Ta myśl olśniła ją bezgranicznie. Nagle dotarło do niej, jak wiele racji miała Donalla, mówiąc o oddaniu Larse. Dostrzegła je teraz z pełną wyrazistością, jak nić, z której utkane były wszystkie te lata - sto dwadzieścia trzy lata, nie do wiary - lata, podczas których był dla niej więcej niż przyjacielem, kochankiem, partnerem czy alter ego. Przypominała sobie swoją rozpacz i zagubienie, kiedy został niesłusznie ukarany za ofteriańską aferę... Przypominała sobie, nie bez podniecenia, ich pierwszy stosunek na plaży na Wyspie Anioła - co więcej, ich wzajemny pociąg wzmógł się tylko i pogłębił z upływem lat. Stanowili żywy dowód, jak bogata może być „wieczna miłość”. Teraz miała z nim dzielić kolejną rzecz: obowiązki Cechmistrza. Być dla niego tym, kim był Trag dla Lanzeckiego. Na Mullaha! Ciekawe, czy Lanzecki kiedykolwiek z Tragiem... Stłumiła chichot. Lanzecki na pewno nie miałby nic przeciwko temu, ale nigdy nie słyszała, żeby Trag miał romans w obrębie Cechu. Zawsze odrzucała propozycje Larse przez wstyd, że lukami w pamięci skompromituje siebie i jego. Chciała wypaść w jego oczach jak najlepiej, a teraz wreszcie mogła podjąć się obowiązków asystentki z czystym sumieniem - i niezawodną pamięcią.

To niebywałe, ile rzeczy wskakiwało na swoje miejsce... jeżeli człowiek poczekał na to wystarczająco długo. Tamto upokorzenie na Fuerte, kiedy pompatyczny Maestro Yaldi odmówił jej statusu solistki, upokorzenie, dzięki któremu poznała Carrika i dowiedziała się o istnieniu Cechu Heptyckiego. „Krzemowy wampir”, „kryształowy oszołom” - nadal słyszała w pamięci oskarżenia Yaldiego. Durny człeczyna. Śpiewanie kryształu dawało jej o wiele więcej satysfakcji niż kariera śpiewaczki operowej, która mogła liczyć najwyżej na trzydzieści, czterdzieści lat „dobrego” głosu! Tymczasem ona „śpiewała” nieprzerwanie od stu dziewięćdziesięciu siedmiu lat!

Odwrociła głowę, łapiąc swoje odbicie w szybie luku. Cóż, poczwórna warstwa duraplasteru mogła zatuszować zmarszczki, ale też, dzięki ballybrańskiemu symbiontowi, nie miała ich zbyt wiele. Z pewnością nie wyglądała na osobę posiadającą choćby część swoich dwustu piętnastu lat. Uśmiechnęła się do własnego odbicia. Niewiele różniła się od dziewczyny, jaka opuściła Fuerte w towarzystwie śpiewaka kryształu, który zasnął uszkodzenia mózgu. Mocno chwyciła dłoń Larse.

Cóż, jeśli uda jej się ośwoić go z informacją, że nigdy nie będzie już cięła kryształu, czeka ich jeszcze paręset wspólnych wiosen w pełni sił.

- Nie masz nic przeciwko temu, że Donalia z Presnolem zbadają cię starannie, Słoneczko? - spytał, a jego oczy pociemniały z niepokoju.

- Nic a nic - odparła promiennie. - Co prawda Brendan i Boira z pewnością przekazali im już wszystkie wyniki.

- Informacje nie były specjalnie krzepiące - zauważył cierpko. - Zwłaszcza ten fragment rejestrujący, że byłaś pewna, że nie żyjesz. Nie przesadzę, jeśli powiem, że serce mi zamarło.

Pogładziła go po rękę.

- Nie było powodów do niepokoju. To tylko ja tak uważałam. Obrzucił ją długim, przenikliwym spojrzeniem.

- Czy przypadkiem w twojej świeżo odzyskanej pamięci pęta się gdzieś wspomnienie naszej pierwszej nocy?

Wspomnienie, niemal żenujące w swojej intensywności, napłynęło jak na zawołanie. Pochyliła głowę.

- Czy pamiętasz, jak powiedziałem ci wtedy - zaczął, cichym, intymnym, nabrzmiałym miłością głosem - że to było najbardziej nieprawdopodobne doświadczenie erotyczne w moim życiu?

- Lars! Nie chcesz powiedzieć, że też to pamiętasz? Uśmiechnął się do niej, a w jego oczach pojawiła się głęboka namietność. Spłonęła rumieńcem.

- To jedno z moich ulubionych wspomnień, Słonko. Tak się cieszę, że też to pamiętasz.

Nadal patrzył jej w oczy, pieścił dłoń, jakby była młodą naiwną dziewczyną. A naiwna Killashandra nigdy nie była - pamiętała świetnie, że od najwcześniejszej młodości z samozaparciem dążyła do kariery śpiewaczki.

- Emm, hmmm... - Stojący przy otwartym wazie do promu Flicker chrząknął znacząco.

- Dzięki, Flicker - Lars uprzejmością zatuszował niezręczną sytuację.

Odpiął pasy Killashandrze, po czym pomógł jej wysiąść tak usłużnie, jakby była królową.

- Kurier zostanie podstawiony na stanowisko czterdzieste trzecie o zero ósmej trzydziści, Cechmistrzu. Czy wystarczy, jeśli się stawię o zero siódmej sto?

- Wystarczy - odparł Lars, popychając KUlashandrę do wyjścia, wyraźnie niezadowolony, że słyszała słowa Flickera.

- Kto i dokąd odlatuje jutro kurierem? - spytała, kiedy prowadził ją do windy. Wsiedli do środka, Lars przejechał ręką po szorstkich, jasnych włosach.

- Odkładałem to najdłużej jak się dało - powiedział przepaszając. - Presnol powiedział, że mnie zastąpi. Myślę, że wrócę niedługo.

- Dokąd lecisz? - Poczuli, że traci grunt pod nogami. Podrapał się po karku.

- Odkładałem wyjazd, bo cię nie było, a nie chciałem odlatywać przed twoim powrotem po tym, co zrobił ci Skalny Klejnot...

- Dajmy już temu spokój!

- Nie jestem pewien, czy pamiętasz...

- Przekonaj się. - Uniosła znacząco brew. Niecierpliwie przycisnął guzik w windzie. Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

- No dobrze. - Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawił się wyzywający błysk. - Rekrutacja...

- Masz zezwolenie na jawną rekrutację - odparła bez zająknięcia. Pamiętała chwilę, kiedy ją o tym informował, łącznie z takimi szczegółami jak to, gdzie które z nich stało w jego gabinecie. - Kurier zawiezie cię wszędzie tam, gdzie w kosmosie można trafić na ludzi.

- No, no, niebawem postępy - powiedział z lekką konia, ale jego dłoń czule ujęła jej przedramię.

Winda zatrzymała się, a Lars wyprowadził z niej Killashandrę.

- To nie jest poziom medyczny - zauważyła, przystając.

- Zgadza się. To jest nasz poziom. Możesz spędzić jutrzejszy dzień z Presnolem i Donallą, ale najbliższe godziny spędzisz ze mną, twoim Cechmistrzem i namietnym kochankiem, który nie posiada się ze szczęścia, że ma z powrotem przy sobie swoje Słonko, całe i zdrowe. - Jednym zręcznym ruchem przyciągnął ją do siebie, po czym czynnie zademonstrował swoją radość.

W trakcie miłosnej powtórki ich pierwszej nocy, opowiedział o planowanej wizycie w trzech przeludnionych planetopoliach, gdzie zamierzał szukać rekrutów. Miał również zezwolenie na nabór pracowników technicznych, którzy zapełniliby istniejące wakaty, bądź przeszli przeszkolenie w zakresie specjalności pomocniczych.

- Rozpaczliwie potrzebujemy personelu medycznego - powiedział, gładząc ją po włosach. Spleceni w uścisku leżeli na sypialnym podeście. - Zbyt wielu śpiewaków tak długo tkwi w swoim zawodzie, aż stają się pełni pychy, przeceniają swoje możliwości, tracą zdrowy rozsądek i resztki ostrożności.

- Rozumiem, że kończy się to jazdą w jedną stronę. Do szpitala.

Pomyślała o Rimbolu i poczuła dotkliwy ból na myśl o wesołym, promiennym młodzieńcu, jakim był, kiedy oboje przylatywali na Ballybran. Kim stał się teraz? Zadrzała.

- Szpitala, który trzeba będzie rozbudować, o ile nie uda nam się jakoś zahamować lawiny idiotycznych błędów, jakie popełniają śpiewacy...

- Wiesz, Lars, to można by jakoś zatrzymać - powiedziała, bezmyślnie kreśląc kółka na jego piersi. - Gdyby każdy wiedział dokładnie, gdzie jest złoże, leciał prosto na miejsce, ciął i wracał natychmiast do bazy.

- Powiedz im to, Słonko - zaproponował ze znużeniem, - Mnie nie chcą słuchać. Jeśli uda ci się ich nakłonić do posłuchu, będę cię kochał na wieki.

- Już mnie kochasz na wieki, Larsie Dahl. Tego rodzaju stwierdzenie należało odpowiednio przy-

pieczętować.

- Niektórzy zaczęli nas słuchać - wrócił do tematu, kiedy skończyli - ponieważ Tiagana, Borton i Jaygrin na lewo i prawo opowiadają, ile zarabiają kredytów, odkąd lecą prosto na miejsce i tną. Reszta śpiewaków lata jednak na nosa i nie sposób przemówić im do rozumu.

- Może pochopnie odradziłam ci dzisiaj wysyłanie innych śpiewaków do Klejnotu. Skoro udało mu się przywrócić mi pamięć...

- Myślę, że zostawimy sobie takie posunięcie na czarną godzinę - oświadczył, całując ją w policzek. - Nie zapominaj, że nie jesteś zwyczajną śpiewaczką.

- Gdybym była zwyczajną śpiewaczką, moje życie byłoby bardzo ubogie - odparła, mając jednak na myśli co innego niż on. - Po co obciążać Presnola obowiązkami administracyjnymi? Myślę, że ja się do tego o wiele lepiej nadaję.

- Czy to propozycja?

- Chyba tak... - W przyćmionym świetle sypialni posłała mu uśmiech. - Ale tylko na czas twojej nieobecności. Nie chciałbyś chyba, żebym rozsmakowała się we władzy.

- Nigdy bym ci na to nie pozwolił - parsknął, opierając się mocniej o poduszki. - Jesteś najlepszą śpiewaczką, jaką mam.

Jego ton nie przypadł jej do gustu, zanim jednak obmyśliła stosowną ripostę, oddech Larsa wyrównał się, a to było zaraźliwe. Wkrótce Killashandra również zapadła w sen.

Donalla z Presnolem zrobili Killashandrze dziesiątki testów, pobrali próbki płynów ustrojowych, podłączyli do monitorów produkujących ryzy zadrukowanego papieru.

- Wszystko potwierdza tylko, że jesteś w wyśmienitej kondycji fizycznej...

- Jak na babkę w moim wieku - uzupełniła Killashandra, przeglądając się w lustrze.

Pozwolono jej się już przebrać i teraz czekała niecierpliwie, kiedy pomyśli o czymś do zjedzenia.

- Niewątpliwie - potwierdziła Doaalla, chrząkając znacząco. Killashandra roześmiała się.

- Nie wiem dokładnie, co mną tak trzepnęło, niemniej przy okazji wyleciało mnóstwo śmiecia, które każdy z nas gromadzi w trakcie życia. Nic mi nie przeszkadza, że mam dwieście piętnaście lat. Prawdę mówiąc, w jakimś sensie jest to przyjemne. A swoją drogą: jak sięmiewamój symbiont? Jestem żywo zainteresowana jego sprawnym funkcjonowaniem.

- A, symbiont. - Presnol pstryknął lekceważąco palcami. - Równie dobrze jak u mnie czy Donalli, chociaż oboje jesteśmy od ciebie o wiele młodszy.

- Ja - zgasiła go Killashandra - mam prawo przypominać o moim wieku, a nawet stroić sobie żarty z własnej starości, ale innym wara od wszelkich komentarzy. - Pogroziła Presnolowi palcem. - Zrozumiano?

Presnol przyjął jej słowa z pokorą, natomiast Donalla tłumiąc chichot zasłoniła usta. Killashandra za cel ataku obrała teraz lekarkę.

- A ty, niewdzięczna istoto, też pilnuj swojego języka! - zgromiła ją surowo. - Czy to ładnie naigrawać się z legendy rodzimej planety? Morzyć głodem? W nosie mam wasze testy! Idę coś zjeść.

- Pozwolisz, że dotrzymamy ci towarzystwa.

W wielkiej jadalni, jak wtedy, kiedy była tu ostatnim razem, siedziało tylko kilku stołowników.

- Ilu mamy czynnych zawodowo śpiewaków? - spytała Donalli, a w jej pamięci pojawiła się wypełniona po brzegi jadalnia sprzed lat.

- Czterystu czterdziestu dwóch - odpowiedziała ze smutkiem Donalla.

- To śmieszne! - wykrzyknęła zaskoczona Killashandra. Doskonale pamiętała, że kiedy wstępowała do Cechu, było ich cztery tysiące czterystu dwudziestu pięciu. - Ilu z nich w tej chwili bawi poza Ballybranem?

- Trzystu pięciu.

- Emerytowanych?

- Trzystu siedemdziesięciu pięciu - skrzywił się Presnol.

Ilu liczyła przed laty ta kategoria? - Killashandra nie umiała określić ani nawet nie musiała tego robić - tak czy owak, obecne liczby były przygnębiające.

- Siedemdziesięciu czterech - poprawiła Donalla. - Rimbol zmarł dzisiaj rano. Nie miałam wam jeszcze kiedy o tym powiedzieć.

- Rimbol! - Killashandra poczuła ucisk w gardle. Przełknęła ślinę, z trudem hamując łzy. Nie płakała od... nie, tego nie umiała określić. Pochyliła twarz, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Wyrósł przed nią kufel yarrańskiego piwa. Skinąwszy w podzięce głową Presnolowi, uniosła naczynie. - Za Rimbola, radosnego młodzieńca o złotym sercu i kryształowym tenorze. - Osuszyła kufel jednym haustem.

Rozejrzała się, chcąc sprawdzić, czy przypomniał sobie imiona garstki śpiewaków siedzących w jadalni. Rozpoznała dwie osoby. Obie były w tamtej dwudziestce, którą Lars odwołał do ciecia czarnego kryształu. Chudy, wysoki mężczyzna z końską szczęką nazywał się Marichandim. Imienia blondynki nie mogła jednak wygrzebać z pamięci w żaden sposób.

- Wiesz, jak ona się nazywa, Donallo? Lekarka zerknęła przez ramię.

- Blondynka z Marichandimem? Siglinda. Całkiem niezłe tną według współrzędnych.

- Ilu śpiewaków przystąpiło do programu?

- Z aktywnych zawodowo dwunastu. - Donalla pokiwała głową. Presnol też wyglądał na przygnębionego. - Reszta nie chce nawet o tym słuchać. Kiedy zbliżasz się do nich, odchodzą. Są zbyt dumni, żeby pójść na coś takiego.

- No cóż - powiedziała Killashandra wstając - chyba będę musiała przejrzeć program Orientacji Zawodowej. Jeżeli nie zmienił się od czasów Tukuloma, trzeba go będzie zrewidować. Myślę, że to jest źródło wszystkich kłopotów. Śpiewakom, których przywiezie Lars, samo wkuwanie Karty Cechu nie wystarczy.

Jakoś tu dziwnie - pomyślała Kiliashandra, wkraczając do biura Cechmistrza. Biurko Traga czekało uprzątnięte do czysta. Na nią czekało - uprzytomniła sobie z kwaśnym uśmiechem, chociaż odwlekała tę chwilę, jak mogła.

Biurko Larsa było starannie uporządkowane - na szerokim blacie stały cztery równe rzędy dyskietek. Jeden opatrzone był naklejką „Orient, zrewid.” Uśmiechnęła się. Powinna była odgadnąć, że Lars doceni wagę tej sprawy. Rzuciła wzrokiem na pozostałe naklejki: „Koord.” - w tej grupie było dziewięć dyskietek, „Rekrut.” - siedem i wreszcie trzy, opisane „B&W”. Z jednej strony blatu, obok komunikatora i podstawki hologramu, leżała sterta notatek, których Killashandra nie była w stanie odcyfrować. Włączyła hologram i z przyjemnością zobaczyła własną postać - zdjęcie musiało pochodzić z Nihala III - po czym zauważyła, że cały magazynek jest wypełniony. Nacisnęła przełącznik i oto pojawiła się jej kolejna podobizna, tym razem w obcisłym, pomarańczowym kostiumie, który Lars kupił jej na Flagu, tam gdzie oglądał prototyp „Anioła II”. Raz po raz wciskała przełącznik, zatrzymując się tylko na tyle, żeby sprawdzić, skąd pochodzi hologram. Wyłączyła urządzenie. Zdecydowanym ruchem przekreśliła fotel, zwracając się w stronę wielkiego monitora. Wywołała listę Członków Cechu. Przed powrotem Larsa miała jeszcze sporo roboty.

Podobnie jak wtedy, kiedy jeden, jedyny raz Lanzecki poprosił ją, żeby mu pomogła w zgromadzeniu dokumentacji - swoją drogą, musi sprawdzić, co się stało z wymoczkowatym Bollamem - z przyjemnością wertowała i porządkowała pliki.

Dochody Cechu, które aktualnie w znacznej mierze szły na utrzymanie szpitala, pochodziły głównie z opodatkowania kryształowego urobku, co stanowiło kość niezgody pomiędzy śpiewakami a sortowaczami. Sanie, paliwo, sprzęt, dach nad głową - i żywność Cech zapewniał śpiewakom po cenach rynkowych. Uwagę Kiilashandry zwrócił fakt, że Cech dorabiał na dostawach, od czasu do czasu podwyższając ceny. Z dokumentacji wynikało, że w całej zamieszkannej części galaktyki nie było żadnych skoków cen, a jedynie stały, stopniowy wzrost cen hurtowych. Na Ballybranie zwiększa się produkcja rolna, przy czym Cech, trzeba oddać mu sprawiedliwość, płacił bardzo dobrze za towary żywnościowe wyprodukowane na jego ziemiach.

Jednak śpiewaków opodatkowanych przez Cech ubywało, przybywało natomiast emerytów, z których część była zdolna jedynie do wegetacji. A tych należało utrzymywać z kurczących się stale dochodów. Ubytek śpiewaków w terenie oznaczał uboższą ofertę kryształu; Killashandra natknęła się na zamówienia czekające na realizację od trzech czy czterech lat. Obejmowały głównie czarny kryształ, ale te na jaśniejsze odcienie też nie były realizowane.

Zanim poddała się ponurym rozmyśleniom nad wynikami lustracji, zauważyła wyraźną zwyżkę produkcji w ostatnich kilku miesiącach - od kiedy Lars udostępnił nie wykorzystane działki. Jej urobek stanowił znaczącą pozycję w tych rozliczeniach, chociaż przewyższało go wydobywanie Tiagany i Jaygrina. Na pociechę dokonała bilansu stu dziewięćdziesięciu pięciu lat pracy zawodowej, żeby stwierdzić, że w sumie na głowę bije dwójkę młodszych kolegów.

Przejrzała uwagi Larsa na temat Orientacji. Stale przewijał się w nich wątek konieczności prowadzenia zapisów z każdej wyprawy w Pasma i z każdej z pozaballybrańskich eskapad: Lars planował instalację automatycznego upomnienia na konsoli każdego ze śpiewaków. Kolekcjonował również pomysły rozwiązań, dzięki którym współrzędne mogłyby być bezpiecznie powierzane pamięci komputerów. Wspominał w nich o przymusowych sesjach hipnotycznych, jako metodzie uzyskiwania tego rodzaju informacji.

Lars robił również notatki na temat modernizacji poszczególnych działów Cechu, nowych technologii i kosztów ich wprowadzenia, a także pełniejszego wykorzystania umiejętności personelu pomocniczego dzięki systemowi odpowiednich bodźców. Większość tych projektów musiała czekać do chwili, kiedy Cech zacznie rytmicznie realizować zamówienia na kryształ.

Cechmistrz zadał sobie trud rozeznania się w alternatywnych technikach stosowanych przez planety zniecierpliwione przedłużającym oczekiwaniem na ballybrański kryształ. Na korzyść tego surowca przemawiał fakt, że jego życie było bardzo długie, a w przypadku uszkodzenia po prze-strojeniu nadawał się do wykorzystania w kolejnej instalacji. Materiały konkurujące z nim nadawały się wyłącznie do jednorazowego zastosowania. Nadal w użyciu można było spotkać egzemplarze kryształu osiemset lat wcześniej śpiewane przez samego Barry'ego Milekeya, którego imieniem ochrzczono Błękitne Pasma.

- Przydałaby się nam też kampania reklamowa - mruknęła pod nosem, usiłując, bez specjalnego skutku, wymyślić jakiś interesujący slogan,

Ballybrański kryształ nigdy nie potrzebował reklamy: sam się sprzedawał. Póki, naturalnie, popyt nadążał za popytem.

- Cóż, sytuacja poprawiła się nieco - powiedziała do siebie, przeciągając się w wygodnym fotelu. - Spróbujmy zacząć od tego.

Światła zapaliły się automatycznie z chwilą, gdy czujniki zarejestrowały spadek poziomu oświetlenia. Przekręciła fotel i skonstatowała, że zapadła noc - Shanganagh i Shilmorę ścigały się po niebie, lada moment jednak miały je przysłonić napływające z zachodu kłęby chmur. Odkręciła fotel, patrząc pod sufit na świetlisty pasek informatora o warunkach meteorologicznych: ciśnienie spadało, izobary ugięły się pod naporem gigawichrów. Ogłoszono alarm pogodowy. Przełączyła monitor na ekran w hangarze, który pokazywał około czterdziestu świetlnych punkcików zbliżających się w kierunku bazy.

Świetnie! Będzie miała okazję porozmawiać z częścią mniej produktywnych śpiewaków. Wywołała program identyfikujący nadlatujące sanie i poprosiła o informacje dotyczące kolejnych śpiewaków. Miała zamiar pokazać im fakty i liczby: wykresy produkcji kolegów, którzy latali według współrzędnych, i wykresy kredytów, jakie zagarniali. Nie było śpiewaka, który nie byłby zainteresowany jak najszybszym zgromadzeniem maksymalnego kredytu, żeby zniknąć z planety na jak długo się tylko da. Niestety, dopóki Cech nie odzyska dawnego prestiżu, „na jak długo się tylko da” miało być równoznaczne z „najkrócej, jak tylko możliwe”. Ku swojemu zdziwieniu przez pierwszą grupę śpiewaków, do których się zbliżyła, została przyjęta z ogromnym szacunkiem. Szybko przewertowała dane czterdziestu siedmiu, którzy uciekli przed burzą z Pasma, orientowała się więc, co i ile ostatnio cięli, a także, ile czasu im na tym zeszło, miała zatem pod ręką wszystkie argumenty.

Popijając z nimi, typowała swoje ofiary: tych, którzy nie dysponowali wystarczającą ilością kredytów, żeby udać się w jakimkolwiek interesującym kierunku. Przez blisko dwa stulecia miała okazję odwiedzić nieprawdopodobnie dużo planet rozrywkowych, potrafiła więc snuć godzinami opowieści, rozbudzające w jej kolegach tęsknotę za legendarnymi miejscami uciech. Przekonanie tej właśnie osiemnastki do metod, które niezawodnie pozwolą im spełnić najśmielsze marzenia, nie zajęło jej zbyt wiele czasu.

Z otchłani głębokiego snu przebudziło ją natarczywe brzęczenie komunikatora. Rozpoznała sygnał awaryjny. Ciągnąc za sobą koldrę, przeczołgała się na komunikacyjny segment podestu sypialnego.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Killashandro! - wykrzyknął na jej widok Flicken. Jego rysy ściągnięte były rozpaczą.

- Co powiedzieć?

- Kurier B&B - wysłał wołanie o pomoc.

- Kurier B&B... - Umilkła, nie mogąc złapać tehu. Na pokładzie kuriera znajdował się Lars. - Lars?

Flicken skinął głową powoli. Usta mu drżały, podbródek latał na wszystkie strony.

- Właśnie odebraliśmy sygnał.

- Co się stało? Gdzie? Przecież kurierzy...

- Awaria przy skoku w podprzestrzeń! - Flicken zachłysnął się z przejęcia. - Tyle tylko udało mi się ustalić. Odebraliśmy wołanie o pomoc i zobaczyliśmy smugę po nieudanym skoku.

- Gdzie?

Pokręcił energicznie głową, a po policzkach płynęły mu łzy. Nadal nie mógł opanować drżenia warg,

- Informujcie mnie na bieżąco - zażądała, zdumiona własnym opanowaniem w obliczu faktu, że jej życie zniecka legło w gruzach.

Przytknęła dłoń do płytki iluminacyjnej. Zapłonęły światła. Siedziała długo, próbując zatrzymać kołowrót myśli. Statki B&B należały do jednostek o bardzo wysokim poziomie technologii. Statki kurierskie należały do czołówki B&B. Zarówno pancerni, jak i fizyczni mieli szansę w najbardziej dramatycznych okolicznościach ująć z życiem. Awarie podczas skoku zdarzały się rzadko, niemniej się zdarzały. Brendan wspominał mimochodem, że oprócz aparatury wykonującej tysiące drobnozgowych obliczeń podczas skoku, miał również aparaturę korekcyjną na wypadek, gdyby sprawy przybrały najgorszy obrót. Co więcej - uprzytomniła sobie, otrząsając się z pierwszego szoku - każdy statek B&B, każdy okręt floty galaktycznej, każdy liniowiec, tankowiec, frachtowiec czy prywatny statek w tym sektorze weźmie udział w poszukiwaniach. Ze wszystkich jednostek, które mogły mieć wypadek podczas skoku w podprzestrzeń, mózgototy B&B miały największą szansę na przeżycie.

Siłą woli uczepliła się tej myśli, po czym zaczęła szukać ubrania. Udała się do gabinetu Cechmistrza i pozapalała światła. Usiadła w fotelu, włączyła system komunikacyjny, połączyła się z dyrekcją kosmoportu na Shanganagh.

- Zastępca Cechmistrza, Ree - przedstawiła się bez zająknięcia. - Proszę informować mnie o stanie poszukiwań...

- Naturalnie, zastępczo Ree. Wdrożyliśmy postępowanie nadzwyczajne. Zwróciliśmy się do wszystkich statków wojennych, handlowych i prywatnych jednostek o przekazywanie nam wszelkich wiadomości.

- Mam nadzieję, że przez kryształowe komunikatory - powiedziała lekko zaszokowana faktem, że w takiej chwili zbiera jej się jeszcze na żarty.

Cóż, jest to chwila, w której tylko krztyna żartu może człowieka uchronić przed szaleństwem.

- Tak, tak, naturalnie, zastępczo. Nasz czarny kryształ wyłowi szept z najdalszych zakątków zamieszkanego wszechświata.

- Powinniśmy znaleźć kryształ, który działa w podprzestrzeni.
- Nic nie działa w podprzestrzeni, zastępczo.
- Przemknęło jej przez myśl, że takie zdolności mógłby posiadać Skalny Klejnot.
- Będziemy cię informować o wszystkim, zastępczo.

Zastępczo! Czy miała prawo posługiwać się tym tytułem? Cóż, czemu nie? Czyż Lars nie wyznaczył jej na to stanowisko? Z pewnością lepiej go zastąpi niż Presnol. Była śpiewaczką, dyplomatą, szpiegiem... uśmiechnęła się ze smutkiem. Przysunęła bliżej podstawkę multihologramu i wywołała pierwszy hologram, który Lars do niego wprowadził. Pojawiła się jej podobizna, z włosami spłowiałymi od słońca, szyją oplecioną girlandami, które Olav ofiarował jej tego ranka, kiedy opuszczali Wyspę Anioła. Kwiaty podkreślały kolory cudownej sukni roboty Teradii. Jakim cudem Lars zrobił jej to ujęcie? Cóż, jakoś musiał je zrobić, skoro stoi tu przed nią. Usiadła, wpatrując się w hologram, wspominając tamte dni, Ktoś zastukał do drzwi. Podskoczyła.

- Dopiero dowiedziałam się o wszystkim - tłumaczyła się Donalla. - Czy mogłabym coś zrobić?
- Owszem - odparła rażno. Dostyc czasu strawiła na próżnych rozważaniach. - Mogłabyś zamówić dla mnie śniadanie? Nie miałam dotąd czasu zjeść, tyle mam roboty.
- Roboty? - spojrzała na nią w osłupieniu Donalla.
- Muszę zacząć wdrażać projekty Larsa. - Skinęła ręką w kierunku rzędów dyskietek. - Muszę czymś zabić czas.

- Rozumiem! Nie tracisz nadziei, że...
- Nigdy nie należy tracić nadziei, Donallo, zresztą... Lars na pewno wolałby, żebym nie siedziała beczynn timer z nosem na kwintę. Jak sądzisz?

Zjadła śniadanie, po czym zaczęła zapraszać do siebie po kolei śpiewaków, z którymi rozmawiała poprzedniego wieczoru. Wszyscy byli zbulwersowani straszną nowiną, bo wieść zdążyła się już rozejść po bazie, i w efekcie większość rozmówców przystała na jej propozycję. Siedemnastu z osiemnastki śpiewaków otrzymało po trzy zestawy współrzędnych i polecenie, żeby cięli, gdzie się da - cześć działek zapewne nie nadawała się już do użytku - i nie wracali, zanim nie zapełnią przynajmniej jednej skrzyni zamówionymi kolorami. Zabroniła pokazywać się jej na oczy z różem, bladym błękitem czy zielenią. Potrzebowała ciemnych barw, najchętniej - czarnego kryształu.

Modernizacja Orientacji pochłonęła Killashandrę bez reszty. Zaskoczył ją odgłos wielu sań opuszczających hangar: musiała przepracować całą noc! Pozwoliła sobie na cztery godziny snu, po czym z powrotem zasiadła przy biurku, przerzucając archiwa Cechu z ostatniego dziesięciolecia.

Po pięciu dniach знаła całą bieżącą dokumentację, zdążyła również przejrzeć stare akta dotyczące transakcji handlowych, badań i wdrożeń. Była teraz doskonale zorientowana w sprawach Cechu. Udało jej się kolejną czwórkę śpiewaków przekonać do stosowania współrzędnych, przyjęła także ośmiu z pierwszej siedemnastki wracających z przyzwrotnym urobkiem, złożonym wyłącznie z ciemnych kolorów. Zadowolonych z efektów zachęcała, żeby spędzili noc w bazie, najedli się do syta, odpoczęli w towarzystwie kolegów, wreszcie, rozpowiadali na lewo i prawo, jak łatwo jest pracować, kiedy się zna współrzędne.

Każdego dnia poświęcała chwilę na obejrzenie chociaż jednego hologramu z obszernej kolekcji Larsa. Każdy przywoływał wspomnienia kolejnej wyprawy, która ożywała w jej pamięci z namacalną wręcz wyrazistością. Winna jest dogonną wdzięczność Klejnotowi za to, że odrestaurował jej pamięć, która posłuży jej do końca życia. Kiedy ona umrze, nie będzie nikogo, kto pamiętałby ją tak żywo jak ona pamięta Larsa Dahla. To smutne.

Wraz z odzyskaniem pamięci wróciło pragnienie, żeby jej nigdy nie utracić. Kiedyś będzie musiała polecieć w końcu w Pasma, śpiewać kryształ, nie chciała jednak ryzykować utraty tylu drogocennych informacji. Któregoś dnia odbyła drugą pogawędkę z meteorologami, po czym zaprosiła Presnola z Donallą na obiad.

- Sprawa wygląda następująco - zaczęła, kiedy byli już przy piwie i serach. - Chłopcy z Meteorologii twierdzą, że ballybrańskie burze wytwarzają więcej elektryczności niż burze na innych planetach. Całkiem możliwe, że właśnie silne wyładowania elektryczne uszkadzają umysły śpiewaków. Rozumiecie, większość z nas zwleka z opuszczeniem Pasma do ostatniej chwili. Kto wie, czy nie dlatego właśnie, że elektryczność niszczy w jakiś sposób nasze obwody, zapominamy o wszystkim, co działo się przed kolejną wyprawą?

- Jak sądzisz, czy to jest możliwe? - Donallą spojrzała pytająco na Presnola. Zamyślił się na chwilę.

- Myślę, że moglibyśmy bez trudu sprawdzić trwałość pamięci u śpiewaków, którzy regularnie posługują się współrzędnymi, i dajmy na to, grupy śpiewaków, którzy zwlekają z odlotem do chwili, kiedy burza zmusza ich do ucieczki. Zobaczmy, czy istnieją jakieś związki. Moglibyśmy również wprowadzić stały pomiar poziomu elektryczności w powietrzu. Jestem pewien, że istnieje aparatura zdolna do rejestracji tego typu wyładowań. Hmm, naprawdę ciekawe. Ale jaki byłby z tego pożytek?

- Jeśli uda nam się udowodnić chociażby minimalną korelację między intensywnością poszczególnych burz a utratą pamięci, będziemy mieli dodatkowy argument, żeby przekonywać kolejnych kandydatów o konieczności powrotu zaraz po pierwszym ostrzeżeniu - wyjaśniła Kil-lashandra. - A może uda nam się wręcz namówić wszystkich na korzystanie ze współrzędnych?

- Byłby to spory wyłom w tradycji - stwierdził Presnol, chrząknawszy. Presnol na Ballybranie żył o

wiele dłużej niż Donallą.

- Właśnie ten typ myślenia musimy wykorzystać - sprzeciwiła się Killashandra. - Cech musi zmienić sporo w sposobach myślenia i „tradycjach” - wymówiła to słowo z niesmakiem - jeżeli chce poprawić swoją sytuację i jeśli śpiewacy mają pracować produktywnie.

- Zobaczmy, Pres, co się da z tym zrobić - odezwała się Donallą, uśmiechając przymiłnie do kochanka.

Mrugnęła do Killashandry, dając do zrozumienia, że odtąd sprawy przejmuje w swoje ręce.

W czwartym tygodniu zaczęli pojawiać się pierwsi rekruci, owoc tragicznej wyprawy Larsa. Czterdziestu czterech młodych, pełnych zapału ochotników, reprezentujących najróżniejsze specjalności, a do tego piętnaście osób obdarzonych niezbędnym u śpiewaków kryształ słuchem absolutnym. Tylu chętnych w sumie nie ubiegało się o przyjęcie do Cechu przez ostatnie parę lat. W najbliższych tygodniach miały jeszcze przybyć dwie kolejne grupy. Na razie, po załatwieniu pierwszych formalności, Killashandra zażądała natychmiastowego przywiezienia pierwszej grupy ochotników na Ballybran. Chciała osobiście poprowadzić pierwsze sesje Orientacji, pchnąć nowicjuszy na drogę sukcesów zawodowych. To oni i im podobni odbudują Cech - ku pamięci Larsa.

Rada, złożona z kierowników działów Cechu Heptyckiego na Ballybranie, coraz mocniej naciskała na nią, żeby formalnie zajęła fotel Cechmistrza, jednak odmawiała przyjęcia tej propozycji, gdyż w jej pojęciu byłoby to równoznaczne z uznaniem Larsa za zmarłego. Nie zależało jej na tytule Cechmistrza, chociaż wszyscy zapewniali ją, że sprawuje urząd tak dobrze, jakby przygotowywała się do tego przez całe życie. Zależało jej na wdrażaniu projektów Larsa i postawieniu Cechu na nogi.

Kiedy Donalla żądała od niej, żeby przerwała pracę przy konsoli, zanim oślepnie do reszty, szła popatrzeć na „Anioła II” w jego wielkim hangarze. W tamtym miejscu czuła bliskość Larsa, mogła rozpamiętywać ich niezliczone wspólne rejsy. Wszystko by dała za to, żeby chociaż jeden, jedyny raz jeszcze pożeglować z Larsem! Jakże żałowała teraz swoich zjadliwych uwag na temat jego miłości do morza, przewrotnej zajadłości, z jaką sprzeciwiała się propozycjom spędzania urlopu na planetach oceanicznych. Cóż za brak serca domagać się swojej kolei w planowaniu wakacji, kiedy wiedziała, ile woda i żagle znaczyły dla Larsa.

Teraz też wracała z kolejnej sesji roztkliwiania się nad własnymi słabościami, zaniedbaniami i ograniczonością. Wkroczyła apatycznie do gabinetu, w którym jej obecność zdążyła w znacznym stopniu zatrzeć ślady Larsa. Zastanawiała się właśnie, czym by dostatecznie zmęczyć umysł, żeby pozwolił jej wreszcie zasnąć, kiedy zapisał komunikator.

- Co znowu? - spytała z rozdrażnieniem. Ledwie przyszła, już czegoś od niej chcą.

- Łączymy - dobiegł ją zaaferowany głos, po czym rozległa się seria nieznośnych, wysokich trzasków, pisków i wybuchów.

- Słonko?

- Lars! - krzyknęła bezwiednie. Nie było drugiej osoby w galaktyce, która nazywałaby ją „Słonkiem” i której głos miałby ten specyficzny timbre. - Żyjesz?

- I to pełną piersią.

- Włącz wizję, Lars. Muszę cię zobaczyć!

Łzy popłynęły po policzkach Killashandry, musiała chwycić się krawędzi biurka, żeby nie upaść. Ten głos, te teksty: to musiał być Lars.

Jego śmiech ją uspokoił.

- Za żadne skarby, Słonko. Przewlekłe zanurzenie w płynie opalizującym wywołuje interesujące efekty skórne i mięśniowe, niemniej i ja, i fizyczny statku zawdzięczamy kąpielom przeżycie. Mówią, że wkrótce znowu będziemy wyglądać jak ludzie, ale nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Znaleźli nas Brendan i Boira. Chwała Mullahowi, tych dwoje nigdy nie straciło nadziei. Wszyscy wyszliśmy cało, tylko statek kurierski będzie potrzebował nowego kadłuba... zaraz, odwrotnie... pancerna kuriera będzie potrzebować nowego statku, bo jej kadłub wyżyło podczas skoku.

Było jej wszystko jedno, jak wyglądał; najważniejsze, że mówił do niej jak dawny Lars - to jedno się tylko liczyło.

- Mimo to żyjesz!

- Żyję, żyję. Przeżyłem nawet wyjście z podprzestrzeni parę minut temu. - Jego głos zadrżał lekko. - Boira powiedziała, że muszę to przeżyć. I pewnie jeszcze będę musiał przeżyć parę razy w życiu, ale nieprędko! Nieprędko! - Westchnął donośnie.

- Gdzie jesteś?

Wyrażnie rozbawiła go tym pytaniem.

- Planowany przylot na Shankill za cztery godziny!

- Cztery godziny! - Głos zaczął jej się znowu łamać. Jakim cudem wytrzyma bez niego tak długo? Musi go zaraz przytulić, znaleźć się w jego objęciach. - Lars, najdroższy...

- Coś ty powiedziała, Słonko? - spytał drżącym ze zdumienia głosem. Poczuła ucisk w gardle.

- Powiedziałam: „Lars, najdroższy” - zaczęła się niemal tłumaczyć.

- Czy wiesz, że nigdy w życiu nie nazwałam mnie „najdroższym”? - zaśmiał się speszony.

- Odtąd będę pamiętać, żeby tak mówić do ciebie co drugie słowo, najdroższy Larsie. Dość miałam czasu, żeby cię powspominać, kiedy byłeś... daleko. - Głos jej się lekko załamał; parę razy musiała odchrząknąć.

- Wspominałam miłość, jaką mnie obdarzałeś przez te lata - ciągnęła, zdecydowana powiedzieć wszystko, co mu się od dawna należało. - Bardzo wiele wspominałam, najdroższy, zwłaszcza jak bardzo zawsze cię kochałam, chociaż nie dawałam ci tego zbyt często odczuć.

- Warto się było otrzeć o śmierć, żeby usłyszeć takie słowa z twoich ust, Killashandro Ree. - Jego głos nabrał życia, tryskał radością.

- Te słowa też zapamiętam, najdroższy. Nigdy ich nie zapomnę!

W tej samej sekundzie, w której się rozłączyli, Killashandra Ree opuściła gabinet i ruszyła na spotkanie Larsa Dania w Bazie Księżycowej na Shankill. Primadonna triumfalnie zęgnęła się ze sceną.

KONIEC